This is a digital copy of a book that was preserved for generations on library shelves before it was carefully scanned by Google as part of a project to make the world's books discoverable online.

It has survived long enough for the copyright to expire and the book to enter the public domain. A public domain book is one that was never subject to copyright or whose legal copyright term has expired. Whether a book is in the public domain may vary country to country. Public domain books are our gateways to the past, representing a wealth of history, culture and knowledge that's often difficult to discover.

Marks, notations and other marginalia present in the original volume will appear in this file - a reminder of this book's long journey from the publisher to a library and finally to you.

Usage guidelines

Google is proud to partner with libraries to digitize public domain materials and make them widely accessible. Public domain books belong to the public and we are merely their custodians. Nevertheless, this work is expensive, so in order to keep providing this resource, we have taken steps to prevent abuse by commercial parties, including placing technical restrictions on automated querying.

We also ask that you:

+ *Make non-commercial use of the files* We designed Google Book Search for use by individuals, and we request that you use these files for personal, non-commercial purposes.

+ *Refrain from automated querying* Do not send automated queries of any sort to Google's system: If you are conducting research on machine translation, optical character recognition or other areas where access to a large amount of text is helpful, please contact us. We encourage the use of public domain materials for these purposes and may be able to help.

+ *Maintain attribution* The Google "watermark" you see on each file is essential for informing people about this project and helping them find additional materials through Google Book Search. Please do not remove it.

+ *Keep it legal* Whatever your use, remember that you are responsible for ensuring that what you are doing is legal. Do not assume that just because we believe a book is in the public domain for users in the United States, that the work is also in the public domain for users in other countries. Whether a book is still in copyright varies from country to country, and we can't offer guidance on whether any specific use of any specific book is allowed. Please do not assume that a book's appearance in Google Book Search means it can be used in any manner anywhere in the world. Copyright infringement liability can be quite severe.

About Google Book Search

Google's mission is to organize the world's information and to make it universally accessible and useful. Google Book Search helps readers discover the world's books while helping authors and publishers reach new audiences. You can search through the full text of this book on the web at `http://books.google.com/`

Google

Jest to cyfrowa wersja książki, która przez pokolenia przechowywana byla na bibliotecznych pólkach, zanim zostala troskliwie zeskanowana przez Google w ramach projektu światowej biblioteki sieciowej.

Prawa autorskie do niej zdążyly już wygasnąć i książka stala się częścią powszechnego dziedzictwa. Książka należąca do powszechnego dziedzictwa to książka nigdy nie objęta prawami autorskimi lub do której prawa te wygasly. Zaliczenie książki do powszechnego dziedzictwa zależy od kraju. Książki należące do powszechnego dziedzictwa to nasze wrota do przeszlości. Stanowią nieoceniony dorobek historyczny i kulturowy oraz źródlo cennej wiedzy.

Uwagi, notatki i inne zapisy na marginesach, obecne w oryginalnym wolumenie, znajdują się również w tym pliku – przypominając dlugą podróż tej książki od wydawcy do biblioteki, a wreszcie do Ciebie.

Zasady użytkowania

Google szczyci się wspólpracą z bibliotekami w ramach projektu digitalizacji materialów będących powszechnym dziedzictwem oraz ich upubliczniania. Książki będące takim dziedzictwem stanowią wlasność publiczną, a my po prostu staramy się je zachować dla przyszlych pokoleń. Niemniej jednak, prace takie są kosztowne. W związku z tym, aby nadal móc dostarczać te materialy, podjęliśmy środki, takie jak np. ograniczenia techniczne zapobiegające automatyzacji zapytań po to, aby zapobiegać nadużyciom ze strony podmiotów komercyjnych.

Prosimy również o:

- Wykorzystywanie tych plików jedynie w celach niekomercyjnych
  Google Book Search to usluga przeznaczona dla osób prywatnych, prosimy o korzystanie z tych plików jedynie w niekomercyjnych celach prywatnych.
- Nieautomatyzowanie zapytań
  Prosimy o niewysylanie zautomatyzowanych zapytań jakiegokolwiek rodzaju do systemu Google. W przypadku prowadzenia badań nad tlumaczeniami maszynowymi, optycznym rozpoznawaniem znaków lub innymi dziedzinami, w których przydatny jest dostęp do dużych ilości tekstu, prosimy o kontakt z nami. Zachęcamy do korzystania z materialów będących powszechnym dziedzictwem do takich celów. Możemy być w tym pomocni.
- Zachowywanie przypisań
  Źnak wodny"Google w każdym pliku jest niezbędny do informowania o tym projekcie i ulatwiania znajdowania dodatkowych materialów za pośrednictwem Google Book Search. Prosimy go nie usuwać.
- Przestrzeganie prawa
  W każdym przypadku użytkownik ponosi odpowiedzialność za zgodność swoich działań z prawem. Nie wolno przyjmować, że skoro dana książka zostala uznana za część powszechnego dziedzictwa w Stanach Zjednoczonych, to dzielo to jest w ten sam sposób traktowane w innych krajach. Ochrona praw autorskich do danej książki zależy od przepisów poszczególnych krajów, a my nie możemy ręczyć, czy dany sposób użytkowania którejkolwiek książki jest dozwolony. Prosimy nie przyjmować, że dostępność jakiejkolwiek książki w Google Book Search oznacza, że można jej używać w dowolny sposób, w każdym miejscu świata. Kary za naruszenie praw autorskich mogą być bardzo dotkliwe.

Informacje o usłudze Google Book Search

Misją Google jest uporządkowanie światowych zasobów informacji, aby staly się powszechnie dostępne i użyteczne. Google Book Search ulatwia czytelnikom znajdowanie książek z calego świata, a autorom i wydawcom dotarcie do nowych czytelników. Caly tekst tej książki można przeszukiwać w internecie pod adresem `http://books.google.com/`

UNIVE
TANFOR

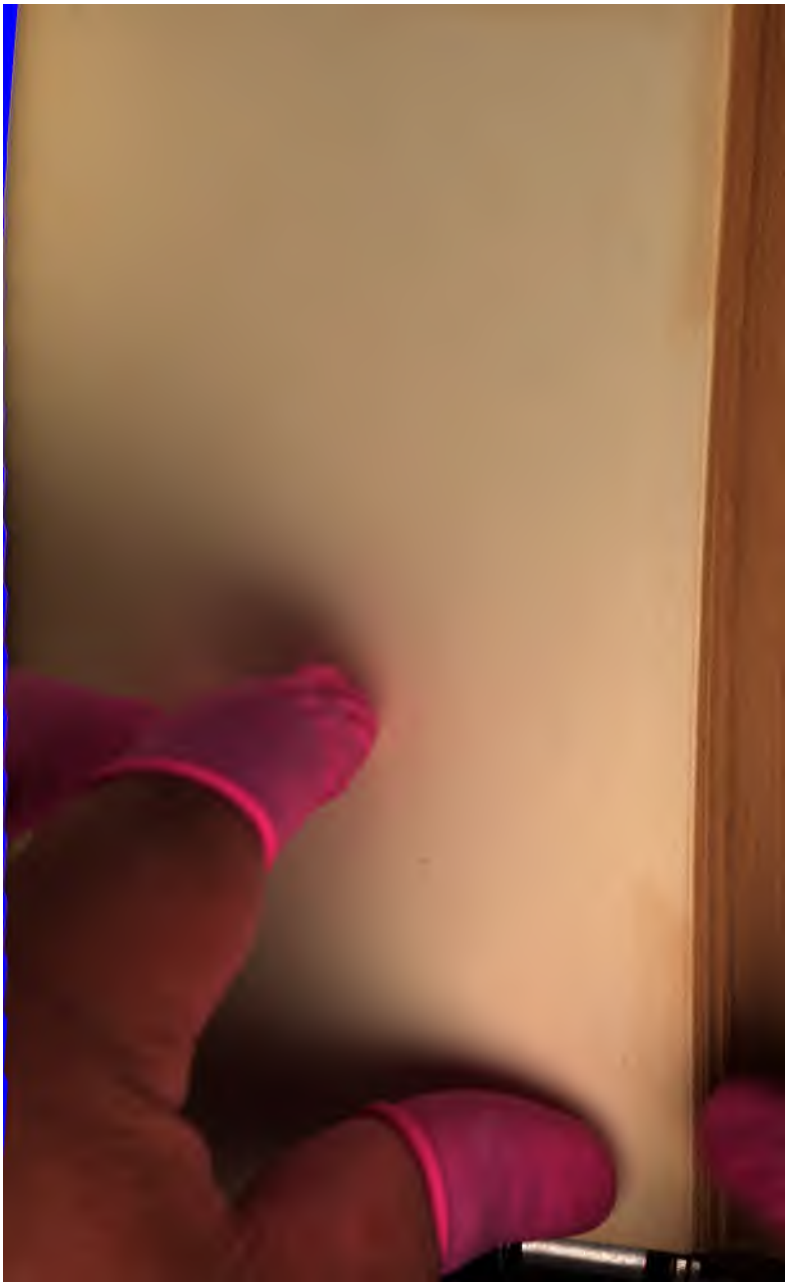

STEFANJA TRUSZKOWSKA

WCZASY HISTORYCZNE

STEFANJA TRUSZKOWSKA

WCZASY HISTORYCZNE

A552

Дозволено Цензурою
Варшава, 10 Декабря 1902 года.

STEFANJA TRUSZKOWSKA

TREŚC.

	Str.
Przedmowa	VII
Korespondent Stanisława-Augusta	1
Niemcy o Polsce	20
Lauzun	39
Pamiętniki pani Potockiej	54
Szwoleżerowie	72
Generał Chłapowski	85
Ferrand	108
Ks. Adam Czartoryski ministrem rosyjskim	119
Sprawa polska przed Kongresem wiedeńskim	140
Pani Lieven	155
Literatura orleańska	184
Stendhal dyplomata	201
Mérimée	225
„Opik" nienawiści	242
Dyplomacya rosyjska w sprawie polskiej	255
Polityka naukowa	270
Widoki Azyi	285
Pisma Włodzimierza Spasowicza	301
Stosław Łaguna	386
Przypisy	399

PRZEDMOWA.

Ta książka wymaga, być może, pewnego usprawiedliwienia. Dając zgodę na zbiór niniejszy, dalecy byliśmy od przecenienia zawartych w nim przyczynków. To są rzeczy ulotne i przygodne. Powstały raptownie, pod wpływem nastręczonych pobudek zewnętrznych, bardzo rozmaitych. Ale powstały, śmiemy twierdzić, pod jednym wspólnym wewnętrznym kątem widzenia. Powstały z jednego wspólnego poglądu na naukę dziejową i interes publiczny. Miały swego czasu zosobna, teraz mają pospołu, na swój sposób, przyłożyć się do zbudzenia rzeczywistego, rozumnego zajęcia dla spraw historyczno-politycznych doby nowożytnej, i to w najobszerniejszym zakresie. A więc, w zakresie polsko-europejskim. Stają tutaj nasamprzód, oczywiście, na pierwszym planie sprawy czysto polskie. Zaś w organicznym z niemi związku wynurzają się następnie europejskie. Czy będzie chodziło o francuskiego pretendenta czy o angielskiego męża stanu, o rosyjskiego profesora czy o niemieckiego powieściopisarza, byle tylko dobrze się rozejrzeć, wszędy ujawnią się doty-

STANFORD UNIVERSITY
LIBRARIES

STEFANJA TRUSZKOWSKA

WCZASY HISTORYCZNE

małe zasługi. Robił mianowicie robotę najdrażliwszą: kupował adherentów. Oglądaliśmy jego kwitki własnoręczne, gdzie ze wzruszającą prostotą potwierdza odbiór pieniędzy na cele przekupstwa. Zasługi młodego Rzewuskiego dla elekta ważyły tem więcej, że głowa jego domu, hetman polny koronny, należał do przywódców opozycyi i podczas bezkrólewia stał w polu przeciw stolnikowi litewskiemu. Pod taką egidą Glayre oczywiście odrazu został dobrze postawiony w zaufaniu królewskiem. Zresztą to zaufanie już .z samej natury rzeczy skłaniało się łacno ku cudzoziemcom. Samymi prawie cudzoziemcami zapełniła się od pierwszej zaraz chwili kancelarya królewska. Król nowoobrany nie miał partyi w kraju. Wprawdzie mieli swoją partyę jego wujowie, Czartoryscy, którzy go wynieśli. Ale wynieśli go oni tylko w połowie z własnej nieprzymuszonej woli. Pomiędzy nimi a siostrzeńcem wynikła tajna a głęboka scysya, zanim jeszcze on został królem. Starzy książęta niemal aż do końca łudzili się nadzieją, że zamiast niego potrafią na tron wysunąć, podsunąć którego ze swoich najbliższych, ks. Augusta, albo ks. Adama. Skryta nadzieja zawiodła. Głucha scysya pozostała i przetrwała od pierwszego do ostatniego dnia nowych rządów, napozór prawie niewidzialna, a przecie ciągle skuteczna i dotkliwa, zatruta owym szczególniejszym jadem gryzącym, jaki cechuje wewnętrzne niesnaski rodzinne. Pod względem moralno-politycznym, rzec można, doznany zawód elekcyjny podniósł Czartoryskich. Starzy książęta, dotychczas

tylko wodzowie stronnictwa i pretendenci, opamiętali się pod koniec, że są także wielkimi obywatelami kraju. Odtąd, niestety po niewczasie, położyli większy i rzetelniejszy nacisk na reformę rządu, na ochronę samodzielności państwowej. Doświadczyli namacalnie, jak obosieczną rzeczą bywa sama intryga. Przekonali się, że w dwuznacznej grze intryg dyplomatyczno-elekcyjcych oni, najwytrawniejsi gracze, mogli zostać zdystansowani przez nowicyusza Poniatowskiego. Czemże był dla nich ten koronowany Poniatowski? Jego ojcu, awanturnikowi, byli dali swoją siostrę, aby w zdolnym i śmiałym człowieku mieć pomocnika i narzędzie. Syn obrócił ich samych na narzędzia i pomocników swego wywyższenia. Wiedzieli dobrze, lepiej niż ktokolwiek, czem był naprawdę ten syn, bez talentów i dzielności ojcowskiej, ten ich siostrzeniec, mimowoli własną ich ręką obleczony w purpurę monarszą: „dobry chłopiec", wieczny dzieciuch, aż pod siwy włos, aż do śmierci, sentymentalny a niesumienny, subtelny a niemądry, ekspansywny a niewytrzymały, zdolny do słowa i pióra, niezdolny do decyzyi i czynu, łatwy do łez i do pocieszenia, do rozpaczy i do zapomnienia, urodzony pierwszy bohater z komedyi Marivaux albo romansu Laclosa, a najdziwniejszy elekt, ostatni elekt na walącym się tronie Rzplitej. Król to wszystko czuł wybornie. Zmuszony był względem wujów do respektu, nawet do wdzięczności. Oni dotychczas płacili jego długi, oni poczęści opłacili jego elekcyę. Ale zarazem pojmował doskonale, że zamierzali eskamotować

mu koronę, że mu nie wybaczyli nieudania się tego zamiaru, że go przenikali do głębi, że nie mieli dla niego szacunku. Tak ukształtował się fatalny stosunek między Pałacem Błękitnym a Zamkiem Królewskim. Stanisław-August nazajutrz po swoim tryumfie znalazł się naprawdę osamotnionym, w towarzystwie kilku pięknych kobiet, albo kilku przyjaciół osobistych, zbliżonych do niego wiekiem i sposobem życia, ludzi takiego gatunku, jak Franciszek Rzewuski lub Ksawery Branicki. Zresztą otoczył się cudzoziemcami, zaczął kokietować z bracią szlachtą, nawet z opozycyą,—a co główna, oparł się na ambasadorze, ks. Repninie. Repnin to właściwie, wbrew opozycyi republikańskiej, a poniekąd także wbrew swemu poprzednikowi Kayserlingowi i Czartoryskim, zrobił go królem i teraz pozostał główną jego podporą, radcą i kierownikiem. Z kolei jednak rządzące nici kierownicze zbiegały się oczywiście w Petersburgu. Tam trzymał je w ręku wuj Repnina, minister Panin, który wyforytował Poniatowskiego wbrew woli Orłowów, żywiących dla stolnika bardzo zrozumiałą retrospektywną nieufność i nienawiść. Z względami osobistymi łączyły się najdonioślejsze rachuby polityczne. Panin, guwerner W. Ks. Pawła, prawego sukcesora Piotra III, sprzyjał obróceniu osobistej uwagi i widoków cesarzowej Katarzyny II raczej w kierunku odległej Warszawy. Zarazem był on jeszcze w samej zasadzie nieprzyjacielem myśli podziałowej, oddawna dojrzewającej w Berlinie, a już ostrożnie inspirowanej stamtąd przez Frederyka Wielkiego.

Wprost przeciwnie, Panin w duchu polityki Piotra Wielkiego, zmierzał jeszcze konsekwetnie do pokojowej a niepodzielnej hegemonii nad wszystką Rzplitą; oczywiście wolał mieć do czynienia zamiast z możnym królem magnatem Czartoryskim, z bezsilnym, bezwłasnowolnym tworem swojej ręki, z ubogim, osamotnionym, zdanym na łaskę i niełaskę królem Poniatowskim.

Wobec takich warunków, dla Stanisława-Augusta musiało zaraz z początku być sprawą pierwszej nagłości i wagi ustanowienie oddanego sobie i całkiem zaufanego przedstawiciela i pełnomocnika przy dworze petersburskim. Nie brakło tam wtedy oficyalnych wysłańców z Warszawy, było ich prędzej za dużo, niż za mało. Wysłany był tam nasamprzód z notyfikacyą o bezkrólewiu młody Kazimierz Łubieński; potem, z notyfikacyą o elekcyi i koronacyi,— referendarz koronny, Małachowski; wreszcie, w zwyczajnym charakterze poselskim, Franciszek Rzewuski. Ten ostatni przybył już z osobistą misyą dziękczynną od swego monarszego przyjaciela. Jednak podzięka nie mogła ograniczyć się, rzecz prosta, do samych czułych wyrazów; musiała bez żadnej zwłoki objawić się w aktualnych sprawach politycznych. Taką była sprawa aliansu polsko-rosyjskiego, narazie zresztą dla rozlicznych względów odłożona; taką przedewszystkiem — nierównie żywotniejsza i naglejsza sprawa równouprawnienia dysydentów. Rzewuski, niedość jeszcze przygotowany, okazał się bezużytecznym i już latem 1765 r. odesłany

został z powrotem do Warszawy, po przepisane mu przez Panina pełnomocnictwa i instrukcye. Latem następnego 1766 r. zjawił się znowuż nad Newą, w towarzystwie przydanego mu do pomocy protestanta Glayra. Tym razem Rzewuski przygotował się do swojej misyi, nawet ponad spodziewanie Panina. Przywiózł porękę pełnej gotowości królewskiej do spółdziałania w sprawie dysydenckiej. Przywiózł pod tym względem całkiem zadawalające, według własnych słów Panina „dokładne i obszerne instrukcye". Przywiózł nadto poufną radę Stanisława-Augusta dla cesarzowej, aby wysłać oficerów rosyjskich, Karra i Igelströma, na Litwę i do Korony dla poruszenia wyszczególnionych przez króla magnatów i pomniejszych działaczy na rzecz dysydentów; tym wysłańcom, niezwłocznie też z Petersburga wyprawionym, dał Rzewuski na drogę od siebie, a w imieniu królewskiem, własnoręczne pisma rekomendacyjne. Zarazem jednak uczynny przyjaciel królewski przywiózł do Petersburga jeszcze jedną rzecz najpoufniejszą: błagalną prośbę Stanisława-Augusta o trochę gotówki. Nie robił żadnych trudności wyrozumiały i ukontentowany Panin; polecił natychmiast wypłacić tolerancyjnemu królowi 50 tys. r. s. Nieco wcześniej już otrzymał był Stanisław-August od Repnina 100 tys. r. s., a miał sobie także zwrócony kwit na inne „wypożyczone" 20 tys. r. s.

Tymczasem koło wypadków, puszczone w ruch przy bezpośrednim udziale własnej ręki królewskiej, gwałtownym potoczyło się rozpędem. Zaogniła się

nadzwyczajnie sprawa dysydencka. Zakotłowało się w Warszawie. Na wieść o wydarzeniach warszawskich przeraził się Rzewuski. Rozpłakał się. Zaczął żałośnie dopraszać się zwolnienia z urzędu. On był tego samego kalibru *bon garçon*, co i król. Tak samo miał łatwą łzę, skruchę i pociechę. „Żal mi doprawdy Rzewuskiego, — pisał Panin — bardzo go lubię. Jego wrodzona polska czułość, lekkomyślność i uniesienie mącą jego umysł. Z gorzkiemi łzami imaginuje on sobie klęski swego kraju, rozpaczliwie biada nad swoją świętą wiarą katolicką... Wczoraj był u mnie i topił się w nieutulonych łkaniach i płaczu. Dobre on ma usposobienie i czułe serce, ale Polak, wietrznik". Ostatecznie niefortunny poseł już w styczniu 1767 r. pośpieszył opuścić swoje stanowisko i wrócił do domu, zostawiając Glayra jako *chargé d'affaires* i tymczasowego zastępcę.

Wśród takich to okoliczności, niekoniecznie zaszczytnych, rozpoczął Maurycy Glayre swoją właściwą karyerę polityczną w Polsce. Dodać należy, że po wyjeździe Rzewuskiego z Petersburga, paromiesięczne jeszcze tutejsze czynności jego „zastępcy" były czysto fikcyjne. Wprawdzie wydawca prawi istne cuda o tej właśnie samodzielnej roli dyplomatycznej Glayra, a więc upewnia, jakoby on wówczas „otrzymał uwierzytelnienie jako minister pełnomocny", jakoby „w zupełności usprawiedliwiał wielkie zaufanie", jakoby „umiał zyskać sobie szacunek i łaskę cesarzowej". Aliści wszystkie te piękne rzeczy są poprostu wyssane z palca. Ce-

sarzowej Glayre najpewniej nigdy nie widział na oczy, póki był tylko sekretarzem Rzewuskiego. Zaś po jego wyjeździe przez cały czas pozostał w Petersburgu, chociaż dwór był wtedy w Moskwie. Tyle tylko mogliśmy stwierdzić, że jego nieciekawe depesze do króla ulegały w Petersburgu perlustracyi, lecz nic w nich nie znalazło się godniejszego uwagi. Do Moskwy wyprawiono z Warszawy rezydenta Psarskiego, który dobrze był obznajmiony ze stosunkami miejscowymi i dobrze płatny z kancelaryi Panina. Glayre już w kwietniu t. r. powrócił do Warszawy. Wrócił tutaj do swej pierwotnej służby kancelaryjnej przy królu. Służył mu zresztą, ile sądzić można, z gorliwością a nawet przywiązaniem. Awansował też dość szybko w godnościach i płacy. Wkrótce został zaufanym sekretarzem królewskim, „aktualnym tajnym radcą gabinetowym". Patrzał się zblizka, jako świadek naoczny i uczestnik, na rzeczy niezwykłe i opłakane. Widział konfederacyę radomską, konfederacyę barską, pierwszy podział kraju.

Do tej to mianowicie katastrofy, do spraw pierwszego rozbioru znajdujemy w niniejszej „Korespondencyi" nieco incydentalnych wprawdzie, lecz niepozbawionych pewnego interesu, nowych przyczynków. Dotyczą one rzekomej akcyi Stanisława-Augusta, w celu uzyskania pomocy Francyi przeciw uskutecznieniu podziału. Nie ulega wątpliwości, że dla Stanisława-Augusta znaczyło to zwrócić się pod najniewłaściwszym adresem. Był on obrany królem wprost przeciw woli Francyi. Stosunki oficyalne pomiędzy nim a rządem francuskim były

przerwane. Silił się wprawdzie król utrzymywać przynajmniej stosunki etykietalne z dworem wersalskim. Pisywał do Ludwika XV bardzo pokorne listy, na które zwykle bardzo późno odbierał odpowiedzi bardzo lakoniczne. Tak n. p. powinszowanie swego obioru otrzymał od Ludwika dopiero we dwa lata po swojej elekcyi. Nie zrażał się tem przecież i skwapliwie korzystał z każdej sposobności, choćby tylko z ewenementów fafamiljnych w domu bourbońskim, aby kondolować z powodu zgonu Delfinowej, albo winszować z powodu ślubu hr. Prowancyi. Ale to wszystko oczywiście nic nie znaczyło i nie prowadziło do niczego. Obecnie, w 1772 r., zerwał się naraz Stanisław-August, aby w Paryżu szukać — rzekomo — ratunku. Miał on tutaj oddawna pewnego agenta, dobranego do siebie sługę, niejakiego Moneta, którego wydawca nazywa „generałem", którego znamy skądinąd jako dezertera z Towarzystwa Jezusowego, który sam nazywał siebie dyplomatą, i który w rzeczywistości był pospolitym wydrwigroszem. Temu mężowi powierzył król zapoczątkowanie „akcyi" ratunkowej. Dla jej uwieńczenia posłał z „misyą" nadzwyczajną do Paryża Ksawerego Branickiego. Mieliśmy w ręku dosyć pism własnoręcznych Branickiego z tych czasów. Możemy zaświadczyć sumiennie, że on nie potrafił napisać trzech wierszy po francusku, żeby nie popełnić w nich dziesięciu błędów ortograficznych, wołających o pomstę do nieba. O polityce europejskiej, nawet o formach dyplomatycznych nie posiadał najlżejszego pojęcia. Tacy to dwaj ludzie

mieli negocyować z księciem Aiguillonem w sprawie powstrzymania trzech zjednoczonych potężnych mocarstw od wykonania konwencyi podziałowych, już szczegółowo umówionych, nieodwołalnie postanowionych i formalnie spisanych, a już nawet wtedy nie będących sekretem dla nikogo, — zaś najmniej chyba dla Stanisława-Augusta. Gdyż stwierdzić jasno potrzeba, że król nie był bynajmniej zaskoczony znienacka przez niespodziankę rozbiorową, — jak to on sam w następstwie dla swego usprawiedliwienia starał się wmówić opinii, — lecz przeciwnie, nawet o rokowaniach przygotowawczych, poprzedzających pierwszą prusko-rosyjską konwencyę styczniową, dość wczesne i pewne posiadał wiadomości. Zresztą nieraz mu to później będzie wypominane tak wyraźnie, że wypierać się nie będzie miał sposobu. Wypomni mu, między innymi, z brutalną otwartością, w żywe oczy, wobec zgromadzonych Stanów, ten sam Branicki, przeistoczony tymczasem z serdecznego druha na śmiertelnego wroga, wypomni w swojej głośnej mowie sejmowej 1786 r., usuniętej dyskretnie z epurowanych dyaryuszów. A jednak król, uprzedzony zawczasu o zawieszonej nad krajem groźbie, aż do ostatniej chwili nie ruszył palcem dla jej zażegnania. Czegóż więc teraz po niewczasie, prawie już „po harapie", chciał od Francyi? Spóźniona misya ratunkowa paryska wygląda poprostu na farsę. Otóż była nią w rzeczy samej, i nawet podwójnie. A więc, nasamprzód, ta misya, rzekomo trzymana w ścisłym sekrecie przed ambasadorem rosyjskim, Stackel-

bergiem, w rzeczywistości inscenizowana była za jego wiedzą i aprobatą. Stackelberg, który, wedle trafnych słów Aleksandra Woroncowa, „uważał Rzplitą za dojną krowę", był właściwie, podobnież jak i Panin, w zasadzie przeciwnikiem podziału. Podział przeparty został w Petersburgu w pierwszym rzędzie przez Orłowów i Czernyszewa. Panin pod koniec uległ, pozyskany zresztą przez Fryderyka. Ale, bądź co bądź, im wszystkim zależało wiele na tem, ażeby przynajmniej możliwie ograniczyć działy austryacki i pruski. W tym zaś celu chwilowy, bodaj sztuczny nacisk ze strony Francyi mógł okazać się nader użytecznym, a mianowicie chwilowa, bodaj pozorna ewentualność rosyjsko-polsko-francuskiego porozumienia mogła korzystnie wpłynąć na pomiarkowanie austryacko-pruskich zapędów okupacyjnych. Rzecz była zbyt drażliwa, ze względu na Berlin i Wiedeń, aby tykać się jej na własną rękę; a zatem najdogodniej było użyć usłużnej ręki polskiej. To jedno. A druga strona farsy na tem polegała, iż owa paryska wyprawa ratunkowa miała ratować nietyle kraj, zagrożony podziałem, ile finanse królewskie, zagrożone bankructwem. „W braku innej pomocy, — tak instruował król Branickiego — staraj się skłonić (dwór wersalski) do przyznania mi subsydyów". Trzeba to jednak zrobić jak najzręczniej i jak najostrożniej, żeby czasem, broń Boże, ministrom francuskim „nie nasunąć myśli, — zanadto niestety naturalnej i namacalnej,— że subsydya są zbyteczne, ponieważ złe jest już nieuniknionem". „Wszystko, o co proszę — pisał jeszcze Stanisław-Au-

gust — jedyna rzecz, którą mogą tam dla mnie uczynić, jest wydobycie mnie przez tajemne subsydya pieniężne z ostatecznej nędzy, którą nieprzyjaciele nasi uznali, z pewnem uzasadnieniem, za skuteczny środek, aby mnie doprowadzić do zdania się na ich łaskę". Należy dobrze rozważyć i ocenić te znamienne wyrazy: „z pewnem uzasadnieniem" *(avec quelque fondement)*. Król nie wahał się położyć ich na papier. Nie wahał się przyznać przed obcem ministeryum, przed zagranicą, przed światem, że „uzasadnionem" było przypuszczenie, iż on dla braku pieniędzy gotów jest na wszystko. Widocznie zatracił już nawet poczucie konwenansu. Zatracił nawet poczucie śmieszności. Gdyż oczywiście przedewszystkiem była kapitalnie śmieszną ta osobliwsza pretensya, ten osobliwszy — żeby rzeczy nazwać po imieniu — rodzaj szantażu, z jakim król zwracał się do obcego rządu: dajcie tu zaraz pieniądze na moje prywatne potrzeby, bo inaczej — zaakceptuję podział mego własnego kraju. Wszakże ks. Aiguillon nie kwapił się pieniędzy francuskich wyrzucać za okno. „Misya" paryska Branickiego, podobnież jak i pokrewna jej współczesna misya londyńska Bukatego, skończyła się na niczem.

Ale król inaczej dał sobie radę. Niedługo opierał się naleganiom mocarstw. Opierał się akurat tak długo, i, co najważniejsza, w tej mianowicie rzeczy, póki i gdzie wymagał tego własny jego interes osobisty. Albowiem dwie, zgoła odrębne, rzeczy miał on przed sobą na sejmie podziałowym warszawskim: sankcyę podziału

i nową organizacyę rządową w kraju, zostawionym z podziału. Królowi nietyle pierwsza, ile właśnie druga sprawa leżała na sercu. Chodziło mu mianowicie o skutki nowej organizacyi rządu dla niego osobiście. Pod tym najaktualniejszym dla niego względem, rychło, już w grudniu 1773 r., doszedł do porozumienia ze Stackelbergiem. Wtedy odrazu zgodził się na resztę. Wziął zaraz kilka tysięcy dukatów ze wspólnej kasy poselskiej. Jeszcze czas jakiś udawał opór dla zachowania pozorów. Mówił, jak ów komendant twierdzy do oblegających: *„mais tirez moi donc des coups de canon, pour que je puisse me rendre avec honneur"*. Poddał się wprawdzie nie z honorem, ale bez najmniejszego dla siebie szwanku. Pozostał przy swojej „nędzy", t. j. przy siedmiomilionowych z górą dochodach. Uzyskał nadto zapłatę swoich długów, które zresztą—zwracamy uwagę na tę niedopatrzoną okoliczność, w znacznej części podał fikcyjnie, do wypłaty podstawionym przez siebie fikcyjnym wierzycielom, własnym swoim kreaturom. Uzyskał wreszcie sutą indemnizacyę za wyrzeczenie się dystrybutywy starostw. Koniec końcem, można twierdzić bez ochyby, że na pierwszym podziale kraju Stanisław-August zrobił wcale niezgorszy interes.

Maurycy Glayre musiał bezpośrednio dotykać się tych wszystkich operacyi. Szwajcar zbyt był przenikliwy, zbyt dobrze umiał liczyć, aby mógł naprawdę zachować jakiekolwiek złudzenia co do moralnej wartości swego monarszego protektora. Nie przeszkodziło

mu to jednak bynajmniej służyć bez złudzeń królowi jeszcze przez lat kilkanaście. Służba jego polska naogół, jak rzekliśmy, była gorliwa, nawet uczciwa, jakkolwiek nie zawsze przezroczysta. Używany bywał niekiedy do funkcyi raczej dwuznacznych. Taką, nader dwuznaczną rolę odegrał on, między innemi, w ówczesnem wolnomularstwie polskiem. Około 1780 r. objawiło się niezwykłe ożywienie organizacyi wolnomularskiej w Warszawie. Została ona poprowadzona, pod inspiracyą wielkiego mistrza, Ignacego Potockiego, w kierunku skoncentrowania wszelkich lóż polskich pod zwierzchnictwem Wielkiego Wschodu warszawskiego. „Niebawem jednak — opowiada baron Heyking, jeden z najczynniejszych wolnych mularzy, a świadek skądinąd całkiem bezstronny i wiarogodny — pojawiły się w lożach dwie przeciwne partye: niejaki Glayre, Szwajcar, był głównym siewcą rozdwojenia i tajnym przywódcą jednej partyi. Umiał on wmówić w słabego króla, że Potocki zamierza, przy pomocy wolnomularstwa, stworzyć sobie potężne stronnictwo w Rzplitej... Król się zatrwożył, uwierzył w tę bajkę, zaś Glayre podjął się wybadania całej tajemnicy, dostawszy się w tym celu do związku. Zwrócił się on też do samego Potockiego, który, nie podejrzewając niczego, obiecał go przyjąć... Glayre prosił, aby go przyjąć odrazu na mistrza. Uzyskał istotnie pierwsze stopnie, lecz wkrótce musieliśmy żałować naszej wyrozumiałości. Wywołał on rozterki i nieufność pomiędzy braćmi i, jakkolwiek trzymał się za kulisami, przecie bardzo dawał się we znaki".

Glayre popasał jeszcze w Warszawie aż do początku 1787 r. Wysiedział on w Polsce lat dwadzieścia kilka, posiadał nawet indygenat. Ale się nie spolszczył, jak niektórzy wyjątkowi jego towarzysze, jak Deboli albo Laroche. Przeciwnie, miał już zupełnie dosyć i króla i Rzplitej. Oszczędnie żyjąc, dobrze płatny, zebrał tutaj trochę grosza, z którym śpieszył wynieść się cało do domu. Powiedzieliśmy, że był on jednym z przyzwoitszych pośród pstrej napływowej czeredy owoczesnej. Wszakże po tylu latach pozostał zgoła cudzoziemcem. Śród onych obieżyświatów on należał do typu obieżysasa, który z uciułanym dorobkiem wraca w rodzinne zagony. Wrócił do swojej Szwajcaryi, zdaleka już tylko utrzymując coraz rzadsze stosunki z ginącą Polską i patrząc zdaleka, jak ten ginący okręt, w samą porę opuszczony, szarpał się, pękał i zatonął.

Niemcy o Polsce.

Wiemy dosyć dokładnie, jak względem siebie postępują państwa. Mniej wiemy, co o sobie myślą narody. Narody, nie rządy. Narody w swojej wielkiej nieśmiertelnej całości, nie w pewnych tylko odłamach, albo jednem śmiertelnem pokoleniu. Ani słowa: ważnać to rzecz i zasadnicza tamten materyalny stosunek wzajemny państw. Ale niezmiernie ważny jest również ten duchowy stosunek wzajemny narodów. Ważny zwłaszcza, kiedy istność narodowa przeżyła państwową. To też nie dość wiedzieć, co z polskiem miały do czynienia obce państwa. Dobrzeby także wiedzieć, co o polskim myślały obce narody. Tego szukać nie w urzędowych traktatach, dekretach, ani ustawach, nie w samych dziejach politycznych, ale w pomnikach uspołecznionej myśli i słowa, w dziejach kultury i piśmiennictwa. A poszukać warto i nawet potrzeba. Taka ankieta w dziedzinie czysto cywilizacyjnej powinna stanowić właściwe dopełnienie trzeźwej samowiedzy politycznej, a tem samem, — zgoła nie osłabiając jej jakimś fałszywym sentymentem, lecz podwyższając punkt widzenia i roz-

suwając widnokrąg — powinna klarować ją, miarkować i uszlachetnić.

Dr. Arnold takiej ankiety podjął się dla Niemiec *). Dał wprawdzie nie rzecz samą jeszcze, lecz dopiero przyczynek. Dał książkę, niewolną od błędów, a obfitującą w przeoczenia. Jego „Historya literatury niemieckiej w rzeczach polskich“ jest właściwie tylko rozumowaną bibliografią. Bibliografią zresztą dosyć niekompletną, w dwóch zwłaszcza działach arcyważnych: dla doby humanizmu oraz dla doby saskiej. Jednak taka, jaką jest, ta książka pracowita, treściwa, dogodna w użyciu, a przedewszystkiem nawskróś przedmiotowa, zrodzona z czystych pobudek naukowych, wykonana w duchu oświeconym, pogodnym i bezstronnym, jest to książka dobra i pożyteczna, która niejednego naucza i niejedno daje do myślenia.

„Póki świat światem, nie będzie Niemiec Polakowi bratem“. Od tego starego przysłowia rozpoczyna rzecz swoją dr. Arnold. Wszak rozpoczyna po to tylko, aby zaraz zastrzedz się, iż ono mieści w sobie nie więcej, jak jedną część prawdy, nie całą prawdę, iż szczególnie w zakresie kulturalnej wymiany i rozwoju obu narodów bezwzględnego zastosowania mieć nie może. I tak jest niewątpliwie. Uczciwe zastrzeżenie dobrze myślącego Niemca można, we właściwych granicach, chętnie przyjąć i spokojnie potwierdzić ze strony polskiej. A nawet

*) Dr. Robert Arnold: *„Geschichte der deutschen Polen-Literatur von den Anfängen bis 1800“*.

można je pojaśnić i pogłębić z wyższych, rozleglejszych założeń dziejowych, wznosząc się ponad poziom ciężkich i bolesnych doświadczeń spółczesnej doby.

Narody, sąsiadujące o miedzę, rzadko żyją ze sobą jak bracia. Nie było też zgoła braterskiem pożycie polsko-niemieckie. Jednakże, wszystko razem biorąc, przecież pierwotnie nie było ono bynajmniej wyłącznym wypływem prawdziwej, powszechnej i przyrodzonej nienawiści plemiennej. Gdzieindziej, z drugiego końca Niemiec i Europy, taką nienawiść istotnie wytworzyły dzieje. Tam, od ściany południowo-zachodniej, gdzie stara Germania styka się ze starszą Italią, tam to, na gruncie plemiennym i cywilizacyjnym, wyrosła rzeczywista, żywiołowa nienawiść narodowa germańskich zdobywców dla jadowitych, choć bezsilnych *falsche Wälsche*, a tych znowu nawzajem — dla niezmożonych, żarłocznych, barbarzyńskich najeźdźców, płynących *della Magna*. Jakże odmiennie w porównaniu z tamtym straszliwym pojedynkiem włosko-niemieckim, ciągnącym się bez zmiłowania przez szereg stuleci, przedstawiają się natomiast stosunki polsko-niemieckie. Zapewne, i tutaj, od ściany północno-wschodniej, były długie i srogie zaiargi sąsiedzkie. Były najprzód, w przeddziejowej pomroce powszechnego falowania ludów w tej części Europy, zacięte walki polsko-germańskie, tak samo aliści jak polsko-litewskie, bez żadnej wyjątkowej wyłączności takich lub innych czynników nieprzyjaźni plemiennej. Była potem jedna, najwyłączniejsza, na śmierć i życie, walka z Zakonem. To znaczy atoli, nie-

tyle walka z samą niemczyzną jako taką, ile z jedną potężną instytucyą, która, jakkolwiek zrodzona u źródeł rzymsko-germańskiego imperyum, przedstawiała się przedewszystkiem jako zamknięte przedsiębiorstwo kosmopolityczne, jako rodzaj zbrojnych jezuitów we wschodnio-europejskim Paragwaju, która zarówno wydawała na rzeź słowiańskie wsie, jak i niemiecki Gdańsk, zarówno ciemiężyła i wysyłała podbitych osadników niemieckich, jak i tępionych tuziemców słowiańskich, i która też, podcięta polsko-litewskim orężem, została ostatecznie złamaną i zwaloną przy dzielnej pomocy samychże duszonych przez nią Niemców, oddających się pod opiekę polsko-litewskiego państwa. Ten akt dobrowolnego oddania się pod opiekę korony polskiej, uczyniony z pełną, dojrzałą i samoistną świadomością przez spokojne żywioły osadnicze, reprezentujące, naprzeciw grabieżczych żywiołów krzyżackich, prawdziwie twórczą i zdrową treść kultury niemieckiej, jeden z najpiękniejszych i najrzadszych aktów dziejowych, był zarazem wskaźnikiem tych zdrowych kulturalnych stosunków sąsiedzkich, jakie mogły i powinny były istnieć pomiędzy dwoma wielkimi narodami, należącymi jednakowo, z różnego prawa, acz z rozmaitych tytułów, do wielkiego zespołu cywilizacyi zachodnio-europejskiej. Takie też stosunki wzajemne wytworzyły się niebawem i rozwijały w ciągu dwóch następnych stuleci. I wszędzie, pośrodku tych stosunków, objawiła się na równych prawach i z jednakową mocą, a ciągle w drodze czysto pokojowej, wysoka, samorodna, współ-

mierna sąsiedzkiej, potęga asymilacyjna narodu polskiego. Jeśli niemczył się Śląsk, natomiast skorzej jeszcze i szczerzej polszczyło się mieszczaństwo niemieckie po miastach polskich. Zaś nadewszystko polszczyły się tamte Prusy Królewskie, i one to, urastając w dobrobyt pod polskiem berłem, a zarazem coraz bardziej przejmując się, z własnego instynktu, nieprzymuszonem, nienarzuconem uczuciem wiernopoddańczego przywiązania i wdzięczności dla Najjaśniejszej Rzplitej, w pierwszym rzędzie były powołane objąć pośrednictwo w dziedzinie cywilizacyjnego obcowania pomiędzy ówczesnemi Niemcami a ówczesną Polską.

To kulturalne obcowanie sąsiedzkie, pod każdym względem dobroczynne, było przecież — stwierdzić zaraz potrzeba — z obustronnym nakładem i z obopólną korzyścią. Dużo z niego wyniosła Polska, ale dosyć także do niego wniosła. Nie z samych tylko Prus Królewskich, lecz z dalekich oraz krajów niemieckiego imperyum godni mężowie i młodzieńce garnęli się po strawę i po swobodę duchową do oświeconej Polski wieku złotego. Pełno nazwisk żaków niemieckich znachodzi się w księgach matrykularnych gościnnej Jagiellońskiej Wszechnicy. Tutaj, w murach starego Krakowa, sławny Niemiec Celles swoje łacińskie układał ody, tutaj, jego śladem, zjawiali się zdaleka liczni jego rodacy, i nie po to tylko, aby uczyć, lecz także aby swój kaganek zapalić u światła erudycyi i ogłady polskiej.— Wprawdzie i z drugiej strony, młodzi Firleje, Zamoyscy, Sapiehowie, skwapliwie śpieszyli po naukę na

wszechnice niemieckie w Pradze, Lipsku, Strasburgu, wprawdzie niejeden erudyt polski ukształcił się na dziełach humanistów niemieckich, niejeden także mógł szczycić się przyjaźnią i korespondencyą uczonych Melanchthonów i Erazmów Rotterdamskich. Jednak, naogół, do samego raczej źródła wiedzy ówczesnej, do Bononii, Padwy, Rzymu, do błogosławionych Włoch Odrodzenia, albo też do Paryża, do świetnej Francyi Walezych i uczonej Etiennów, przeważnie udawano się z Polski; i nieraz nowe objawienia renesansu, wprost stamtąd wyniesione przez polskich pielgrzymów, dopiero okolną drogą na Wisłę przychodziły do Niemców, którzy poznawali piosnki Anakreonta z transkrypcyi Kochanowskiego, albo też z rozmyślań Maryckiego i Frycza czerpali nauki republikańskie Arystotelesa i Cycerona. Zresztą te Niemcy nieszczęsne XVI i XVII wieku, rozdarte przez walki religijne, pustoszone przez obce najazdy i wojnę domową, nie mogły inaczej, jak z podziwieniem, jak z pewnego rodzaju deferencyą, spoglądać na wspaniałą budowę Polski ostatnich Jagiellonów i pierwszych Wazów. Ostatecznie, gdyby z tych czasów ścisły zrobić obrachunek, nie wiadomo jeszcze, po czyjej stronie byłby dług, a po czyjej wierzytelność. To też lepsi Niemcy ówcześni uświadomiali sobie doskonale i wdzięcznem sercem zachowali w pamięci ów dług duchowy, zaciągnięty względem pokojowego sąsiada polskiego. Co więcej: wdzięczność niemieckich dłużników możnej i gościnnej Polski kwitnącej, niebawem, w blizkiej pomroce zawieruchy szwedzkiej zro-

dziła gdzieniegdzie szczere spółczucie zacniejszych niemieckich świadków katastrofy i klęsk Polski zgnębionej, najechanej i krwawiącej. Z głębi Niemiec odezwały się głosy protestu przeciw nielitościwej inwazyi szwedzkiej, przeciw brandenburskiemu uczestnictwu w grabieży. Poczciwy obywatel Frankfurtu nad Menem, pisarz *„Polonia suspirans"*, żałośnie opłakiwał cierpienia „wzdychającej Rzeczpospolitej"; uczony Schuppius przepowiadał z jej upadku opłakane dla Europy skutki. To też wielki wysiłek narodowy, który Rzplitą wydźwignął z potopu, powitany został aplauzem powszechnym światłej opinii publicznej niemieckiej. Niedługo, a już odratowaną Polskę obsypuje komplementami wspaniały Leibnitz, chwała Niemiec i Europy, i, podszyty pod nazwisko polskiego szlachcica, służy swoją radą w bezkrólewiu Polakom, swojego patrona zaleca im na króla. Wreszcie, po niewielu leciech, po raz ostatni najświetniejszym, choć przelotnym blaskiem zajaśniała gwiazda Rzplitej polskiej: odsiecz wiedeńska, odsiecz dana Zachodowi, a przedewszystkiem niemieckiemu cesarstwu, postawiła Rzplitą u szczytu popularności na Zachodzie, a zwłaszcza w Niemczech. W apoteozie zbawiciela ukazała się wspaniała postać Sobieskiego; dokoła jego osoby cała powstała literatura; zaś w pierwszym rzędzie piśmiennictwo niemieckie z niebywałą obfitością, wierszem i prozą, w niezliczonych utworach najrozmaitszego gatunku, w historyi i odzie, w dramacie i nawet romansie, głęboki oddało mu po-

kłon. Takiem było pożegnanie Niemiec a Polski XVII stulecia.

Koniec tego stulecia oznaczony był nowym wypadkiem, arcydoniosłym dla dalszego rozwoju zobopólnych stosunków. Elektor saski, wikary Świętego Państwa Rzymskiego, najpierwszy po cesarzu książę Rzeszy, potomek jednego z najstarożytniejszych rodów praniemieckich, został królem polskim. Siedmdziesięcioletnie rządy saskie w Polsce, jakkolwiek w swoich skutkach opłakane i dla Saksonii i dla Rzplitej, musiały przecie sprzyjać niepomału kulturalnej wymianie polsko-niemieckiej. Istotnie, sama Saksonia wnet wydała obfitą literaturę o Polsce, przeważnie treści historycznej, prawoznawczej albo opisowej, zasilaną wprawdzie przez takich, jak Ranft albo Fassmann, ociężałych pedantów, lecz naogół ludzi życzliwych i uczciwych, którzy np., aczkolwiek Sasi, zdobywali się na apologię ex-króla Leszczyńskiego. Wtedy to także najbujniej zakwitło niemieckie o Polsce piśmiennictwo w starych Prusiech Królewskich. Zacny Lauterbach ze Wschowy, uczony Hartknoch z Torunia, nadewszystko zaś znakomity Lengnich z Gdańska, a za nimi legion pośledniejszych, lecz pracowitych i dobrze myślących ludzi nauki i pióra, z niemałym pożytkiem w mowie niemieckiej zasługiwali się polskiej Rzplitej. Ci ludzie bardzo kochali swoją ściślejszą ojczyznę, swoje Prusy, ale nie inaczej, jak Litwin wtedy kochał swoją Litwę, i nie inaczej też, niemniej szczerze, oni już nauczyli się kochać swoją obszerniejszą ojczyznę polską. Nawet w Toruniu, pomimo nie-

szczęsnej sprawy toruńskiej za Augusta II, mocno zresztą rozdmuchniętej z umysłu przez sąsiadów, te uczucia patryotyczne przetrwały aż do końca. Najpiękniej atoli wyrosły i wyszlachetniały w starym Gdańsku. Gdańsk jeszcze za Batorego mocno rozprawił się z koroną, ale odtąd ostatecznie został najwierniejszym jej sługą. Najlojalniej odtąd, w najcięższych potrzebach dziejowych, dotrzymał jej wiary. Zawczasu zamknęli wrota przed Szwedem rozważni Gdańszczanie, i kuszeni od niego, jeszcze od wielkiego Gustawa Adolfa, w imię germańskiej wspólności krwi i protestanckiej wspólności wyznania, do dobrowolnej zgody a zdrady, mocno i godnie powołali się na swoją przysięgę daną Najjaśniejszej Rzplitej, od której ani na religii, ani na wolności, ani na handlu nie znają krzywdy, zdeklarowali się dobrymi Polakami i dobre swoje miasto polskie ustrzegli od wspólnego nieprzyjaciela. Tak samo znowu po upływie stulecia skwapliwie w swoich murach udzielili schronienia wygnańcowi Leszczyńskiemu i kosztem krwi swojej i mienia bronili go do ostatka. I jeszcze pod sam koniec, po drugim podziale, do ostatka bronić będą wstępu pruskim wojskom Fryderyka Wilhelma II. Albowiem oni, starzy Prusacy polscy, najmocniej nienawidzą tych nowych Prusaków brandenburskich, których oni znają najlepiej. Dobrze oni pamiętają ów zbójecki napad nocny Krzyżaków na ich miasto w początku XIV wieku, rzeź 10,000 bezbronnych mieszczan, kobiet i dzieci, pożogę i jęki, domy i towary puszczone z dymem, mury z ziemią zrównane. A zarazem już w świeżej mają pa-

mięci niesłychane nadużycia fiskalne, otwarty rozbój celny, dławiącą i chciwą rękę Wielkiego Fryderyka. Tem łatwiej przychodzi im przywiązać się do Rzplitej. Gdańsk, zachowując po dawnemu swoją staroświecką odrębność cywilizacyjną, której nikt w Polsce nie myślał tykać, ani gwałcić, jednocześnie duchem połączył się z Polską z własnego popędu. Już w połowie XVII wieku ukazuje się tutaj gazeta w języku polskim. W XVIII wieku, za Sasów, piśmiennictwo gdańskie w rzeczach polskich, choć oczywiście przeważnie w języku niemieckim i łacińskim, rozrasta się nadzwyczajnie i cenne wydaje owoce. Zresztą w tym czasie z tłoczni gdańskich ukazuje się również sporo dobrych druków polskich. Lubili chwalić się wtedy Gdańszczanie, że w ich mieście mówi się i pisze najczystszą mową niemiecką i najlepszą polszczyzną. Wtedy także, z powodu trzechsetnego jubileuszu dobrowolnego przyłączenia Prus Królewskich do Rzplitej, oni to najgłośniej i najwymowniej pośpieszyli uwiecznić słowem i drukiem drogą dla nich rocznicę. Wszakże najpoważniejszy jest w tym okresie plon naukowy i pisarski jednego niepospolitego Gdańszczanina, niezapomnianego Bogumiła Lengnicha. Wielki to uczony i wielki patryota polski. Kiedy wydawał pierwsze swoje dzieło „*Die polnische Bibliothek*“, na karcie tytułowej w tych słowach oznaczył miejsce wydania: „*Tannenberg, wo Vladislaus Jagyello die Creutz-Herren schlug*“. Odtąd, długim szeregiem znakomitych badań historycznych i prawnych, zapisał swoje imię na najzaszczytniejszych kar-

tach nauki polskiej. Jego „Prawo publiczne polskie“ stanowi, zdaniem naszem, po dziś dzień najdoskonalszy i najprzejrzystszy obraz prawno-politycznego ustroju dawnej Rzplitej i stanowić powinno obowiązkową lekturę każdego dzisiejszego historyka polskiego.

Po opłakanej dobie rządów saskich nadeszło nieszczęsne panowanie Stanisława Augusta. Król poliglota mówił po niemiecku równie dobrze, jak po francusku albo włosku. Jednak wolał osobiście otaczać się głodnymi cudzoziemcami awanturnikami z dalekich Włoch, Francyi lub bodaj nawet Ameryki. Mimo to, stosunki wzajemne polsko-niemieckie, w dziedzinie piśmiennictwa, nauki i sztuki, żwawo posuwały się naprzód. Wawrzyniec Mitzler de Koloff, doktor, szarlatan, dziwak i erudyt, zaczął wydawać w Warszawie obszerny zbiór przekładów z polskiego p. t.: „*Warschauer Bibliothek*“, dla zapoznania Niemców z literaturą polską, przedsięwzięcie, później dalej prowadzone przez Steinera. Gorąco powstawał krewki Mitzler na niesłuszny przesąd, jakoby mowa polska była zanadto „surowa“ dla ukształconego zachodniego ucha; „napewno można — wołał w przedmowie do swojego wydawnictwa—równie pięknie i czule wysłowić się po polsku i równie też dobrze pisuje się w tym języku, jak po francusku albo niemiecku“. Wielu tłómaczów, a między nimi zasłużony na innem polu Linde, poszło za tym przykładem. Najobficiej był tłómaczony ze współczesnych Krasicki; niemal wszystkie jego utwory: „Myszeis“ i „Doświadczyński“, „Bajki“ i „Pan podstoli“, ukazywały się niezwłocz-

nie w niezgorszych przekładach niemieckich. Sam sławny Herder nie pożałował trudu, aby klasyczną łacinę Sarbiewskiego oddać wytwornym wierszem niemieckim. Z niemieckiego „Leksykonu żyjących uczonych Polaków" spolszczonego Niemca, kanonika Jänischa-Janockiego, bibliotekarza Załuskich, dowiadywano się na Zachodzie o poważnej spółczesnej reprezentacyi nauki polskiej. Przyzwyczajono się też rachować się z nią sumiennie i na seryo. W *Minerwie* Archenholtza, *Przeglądzie* Schlözera, *Zapiskach Getyngeńskich*, zaczęto najskrupulatniej zdawać sprawę z ruchu piśmienniczego w Polsce. Niemałą jest zasługą owych polskich Niemców, czyli raczej niemieckich Polaków, owych Lengnichów, Lauterbachów, Mitzlerów, Janockich, iż tak skutecznie wywiązali się ze swojej roli pośredniczej. Zastąpić ich, prawdę rzekłszy, nie potrafilibyśmy po dziś dzień. Żadną miarą nie możemy się łudzić, żebyśmy dzisiaj tak systematycznie, konsekwentnie i rozumnie— jak to oni byli czynili przed stuleciem, — umieli dzisiaj przypominać i przyswajać Zachodowi własną naszą kulturalną robotę, a tem samem do liczenia się z nią zmuszać i należny jej budzić szacunek. Jeśli dzisiaj taki Mommsen wyrywa się z ryczałtowem potępieniem polskiego „barbarzyństwa", to napewno twierdzić można, że sto lat temu sama niemiecka *Respublica litterarum*, przed wszelką protestacyą polską, pierwsza byłaby zamknęła mu usta. Prawda: i wówczas znalazł się w Niemczech wielki człowiek, który barbarzyńcami ogłaszał Polaków i dowodził, że oni nie mieli, nie mają i nigdy

mieć nie mogą ani prawdziwej ogłady, ani prawdziwej literatury. Ale ten człowiek nazywał się Fryderyk Wielki. On zaś, rozczytany w Wolterze, rozpisany we własnych niegramatycznych bazgrotach francuskich, tak samo swoich własnych Niemców nazywał barbarzyńcami, tak samo dowodził, że niemasz literatury niemieckiej, a nie znał i znać nie chciał społecznych sobie Lessingów i Kantów: z takim sędzią, rzecz prosta, o sprawę polską spierać się żadnego niema powodu.

Oświecone społeczeństwo polskie doby Stanisławowskiej umiało jednak czynić różnicę pomiędzy Berlinem a Niemcami, pomiędzy Fryderykiem a kulturą niemiecką, i tej ostatniej nie omieszkało odpłacić się wzajemnością. W Warszawie śledzono bacznie postępy piśmiennictwa niemieckiego. Wprawdzie naogół, w myśl gustów króla Stanisława albo szambelana Trembeckiego, w myśl głębokich, zadawnionych tradycyi krajowych i powszechnego wtedy w całej Europie kierunku, zapatrywano się raczej na świetne wzory francuskie. Ale też bynajmniej nie zaniedbywano niemieckich. Dość zajrzeć do „Rymotwórstwa“ Krasickiego, aby się przekonać, iż biskup nietylko znanym był u Niemców, ale także sam doskonale był obeznany z ich literaturą. A świetny książę poetów, — który coprawda zanadto bawił się w dworaka i *bel-esprit* przy boku króla wierszoklety w Berlinie i Sanssouci, — nie był wcale wyjątkiem. W Warszawie ukazały się z kolei liczne przekłady polskie z niemieckiego. Chętnie tłómaczono i naśladowano idylle Gessnera i bardzo widać czczono miłego sie-

lankowego poetę, skoro w jednej wielkopańskiej bibliotece warszawskiej spotkaliśmy się niedawno z wiązką własnoręcznych jego listów, z pietyzmem przechowanych. Bogusławski, „ojciec teatru", obznajmiał publiczność stołeczną, często z własnych przekładów, z Lessingiem, z początkującym Schillerem, którego „Zbójców" co rychlej pośpieszył wystawić, a nawet z Kotzebuem albo Iffiandem. Uczono się także dużo po niemiecku, jak świadczy już ta okoliczność, że słynna gramatyka niemiecka Gottscheda doczekała się w Warszawie trzech wydań u Grölla. Skorośmy jego wymienili nazwisko, godzi się choćby jednem słowem zaznaczyć tutaj, w tym związku, jego niemałe zasługi. Warszawski przemysł księgarski i wydawniczy utrzymał się od owych czasów przeważnie w rękach polsko-niemieckich. Ale Michał Gröll pozostał najwybitniejszym z tego szeregu typem księgarza-wydawcy w wielkim stylu, na sposób europejski, na sposób Cottów, albo Perthesów, Brockhausów albo Dunckerów, Plonów albo Murrayów, typem nietyle księgarza-kupca, ile księgarza-obywatela, od którego też niejednej rzeczy mógłby nauczyć się niejeden z jego dzisiejszych sukcesorów w zawodzie.

Nadeszła tymczasem wielka katastrofa podziałowa. Walki barskie i pierwszy rozbiór nie znalazły odpowiedniego echa w Niemczech. Opinia publiczna była tutaj jak gdyby zaskoczona wypadkiem, nie mającym precedensu, a była także zbita z tropu kunsztownem pomieszaniem spraw polityki a tolerancyi, sprawy podziałowej a dysydenckiej. Schubarta elegia do *„Polonii"*, Wie-

landa pochwała dla Reytena, to było narazie wszystko. Natomiast dokonanie rozbioru ułatwiło wyprawy podróżników niemieckich, szczególnie do działów pruskiego i austryackiego. Mnóstwo też pojawia się teraz opisów podróży po ziemiach polskich, a z nich niewątpliwie najświetniejsza, jeśli nie najlepsza, „Podróż Inflantczyka“ dowcipnego Schultza, nieraz niesprawiedliwego sprawozdawcy, kiedy maluje kraj, ludzi, a zwłaszcza warszawskie salony, lecz zawsze bystrego spostrzegacza, który czytał Sterna „Podróż sentymentalną“ po Francyi i sam podobnież umie patrzyć nietylko oczyma, ale i sercem, podróżnik-amator, w którym wewnątrz siedzi poeta. Ale i największy z poetów niemieckich trafił wtedy do Polski: Goethe piękny tydzień jesienny spędził na oglądaniu Olkusza, Krakowa i Częstochowy— niestety, po to tylko, aby ze swoich wrażeń podróżnych wynieść materyał do lichego memoryału na użytek rządu pruskiego, jakim sposobem sprusaczyć Polaków za pomocą—wędrownej trupy aktorów niemieckich, za polityczną pomocą filozofujących Wilhelmów i wdzięczących się Philin. Dodajmy jednak zaraz, że później, kiedy doczekał się Kościuszki, Księstwa Warszawskiego, Królestwa Kongresowego, kiedy poznał osobiście ks. Adama Czartoryskiego i Mickiewicza, twórca „Fausta“ nie poprzestał na komplementach dla pięknych dam polskich w Maryenbadzie, albo dla gry pani Szymanowskiej, lecz o samym narodzie i jego losach, wyższe, godniejsze siebie, wyrobił sobie pojęcie. Mógł on zresztą w tym względzie brać inspiracyę nietylko od Polaków

lecz od równego sobie Niemca, od wielkiego swego przyjaciela, od natchnionego, przeczystego Schillera. Schiller nigdy nie stąpał po ziemi polskiej, ale domyślnością geniuszu potrafił wyczuć zdaleka prawdziwe tętno ducha polskiego: wspaniała postać Lwa Sapiehy, we fragmencie Schillerowskiego „Dymitra", pozostanie w piśmiennictwie wszechświatowem, jako nieśmiertelna pamiątka polska, wyrzeźbiona ręką niemieckiego arcymistrza.

Dwa ostatnie rozbiory Rzplitej: drugi, poprzedzony wielką sejmową robotą, trzeci, poprzedzony większym powszechnym wysiłkiem, całkiem już inaczej, do samej głębi, wstrząsnęły opinię publiczną niemiecką. Fala sympatyi i spółczucia podnosi się naraz ze wszystkich krańców Niemiec, ogarnia i elektryzuje wszystkie lepsze sumienia i umysły, bez różnicy narodowości lub stanowiska. Imię naczelnika staje się równie popularnem nad Dunajem i Renem, nad Elbą i nawet—nad Sprewą. Oddaje mu hołd taki Seume, choć zgryźliwy malkontent z urodzenia, a oficer Igelströma z urzędu. Taki Werner, pruski dygnitarz kameralny w Płocku, w chwili gdy nad Warszawą rozlega się grzmot armat oblężniczych pruskich, ostrzeliwających Wolę, pisze wspaniały swój poemat „Do Narodu", gdzie w ognistych, wzniosłych i prawdziwie natchnionych strofach, przeciw własnemu królowi, przeciw Fryderykowi-Wilhelmowi II, daje błogosławieństwo orężowi polskiemu. Gorący Frankończyk Rebmann, tak wyjątkowo sympatyczny, a przecie zgoła u nas nieznany, całe życie poświęca namiętnej obronie

sprawy polskiej. Ten rozpęd szlachetny przenosi się bezpośrednio z końca XVIII do początku XIX wieku. Niemcy, złudzeni przez swoich Franciszków i Fryderyków-Wilhelmów, po wielkich ofiarach wojen Napoleońskich, odnalazłszy siebie pod jarzmem ery Metternichowskiej, z tem większą sympatyą spoglądają w górę ku Aleksandrowi I, a mianowicie ku tej niewyczerpanej potędze duchowej, którą, w jednym tylko szczątku, z taką energią i powagą reprezentowało wzniesione przez niego Królestwo Kongresowe. Z zajęciem przysłuchiwano się głosom, przychodzącym z trybuny sejmowej warszawskiej, gorączkowo śledzono rozwój spraw publicznych nad Wisłą. Ogromne miał wtedy powodzenie słynny melodramat Holteia; jego łzawą piosenkę „*Tapferer Lagienka*", śpiewaną wtedy po całych Niemczech i całym świecie, niejeden ze starszych czytelników naszych mógł jeszcze słyszeć w dzieciństwie przy czułym akompaniamencie sędziwego klawikordu. Wypadki listopadowe wzmogły zainteresowanie w stopniu niebywałym. Wprawdzie echo odezwało się i gdzieindziej, a zwłaszcza we Francyi zadźwięczały energiczne rytmy Bérangerowskie. Ale nigdzie to echo nie było tak potężnem, jak w piśmiennictwie niemieckiem. Romantyzm młodo-niemiecki tutaj swoje najpiękniejsze znalazł akcenty. Heine, choć wylał swój jad na szumowiny emigracyi, — czego mu zresztą nie bierzemy zanadto za złe, gdyż on własnych nie szczędził rodaków,—umiał przecie na wielu najcelniejszych swoich kartach uchylić czoła przed narodową niedolą. Boerne rzeczom polskim poświęcił najwymow-

niejsze swoje „Listy". Wytworzył się specyalny rodzaj poezyi, „*Polenlyrik*", w osobie tak świetnych przedstawicieli, jak Lenau, Hebbel, Platen, Auersperg, później Freiligrath i wielu innych. Odtąd poczęły słabnąć te głosy. Raz jeszcze odezwały się mocniej w 1848 roku z parlamentu frankfurckiego, z kościoła św. Pawła, potem po raz ostatni przed czterdziestu laty. I odtąd zamikły.

Bez wątpienia: to wszystko należy do przeszłości. Jaką jest teraźniejszość—wiemy aż nadto dobrze. Słyszymy codzień jej odgłosy z Berlina. Oglądamy codzień jej dzieła w Poznańskiem. Streszcza się ona tam w jednem haśle: tępienia. Powołuje tutaj do jednego obowiązku: samoobrony. Trzeźwa i twarda samoobrona—takie jest dzisiaj najpierwsze przykazanie życiowe kultury polskiej wobec pruskich Niemiec. Wszakże, wypełniając najściślej surowe a nieodzowne przykazania doby teraźniejszej, godzi się od czasu do czasu obejrzeć się także za przeszłą. Takie spojrzenie retrospektywne nie może w niczem umniejszyć świadomości samozachowawczej i odpornej. Może ją tylko uwolnić od zbytecznych naleciałości, oczyścić ją i rozjaśnić, a nawet przydać jej mocy, bo przydać otuchy. Dzisiejszy Berlin, dzisiejsze Prusy, nawet dzisiejsze prusko-niemieckie cesarstwo, to jeszcze nie Niemcy. Dzisiaj sieją tam wiatr i zbiorą też burzę. Ale ten posiew im należy zostawić. Śród nas samych—poza tem, co niezbicie konieczne,—dla zawodowych, dla zanadto gorliwych i zanadto usłużnych domorosłych siewców tego rodzaju nie powinno być miejsca. Albowiem to nie leży w interesie kraju.

Interes kraju nie polega tutaj na rozmyślnej jednostronności. Polega on raczej na systemacie mądrej równowagi. Samoobrona kulturalna stać powinna na męskiej, spokojnej i rozważnej samowiedzy, nie na naśladowniczej, krótkowidzącej, albo zgoła ślepej nienawiści. Nienawiścią nie stoją dzieje wielkich i wiecznych kultur społecznych. Wielkie narody, jak Antygona klasyczna, nie po to żyją, „by nienawidzieć społem, lecz by kochać społem". Dobrą i zdrową jest rzeczą, godną zdrowej i żywotnej, świadomej i pewnej siebie społeczności, przywieść sobie czasem na pamięć tę wielką i niepożytą prawdę, chociażby w chwili najcięższych doświadczeń i najcięższej, narzuconej walki. A wierzyć także potrzeba, że ta prawda nie jest niepowrotnie zatraconą i dla Niemiec, dla prawdziwych Niemiec, że one do niej nawrócić będą musiały, i że w tym nawrocie znajdą jedyny właściwy wskaźnik dla stosunków polsko-niemieckich.

Lauzun.

Monografie francuskie, dotyczące historyi obyczajowej końca zeszłego wieku, mnożą się w ostatnich czasach sposobem iście niepokojącym. Nadążyć za niemi, mimo najlepsze chęci, staje się niepodobieństwem. Taka obfitość produkcyi nietyle odpowiada większemu zapotrzebowaniu, ile jest skutkiem uproszczenia procederu. Jest to zastosowanie postępów przemysłu do literatury. Jak w innych gałęziach piśmiennictwa, podobnie w danej specyalności znaleziono kilka przepisów fabrykacyi, praktycznych, tanich, a niezawodnych. A mianowicie, dla użytku producentów monografii obyczajowych o Francyi XVIII stulecia, znaleziono następującą prostą i przystępną receptę. Bierze się kilkadziesiąt pamiętników i korespondencyi z tej epoki, nie czyniąc wielkiej różnicy między autentycznemi a apokryfami, byle tylko nic w nich nie było nudnych rozpraw o finansach, stanie ludu wiejskiego, parlamentach i polityce, byle tylko było w nich jak najwięcej salonowych plotek, sekretów sypialnianych i oklepanych kalamburów. Tę mieszaninę przesypuje się obficie ciętym aforyzmem

Chamforta, wesołym konceptem Ligna, drastyczną anegdotą Casanovy. Jeżeli się pragnie zabłysnąć wyjątkową erudycyą, należy nadto powołać listy paryskie Horacego Walpola albo lady Craven. Jeżeli się liczy na odznaczenie przez Akademię francuską, oraz na popyt u niewieściej publiczności, dobrze jest zapewnić sobie spółpracownictwo panny Herpin, sławniejszej pod imieniem Lucyana Perey. Od pierwszych z brzega książąt, markizów czy baronów wydostaje się trochę i n e d i t ó w do ogłoszenia i jaką starą miniaturę do uwiecznienia na czele dzieła sposobem fototypowym; w przedmowie dziękuje się z wylaniem tym dobrodziejom, łaskawym mecenasom nauki, starannie wypisując pełne ich tytuły margrabiowskie i książęce, co wielce podnosi ornamentykę całości. Wynika stąd książka o trzydziestu arkuszach wielkiego *octavo*, drukowana na grubym papierze, osobno w kilkudziesięciu egzemplarzach liczbowych odbita dla amatorów na papierze chińskim, japońskim i holenderskim. Fabrykat gotów, nauka historyczna zbogacona nowym nabytkiem.

Nie inaczej od dłuższego czasu płodził p. Maugras, do spółki z „Lucyanem Perey" duże tomy o „Młodości pani Epinay", o „Starości pani Epinay" itp. arcydzieła. Obecnie występuje, na własny już rachunek, a podług tej samej recepty, z obszerną monografią o Lauzunie *). Nie myślelibyśmy wertować grubej książki autora, do

*) Gaston Maugras: *„Le duc de Lauzun et la cour intime de Louis XV"*.

którego żadnego nie mamy przekonania, traktującej o człowieku, któremu żadnego nie przypisujemy znaczenia — gdyby nie jedna okoliczność. Spodziewaliśmy się znaleźć tutaj nowy przyczynek do starej, a po dziś dzień nie zamkniętej, sprawy osławionych Pamiętników Lauzuna, — które zresztą same przez się, jak wiadomo, niecałkiem są obojętne i dla dziejów obyczajowych polskich na schyłku XVIII wieku.

Trzeba jednak nasamprzód objaśnić czytelnika, o co w tej sprawie chodzi. Po raz pierwszy rozeszła się wieść o Pamiętnikach Lauzuna w 1811 r. Był to czas, kiedy Napoleon, ożeniony z arcyksiężniczką austryacką, z upodobaniem odzywał się: „mój wuj, Ludwik XVI". W zapiskach Lauzuna srodze była skompromitowana „ciotka" cesarska, gilotynowana królowa Francyi. Więcej jeszcze były skompromitowane rozmaite panie o historycznem nazwisku, — i nietylko gilotynowane, lecz nawet żyjące jeszcze—które nie tak dawno jaśniały w Wersalu w otoczeniu Maryi Antoniny, a których córki obecnie pełniły w Tuileryach urząd dam dworu cesarzowej Maryi-Ludwiki. Cesarz skandalu nie lubi. Dowiedziawszy się o istnieniu rachunków sercowych książęcego lowelasa, rozkazał je skonfiskować w interesie porządku publicznego. Rękopis miał zostać spalony w obecności ministra policyi, Savarego. Na nieszczęście, królowa Hortensya, pasierbica cesarza, której niczego nie umiał odmówić, była ciekawą. Wydostała do przeczytania skazaną na zagładę Lauzunową odyseję i w sekrecie poleciła sporządzić kopię. Aliści ciekawość nigdy nie była

wyłącznym przywilejem królowych. Damy dworu i przyjaciółki Hortensyi wypraszały sobie od niej „sekretną“ kopię i odpisywały ją na własną rękę. Przyjaciółki przyjaciółek wypożyczały ją sobie i odpisywały z kolei, ciągle oczywiście w największym sekrecie. Takich odpisów namnożyło się więcej za restauracyi. Czytywano je z równem zajęciem w salonach legitymistycznych i opozycyjnych.

Póki tą drogą niedyskretny pamiętnikarz święcił zagrobowe sukcesy towarzyskie w tym zamkniętym „świecie“, którego był ongi ozdobą, nie widać było zgorszenia ani słychać protestu; dopiero, kiedy poczęto przebąkiwać o ogłoszeniu Pamiętników drukiem, o dopuszczeniu do sekretu nieświatowych śmiertelników, ze wszech stron uderzono na trwogę. Pierwszy w obronie zagrożonej cnoty dawnego społeczeństwa, którego pozostał najwydatniejszą ruiną, zabrał głos stary książę Talleyrand. W liście, ogłoszonym w „Monitorze“, uroczyście oświadczył, iż jego serdeczny przyjaciel, nieboszczyk Lauzun, jemu przed laty sam był czytał swoje autentyczne pamiętniki, lecz zgoła odmiennej treści od obiegających obecnie — zapewne były wzorowane na św. Augustynie albo św. Teresie; iż przypisywanych mu teraz okropności Lauzun „nie napisał, niezdolen był napisać, czułby wstręt do ich napisania“; iż, jednem słowem, to „dzieło ciemności“ *(oeuvre de ténèbres)* jest niczem innem, jak występnym, rozmyślnym falsyfikatem. Talleyrand tyle razy kłamał, że jego świadectwo osobiste najmniejszej nie przedstawia wartości dowodo-

wej. Nadto, w danym wypadku nasuwało się przypuszczenie, że dymisyonowany minister Ludwika XVIII, wypadły z łaski pańskiej, rad był za jedną okazyą, biorąc rycersko w obronę sponiewierany cień Maryi-Antoniny,— której nienawidził, którą jadem oblewał za życia,—przysłużyć się tanim kosztem Bourbonom. Takie przypuszczenie uczynił pewnikiem Sainte-Beuve, ogłaszając list pani d'Es *(trées)*, pisany do Talleyranda nazajutrz po jego wystąpieniu, z podziękowaniem w imieniu księżny d'Angoulême za fałszywe świadectwo.

Mimo wszystko, Pamiętniki Lauzuna ukazały się z druku w końcu 1821 r. Zawierała ta pierwsza edycya pewne luki i niedopowiedzenia, gdyż, bądź co bądź, trzeba było liczyć się z rządem i względami dla wielu osób żyjących; jednak wymieniała dosyć nazwisk znaczniejszych, kilku nieujawnionych łatwo pozwalała się domyślać. Podniesiono *larum*. Talleyrand po raz wtóry wystąpił w roli stróża moralności, z większą jeszcze powagą, bo z mownicy Izby parów. Ks. Choiseul, w imieniu rodziny, założył protest publiczny i rozpoczął kroki sądowe przeciw wydawcy. Dla zdyskredytowania wydawnictwa puszczono pogłoskę, że Savary był zachował u siebie sfałszowaną kopię rękopisu, skonfiskowanego przed dziesięciu laty, i podał ją teraz do druku, aby dopiec rządowi i rojalistom. Zapewne, fałsz i szantaż nie były to rzeczy bez precedensu w pracowitym żywocie księcia Rovigo, lecz w tej aferze istotnie nie miał on nic do roboty, był tylko obrany kozłem ofiarnym ze względu na swoją reputacyę. Zresztą, mielibyśmy powód do

przypuszczenia, że posądzenie Savarego wyszło wprost od Talleyranda, któremu należał się odwet za świeże właśnie, a bardzo niemiłe rewelacye księcia Rovigo w sprawie zabójstwa księcia Enghien. W rzeczy samej ks. Rovigo jeszcze z dawnych czasów, kiedy jeszcze nazywał się poprostu Savary, miał bardzo dokładne informacye o owych tajnych sposobach machiawelowych, jakich był użył niegdyś Talleyrand, aby wydobyć od Bonapartego rozkaz nocnej egzekucyi nieszczęśliwego Enghiena. Ujawnienie tych kompromitujących informacyi w obliczu przywróconych rządów Bourbonów, to był cios dotkliwy, który istotnie domagał się odwetu. Jakkolwiekbądź, pewną jest rzeczą, że tym razem, w sprawie rzekomego sfałszowania Lauzunowych Pamiętników, Savary oskarżony był najdowolniej. To też ks. Rovigo, gdy zdarzyło mu się wyjątkowo w tym przypadku mieć prawie czyste sumienie, oburzył się tak żywo, jąk gdyby człowiek uczciwy. Swoją drogą, edycyę wycofano z obiegu. Dopiero za drugiego cesarstwa znalazł się śmiałek, znany z sumiennych prac wydawniczych bibliofil, Ludwik Lacour, który się odważył ogłosić dokładny tekst Pamiętników, podług kollacyi odpisu, przechowywanego w paryskiej Bibliotece publicznej, z uzupełnieniami, drukowanemi dawniej w *Revue retrospective*. Nie obeszło się i tym razem bez skandalu. Wytoczono proces wydawcy; w pierwszej chwili książkę skonfiskowano, lecz ostatecznie przywrócono jej obieg. Odtąd przedrukowywana była bez przeszkody.

Z rozmysłu rozpisaliśmy się tak szeroko o tej sprawie, gdyż posiada ona znaczenie ogólniejsze. Wyciąga się z niej morał, iż hipokrycka wstydliwość w rzeczach historyi na nic się nie zda dzisiaj. Dawniejszymi czasy, kiedy archiwa państwowe zamknięte były na siedm pieczęci, przecież pod pewnymi względami większą objawiano tolerancyę. Zapiski Retza, Bussy-Rabutina, kawalera Gramonta, odsłaniające anarchię obyczajową XVII stulecia, nie były przecie nigdy pociągane przed kratki sądowe wieku XVIII. Natomiast wiadome cnoty domowe XVIII wieku znajdują jeszcze od czasu do czasu niefortunnych opiekunów na samym schyłku sceptycznego wieku XIX. Winniśmy bowiem dodać, że dla niektórych spółczesnych „uczonych" polskich Pamiętniki Lauzuna są do dnia dzisiejszego złośliwym falsyfikatem. W rzeczy samej jeszcze niezbyt dawno na łamach krakowskiego „Przeglądu polskiego" spotkaliśmy się ze stanowczem oświadczeniem, iż ten niecny apokryf jest niczem innem, jak dziełem osobistej zemsty damy polskie Oczywiście, chodziło tutaj nie o naukowe przeświadczenie, oparte na naukowej znajomości rzeczy, lecz jedynie o osłonienie osoby innej polskiej damy, o której zbyt wiele szczegółów drastycznych mieściło się w Pamiętnikach Lauzuna. Tymczasem o autentyczności okrzyczanych Pamiętników nigdy nie żywiliśmy najmniejszej wątpliwości i żywić jej nie będzie nikt, kto je uważnie czytał, kto wie cokolwiek o Lauzunie i jego epoce, kto kiedykolwiek miał do czynienia z rzeczywistymi falsyfikatami tego rodzaju. W istocie, jaki Hieronim Vignier

mógł z powodzeniem podrobić dokumenty z V wieku i na długie lata oszukać naukę, gdyż w tej odległości, przy braku innych sprawdzianów, zoryentować się trudno. Lecz żaden Soulavie, ani Feuillet de Conches całą swą sztuką nie potrafił długo utrzymać w błędzie co do wartości swych fabrykatów z zeszłego wieku, który tak jest blizki, tak obfitujący w źródła niezawodne, tak dobrze znany we wszystkich szczegółach. Pamiętniki Lauzuna nigdy nie zostały zakwestyonowane w żadnym najdrobniejszym bodaj szczególe przez żadne postronne świadectwo. Zupełna ich autentyczność oddawna jest rzeczą pewną dla bezstronnych i znawców. Obecnie nie będzie mogła być zaprzeczaną dłużej nawet przez nieświadomość i uprzedzenie: i to stanowi główną zasługę zbytecznej może skądinąd monografii, jaka dała nam pochop do uwag powyższych. P. Maugras, czerpiąc z licznych, dotychczas niedostępnych zbiorów prywatnych, między innymi z archiwum rodziny Lauzuna (obecnie ks. Gontaut-Birona), a więc jak najdokładniej informowany, zmuszony jest uczynić następujące wyznanie: „Autentyczność Pamiętników Lauzuna nie może dłużej ulegać dyskusyi *(n'est pas discutable)*... We wszystkich, nader licznych punktach, gdzie mogłem poddać je kontroli przy pomocy dokumentów prywatnych, nie wykryłem nigdzie najmniejszej niedokładności, ważne wypadki, drobne szczególiki, daty, wszystko okazało się bezwarunkowo ścisłem i prawdziwem *(d'une précision, d'une vérité absolue)*. Lauzun niezawodnie jest autorem Pamiętników, gdyż tylko on jeden był w stanie je napi-

sać". Jest to, zdaje się, dosyć wyraźne. Nie można też, zdaje się, wymagać w tej sprawie lepszego świadka, niż p. Maugras, którego nikt chyba nie posądzi o nieostrożność i brak należnych względów, któremu raczej zarzucilibyśmy zbytek usłużnej deferencyi względem utytułowanych właścicieli archiwów, z jakich czerpał. Nie pozostaje tedy, jak powtórzyć dobitne słowa Sainte-Beuva: „Nikt nie jest mocen unicestwić uczynionych raz wyjawień, chociażby przynosiły ujmę całemu stanowi społecznemu. Pamiętniki Lauzuna istniały przed denegacyą Talleyranda; po jego zaprzeczeniu istnieją i ważą po dwakroć, gdyż ich doniosłość lepiej została uwydatnioną; i nauka historyczna wciągnie je do swych akt, śród dowodów obciążających w wielkim procesie przeciw XVIII stuleciu".

Po tak długiej dygresyi o Pamiętnikach Lauzunaj niewiele znajdziemy do powiedzenia o nim samym. Starczy przypomnieć w paru słowach znane dzieje niespokojnego, a zgoła bezużytecznego żywota tej typowe postaci zaginionego niepowrotnie rodzaju. Ojciec pamiętnikarza, Gontaut, „biały eunuch" pani Pompadour, ze swoich łask u faworyty dobrodusznie pozwalał ciągnąć korzyści sprytniejszemu i więcej przedsiębiorczemu szwagrowi, margrabiemu Stainville, późniejszemu księciu Choiseul, z którego rodzoną siostrą był żonaty. Czy wyrozumiałości szwagra nadużywał Choiseul jedynie u ulubienicy królewskiej? Nie podejmujemy się rozstrzygać tej kwestyi, aż nazbyt drażliwej. Tyle pewna, że Talleyrand czyni Lauzuna owocem kazirodztwa, synem

Choiseula. Albowiem biskup z Autun, który publicznie z cnotliwem oburzeniem piętnował mniemanych fałszerzy Pamiętników swego „przyjaciela", sam w tym samym czasie, kiedy gromy moralisty ciskał ze szpalt „Monitora" i trybuny parowskiej, u siebie w gabinecie spisywał wspomnienia, gdzie w jednym rozdziale o Filipie Orleańskim albo o Choiseulu więcej zawarł skoncentrowanego jadu obmowy, aniżeli się mieści w całkowitej autobiografii Lauzuna. Chowany na kolanach pani Pompadour, Lauzun wcześnie zaczął się bawić i niebawem w sztuce bawienia się najdoświadczeńszych prześcignął. Ośmnastoletniego bałamuta ożenili przymusem rodzice z dzieckiem czternastoletniem, kobietą ujmującą i dobrą, której nie był wart i z którą nie żył. Szukał rozgłosu w coraz innych wybrykach, zarazem sentymentalnych i cynicznych, jakich sekret posiadało towarzystwo francuskie owej doby. Sam zresztą w gruncie rzeczy był człowiekiem sympatycznym, dużo w nim było szlachetności; lecz uczuciowy aż do histeryi, więcej miał dowcipu, niż rozumu: gubił go brak charakteru. Opiekował się nim nasamprzód i mentorował mu w pohulankach ks. Conti, pod siwym włosem amfitryon wszystkich gwiazd opery, przez chwilę kandydat do korony polskiej, stary nicpoń, o którym cudownie powiada pan Maugras, iż „jego wielkie zalety zaćmione były przez fałszywy sąd o rzeczach, konfuzyę pojęć i nieusprawiedliwioną ambicyę" — rodzaj charakterystyki znakomity, który chciałoby się żywcem zastosować względem talentów pisarskich samego autora. W krótkiej a krwawej

wyprawie korsykańskiej wziął Lauzun chlubny udział. Za powrotem zastał wielkie zmiany u dworu. Pani Dubarry, którą, rzecz prosta, znał oddawna z balów opery, jak znał wszystkie ladacznice stolicy, zaawansowała w tym czasie na uznaną faworytę starego króla. Choiseul próbował się jej oprzeć i upadł. Lauzun dał pierwszy przykład lojalnej opozycyi. Pozostał on wiemy wujowi— a raczej jego drugiej siostrze, pani Gramont, gdyż ten siostrzeniec, czy też — jak chce Talleyrand — syn Choiseula cieszył się jawnie łaskami swojej ambitnej ciotki. Lecz znowuż nie podejmujemy się wchodzić w te nazbyt ślizkie genealogiczno-romansowe kombinacye, gdzie doprawdy łatwiej możnaby się pogubić, niż w „Dyabelskich Eliksirach" fantastycznego Hoffmanna. Nic to jednak nie szkodzi, choćby tylko ukośnie rzucić okiem na te niesłychane brudy obyczajowe w najpierwszem ówczesnem społeczeństwie europejskiem, nic nie szkodzi zachować je w pamięci — ażeby następnie zachować sobie sprawiedliwą miarę porównawczą dla słusznego ocenienia opłakanych zapewne, lecz nierównie łagodniejszych zboczeń w spółczesnem społeczeństwie polskiem. Tak, czy owak, z czułości dla wuja, czy też dla ciotki, Lauzun śmiało i otwarcie stanął przy upadłym Choiseulu. Ostentacyjnie odwiedzał go w Chanteloup, gdzie dymisyonowany minister przesiadywał i srożył się poniekąd całkiem podobnie, jak później ks. Bismark w Varzinie. Skutek był taki, że sam Lauzun popadł w niełaskę. Zbliżył się wtedy do urodzonego przywódcy

wielkiej opozycyi przeciw tronowi bourbońskiemu, do głowy domu orleańskiego, księcia Chartres, późniejszego Filipa Egalité— przyjaźń feralna, którą miał opłacić głową.

Tymczasem bawił się dalej w najlepsze. W Londynie, zimą 1772/3 r. poznał księżnę generałową ziem podolskich, Izabellę Czartoryską i Repnina. Towarzyszył im obojgu latem do Spa. Tutaj Repnin ustąpił z placu, zaś Lauzun, po wyjeździe Repnina do Rosyi, udał się za księżną do Paryża i zaprzyjaźnił się tutaj z jej małżonkiem, ks. Adamem. W kwietniu 1774 r. odprowadził księżnę Izabellę, wracającą do kraju; we wrześniu nagle powołany, śród warunków dość dramatycznych, przyjechał na krótko do Warszawy, gdzie za drugim nawrotem bawił do marca 1775 r. Wrócił do Paryża zgryziony. „Widziałem nareszcie ślicznego naszego duczka polskiego — pisze o nim w tym czasie Sapieha — zowią go teraz Lozańskim... musiano go okropnie w Polsce traktować, bo z niej wcale nie kontent.“ Nosił się wtedy z rozległymi planami, myślał o ambasadzie francuskiej w Warszawie, korespondował z cesarzową Katarzyną, miał sobie ofiarowane dowództwo w wojsku rosyjskiem, lecz ostatecznie wszystkie te przedsięwzięcia skończyły się na niczem.

Zresztą, głowę wietrznika inne już zaprzątały myśli. Próbował niebezpiecznego flirtu z królową Maryą-Antoniną. W tem, co sam opowiada o tej sprawie, zapewne nie brak dodatków i upiększeń, dyktowanych przez próżność zawodowego uwodziciela; jednak wątpliwości

nie ulega, że królowa, szukając rozrywki, wdała się z nim w grę hazardowną i czas jakiś ulegała jego wpływowi. Sielankę przerwała katastrofa finansowa. Wiek XVIII przyzwyczajony był do „krachów“: widział już dawniej niewypłacalność rządu, „najjaśniejsze bankructwo“, za Regencyi; teraz (1777) był świadkiem skandalicznej ruiny majątkowej pierwszych magnatów Francyi, ks. Guemenée, Fitz-Jamesa, wielu innych, a śród nich nieopatrznego Lauzuna, który nigdy nie umiał się rachować. Jednocześnie jego nazbyt śmiałe nagabywania otrzymały surową odprawę od królowej. Nieborak skorzystał z wybuchu wojny z Anglią, by na pewien czas usunąć się z widowni. Skoczył najprzód do Afryki, potem aż na drugą półkulę. Bił się odważnie w Senegalu i Ameryce, lecz niczem wyjątkowem się nie odznaczył, nic nie miał w sobie materyału na Lafayetta. Wegetował za powrotem, pozbawiony możności, aby żyć i błyszczeć po dawnemu.

Wybiła tymczasem feralna godzina wielkiego rewolucyjnego przewrotu. Słaby Lauzun od pierwszej chwili dał się porwać szalonemu wirowi wypadków. Wtedy to zupełnie poddał się wpływowi Filipa Orleańskiego, z którym łączyła go głęboka uraza ku Maryi-Antoninie; związał się z Talleyrandem, dla Mirabeau uzyskał misyę berlińską i trochę pieniędzy. Mniemamy wszakże, że pustak Lauzun był więcej *mouche du coche*, niż istotnym uczestnikiem sprzysiężenia orleańskiego, które tyle ułatwiło pierwsze kroki rewolucyi. Obrany do Konstytuanty, niewiele się odzywał. Wia-

dome są obecnie opłakane perypetye jego misyi londyńskiej w 1792 r., kiedy, przydany Talleyrandowi, ledwie nogę postawił na ziemi angielskiej, jak aresztowany został i wtrącony do więzienia za stare długi, o których zapomniał. Później, na czele armii nadreńskiej, nieświetnie się spisał. Przynajmniej Dumourier i Lafayette bardzo niepochlebnie odzywają się o jego talentach wojskowych. Myślał bawić się w przestarzałe sztuki taktyczne Villarsa i Eugeniusza Sabaudzkiego, za przykładem generałów austryackich, których miał naprzeciw siebie. Nie rozumiał nowego ducha, jaki był w legionach rewolucyjnych. Nieświetny generał, nielepszym okazał się dyplomatą. Czynił wówczas żywe starania w celu przeciągnięcia Prus na stronę Francyi. Sam ongi, jeszcze w 1774 r., był spotkał się z Wielkim Fryderykiem i teraz, już pośrodku wojny z austro-pruską koalicyą, pozostał zwolennikiem pruskiej polityki doradzanej przez Mirabeau. Naostatek, a również niefortunnie, dowodził w Wandei przeciw powstańcom. W każdym razie, najwyżej nieudolność, nigdy zdrady nie można było mu zarzucić. Bez wszelkiej też słusznej zasady, jedynie pociągnięty przez upadek Filipa Egalité, postawiony został w stanie oskarżenia, uwięziony i na śmierć skazany przez Trybunał rewolucyjny. Do ostatniej chwili pozostał wiernym sobie. Mallet du Pan opisuje go, jak w więzieniu spędzał czas, leżąc w łóżku, sypiąc dowcipami i zapijając wytrawnem bordeaux; kiedy mu ofiarowano możność

ucieczki, odmówił, gdyż nie opłaci się narażać na niewygody tułactwa zagranicą; kata, który po niego przyszedł, poczęstował szklanką wina. Umiał umrzeć z dobrym smakiem, jak umiał żyć: jedyna umiejętność, jaka pozostała społeczności zdegenerowanej, do której należał, a nad którą oddawna już widniał napis: *morituri.*

Pamiętniki pani Potockiej.

Jeśli istnieje jaka osobna muza pamiętnikarska — a byłaby wcale na miejscu, gdyż sztuka pisania pamiętników środkuje poniekąd między sztuką historyczną a poetycką, mając pewną, sobie właściwą, od obudwu odrębność — jeśli istnieje taka pośredniczka pomiędzy Klio a Euterpą, czy też Kaliopą, gotowiśmy przypuścić, iż owa dziesiąta, nadetatowa muza wdzięcznie uśmiechnęła się do Francuzów; od innych narodów wzgardliwie odwróciła się plecami. Wprawdzie możnaby od tej reguły znaleźć parę wyjątków. Mają Włosi ponure wyznania Alfierego, tętniące namiętnością i bólem, mają Anglicy sceptyczny i drwiący dziennik Walpola, mają Niemcy rzeźbioną misternie Goethowską autobiografię, mamy i my od biedy lapidarną gaskonadę pana Paska. Ale to są tylko wyjątki. To wszystko jest bardzo skromne, ubóstwo w porównaniu z rozrzutną obfitością francuskiej literatury pamiętnikarskiej. Od rycerskich zapisek Villehardouina i Froissarta aż do wojennych wspomnień generała Ségura i kapitana Coigneta, od surowych rozmyślań kanclerza Thuana aż do poważnych dyskusyi kanclerza Pasquiera, od lekkich

rysunków subtelnej pani Motteville aż do ostrych sylwetek, kreślonych piękną ręką pani Rémusat, od bezwstydnej spowiedzi szalonego kardynała Retza aż do gorzkich konfesyi biednego Jana-Jakóba, od bezlitosnych zgrzytów moralisty Saint-Simona aż do zagrobowych odwetów Atali-Chateaubrianda i tak dalej, bez liku, bez końca, aż niemal po dziś dzień, ciągnie się tutaj nieprzerwany łańcuch utworów pamiętnikarskich, niekiedy wspaniałych, najczęściej żywych i barwnych, prawie zawsze zajmujących i przyjemnych w czytaniu, bez względu na to, czy autor był cnotliwcem lub łotrem, panem lub lokajem, Napoleonem lub sierżantem, wielkim pisarzem lub ciurą literackim. Możnaby doprawdy mniemać, że w każdym Francuzie siedzi urodzony pamiętnikarz. Czemu się tak dzieje? w jakiej zależności pozostaje to zjawisko piśmiennicze od owej wrodzonej ciekawości i rozmowności gallijskiej, która uderzyła już Cezara? w jakim pozostaje związku z temperamentem, wrażliwością, próżnością francuską? jak dalece jest uwarunkowane już przez samą naturę lotnej, potoczystej, przejrzystej prozy francuskiej? — tego nie podejmujemy się bynajmniej zgłębiać na tem miejscu. Stwierdzamy tylko poprostu sam fakt niewątpliwy, a stwierdzamy z powodu nastręczonej dość niezwyczajnej sposobności: z powodu jeszcze jednych nowych pamiętników francuskich, pisanych piórem— polskiem. Mówimy o „Memoirach“ pani Potockiej.[1])

[1]) *„Mémoires de la comtesse Potocka 1794— 1820“*, publiés par Cas. Stryienski.

W zakresie ostatnich dwóch stuleci nie brak utworów pamiętnikarskich polskich, spisywanych w języku francuskim. W tym języku jeszcze w dobie saskiej kreślił swoje wspomnienia polityczne ruchliwy wojewoda Antoni Potocki; później stary ex-król Stanisław-August, podczas dłużących się dni grodzieńskich i petersburskich — swoje wielotomowe zapiski, przechowywane obecnie w Głównem Archiwum państwowem rosyjskiem; później jeszcze, na obczyźnie, sędziwy ks. Adam Czartoryski — ułamkowe zarysy pierwszych wybitniejszych momentów swego trudnego życia i zawodu. Są zresztą i inne jeszcze liczne podobne przykłady, bądź drukiem ogłoszone, bądź to znane nam z rękopisu, — a nawet i kobiecego również pióra, jak np. pani z Tyzenhauzów Choiseul-Gouffier, choć już tylko Polki z pochodzenia, nie z ducha. Jednakowoż najnowsze Pamiętniki pani Potockiej prześcigają podobno to wszystko pod względem swojej poczytności, całkiem wyjątkowej. W najkrótszym czasie rozchwytane w oryginale francuskim, ukazały się już w przekładzie polskim, niemieckim, nawet angielskim. Świetny i rzadki to sukces, któremu trzeba przyklasnąć— ale trzeba także potrochu, bodaj jak najpobieżniej w nim się rozpatrzyć.

Anna z Tyszkiewiczów Aleksandrowa Potocka, a po rozwodzie, w powtórnym związku, generałowa Wąsowiczowa, była po matce wnuczką Kazimierza Poniatowskiego, rodzonego brata króla Stanisława-Augusta. Niezwykle sędziwego doczekawszy się wieku, przeżyła

kilka generacyi i największe w losach narodu przewroty. Urodzona jeszcze pod panowaniem swego stryjecznego dziada w pierwszej zaledwo dobie podziałowej, zmarła dopiero przed trzydziestu paru laty, w połowie panowania cesarza Aleksandra II, a już pośrodku namiestnikowskich w kraju rządów hr. Berga. Mimo to, pozostała jednak nieznaną szerszemu ogółowi naszemu. To jest zresztą w porządku rzeczy. Wiadomo o niej tyle, że układała rysunki do Śpiewów historycznych Niemcewicza, że była dobrą matką i posiadała ujmujące zalety towarzyskie. Ani kobietą polityczną nie była nigdy, ani też w społeczeństwie nie zajmowała wybitniejszego stanowska przewodniczki. To też jej Pamiętniki już z góry o tyle tylko mogą interesować szerszą naszą publiczność i przedstawiać wartość przyczynku historycznego, o ile w nich mowa nie o samej autorce, lecz o tych ludziach i rzeczach dziejowych, którym miała sposobność przyglądać się osobiście w długiem swojem życiu, na wyżynach towarzyskich pędzonem.

W rzeczy samej, niniejsze Pamiętniki pani Potockiej, acz nie ogarniają całości jej dziewięćdziesięcioletniego żywota, obejmują przecie ćwierćwiekową epokę, niesłychanie ważną w dziejach kraju naszego i w powszechnych dziejach europejskich. Obejmują wszakże więcej z tytułu, z zapowiedzi na okładce i w nagłówkach rozdziałów, niż z istoty rzeczy, ze źródłowej treści świadectw naocznych pamiętnikarki. W dodatku, te jej świadectwa nie zostały poddane żadnej zgoła

kontroli przez wydawcę. „Nie mając wcale możności— przyznaje się wydawca—sprawdzać informacyi, jakich udziela hrabina, należy jednak przyjąć je za wiarogodne, albowiem jej miłość prawdy stanowi pod tym względem wystarczającą rękojmię". Dosyć to chyba nierozważna zasada edytorska. Dokument historyczny, od kogokolwiekby pochodził, sam dla siebie nigdy nie może stanowić poręki, krytycznego zawsze wymaga sprawdzianu. Spróbujmy na chwilkę zająć się za wydawcę tym, może niemiłym, lecz bezwarunkowo nieodzownym, weryfikacyjnym obowiązkiem.

Niedługo szukając, bierzemy dla przykładu zaraz pierwszy z brzegu ustęp. Z pietyzmem, zupełnie zresztą zrozumiałym i stosownym, wspomina tutaj pamiętnikarka o swoim domu rodzicielskim. Lecz przy tej okazyi nieco przydłużej zatrzymuje się nad swoim ojcem, hetmanem litewskim. Przedstawia go jako wzorowego, ofiarnego patryotę. Upewnia, że on „przyłączył się do nielicznej garstki, która odmówiła położenia swego podpisu na krzywdzących kraj aktach, podyktowanych przez Rosyę obrzydłej *(abjecte)* Konfederacyi targowickiej". Upewnia dalej, że skutkiem tej patryotycznej odmowy zajęto mu dobra. Upewnia nadto, że jeszcze „w kilka lat później" udał się on osobiście do Petersburga w celu uratowania zagrożonego Statutu litewskiego, że tam ostro stawiał się cesarzowej Katarzynie i że wtedy dopiero, oddając hołd najwyższy jego obywatelskiej odwadze, zdjęto mu sekwestr. Tymczasem w rzeczywistości to wszystko podobno

wygląda trochę inaczej. Ów mniemany zelant, Ludwik Tyszkiewicz, hetman wielki litewski, jakkolwiek napewno nie należał do najgorszych ludzi tej smutnej epoki, przecież napewno też nie należał nigdy do najlepszych. Był oddawna narzędziem partyi rosyjskiej, kawalerem św. Andrzeja, przez żonę, matkę pamiętnikarki, a siostrzenicę Stanisława-Augusta, związany najściślej ze Stackelbergiem i Bułhakowem. Według własnych swych słów „od samego początku był przeciwnikiem ustawy Trzeciego maja.“ W Grodnie wprawdzie naraził się przelotnie na gniew Sieversa i chwilowy sekwestr, który wszakże prawie natychmiast odwołano. Został też zaraz w Grodnie członkiem delegacyi podziałowej. Nagrodzony hojnie wraz z Moszyńskim, Zabiełłą i innymi, wysłany był do Petersburga — nie „w kilka lat później“ i nie dla ratowania Statutu— lecz wnet, przez ten sam sejm podziałowy grodzieński dla wyrażenia podzięki Katarzynie II. Otrzymane od ambasadora i cesarzowej podarki zwrócił dopiero w maju 1794 r., pośrodku powstania, po aresztowaniu Moszyńskiego i towarzyszy. To wszystko są rzeczy powszechnie wiadome i nieulegające najmniejszej wątpliwości. Mogła o nich zapomnieć córka, pisząc o ojcu: rzecz ludzka. Ale powinien był pamiętać wydawca, powinien być ostrzeżony czytelnik.

Pani Potocka, jak sama powiada w późniejszym widocznie ustępie, zaczęła kreślić niniejsze swoje wspomnienia pod wpływem lektury Pamiętników margrabiny Baireuth, które tak ją zainteresowały, że po-

stanowiła za przykładem siostry Fryderyka Wielkiego spisywać własne obserwacye i przygody życiowe. „Byłam jeszcze wtedy bardzo młoda“, dodaje autorka. Dla osoby bardzo młodej nie były zapewne najodpowiedniejszą lekturą pieprzne zapiski dowcipnej Zofii-Wilhelminy. Ale Pamiętniki margrabiny Baireuth ukazały się w roku 1810; pani Potocka, urodzona w 1776, liczyła wtedy lat trzydzieści kilka. W tym więc wieku dojrzałym przystąpiła do skreślenia swoich wspomnień. Rozpoczyna je od wypadków warszawskich 1794 r., których była świadkiem naocznym. Natychmiast po wybuchu powstania przeniosła się z matką do Zamku. Możnaby zatem oczekiwać niejednego ciekawego szczegółu o tem, co się działo w otoczeniu najbliższem Stanisława-Augusta w tych nadzwyczajnych, krytycznych chwilach, kiedy król drżał o własne życie. Niestety, tyle tylko donosi z tego okresu pamiętnikarka, że „rano i wieczór niańka kazała mi odmawiać modlitwę za powodzenie naszego oręża“; zresztą zaś „wszystko, co się działo wówczas, zupełnie ulotniło się z mojej pamięci“, z „dziecięcego serca“ *(mon coeur d'enfant)*. A jednak nie trudno się dorachować, że liczyła wtedy lat ośmnaście.

Po trzecim podziale kraju przeniosła się autorka z matką, za ex-królem, do Grodna. Nie podaje wszakże znowu żadnych nowych szczegółów z tamecznego pobytu. Po wstąpieniu na tron cesarza Pawła i sprowadzeniu króla do Petersburga, na stałe osiadła w Białymstoku, u Izabelli Branickiej, siostry Stanisława-Au-

gusta. „Nikt na tym padole płaczu nie da lepszego wzoru możliwej doskonałości ludzkiej," powiada o niej z uniesieniem pamiętnikarka. Zapewne, w owej epoce wdowa po ostatnim z Gryfów była już poważną i dobroczynną matroną. Zresztą, samiśmy kiedyś z wyrazem należnego spółczucia ogłaszali rozpaczne listy nieszczęśliwej pani Krakowskiej. Jednak oczywiście nawet w spółczuciu, nawet w uznaniu powinna być pewna rozsądna miara. I oczywistą jest rzeczą, że powyższe, tak panegiryczne określenie nie daje właściwego pojęcia o młodej małżonce starego Branickiego, o późniejszej — w sekrecie — pani Mokronowskiej. Szczegółowy opis trybu życia w zamku białostockim jest niepozbawiony interesu, jako przyczynek obyczajowy, choć widziany przez mgłę wspomnień młodości w nieco upiększonych, być może, konturach. Przynajmniej w znanym nam pamiętniku rękopiśmiennnym jednego z najbliższych sąsiadów, a częstego podówczas gościa pani Branickiej, pożycie białostockie przedstawia się w barwach znacznie mniej pociągających. Zresztą, zaraz dodać należy, że w późniejszym czasie, jako spółsukcesorka Białegostoku, pani Potocka, niestety, nie umiała zapobiedz opłakanej ruinie tego pięknego „Wersalu podlaskiego".

Wkrótce po przybyciu do Białegostoku miała autorka sposobność oglądać drugiego z kolei króla *in partibus*, Ludwika XVIII, który tutaj zawitał po drodze do udzielonego mu w Mitawie schronienia. Dowiadujemy się też zarazem nader ciekawego szczegółu, że przy

tej okazyi monarcha francuski jakoby dopraszał się ręki Tyszkiewiczówny dla swego synowca, księcia Berry. Byłaby to okoliczność, dotychczas nikomu w świecie nieznana, a przecie nadzwyczaj interesująca. Ks. Berry był następcą tronu po bezdzietnym Ludwiku. Że po dwudziestu latach będzie zasztyletowany na paryskim Placu Opery—tego naturalnie nikt nie mógł wtedy przewidzieć na pokojach białostockich. Wtedy był on niewątpliwie predestynowanym królem Francyi. Zatem pamiętnikarka byłaby królową Francyi, drugą Maryą Leszczyńską. Niestety, Tyszkiewicze, wbrew naleganiom Bourbonów, odmówili wprowadzenia Polki na stopnie francuskiego tronu. „Moi rodzice nie chcieli o tem słyszeć“ i grzecznie wymówili się względami na „moją wielką młodość“ *(ma grande jeunesse)*, zaś „sama nie byłam jeszcze w takim wieku, aby mieć własne zdanie“. Ponieważ podróż Ludwika XVIII odbyła się w marcu 1798 r., liczyła więc wtedy autorka lat dwadzieścia i dwa i była starszą od księcia Berry, którego nawet nie było wcale w Białymstoku, gdyż bawił wówczas w Szkocyi. Być może, będzie lepiej nie brać nadto na seryo tej całej „propozycyi“ matrymonialnej. Dodajmy, że o podobnych propozycyach autorka chętnie wzmiankuje i gdzieindziej. Już „w czternastym roku życia miałam zaślubić ks. Stanisława Poniatowskiego, brata mojej matki. Ale miał on około pięćdziesiątki, był sztywny i poważny, więc nie chciałam o nim nawet słyszeć“. Ponieważ Stanisław Poniatowski urodził się w 1754 r., jasnem jest, że do-

chodził pięćdziesiątki w tym samym czasie, kiedy autorka dochodziła trzydziestki.

Pani Potocka udziela nam także skazówek, skądinąd wcale zajmujących, o swojej niepowszedniej i różnostronnej kulturze duchowej. Czytała dużo i zwłaszcza czas, spędzony w zaciszu białostockiem, obracała na zapoznanie się z arcydziełami piśmiennictwa, zwłaszcza francuskiego. Okazuje się atoli, że pani Krakowska nie dość miała baczenia nad lekturą młodej czytelniczki. Jakaż to jednak książka dwuznaczna mogła zabłąkać się na półki poważnej białostockiej biblioteki? Tą książką szkodliwą—nigdy w świecie nie bylibyśmy tego domyślili się sami — było *Génie du christianisme* Chateaubrianda. „Geniusz Chrześcijaństwa — pisze pani Potocka — właśnie świeżo ukazał się z druku. Lecz, niestety, moralność i imaginacya są to dwie rzeczy, nie idące z sobą w parze. Ostrzegam matki, które chciałyby swoim córkom dawać do czytania tę religijną poezyę. Autor umieścił tu mianowicie jeden ustęp z Nowej Heloizy... Ten jeden ustęp zrobił mnie smutną i rozmarzoną. Pan de Chateaubriand niezawodnie miał najlepsze intencye..., a przecież ta jego cytacya była niebezpieczną dla piętnastoletniej panienki". Kilka wierszy Roussa, o których tutaj mowa, są czyste, jak łza. Są to ciche wyrazy żalu jego zrezygnowanej Julii. Nie umielibyśmy nawet przez lupę dopatrzyć się w nich grzechu. Co prawda, jesteśmy może niezdolni zdać sobie należycie sprawy z subtelnej psychologii piętnastoletniego panieńskiego serduszka?

Ale — „Geniusz Chrześcijaństwa“ wyszedł z druku w r. 1802. Liczyła więc wtedy autorka lat dwadzieścia i sześć i można tuszyć, że ani Chateaubriand ani Rousseau nie wyrządzili jej szkody zbyt dotkliwej. Jakkolwiekbądź, tyle wydaje się dosyć pewnem, że absolutna ścisłość chronologiczna nie jest najsilniejszą stroną jej Pamiętników.

Po kilkoletnim pobycie w Białymstoku, wydana za Aleksandra Potockiego, syna znakomitego mowcy i męża stanu, przeniosła się pamiętnikarka do wspaniałej rezydencyi wilanowskiej. Zażnacza jednak od pierwszej niemal chwili pewne rozdźwięki pomiędzy własną, żywszą raczej i lżejszą naturą, a poważniejszym nastrojem rodziny mężowskiej. Dość nieżyczliwie też odzywa się w szczególności o teściowej, pani Stanisławowej Potockiej, Lubomirskiej z domu, którą wszakże zaliczamy do najpoważniejszych dam w towarzystwie ówczesnem. Zresztą pamiętnikarka wydaje się naogół nieco zbyt pochopną do surowego sądu o starszej od siebie generacyi. Tak np. niebardzo jest łaskawą na księżnę Izabellę Czartoryską, której nie przepomina grzechów młodości, której wytyka stare śmieszności i dla której zaledwo zdobywa się na określenie, że „była osobą nie bez wartości“ *(non sans mérite)*. Nie zaliczamy się bynajmniej do ślepych wielbicieli księżny generałowej, ale wysoko cenimy jej obywatelskie dla kraju zasługi i nie mniemamy zgoła, żeby pani Potocka była istotnie powołana do traktowania tak z góry matki ks. Adama i pani Puław. Tutaj, w Wilanowie, miała

pamiętnikarka sposobność w r. 1805 ugaszczać u siebie cesarza Aleksandra I, podążającego na pierwszą swoją rozprawę z Napoleonem, na bitwę pod Austerlitz. Niezmiernie cennym byłby każdy przyczynek do tej znamiennej chwili historycznej, każde świadectwo, oświetlające ciągłą zmianę ówczesnych wpływów i nastrojów w duszy cesarza. Od tych zmiennych nastrojów wtedy zależał los kraju i świata. Cesarzowi już tylko było ręką sięgnąć do pruskiej Warszawy, po Warszawę. Czy wjechać do miasta? Wszystko na to było przygotowane. Rachowano z pewnością i poniekąd nie bez zasady, że byłby powitany aklamacyą przez mieszkańców, doczekujących się niecierpliwie zwolnienia od twardych rządów pruskich. Lecz wieleż względów niesłychanie drażliwych i doniosłych wypadało tutaj brać w rachubę. Pokazać się w Warszawie znaczyło to zerwać z Prusami. Wprawdzie cesarz już szedł ku zerwaniu. Ale jeszcze zostawiał sobie odwrót. Jeszcze nie chciał rzeczy nieodwołalnych. A jeszcze ciągle miał przed sobą groźnego, piorunowładnego Napoleona. Nie dziw, że był zmienny w nastroju z dnia na dzień. Nie dziw, że musiał być innym wtedy w Wilanowie, niż po paru dniach w Puławach. Ale te wszystkie rzeczy nie zostawiły najmniejszego śladu w Pamiętnikach niniejszych. Dowiadujemy się tyle tylko, że cesarz za stołem wilanowskim był bardzo uprzejmy i że był w bardzo obcisłym uniformie. O ważnych wypadkach następnego roku, o pojawieniu się Francuzów, o pobycie Napoleona w Warszawie, o powstaniu Księstwa Warszawskiego, również nie

znalazła autorka nic nowego do powiedzenia. Napoleona po raz pierwszy widziała na balu w Zamku królewskim. „Włożyłam suknię czarną aksamitną, obszytą złotem i perłami *à la Mathilde,* kryzę otwartą *à la* Van-Dyck... kostyum szlachetny i nieco surowy, kontrastujący z moim świeżym i uśmiechniętym wyglądem". Należy podziwiać znakomitą w tym wypadku pamięć autorki, lecz żałować przychodzi, że nie utrwaliła w niej także spółczesnych wypadków dziejowych, niemniej zasługujących na uwagę. Co najwyżej zapisała tu jeszcze parę bardzo ostrych uwag pod adresem pani Walewskiej i Napoleona: „byłyśmy wszystkie zrozpaczone, że osoba, dopuszczona do towarzystwa, okazała tyle łatwości". Ktokolwiek bliżej jest wtajemniczony w ówczesne życie i obyczaje towarzyskie, gotów byłby zapewne uznać tę „rozpacz" za nieco przesadzoną. Żeby nie sięgać daleko, stosunek rodzonej ciotki pamiętnikarki z francuskim ministrem spraw zagranicznych był w tym samym czasie w Warszawie publicznym sekretem i nie brakło wcale dobrych dowcipów na temat czułych sentymentów pani Wincentowej Tyszkiewiczowej o jednem szklanem oku dla ks. Talleyranda o jednej kulawej nodze. Zresztą była to wszak ta sama wczorajsza Warszawa z Pod Blachy, z panią Vauban i ze wszystkiemi akcesyorami. Cokolwiekby sądzić o pani Walewskiej, niepodobna chyba jej właśnie w stosunku do Napoleona odmówić niektórych przynajmniej okoliczności łagodzących.

Od tego też mniej więcej miejsca i od tej chwili przeważną część Pamiętników poświęca autorka wspomnieniom czysto osobistym, a ściśle uczuciowym. Dotyczą one młodego francuskiego oficera huzarów, który z awangardą wielkiej armii przybył do Warszawy. Wydawca nie wymienia jego pełnego nazwiska, „gdyż byłoby niedyskrecyą podnieść tę przejrzystą zasłonę". Zgadzamy się najzupełniej, ale pocóż w takim razie wydawca sam uczynił ową zasłonę tak „przezroczystą", kładąc pierwsze i ostatnie litery nazwiska? Domyśli się z nich łatwo każdy czytelnik, że ukrywa się pod niemi Karol Flahault, generał pierwszego i dygnitarz trzeciego cesarstwa, syn ckliwej romansopisarki, pani de Souza, znany zresztą bardziej jako domniemany syn Talleyranda, przyjaciel królowej Hortensyi i ojciec księcia Morny. Co się tyczy spraw publicznych z r. 1807, zapowiada tu wprawdzie autorka, że ma od teścia „niektóre szczegóły ciekawe i mało znane o zjeździe tylżyckim", lecz tą interesującą zapowiedzią sprawia, niestety, rozczarowanie, gdyż wszystko kończy się na paru starych i błędnych anegdotach o królowej Luizie pruskiej i na mylnej wiadomości, że Stanisław Potocki wezwany był do Tylży dla ułożenia konstytucyi Księstwa Warszawskiego — która przecież, jak wiadomo, podyktowana była przez Napoleona dopiero w Dreźnie, znacznie później. W 1810 r. zjechała autorka na kilkomiesięczny pobyt do Paryża, nie dla samej tylko rozrywki, lecz w sprawie odszkodowania od sztabu francuskiego, o które słusznie upominali się Potoccy, tytułem znacznych szkód,

zrządzonych podczas przemarszu wojsk francuskich. Dostała się tutaj w świetny wir ówczesnego życia dworskiego i towarzyskiego stolicy Francyi, będącej wtedy, więcej niż kiedykolwiek, stolicą świata. Obyczaje, panujące w sferach wielkoświatowych pierwszego cesarstwa, spotykają się z nader surowym sądem autorki. Opowiada z oburzeniem, jak sama bywała przedmiotem natarczywych wzdychań lekkomyślnych Francuzów, a to Narbonna, a to Murata — ba, pozwala domyślać się, że była narażona na niebezpieczeństwo nawet ze strony samego Napoleona. Była mianowicie razu jednego proszona na obiad galowy do Saint-Cloud i przy tej okazyi wyróżniona nieco dłuższą rozmową z cesarzem. „Nazajutrz drzwi moje były w oblężeniu. Proponowano mi najpiękniejsze hotele w Paryżu. Śmiano mnie namawiać, abym nie odpychała tego, co nazywano zaszczytnym faworem". Owóż to wszystko działo się w czerwcu 1810 r. Jeśli uwzględnić, że dla cesarza już wtedy ciężkie otwierały się kłopoty, że mianowicie otwierały się niebezpieczne komplikacye z Rosyą w rzeczach polskich, że właśnie traktował z Petersburgiem w niezmiernie drażliwej sprawie konwencyi polskiej, że tembardziej starał się akcentować swoje zainteresowanie dla wszystkich wybitniejszych Polaków przebywających w Paryżu i informować się od nich bezpośrednio o nastroju umysłów w Księstwie, że w dodatku wtedy od niewielu zaledwo tygodni był mężem młodej Maryi-Ludwiki i mężem najczulszym, że zresztą autorka, jak wiadomo, nie odznaczała się urodą: to może nie byłoby

wyłączonem przypuszczenie, że nie miała ona właściwie powodu niepokoić się zanadto i że raczej zbyt podejrzliwie tłómaczyła sobie życzliwe intencye Napoleona. Poza tem ogranicza się pani Potocka na obszernych opisach wizyt, spacerów i festynów paryskich; niemasz tu jednak niczego, co mogłyby się równać z takim np. świetnym obrazem obyczajowym i przenikliwą analizą psychologiczną, jaką znajdujemy w Pamiętnikach pani Rémusat, albo nawet z lekką i barwną opowieścią księżny Abrantès.

Z okresu ciężkich przejść 1812 i 1813 r. podaje pamiętnikarka szczegóły, bądź ogólnie znane, bądź błędne. Nawet kiedy chodzi o ostatnie czyny ks. Józefa Poniatowskiego, którego wszak była blizką krewną i sukcesorką, niedokładnie jest informowana: tak np. każe mu wyjść z Warszawy z wojskiem już w styczniu 1813 r., kiedy zasługę rzadkiej stałości księcia stanowi właśnie ta okoliczność, iż wytrwał aż do samego końca, tj. aż do lutego i ostatni opuścił nasze miasto przed objęciem go w posiadanie przez zwycięskie wojska rosyjskie. Niczego też nie dowiadujemy się o interesujących szczegółach tej, tak doniosłej w skutkach, okupacyi rosyjskiej, skąd miało wyłonić się Królestwo Polskie i wszystek, aż po dziś dzień, przebieg losów krajowych. Możnaby jednak gdzieindziej znaleźć niektóre dość ciekawe szczegóły, pominięte przez pamiętnikarkę. Tak więc z Dziennika generała angielskiego, Wilsona, który wtedy jeden z pierwszych, w awangardzie rosyjskiej, wkroczył do Warszawy, dowiadujemy się, że natychmiast, zaraz

w lutym 1813 r., w Wilanowie i Natolinie urządzane były przyjęcia dla niego, Nowosilcowa i innych, i to, w nieobecności właściwego gospodarza, prezesa ministrów, Stanisława Potockiego, będącego z ks. Józefem i armią w drodze do Krakowa — urządzane przez samą pamiętnikarkę, której wspaniałych pereł i uprzejmej gościnności dla zwycięzców nie umie się dość nachwalić grzeczny Anglik.

Luźne wiadomości pani Potockiej o Kongresie wiedeńskim, czerpane przez nią wyłącznie z cudzych opowiadań, są też z konieczności raczej błahe i przeważnie opaczne. Treść końcowych wspomnień z pierwszych pięciu lat Królestwa Kongresowego również nie zawiera godniejszych uwagi przyczynków, a dosyć natomiast nieścisłości. Skądinąd wiadomo, że w Warszawie owoczesnej nie cieszyła się autorka żywszą sympatyą. „Nikt nie zaprzeczy pani Aleksandrowej Potockiej — tak wyraża się o niej pod te czasy zacny generał Kołaczkowski— wrodzonego dowcipu, wielkiego gustu w sztukach nadobnych, osobliwie w rzeźbiarstwie i malarstwie. Lecz uchodziła za cierpką, obmowną, skąpą, dlatego też nie była lubianą, a raczej wzbudzała obawę towarzystwa". Rozwiedziona już wtedy z pierwszym mężem, zamieszkała we własnym pałacu na Nowym Świecie, gdzie zbierało się u niej nieliczne grono znajomych, stale na wista przychodził Chłopicki, zjawiał się często Niemcewicz. Naogół w tym czasie nadawała swemu salonowi charakter potrosze opozycyjny, choć ta opozycyjność wyrażała

się więcej w ogólnej ostrej krytyce salonowej, niż w jakiejkolwiek konkretnej dążności politycznej.

Ale zastrzegliśmy z góry, że pani Potocka kobietą polityczną nie była. Co więcej, musieliśmy dodać, że nie była wybitniejszą działaczką społeczną. W rzeczach publicznych należała poniekąd do nieobecnych. I to jest powód główny i istotny, dla którego jej Pamiętniki— aczkolwiek, niepozbawione ujmujących rysów czułości macierzyńskiej i domowego przywiązania, mogą stanowić drogą pamiątkę rodzinną, aczkolwiek, niepozbawione żywności i gracyi, mogą mile zająć cudzoziemca— nie mogą jednak budzić głębszego zainteresowania śród oświeconego naszego ogółu.

Szwoleżerowie.

Olbrzymia księga, którą mamy przed sobą, jest nietylko piękną książką, jest także pięknym czynem *). Jest poważnym i stosownym aktem pietyzmu. Przynosi ona zaszczyt wydawcy i nakładcom. Wydawca nie szczędził nadzwyczaj mozolnego trudu, aby zgromadzić, uporządkować i opracować materyał aż nadto obfity. Nakładcy nie żałowali wyjątkowo znacznych ofiar, aby swoją publikacyę przyodziać w godną, aż nawet zbytkowną, szatę zewnętrzną. Nie trzeba wcale być rzeczoznawcą, żeby ocenić już na pierwszy rzut oka, jak wiele zachodu wymagać musiało wydanie tych tysiąca źródłowych stronic dużego oktawu, oraz jak wiele kosztów musiał pochłonąć nakład tego wspaniałego tomu, z mnóstwem portretów, akwareli, podobizn, odtworzonych w najdoskonalszym i najnowszym technicznym sposo-

*) *„Źródła do historyi pułku polskiego lekkokonnego gwardyi Napoleona I.“* Wydał Aleksander Rembowski. Biblioteka Ordynacyi Krasińskich. Muzeum Konst. Świdzińskiego.

bie. Lecz nie w tem istota rzeczy. To byłaby raczej strona podrzędna. Dalecy jesteśmy od cenienia produkcyi piśmienniczych według ilości jednostek sześciennych zadrukowanego papieru, a tem mniej — według wysokości kwoty, zapłaconej drukarzowi. Nie brak doprawdy publikacyi, równie, czy nawet jeszcze więcej pracowitych, i równie, czy nawet jeszcze więcej kosztownych, których istotna potrzeba i wartość w żadnym przecie nie są stosunku do zużytego „czasu i atłasu". Inaczej, na szczęście, stało się w obecnym wypadku. Mrówcza pracy wydawcy, hojna ofiarność nakładców, pobudzone i kierowane sympatyczną chęcią uczczenia i upamiętnienia rzeczy, wartych czci i pamięci, złożyły się tym razem na całość, istotnie pożądaną i szacowną. Tak powstało niniejsze imponujące dzieło o pułku szwoleżerów. Jedyne niezawodnie w specyalnem piśmiennictwie polskiem, nawet w zagranicznem byłoby ono napewno zaliczone do wytworniejszych rzadkości edytorskich. Nie sądzimy, aby którykolwiek regiment którejkolwiek broni mógł pochwalić się pomnikiem świetniejszym od tego, jaki tutaj wystawiono lekkokonnym polskim. I jakkolwiek w genealogii wojskowej jeden z najmłodszych i najkrótszego żywota, zasłużył sobie wszakże na taki pomnik i oddawna dopominał się go od swoich polski pułk szwoleżerów napoleońskich.

Główną zawartość książki niniejszej stanowi szczegółowa „*Notice historique sur le régiment des chevau-légers polonais*" przez generała Dautancourta. Piotr Dautancourt, zaciągnąwszy się jako młody chłopak do

armii rewolucyjnej, w celniejszych kampaniach republikańskich i napoleońskich z prostego żołnierza dosłużył się szefostwa szwadronu, kiedy, w 1807 r., przeznaczony został od cesarza na drugiego grosmajora do formującego się pułku szwoleżerów. Odtąd w charakterze instruktora, a przedewszystkiem głównego administratora, pozostał przy pułku aż do jego rozwiązania w 1814 r. Człowiek prosty, lecz wypróbowanej zacności, waleczny żołnierz, administrator wzorowy, wkrótce zyskał sobie serdeczne przywiązanie polskich towarzyszów broni. Obdarzyli go oni popularnym przydomkiem „papy regimentu", na co dobrze zasłużył sobie swoją niezmordowaną pieczołowitością administracyjną. Rzeczywiście, poczciwy Francuz całą duszą zrósł się z doborowym pułkiem polskim. Sam następnie, z własnego dziennika i papierów kancelaryi pułkowej, zestawił wyczerpującą „Zapiskę historyczną o regimencie polskim lekkokonnym". Już Zygmunt Krasiński, syn pułkownika szwoleżerów, przed samą swoją śmiercią nosił się podobno z myślą ogłoszenia tego ciekawego dokumentu. Rzecz wtedy została jednak zaniechana, zapewne ze względu na niepomyślne wypadki krajowe, i dziś dopiero, po czterdziestu przeszło latach, doprowadzona do skutku w książce niniejszej. Nie straciła nauka na tem opóźnieniu. Zbogaciły „Zapiskę" Dautancourta obfite i cenne uzupełnienia: nowa przedmowa wydawcy; słowo wstępne generała Chłapowskiego, pisane zapewne około 1860 r.; stan służby oficerów i spis alfabetyczny żołnierzy; treściwa: „*Notice pour servir à l'historique du*

corps", wyjęta z matrykuły pułkowej; rozprawka generała Krasińskiego „O użyciu lancy", powtórzona z pierwodruku francuskiego 1811 r.; wiadomość o umundurowaniu szwoleżerów: wreszcie zbiór marszów, pieśni wojennych i wierszy, odnoszących się do pułku w ogólności i szarży pod Somo-Sierrą w szczególności.— Wszystko to razem, obficie w dodatku ilustrowane, utworzyło monumentalną i wszechstronną monografię źródłową o pułku lekkokonnym.

Pułk szwoleżerów zrodził się z gruzów potęgi pruskiej, obalonej ręką Napoleona. Zwycięstwo jenajskie z końcem 1806 r. zaprowadziło cesarza, na Berlin i Poznań, do Warszawy. Wszakże po łatwej kampanii pruskiej rozpoczęła się dopiero ciężka czwarta kampania koalicyjna, a „pierwsza kampania polska". Zaraz za pierwszem pojawieniem się cesarza tworzyły się w Poznaniu i w Warszawie gwardye honorowe z młodej szlachty przy jego osobie. Jednak właściwa organizacya siły zbrojnej krajowej odbywała się według zasad ogólnych, prowadzona w Wielkopolsce przez generała Dąbrowskiego, w stolicy — przez ks. Poniatowskiego, pod kierunkiem Komisyi Rządzącej Tymczasowej.

Naraz, dosyć późno, po półrocznych czynnościach wojennych, a sposobem wyjątku z organizacyi ogólnej, postanowione zostało przez Napoleona stworzenie oddzielnego pułku szwoleżerów polskich w służbie gwardyi francuskiej. Dekret cesarski, wydany z kwatery głównej w Finckenstein 6 kwietnia 1807 r., włączał do tej nowej formacyi gwardyę narodową warszawską, już

istniejącą, a powoływał nadto młodą szlachtę polską, właścicieli lub synów właścicieli ziemskich, obowiązując ich ekwipować się kosztem własnym; zresztą warował dla nowego pułku wszelkie prawa i przywileje gwardyi cesarskiej francuskiej. Równocześnie pułkownikiem szwoleżerów mianowany został przez cesarza Wincenty Krasiński, nominalny wtedy dowódca pułku strzelców, znajdujących się przy sztabie głównym francuskim.

Żałować należy, że rzeczone dekrety erekcyjny i nominacyjny — pominięte zresztą w „Korespondencyi Napoleona I", — oraz, co główna, ich właściwa geneza i znaczenie, nie zostały dostatecznie wyświetlone przez uczonego wydawcę. Nie podejmujemy się oczywiście w przygodnem sprawozdaniu rozstrzygnąć tej, bądź co bądź, zasadniczej sprawy. Pozwalamy sobie jedynie niektóre incydentalne wyrazić uwagi.

Położenie Napoleona w tej samej właśnie chwili było niezmiernie trudne i niebezpieczne. A było nadto szczególnie drażliwe ze względu na sprawę polską. Po krwawej „rzezi", jak sam zgnębiony wykrzyknął Napoleon, pod pruską Iławą (luty 1807), mógł on w każdym momencie dostać się już nie między dwa, lecz między trzy ognie, na wypadek przewidywanego przystąpienia Austryi do koalicyi. Gorączkowe w tym względzie rokowania prowadzone były już oddawna, zaś ze szczególną natarczywością od świeżej daty iławskiej, pomiędzy kwaterą główną rosyjską i gabinetem pruskim, a ośmielonym dworem wiedeńskim. „Z dnia na dzień—tak pod tą samą właśnie datą stwierdzał w swoich zapiskach ge-

nerał Bennigsen, wódz naczelny armii rosyjskiej — oczekiwaliśmy sukursu od Austryaków, którzy w jednem mgnieniu mogli rzucić z Czech gotową 80 tysięczną armię na tyły Napoleona". Z drugiej, północnej strony również zbierały się śpieszące na odsiecz sprzymierzeńcom świeże kilkunastotysięczne wojska szwedzkie i dwudziestotysięczny korpus angielski. Natomiast siły Napoleona, nadwerężone długą i morderczą kampanią, szybko topniały. Od chwili przekroczenia Renu aż do wiosny 1807 r. stracił on, według umiarkowanego rachunku, do 100 tysięcy ludzi, ubyłych z szeregu, czy to z ręki nieprzyjaciela, czy też z chorób i wyczerpania. Zapełnianie rozluźnionych kadrów, na tak znacznej odległości od Francyi, w uciążliwej porze zimowej i wiosennej było połączone z niezmiernemi trudnościami. Zaprowiantowanie armii na ubogich i zniszczonych ziemiach polskich wiele pozostawiało do życzenia. W dodatku — i na tę mianowicie okoliczność pragnęliśmy pod koniec położyć nacisk osobliwszy na tem miejscu,— usposobienie umysłów w tych ziemiach polskich, jakkolwiek naogół nader przychylne, nawet entuzyastyczne, względem Napoleona zwycięzcy, cudotwórcy, zbawcy od jarzma pruskiego,— jednakowoż nie było jeszcze zupełnie jednolitem ani zupełnie ugruntowanem. Kraj ten, wczora pruski, dziś francuski, jutro warszawski, ostatnimi czasy był przechodził koleje zbyt gwałtowne i zbyt raptowne, ażeby w nim opinia publiczna już zdążyła ostatecznie i nieodwołalnie wyklarować się i ustatkować. Przeciwnie, były tam niektóre wpływy dość

znaczące, niektóre usiłowania wcale wyraźne, pociągające opinię w zgoła odmiennym kierunku, mącące ją i wytrącające z równowagi. Nie mogło być zresztą inaczej. Zbyt doniosłe sprawy, byt kraju, może byt samego narodu, ważyły się na szali dziejowej. Któż mógł wyprorokować napewno, zwłaszcza po Iławie, czy fortuna napoleońska nie ugrzęźnie w obnażonych trzęsawiskach litewskich? Któż mógł napewno przewidzieć Frydland? Nie dziw przeto, że w tej krytycznej, przełomowej chwili musiano również brać na uwagę możliwość klęski francuskiej; nie dziw, że można było poniekąd dawać ucho widokom i propozycyom, przychodzącym z wprost przeciwnej strony i przeciwnego obozu. Zaś takie propozycye i widoki nie były bynajmniej nowością. Dopiero niedawno, przed półtora rokiem zaledwo, były nadchodziły one do pruskiej jeszcze wtedy Warszawy z kwatery głównej cesarza Aleksandra w Puławach, jesienią 1805 r. Obecnie, na wiosnę 1807 r., przychodziły do francuskiej Warszawy z kwater rosyjskich w Tawrogach i Bartoszycach. W otoczeniu cesarza Aleksandra, znów jak przed kilkunastu miesiącami, najśmielsze planowano zamysły. Z polecenia ks. Adama Czartoryskiego zaufany jego pomocnik, Stanisław Ursyn Niemcewicz, wygotował kompletny projekt złączenia wszystkich ziem polskich pod berłem Aleksandra. Sam Czartoryski wygotował już nawet w tej materyi wymowne pismo okólne, do „znamienitszych w Polsce obywatelów". Dawny legionista, generał Kniaziewicz, pośpiesznie został powołany do kwatery głównej Aleksan-

dra w Tawrogach i usłyszał tutaj z własnych ust cesarza najdalej sięgające zapowiedzi. Bennigsen w obozie bartoszyckim lada chwila zamierzał „na własną swoją odpowiedzialność“ ogłosić cesarza Aleksandra królem polskim. Tak sprzeczne, tak nadzwyczajne ewentualności, nie mogły pozostać całkiem bez wpływu na nastrój umysłów w Warszawie, ani nawet na działalność Rządu Tymczasowego warszawskiego ustanowionego przez Napoleona. W rzeczy samej, w zapiskach Bennigsena znajdujemy nader zastanawiające wyznanie, że „najdokładniejsze i najwiarogodniejsze informacye (o ruchach wojsk francuskich) otrzymywaliśmy (t. j. komenda rosyjska) z Warszawy, skąd nadsyłane były regularnie, dwa razy w tygodniu, z bardzo dobrego źródła“. Lecz nawet już niezależnie od takich szczegółów, aż zanadto drażliwych, sama najniezbędniejsza akcya prowiantowa i rekrucka Komisyi Tymczasowej warszawskiej była oczywiście w pewnej mierze krępowana pośród takich wyjątkowych warunków, zaś w ogólności nastrój opinii publicznej, zwłaszcza w wyższych kołach społecznych, nie mógł przyjść do pożądanej pełnej i trwałej równowagi.

Te wszystkie rzeczy, bardzo interesujące a bardzo mało znane, z marca i kwietnia 1807 r., spodziewamy się jeszcze w swoim czasie i miejscu szczegółowo wyjaśnić. Obecnie stwierdzamy tylko, że musiały one w wysokim stopniu niepokoić Napoleona, i to tem bardziej, że nie mogły one nie wpływać poniekąd na osłabienie tempa organizacyi rządowej i wojennej w War-

szawie. Próbował i on na swój sposób jąć się stosownej dywersyi. Jeszcze z iławskiego pobojowiska wypuścił generała Bertranda z misyą pokojową do Fryderyka-Wilhelma III. Bertrand między innemi miał ofiarować królowi pruskiemu koronę polską. Król odmówił. Wtedy zwrócił się Napoleon do Aleksandra z propozycyą zwołania kongresu pokojowego do Drezna. I tu otrzymał odprawę. Wypadało tedy gotować się na ostateczną, na śmiertelną rozprawę. W takiem położeniu cesarzowi Francuzów musiało wiele zależeć na tem, aby jak najpełniej i jak najdotykalnej utrzymać w swoich rękach ducha publicznego polskiego. Owóż właśnie stworzenie polskiego pułku szwoleżerów przybocznej gwardyi cesarskiej, wcielenie młodzieży najpierwszych domów polskich bezpośrednio do zaciągu służby francuskiej, wydało się niezawodnie środkiem nader po temu skutecznym. Myśl ta, zdaje się, powstała nagle i natychmiast została urzeczywistniona: przynajmniej we wcześniejszych zleceniach cesarskich dla Talleyranda do Warszawy nie spotykamy żadnego jej śladu. Czy powziął ją sam Napoleon, czy podali Sapieha albo Krasiński, nie chcemy przesądzać. Mamy powody do przypuszczenia, że ani ks. Poniatowski, ani nawet Dąbrowski nie zapalali się bynajmniej do tego pomysłu w pierwszej chwili, kiedy został powzięty. Przeciwnie, cesarz odrazu wziął tę sprawę nadzwyczaj do serca. Tegoż samego dnia, zaraz 6 kwietnia, kiedy podpisał dekret, wyprawił wieczorem Dautancourta do Warszawy dla niezwłocznego wykonania. „Będziesz pan popierał na wszelki sposób,

pisał cesarz do Talleyranda, formacyę tego pułku. Pragnę mieć pierwszy szwadron w ciągu dwóch tygodni". Talleyrand w rzeczy samej z nadzwyczajną energią wystąpił w tej sprawie, zarówno wobec ks. Poniatowskiego, dyrektora wojny, jakoteż Stanisława Małachowskiego, prezydenta Komisyi Rządzącej. Chodziło tu widocznie nietylko o formacyę wojskową, lecz także poniekąd o akt polityczny.

Odrębny charakter polityczny i stanowy, dający się spostrzegać przy samem poczęciu pułku szwoleżerów, mógłby zapewne nastręczyć niektóre uwagi krytyczne co do samej genezy tego sławnego pułku. Podnosimy atoli z naciskiem, że te zastrzeżenia odnosić się mogą wyłącznie do samego genetycznego momentu, a natomiast zgoła nie dotyczą następnej, rzeczywistej historyi służbowej szwoleżerów, otwierającej się śród zdeklarowanych już warunków po zwycięstwie frydlandzkiem. Od tego też miejsca aż do kresu można tylko pisać się w zupełności, jeśli nie we wszystkich może poszczególnych argumentach, to napewno w głównych wnioskach ostatecznych, na wymowną i przekonywającą apologię pułku szwoleżerów, wygłoszoną przez wydawcę, a skierowaną przeciw uprzedzonym detraktorom zagranicznym oraz przeciw zbyt jednostronnym sędziom swojskim. Góruje ona w tej myśli przewodniej, niewątpliwie najściślej prawdziwej, iż ożywczą sprężyną duchową i moralną, która jedynie potrafiła uzdolnić szwoleżerów polskich do tylu, w tak krótkim czasie, niezwykłych i znakomitych dzieł wojennych, była nie ambicya osobista,

nie chęć usłużenia obcemu mocarzowi, chociażby nawet takiemu geniuszowi, jak Napoleon, lecz było przedewszystkiem i nadewszystko głębokie przywiązanie do własnego rodzinnego społeczeństwa i nieodstępna świadomość pełnionego bez żadnej przerwy, na najdalszej bodaj obczyźnie, własnego, krajowego obowiązku.

Jednakowoż, jeśli w pięknej książce niniejszej spotykamy się z ciepłą i sprawiedliwą apologią, nie spotykamy się przecie z panegirykiem. „Brałem w rachubę i ten wzgląd — objaśnia wydawca — że pułkiem szwoleżerów gwardyi od początku do końca jego istnienia dowodził generał Wincenty Krasiński, pierwszy ordynat. Z tem wszystkiem decydującym powodem, który mnie skłonił do wydawnictwa, było wyjątkowe stanowisko i wyjątkowe dzieje regimentu, na które się składało nieporównane męstwo, ale i gorliwa służba obywatelska, płynąca z płomiennej miłości kraju". Ten trafny punkt wyjścia niezawodnie obrócił się na dobro wydawnictwa. A więc, jakkolwiek wyszło ono niejako z domu dowódcy regimentu, przecież zachowało charakter rzeczy publicznej, nie prywatnej, stało się pomnikiem pułku, nie pułkownika. Wydaje się to ze wszech miar właściwem i uzasadnionem. Generał Wincenty Krasiński, zasłużony zapewne szwoleżer, lecz uzdolnień wojskowych co najwyżej miernych, powagi politycznej — żadnej, postacią pomnikową bynajmniej nie był i nie jest. Ani też nie będzie on kiedykolwiek, jak mniemamy, miał wiele do zyskania na przyszłych badaniach dziejopisarskich. Posiada on swój słuszny, lecz zupełnie dostateczny i ściś-

le ograniczony, udział we wspólnym monumencie, wzniesionym zbiorowej pamięci szwoleżerów.

Niepodobna nam na tem miejscu, choćby nawet najpobieżniej, wertować wszystkich, tak świetnych kart dziejowych pułku szwoleżerów. W kampanii 1807 r. pierwsze, ledwo sformowane szwadrony nie zdążyły wziąć czynnego udziału; już jednak były prezentowane w Tylży. Tem świetniej odznaczył się pułk w kampanii hiszpańskiej 1808 r. Skądinąd zapewne możnaby ubolewać, że Polakom wypadło przyłożyć się do zwalczenia broniących niepodległości Hiszpanów. Ale skoro tak chciała wyższa konieczność dziejowa, ten ciężki obowiązek z największą chlubą wypełniony został przez broń szwoleżerską. Wtedy to mianowicie przypadło sławne wzięcie wąwozu pod Somo-Sierrą, epizod, nie mający sobie równego w całej nowoczesnej historyi wojskowej. Niemniej wybitny był udział pułku lekkokonnego polskiego w kampanii austryackiej 1809 roku, a zwłaszcza w decydującej rozprawie pod Wagram. W kampanii moskiewskiej 1812 roku szwoleżerowie, w pomniejszych oddziałach rozrzuceni pomiędzy rozliczne jednostki operacyjne Wielkiej armii, wszędzie wykazali pierwszorzędne zalety bojowe i zwłaszcza podczas straszliwego odwrotu z pod Moskwy znamienite oddali usługi. Do najczynniejszej może i najkrwawszej roboty powołany był pułk w ciągu kampanii saskiej 1813 roku i francuskiej 1814 r., i tutaj też najbardziej wyczerpującą staje się „Zapiska“ Dautancourta, naocznego świadka i uczestnika tych nieszczęśliwych walk

ostatnich. Aż do samego końca dotrwali szwoleżerowie przy Napoleonie. Dopiero w kwietniu 1814 r., zwolnieni od przysięgi aktem abdykacyjnym cesarza, razem z innymi niedobitkami polskimi powierzyli swoje losy w ręce Aleksandra I, jako predestynowanego monarchy przyszłego Królestwa Polskiego. W czerwcu t. r. na równinie w Saint-Denis pod Paryżem odbyli rewię przed W. Ks. Konstantym, jako tymczasowym wodzem naczelnym wojska polskiego, i stąd skierowani zostali do Warszawy, gdzie częściowo weszli do nowych formacyi armii Królestwa. Jeden atoli szwadron pod Jerzmanowskim na własne życzenie towarzyszył Napoleonowi na Elbę, powrócił stamtąd następnie razem z cesarzem, uczestniczył we wszystkich walkach Studniowych, bił się pod Waterloo i wyniósł na lancy szwoleżerskiej ostatni promień legendy napoleońskiej.

Generał Chłapowski.

Poważna i niezwykła postać Dezyderego Chłapowskiego znana była dotychczas niemal wyłącznie z cudzych o nim głosów. Te głosy między sobą skróś były sprzeczne. Odezwały się nasamprzód namiętne lub potwarcze oskarżenia Mochnackiego i Wrotnowskiego, lekkomyślne zarzuty Dembińskiego, lekceważąca opinia Prądzyńskiego, surowe zdanie Barzykowskiego. Potem przyszła kolej na rehabilitacyę, na gorącą obronę Macieja Mielżyńskiego, a po zgonie sędziwego generała przyszły hyperbole nekrologowe i biograficzne Pawła Popiela i Kalinki. Sam Chłapowski nic o osobie ogółowi nie mówił. Od oskarżeń się nie bronił, wyrzutów ani podejrzeń nie odpierał. Samochwalstwem brzydził się zawsze. Popularności nie szukał nigdy. Jednak jedyne jego krótkie pismo publiczne, gdzie mówił o wypadkach, w których brał udział, pismo, skreślone w chwili powszechnego pomieszania i gorączki, a dziwnie spokojne, dorzeczne i zwięzłe, nacechowane przedmiotowością zimną, jasną i bezwzględną, odrazu dawało miarę człowieka, świadczyło, że jest to jeden z tych ludzi, co

bez pośredników obchodzą się najlepiej, i nakazywało przypuszczać, że własne jego słowa najlepszym będą kluczem do własnych jego postępków i własnej duszy. Teraz, w rzeczy samej, z własnych „Pamiętników“ Chłapowskiego możemy go poznać dokładnie i sprawiedliwie ocenić *). Powiemy więcej. Te „Pamiętniki“ są nietylko niezbędnym przyczynkiem dla oświetlenia wybitnej postaci publicznej. Jest w nich tyle panowania nad sobą, tyle przetrawionego doświadczenia, tyle jędrnej prostoty, tyle lapidarnej wymowy samych nagich, faktycznych szczegółów, że wypadnie odtąd te ułamkowe zapiski wojenne zaliczyć do piękniejszych kart naszej literatury pamiętnikowej. Ogłoszeniem „Pamiętników“ Chłapowskiego jego rodzina zasłużyła się zarówno i jego imieniu, i czytającemu ogółowi.

Złą atoli przysługę wyrządzono generałowi, kiedy dzisiaj, w przedmowie do wspomnień niniejszych, sięgnięto dla nich po porównanie aż do zapisków Cezara i dyktand Napoleona. Równie złą, jak kiedy przed dwudziestu laty, w krasomówczych nekrologach i życiorysach, chciano z tego niepospolitego człowieka zrobić wielkiego człowieka. Są, istotnie, w Chłapowskim niepospolite rysy ducha. Jest duże i ofiarne poczucie obowiązku, charakter zgoła czysty i prawy, wola jednolita, prosta i silna. Jest trzeźwy rozsądek, wrodzony zmysł

*) Generał Dezydery Chłapowski: *„Pamiętniki. Część I. Wojny Napoleońskie 1806—1813. Część II. Wojna roku 1830—1831“*. Nakładem synów.

realny, wstręt do pozorów, poufałości, gadaniny, instynkt porządku i karności, zespolony z rozkazującym instynktem naczelnika. Ale to poczucie obowiązku jest wtłoczone w pewną sztywną formułkę, zamknięte ściśle w kole pewnych pojęć, niedopasowanych do natury wyjątkowej owoczesnej doby. Ten charakter, wola, rozsądek nie są w tym gatunku, nie są tej najwyższej próby, jakiej wymagały okoliczności. Talent, jednem słowem, jest drugorzędny. Ambicya zbyt wielka zarazem i zbyt mała. Zbyt wielka, jak na człowieka prywatnego, który samem wzięciem się swojem chciał i mógł imponować osobiście, ale w którym nie było bynajmniej dosyć istotnej potęgi duchowej, ażeby ten autorytet osobisty wprost przenieść do sfery publicznej i narzucić ogółowi. Zbyt mała, jak na człowieka, powołanego do wydatnego stanowiska publicznego, a który nie umiał nagiąć swojej indywidualności prywatnej do niezbędnych wymagań powszechnego położenia. Stąd wynikła dysproporcya pomiędzy tem, czego oczekiwano od Chłapowskiego, czego on sam po sobie oczekiwał, a tem, co on dał w istocie, głęboka dysproporcya pomiędzy dużą, rzeczywistą wartością człowieka a znikomem znaczeniem jego rzeczywistych usług i roli historycznej.

Pochodził z dobrej i wybitnej szlachty wielkopolskiej. Ojciec, obywatel i gospodarz nieosobliwy, nadszarpnął majątek przez pańskie, nad swój stan, fantazye i zachcianki; wcześnie też pogodził się z nowym rządem pruskim, syna zapisał na korneta do pruskiego pułku dragonów i wysłał na edukacyę do szkoły artyleryjskiej

w Berlinie. Przerwała nauki wojna 1806 roku. Dotychczas, pośrodku powszechnej zawieruchy napoleońskiej, jedne Prusy stały w pokoju, nietknięte i, zdawało się, nietykalne. Naraz klęska jenajska od jednego zamachu zwaliła wszystek gmach Fryderykowej potęgi.

Z podziwem i zachwytem młody Chłapowski, w kilkanaście dni zaledwo po rozpoczęciu kampanii, ujrzał awangardę francuską, wstępującą do Berlina. Gorący chłopak w ten moment skoczył na konia i popędził cwałem do Poznania z wieścią nadzwyczajną, która, oczywiście, wypłoszyła natychmiast z Wielkopolski garnizony i urzędy pruskie. Zjawili się na ich miejsce Dąbrowski i Wybicki. Niebawem stanął w Poznaniu Napoleon. Utworzono dla niego gwardyę honorową z synów obywatelskich; dostał się do niej Chłapowski. Cesarz konno rekognoskował okolice Poznania; słota grudniowa zepsuła wszystkie drogi i jednego razu wjechano w takie bagno, że sztabowcy francuscy, wyprzedzający cesarza, utknęli bezradnie. Chłapowski, jadący z tyłu z eskortą, na ten widok wyrwał się naprzód z okrzykiem: *un Polonais passe partout,* przesadził błotnisty rów na łące i wskazał przejazd cesarzowi. Napoleon zwrócił uwagę na żwawego młodzieńca, zatrzymał go tego dnia na obiedzie, a że miał w zwyczaju uczyć się wszędzie i od każdego, zaraz wziął go na indagacyę. „Zdawało mi się — opowiadał Chłapowski — żem go już dawno był widział, tak portrety jego były podobne. Trudno było jednak kolor oczu rozpoznać; tak były ciągle w ruchu, że niepodobna było im się przypatrzyć; zdawały mi się

naówczas ciemne, zapewne dlatego, że były głęboko osadzone; później widziałem, że były bardzo jasne. Mówiąc, nie patrzył w oczy temu, z kim mówił, ale na dół lub na bok; czasem tylko spojrzał prosto w twarz... Obiad nie trwał dłużej nad pół godziny. Przez te pół godziny cesarz pytał się jednak o bardzo wiele rzeczy. Szybko zadawał mi pytania, jak gdybym mu zdawał egzamin... O Litwie nic nie wiedział, ani tego nawet, jakim sposobem się z Rzpltą połączyła. Musiałem mu to opowiadać. Wogóle naszą historyę mało znał, a pruską, jak mi się wydawało, tylko od Fryderyka II... O stan chłopów także się pytał. Opowiadać sobie obszernie kazał, jak Prusy Książęce elektorowi brandenburskiemu się dostały".

Napoleon z Poznania wyruszył wprost do odebranej Prusakom Warszawy. Tymczasem rozpoczęła się ciężka kampania 1807 roku. Dąbrowski pośpiesznie formował dywizyę wielkopolską. Wstąpił tutaj Chłapowski w stopniu porucznika do pułku piechoty ks. Sułkowskiego, z którym był spowinowacony. W potyczce pod Tczewem wytrzymał pierwszy chrzest ogniowy i zaraz zasłużył sobie na czerwoną wstążkę Legii honorowej. Wkrótce jednak, już w marcu, przy oblężeniu Gdańska, wpadł w zasadzkę i wzięty został do niewoli. Młody, zupełnie nieznany chłopak odebrał wtedy pierwszy pochlebny dowód wyjątkowej pamięci i łaskawości cesarskiej. Napoleon, który przecie naówczas miał zaiste dość i zadużo spraw ważniejszych na skłopotanej swej głowie, zasłyszawszy o wzięciu młodego porucznika przez

Prusaków, nie zaniedbał wstawić się osobiście za jego uwolnieniem. „Żywię szczególniejsze zainteresowanie dla tego młodego człowieka“, — pisał sam z kwatery głównej do dowódcy korpusu oblężniczego, marszałka Lefebvra, rozkazując mu niezwłocznie zwrócić się bezpośrednio do komendanta Gdańska, generała pruskiego Kalkreutha, z żądaniem zamiany Chłapowskiego. Nie mógł nie wiedzieć pamiętnikarz o tej osobistej reklamacyi Napoleona; wszakże w swoich zapiskach pomija ją milczeniem, podobnież jak przemilcza z zasady, z właściwą sobie wstrzemięźliwością, wiele innych zaszczytnych dla siebie szczegółów własnej służby i karyery. Zresztą wstawiennictwo cesarskie przyszło tym razem zapóźno. Zanim mogło ono osiągnąć skutek, Chłapowski z Gdańska już został wywieziony do Rygi, gdzie kilka miesięcy wysiedział aż do pokoju w Tylży. Skorzystał z odzyskanej wolności dla odwiedzenia i poznania Wilna i Warszawy. Kilka dni bawił w Wilnie; objeżdżał i uważnie zrekognoskował okolice miasta, nauczony przykładem cesarza w Poznaniu; nie przewidział, że ten objazd przyda mu się kiedyś w najważniejszej i najcięższej chwili jego życia. W Warszawie widział ks. Józefa Poniatowskiego i odebrał od niego nominacyę na adjutanta przy generale Dąbrowskim. Lecz już po kilku miesiącach nowe, niespodziane i zaszczytne otrzymał przeznaczenie. Napoleon, który wśród swoich trosk światowych umiał pamiętać o najmniejszej rzeczy, rozkazał przysłać sobie do Paryża „tego małego Polaka

co to wszędzie przejedzie", i mianował go oficerem ordynansowym przy swoim boku.

Zaczęło się dla Chłapowskiego nowe, gorączkowe życie, nowa, pięcioletnia bez wytchnienia służba, niezmiernie wyczerpująca, ale też niezmiernie kształcąca. Był jeszcze bardzo młody. Zachował się portret jego z tej epoki; smagła, śmiała twarz, rysy regularne, suche i czyste, oko bystre, gęsta, nieco zwichrzona czupryna, piękny, dwudziestoletni chłopak, małego raczej wzrostu, szczupły, ale bardzo kształtny, znać, że zwinny do konia i szabli, że wytrzymały i sprawny, typ nawskróś rasowy. Taki typ, oddany do szkoły napoleońskiej, musiał udoskonalić się i większej jeszcze nabrać tęgości. Ciągła teraz blizkość cesarza, ciągły jego widok, ciągła pod nim służba, niezatarte piętno wyryły na duszy Chłapowskiego. Świadomie czy bezwiednie, przejmuje on się naturą tego nadzwyczajnego pierwowzoru. Tylko nie posiada w sobie dostatecznych danych dla skutecznego naśladownictwa. Tak wyrobiła się w nim owa skoncentrowana energia, odtąd cecha w nim górująca, będąca przecie wytworem nie samej tylko siły ducha, ale też duchowego wysilenia, starcząca dla mniejszych rzeczy, wobec wielkich zagadnień bezpłodna.

W Paryżu nasamprzód trzeba było się uczyć. Oficer ordynansowy cesarza musiał umieć więcej, niż kornet pruski. Chłapowski z zapałem zaczął uczęszczać do szkoły politechnicznej paryskiej. Zbyt krótko jednak, kilka miesięcy zaledwo, mógł prowadzić te ważne nauki. Będzie mu to później brakowało dotkliwie wobec

byłych elewów szkoły aplikacyjnej warszawskiej, co to, jak Prądzyński albo Kołaczkowski, prawie spółcześnie, w domu, inaczej się uczyli, trzeźwiąc się kawą czarną po nocach spędzanych nad kursami i planami wojskowymi. Do takiej pracy, gdyby nawet i miał właściwą zdolność, nie miał wszakże sposobu Chłapowski, wcześnie odwołany ze szkoły i w Paryżu do swoich obowiązków ordynansa. Jednak w tym samym czasie, przed wyjazdem, zdążył jeszcze odwiedzić Naczelnika, który zamieszkiwał wtedy w okolicach Paryża, w cichem ustroniu Berville pod Fontainebleau. „Zastałem go w ubiorze wieśniaka francuskiego, w słomianym kapeluszu, półfraczku szaraczkowym, miał krótkie spodnie i mocne trzewiki. Zęby zwierzchnie już był potracił, co mu wymowę psuło. Powiedział te dla mnie pamiętne słowa: „Dobrze, że służysz i że się uczysz... przy boku cesarza możesz nabierać wiele wiadomości i doświadczenia... Ale on tylko o sobie myśli... nic dla nas nie zrobi". Wielki i zasłużony człowiek to mówił, ale zastygły w minionej już dobie, odwrócony od spółczesnej; poważne i szczere były jego słowa, ale błędne i niesprawiedliwe.

Chłapowski z Paryża wezwany był dla czynnego objęcia swojej służby do Bajonny, gdzie od wiosny 1808 roku bawił Napoleon. Odbywał się wtedy w Bajonnie gwałtowny akt bezprawia, jeden z opłakańszych aktów napoleońskich, uwięzienie królewskiej rodziny hiszpańskiej, złożenie jej z tronu, wyniesienie Józefa, brata cesarskiego, na tron zabrany. Prawie natychmiast powsta-

ła cała Hiszpania. Tutaj Chłapowskiemu wypadło wywiązać się z pierwszego polecenia cesarza, zawieźć pilny rozkaz marszałkowi Muratowi do Madrytu. Trzeba było stanąć z Bajonny w Madrycie na trzeci dzień, nie zatrzymując się, jak tylko dla zmiany koni. Chłapowski stanął wcześniej jeszcze, niż mu kazano: „ale prowadzić mnie musiano do marszałka, bom się na nogach utrzymać nie mógł, miałem gorączkę w całem ciele, zdawało mi się,że się głowa karku nie trzyma, ale myśl była wyraźna i bardzo przytomna". Odtąd, od tej pierwszej próby, stale był używany przez cesarza do zleceń najpilniejszych i najtrudniejszych. Stale też wywiązywał się z nich z jednakową gorliwością, a w Pamiętnikach zdaje z nich sprawę z jednakową prostotą. Pod tym względem jego Pamiętniki pięknie odbijają od całej spółczesnej literatury pamiętnikarskiej francuskiej, w rodzaju słynnych wspomnień Marbota, gdzie wszędzie pełno przechwałek, „renomażu", „gaskonady", a często i wierutnego kłamstwa. Dla Chłapowskiego bezwzględne poświęcenie i bezwzględna odwaga oficera są to rzeczy tak naturalne i konieczne, że zawsze jak najkrócej tylko wzmiankuje, a często wprost pomija liczne okazye, gdzie jemu osobiście jak najświetniej odznaczyć się wypadło. O swoich szalonych jazdach ordynansowych w kraju nieprzyjacielskim wspomina dlatego tylko, aby dodać naukę, że w takich wypadkach należy mieć buty bardzo szerokie, kulbakę długą, nie jeść przed wyjazdem i płukać usta po drodze wódką francuską. Kiedyindziej tak się tłómaczy: „W powrocie, na wązkiej dro-

dze, zastąpił mi żołnierz angielski, konia za cugle uchwycił i zamierzył się bagnetem, musiałem go przebić pałaszem; jedyny to raz byłem zmuszony zabić nieprzyjaciela, zawsze starałem się tylko zasłaniać". Niewielu pamiętnikarzów potrafi tak opowiadać; z francuskich, ile wiemy, żaden. Dodać jednak musimy, że w tem miejscu daty wypadków, zapisane przez Chłapowskiego, nie są dość ścisłe; dołączony zaś przez wydawców „z oryginału" rozkaz Napoleona (z Bajonny dnia 3 czerwca 1809 r.!?, t. j. kiedy cesarz był w Ebersdorfie, pod Wiedniem, w kampanii austryackiej) oczywiście datowany jest fałszywie. Żałować wypada niezmiernie, że tego rodzaju szacowne pamiątki dziejowe, jak wspomnienia Chłapowskiego, bywają u nas ciągle wydawane po dyletancku, bez należytej pieczołowitości naukowo-krytycznej, która dopiero byłaby należytym objawem prawdziwego pietyzmu.

Koniec lata i jesień 1808 roku spokojnie spędził Chłapowski w Paryżu przy boku cesarza, z krótką przerwą we wrześniu, kiedy towarzyszył mu do Erfurtu, na spotkanie z Aleksandrem I, — epizod ciekawy bardzo, lecz, niestety, w Pamiętnikach ledwo dotknięty. Zresztą i o życiu dworskiem w Paryżu niewiele rozpisuje się pamiętnikarz. Skądinąd, z relacyi francuskich, wiadomo, że młody ordynans polski cieszył się szczególną łaską cesarza i że również na dworze cesarzowej Józefiny był pieszczonym „cherubinkiem", jak wyraża się o nim w tym czasie minister saski hrabia Senfft. Niedługo jednak trwał wypoczynek. Groźny wzrost powstania

narodowego w Hiszpanii już w listopadzie powołał cesarza za Pireneje. Zaś jednocześnie za plecami Napoleona, zagłębiającego się w Hiszpanii, już zbroiła się w skrytości piąta koalicya, już Austrya, niedawno poskromiona, gotowała się tajemnie do wojny i odwetu. Przeczuwał tę groźbę cesarz. A baczny na wszystko, niczego nie spuszczając z uwagi, w tejże chwili, gdy sam maszerował na Madryt, miał na oku niebezpieczeństwo zagrażające Warszawie. W połowie stycznia 1809 roku wypuścił Chłapowskiego jednym pędem z Valladolidu do Warszawy. Rozkaz cesarski polecał wysłańcowi „zabawić w Warszawie dni ośm, obaczyć wszystko, co się tam dzieje, jaki duch panuje w Księstwie, co się mówi i czyni w Galicyi". Chłapowski odbył tę podróż w dziewiętnaście dni i nocy, rozejrzał się na miejscu, ściągnął dokładne wiadomości o dyslokacyi wojsk austryackich w Galicyi, a za powrotem zastał już cesarza w Paryżu, śpieszącego na zachód, na wojnę austryacką, która w rzeczy samej wybuchła wcześniej jeszcze, niż było do przewidzenia. Wypadło zaraz znów siąść na koń i towarzyszyć cesarzowi, doganiającemu awangardę Wielkiej armii, już w pełnym marszu na Wiedeń. Pod Ingolstadtem, w Bawaryi, dopędzono forpoczty. Nie możemy się powstrzymać, aby nie umieścić w tem miejscu tej barwnej sceny obozowej z własnych słów pamiętnikarza. „Cesarz na otwartem polu zsiadł z konia i ogień kazał rozpalić, już bowiem dzień się kończył. Nadeszła dywizya Davousta i kolumnami przemaszerowała tuż przed cesarzem. Żołnierze, poznawszy go,

a myśleli, że był jeszcze w Hiszpanii, takie poczęli wznosić wiwaty, jakich jeszcze nie słyszałem. W tejże samej chwili kilkunastu kirasyerów przeprowadzało z drugiej strony cesarza całą kolumnę niewolników, których nad wieczorem zabrano. Dostał się też do niewoli pułkownik sztabu generalnego, którego przywiedziono przed cesarza. Cesarz kazał mu usiąść przy sobie i zaczął wypytywać o stanowisko i siłę korpusów austryackich. Odpowiadał z początku, ale potem rzekł, że nie można żądać, aby oficer sztabowy informował nieprzyjaciela. „Nie obawiaj się pan, rzecze cesarz, wiem i tak wszystko", i zaczął szybko z największą dokładnością wymieniać stanowiska korpusów i pułki. Zdziwiony Austryak, że oficer na forpocztach tak informowany, rzekł: „Z kim mam honor?" Na to cesarz podniósł się trochę, uchylił kapelusza i rzekł: „Monsieur Bonaparte". W czasie tej rozmowy, piechota francuska tak głośne okrzyki wydawała. Piękny to był obraz". Istotnie jest to jak gdyby żywcem wzięte które arcydzieło pędzla Raffeta.

Całą kampanię austryacką odbył Chłapowski przy boku cesarza. Już we wstępnych walkach, po raz pierwszy tutaj dowodząc szwadronem, kilka świetnych wykonał szarży. Na polu bitwy pod Eckmühl, w liczbie najwaleczniejszych obdarzony tytułem barona cesarstwa. Podstąpiono pod Wiedeń, gdzie jeszcze trzymał się arcyksiążę Maksymilian. „Tutaj— opowiada Chłapowski— ukazał mi się widok trudny do uwierzenia, i żebym nie był widział memi oczyma i na własne słyszał uszy,

możebym i sam nie uwierzył. Na wałach stało bardzo wielu mieszkańców, porządnie ubranych. Cesarz podjechał na sam *glacis*, tak, że tylko rów dziesięcio-prętowy przedzielał go od tych ludzi. Oni, poznawszy cesarza (bo już był w Wiedniu w 1805 roku), poczęli wszyscy zdejmować kapelusze i wiwaty wznosić. Cesarz jechał stępa jakie pół godziny i niekiedy na odgłos wiwatów zdejmował kapelusz, jak gdyby objeżdżał Paryż wkoło; szwadronowi kazał pozostać w tyle i tylko pikieta szła za nim i to w odległości dwustu kroków". Kiedy niebawem po wycofaniu się Austryaków, wkroczono do Wiednia, mocno uderzyła Chłapowskiego i zgorszyła zupełna obojętność ludności, widok pełnych teatrów, pełnego powozów Prateru, a nawet dam z towarzystwa, bawiących się swobodnie z Francuzami. Wiadomo skądinąd, chociażby z romansowych w tym samym czasie doświadczeń innego napoleońskiego oficera, Stendhala, w najlepszem towarzystwie wiedeńskiem, jak mało brano sobie tutaj do serca klęski krajowe. A tak samo, dodajmy, i gorzej jeszcze działo się w Berlinie podczas wejścia Francuzów w 1806 r. „Nie tak—spostrzega trafnie Chłapowski—działo się w Warszawie, gdy ją Austryacy zajęli; smutek był ogólny, od najwyższych do najniższych".

Wszakże powtórne już zajęcie stolicy austryackiej przez Napoleona nie rozstrzygało jeszcze bynajmniej tej ciężkiej kampanii. Jeszcze wypadło wytrzymać straszliwe zmaganie się pod Aspern i Essling, jeszcze chwiały się gwałtownie wstrząsane szale fortuny wojennej, zanim

nareszcie przeważyło je ostatecznie walne zwycięstwo wagramskie. Chłapowski po swojemu zwięźle i dobitnie skreślił celniejsze momenty tych zaciętych zapasów, których był świadkiem naocznym i uczestnikiem. Musimy jednak w tem miejscu położyć jedną nastręczającą się nawiasową uwagę. Jak wiadomo, ks. Kalinka, w swoim życiorysie Chłapowskiego, korzystał w rękopisie z niniejszych jego Pamiętników. Otóż biograf całkiem niepotrzebnie dopuścił się zbyt częstych niewłaściwości, ubiegając się za niepotrzebną ornamentyką, bez której doskonale obchodzą się poważne i proste „Pamiętniki“ generała, obecnie dla ogółu dostępne. Opowiada np. właśnie w tem miejscu Chłapowski, jak pod Wagram z uchylonym kapeluszem słucha rozkazów cesarza, jak w tej chwili kula armatnia porywa mu kapelusz, jak cesarz „się roześmiał, powiedział mi: dobrze, żeś nie wyższy, a potem dokończył rozkazu“, i dodaje: „żart cesarza najlepiej jego zimną krew maluje“. U Kalinki, przeciwnie, Chłapowski w tej chwili raportuje cesarzowi, kula go mija, on, Chłapowski, „kończy najspokojniej, co miał powiedzieć... Zimna krew Chłapowskiego uderzyła cesarza; „ten młodzieniec zajdzie daleko“ odezwał się i popatrzył za odjeżdżającym“. (!) Podobne amplifikacye i parafrazy, dobre może w powieści, lecz nieprzydatne w historyi, zdarzają się u Kalinki na każdym kroku i to nietylko w drobnostkach, a oczywiście wpływają ujemnie na jego sposób użytkowania tekstów, nieraz zgoła nie czyniący zadość surowym wymaganiom ścisłości naukowej. Wspominamy przy tej okazyi, że

podobnież w nowej edycyi niemieckiej „Sejmu Czteroletniego“ ujawniony został długi szereg uderzających sprzeczności pomiędzy brzmieniem oryginalnem tekstów, użytkowanych przez Kalinkę, a podaną przez niego wersyą tych samych tekstów. Musimy, niestety, i tym razem stwierdzić całkiem otwarcie, że wyrobienie naukowe Kalinki niezawsze stało na wysokości jego pięknego pisarskiego talentu.

Po wielkiej wygranej pod Wagram nastąpiło nareszcie zawieszenie broni, niebawem pokój zawarty. Miał wówczas ważną misyę Chłapowski: posłany był do Krakowa, do ks. Józefa Poniatowskiego, z wiadomością o rozejmie. Stały tam, obok siebie, naprzeciw siebie, w najdziwniejszej w świecie sytuacyi, dwa „sprzymierzone“ korpusy, polski ks. Poniatowskiego i rosyjski ks. Golicyna. Kiedy Chłapowski wrócił stąd z relacyą do cesarza do Schoenbrunn, zaraz cesarz „zwrócił całą mowę na korpus Golicyna. Musiałem mu wyznać, że u Golicyna nie byłem. Rozgniewał się szczerze i kazał mi iść do kozy, kilka razy powtarzając: „mogłeś się domyśleć, jak interesującym dla mnie byłby raport o korpusie rosyjskim“.

Wrócono do Paryża. Małżeństwo Napoleona z arcyksiężniczką austryacką zdawało się być rękojmią trwalszego odtąd pokoju. Było to złudzenie. Już wisiała w powietrzu ogromna z Rosyą rozprawa. Chłapowski niedługo zażywał spoczynku. Tutaj w jego Pamiętnikach jest luka albo zapomnienie. Niema tu mianowicie żadnej zgoła wzmianki o doniosłej jego misyi do War-

szawy, we wrześniu 1810 r. Rozkaz cesarski brzmiał tym razem: „zasięgnąć wiadomości o Księstwie, o jego stanie i duchu publicznym, zasięgnąć też, jakie tylko będzie można, wiadomości o stanie i duchu publicznym na Litwie". Wysłaniec cesarski, jak lotna mewa, wyprzedzał burzę, przed rokiem austryacką, teraz—rosyjską. Jednak jeszcze kilkanaście miesięcy zeszło na przygotowaniach. Nadszedł nareszcie straszny rok 1812. Chłapowski, przedtem mianowany szefem szwadronu w pułku polskim lekkokonnym (szwoleżerów) gwardyi cesarskiej, uczestniczył w całej wyprawie do Moskwy. Tutaj w całej pełni objawił swoje rzadkie zalety wojskowe, a przedewszystkiem nadzwyczajną sprawność w prowadzeniu walki kawaleryjskiej. Nie możemy jednak na tem miejscu wchodzić w szczegóły jego relacyi pamiętnikarskiej, osobliwie zajmującej do tego właśnie okresu. Wyjmujemy jedną tylko arcyważną uwagę ogólną. „Późne wybranie się na wojnę — tak streszcza Chłapowski ogólne swoje wrażenie o kompanii 1812 roku — i cały rozkład wojska widocznie wskazywał, że cesarz chciał tylko cesarza Aleksandra zastraszyć. I dlatego może Prusaków i Austryaków pozostawił na skrzydłach, a przecież musiał wiedzieć, że na szczery ich współudział rachować nie mógł. Żeby był pragnął i miał pewność wojny, byłby ich pewnie trzymał w środku między korpusami francuskimi i polskimi". Jest to postrzeżenie proste i trafne. Nie potrzebujemy tłómaczyć, iż jest ono w zupełnej harmonii z całym poglądem zasadniczym na

przyczyny i naturę wielkiej wojny 1812 r., który gdzieindziej rozwinąć mieliśmy sposobność.

Zbliżała się już agonia epopei napoleońskiej. Lecz jeszcze w tej agonii była wspaniałość niezrównana. Z końcem 1812 r. cesarz bez armii był wrócił do Paryża; po niewielu tygodniach z nową groźną potęgą stanął napowrót w samem sercu Niemiec. Zdradziły go tymczasem Prusy. Miał naprzeciw siebie szóstą z kolei koalicyę prusko-rosyjską. Wszystko zależało teraz od zachowania się Austryi, cesarza Franciszka II, od zachowania się teścia względem zięcia. Kampania wiosenna 1813 r., zwycięstwa majowe pod Lützen i Bautzen, objawiły raz jeszcze blask geniuszu napoleońskiego. W tych walkach jednak mocno dokuczał cesarzowi brak dotkliwy kawaleryi, zniweczonej zupełnie podczas wyprawy moskiewskiej. Tem większe usługi oddawali mu teraz szwolężerowie polscy, Chłapowski zaś, dowodzący tym razem dwoma ich szwadronami, spisywał się jak najdzielniej w ciągu tej całej kampanii wiosennej w Saksonii. I tutaj nagle, w czerwcu, podał się do dymisyi i opuścił szeregi. Mówiono wówczas i potem, że był rozżalony niedość szybkim awansem. Byłby to żal zgoła nieusprawiedliwiony. Chłapowski był dotychczas ordynansem cesarskim, t. j. zajmował jedno z najbardziej pożądanych i najlepiej uposażonych stanowisk w całej armii. Obecnie liczył lat 24, a miał legię, krzyż *virtuti militari*, stopień podpułkownika gwardyi, tytuł barona z odpowiednią dotacyą. Nie mógł się tedy skarżyć. Ale on sam inne wskazuje powody swojego kroku.

Opowiada mianowicie, iż z końcem maja odebrał rozkaz eskortowania wielkiego koniuszego Caulaincourta i sekretarza cesarskiego Faina do forpocztów, dla układów o rozejm — nie „o pokój", jak on pisze — z generałem Szuwałowem. Owóż Fain, „który miał mnie tak, jak za Francuza", przypadkiem, a przecie „pod sekretem", „pokazał mi propozycye do układów: zaraz na wstępie ofiarował cesarz cesarzowi Aleksandrowi całe Księstwo Warszawskie i pozwalał, albo żeby przyjął tytuł króla polskiego, albo żeby Księstwo wcielił do swojego cesarstwa". Uderzyło to niezmiernie Chłapowskiego i zaraz, w kilka dni później, podał się do dymisyi. Są w tej relacyi pamiętnikowej niektóre nieścisłości, które łatwo stwierdzić, choćby tylko przez zestawienie z odpowiednią relacyą Faina oraz znanemi dziś dosłownie instrukcyami Caulaincourta. Nie mamy oczywiście sposobu rozwijać tutaj szczegółów tej nadzwyczaj zajmującej i nadzwyczaj zawiłej materyi. Stwierdzamy tylko w dwóch słowach, o co właściwie chodziło w owej chwili krytycznej. Chodziło przedewszystkiem cesarzowi o zyskanie na czasie i o zyskanie neutralnej jeszcze Austryi. Pierwsze zaś żądanie Austryi wobec cesarza, to było — zniszczenie i podział Księstwa. Wtedy cesarz nawiązał układy z Rosyą. Nawiązał je głównie w tej myśli, aby postrachem swojego porozumienia z Rosyą wziąć w kluby Austryę i ściągnąć ją do swojego obozu. „*Pardieu* — woła wielkim głosem do wysłańca austryackiego — oddam Księstwo Warszawskie cesarzowi Aleksandrowi i ułożę się z nim na wasz rachunek". Nie krył się więc

z tą myślą Napoleon. Nie była to zgoła myśl hańbiąca. Owszem, oprócz chyba zupełnego zwycięstwa, był to jeszcze jedyny ratunek dla Księstwa. W świetle tych faktów niewątpliwych krok Chłapowskiego nie daje się niczem usprawiedliwić. „Oburzenie Chłapowskiego— słusznie postrzega wydawca najnowszej „Historyi pułku lękkokonnego", p. Aleksander Rembowski — było zbyt obcesowem". W rzeczy samej nie może być dwóch zdań pod tym względem. Jakie miał prawo zwykły oficer decydować o zasłyszanych przypadkiem i ułamkowo działaniach politycznych naczelnego wodza? Jakie miał prawo potępić je tak surowo, aż do niezwłocznego odmówienia służby? Ale niedość na tem. Chłapowski o swojem odkryciu zawiadomił kolegów i niektórzy— między innymi także Chłopicki — zaraz za jego przykładem porzucili służbę. Co najgorsza zaś, i na tem się nie skończyło. Po paru miesiącach w całym korpusie polskim objawił się szkodliwy rozłam wewnętrzny, jawne odezwały się głosy za porzuceniem sprawy cesarza. Na czele tego ruchu stanął ks. Sułkowski, osobiście blizki Chłapowskiego, który prawdopodobnie przed krewnym nie ukrywał wiadomości, udzielonej kolegom. Tym sposobem dymisya Chłapowskiego, choć zapewne postawiona w najlepszej wierze, podyktowana zapewne przez pobudki szlachetne, bądź co bądź nietylko skrzywdziła jego samego, gdyż pozbawiła go zaszczytu walczyć pod Lipskiem i być świadkiem wielkiej śmierci Poniatowskiego, lecz w dodatku ukazuje się jako jedno z ogniw ogólniejszego zjawiska, pod każdym względem

godnego pożałowania, bo pod każdym względem przeciwnego ówczesnym rzeczywistym interesom krajowym.

Przeczekawszy na stronie ostatnie odgłosy wojenne, Chłapowski wrócił do siebie w Poznańskie. Zmienił zgoła tryb życia. Odpasał szablę i wziął się do pługa. Wziął się, młody jeszcze człowiek, z zadziwiającem zaparciem się i wytrwałością. Dobra ojcowskie znalazł mocno zadłużone i zagrożone zupełną ruiną. Postanowił je uratować. Zaprowadził u siebie najściślejszą oszczędność. Tarczę herbową nad pałacem uprzątnął, na jej miejscu zawiesił wielki zegar, niby symbol porządku, rachunku i pracy. Nie znał się nic na rolnictwie. Pojechał tedy nauczyć się do Prus, Anglii, Szkocyi, jakby prosty praktykant, pracował od dnia do nocy z folwarczną czeladzią, ze świetnego oficera uczynił się w krótkim czasie wykwalifikowanym agronomem i całą nabytą wiedzę, całą wrodzoną energię włożył w ratowanie ojczystego zagonu. Zrobił to z tak dobrym skutkiem, że w ciągu lat dziesięciu znaczne swoje dobra całkiem z długu oczyścił i uczynił z nich prawdziwy wzór gospodarstwa krajowego. Obrócił też uwagę na sprawy ekonomiczne prowincyi, został wtedy wice-marszałkiem sejmu prowincyonalnego, dyrektorem miejscowego Towarzystwa ubezpieczeń od ognia, zasiadał w radzie Towarzystwa kredytowego poznańskiego. Wtedy też znalazł sobie najgodniejszą towarzyszkę życia, poślubił Antoninę Grudzińską. Były to onego czasu trzy najpiękniejsze kwiaty Warszawy, te trzy siostry Gru-

dzińskie, urocza złotowłosa Joanna, śliczna ciemnowłosa „Józia“ i najmłodsza Antonina, ujmująca rzadką prostotą i słodyczą. Najstarsza z nich, Joanna, przed rokiem została małżonką W. Księcia Konstantego i księżną łowicką. Ze swoim dostojnym szwagrem odrazu na stopie naprężonej stanął Chłapowski. Zrzadka też tylko pokazywał się w Warszawie. W ogólności, należy stwierdzić, iż pochłonięty wyczerpującemi zajęciami praktycznemi, przez cały ten czas z zasady, z konsekwencyą wyraźną, całkiem odsunął się od powszechniejszych spraw publicznych. Miał w niedalekiem sąsiedztwie, w Winogórze w Poznańskiem, innego jeszcze krewnego: gen. Henryka Dąbrowskiego, żonatego powtórnie z Barbarą Chłapowską, siostrą stryjeczną Dezyderego. Dąbrowski, przyciśnięty wiekiem, ustąpił był ze służby czynnej w Królestwie, lecz najściślejsze z niem stosunki utrzymywał aż do zgonu. Myśli swoje otwierając przed podpułkownikami Prądzyńskim i Krzyżanowskim, Dąbrowski przecie, ile sądzić można, wstrzymywał się zgoła od udzielenia ich Chłapowskiemu.

Na pierwszą wiadomość o niespodzianych wypadkach listopadowych 1830 r. Chłapowski natychmiast pośpieszył do Warszawy. Ale był tutaj prawie obcy. Inaczej być nie mogło. Chodził w stroju cywilnym i rozglądał się. Tak niegdy, przed Marengo, chodził po Paryżu generał Bonaparte w cywilnym stroju członka Instytutu. Jest portret Chłapowskiego także i z tej epoki. Zmężniały i jeszcze wyszlachetniały rysy, wzniosło się bardziej myślące czoło dojrzałego już zupełnie,

czterdziestoletniego mężczyzny. Są o nim postrzeżenia i świadectwa spółczesnych. Na wszystkich podobne czynił wrażenie ten człowiek małomówny, odosabniający się chętnie, pański w ułożeniu, wstrzemięźliwy i chłodny w obejściu, imponujący ludziom, a niedość silny, aby ich opanować. „Budził respekt i obawę", mówią Rosyanie, Kołzakow, Dawydow, Smitt. „Więcej imponować niż rozkazywać zdolny", powiada Barzykowski. „Nie brakowało mu odwagi ani zdolności, — wyraża się Prądzyński — ale daleko więcej jeszcze miał pretensyi, miał pragnienie i nadzieję odegrać wielką rolę, zająć swoją osobą Europę". Niezawodnie, tych głosów zbyt ostrych nie należy brać dosłownie. Ale, powtarzamy, Chłapowski nie był na swojem miejscu. A jednak byłby mógł oddać znaczne usługi. O położeniu rzeczy miał zdanie najzdrowsze. Świadczy o tem dowodnie memoryał, jaki niezwłocznie złożył Chłopickiemu. Z tem wszystkiem, pełen najlepszych chęci, siedział bezczynnie parę miesięcy. Otrzymawszy nareszcie, w lutym, dowództwo brygady jazdy, ze zwykłą sobie dzielnością uczestniczył we wszystkich pierwszych walkach. Ciężyć mu przecie musiało to stanowisko trzeciorzędne. W maju chwycił się z zapałem pomysłu samodzielnej odleglejszej wyprawy. Ta śmiała, tyle obiecująca, wyprawa litewska skończyła się, jak wiadomo, najopłakaniej, lecz nie z jego winy. Wina główna, najniezawodniej, obciąża nieszczęśliwego Giełguda, który pokrzyżował pierwotne rzutkie intencye Chłapowskiego, zepchnął go z przywództwa, sprowadził z drogi i sam własne błędy

przypłacił życiem. Był ciężki zawód. Była nieprzewidziana od Chłapowskiego, przedwczesna zapewne, rezygnacya. Ale winy jego nie było. Świadectwo generała Puzyrewskiego usuwa pod tym względem ostatnie wątpliwości. Nie może też ulegać nadal żadnej wątpliwości, że Chłapowskiemu, zbyt surowo i niesłusznie potępionemu od swoich, ciężka stała się krzywda.

Ale postrzegamy się, że nie piszemy biografii człowieka, jeno przegląd książki. Jednak, dotarłszy do tych chwil najtrudniejszych w życiu Chłapowskiego, czujemy się w obowiązku przypomnieć zaraz o pięknym zachodzie jego długiego żywota. Był to jeszcze kilkodziesięcioletni żywot niestrudzonej i użytecznej pracy obywatelskiej. Można nie podzielać bynajmniej ani kierunku, ani nastroju tych dążeń i tych poglądów na dobro publiczne, których ogniskiem stał się w późniejszych latach dom jego w Poznańskiem; lecz niepodobna nie uchylić czoła przed tym szanownym starcem, który nie tak dawno, w wieku wyjątkowo sędziwym, poważną, zacną i spracowaną głowę ułożył do zasłużonego wiecznego spoczynku. Piękna postać Chłapowskiego i piękne jego „Pamiętniki“ zachowają poczesne miejsce w trwałej pamięci ogółu.

Ferrand.

„Towarzystwo Historyi Spółczesnej“ jest jedną z wielu podobnych instytucyi, kwitnących dziś zagranicą, a będących poniekąd wyrazem i miarą nadzwyczajnego postępu, jaki tam dokonał się i dokonywa ostatnimi czasy w specyalnym zakresie dziejów nowożytnych,— postępu, niedostrzegalnego, niestety, ani w tym, ani nawet w przybliżonym stopniu, na równoległym terenie nauki historycznej polskiej. „Towarzystwo“ paryskie, w ciągu kilkoletniego swego istnienia, wydało szereg nowych i zajmujących przyczynków źródłowych, odnoszących się do historyi francuskiej XIX wieku, a ogłaszanych naogół w nader starannej szacie edytorskiej. Jeden z ostatnich tomów obejmuje „Pamiętniki Ferranda“ *). Rzecz ta nie może być i dla nas całkiem obojętna, nietyle już dla samej swojej treści, ile ze względu na osobę autora. Należy on bowiem do szczupłego grona uczo-

*) *„Mémoires du comte Ferrand, ministre d'état sous Louis XVIII“*. Publiés pour la Société d'Histoire Contemporaine par le vicomte de Broc.

nych francuskich, którzy szczegółowiej trudnili się dziejami polskiemi. Jest to mianowicie nikt inny, jak pisarz trzytomowego dzieła o „Trzech rozbiorach", ogłoszonego przed ośmdziesięciu laty. Nie będzie chyba od rzeczy, z powodu niniejszych nowych Pamiętników bourbońskiego ministra, poznać nieco bliżej starego historyka spraw podziałowych polskich.

Klaudyusz Ferrand, w przededniu rewolucyi, był rozpoczął karyerę pisarską od kilku lichych tragedyi, wystawionych w „Teatrze Francuskim", a karyerę publiczną od kilku opozycyjnych przemówień, wygłoszonych w parlamencie paryskim. Kiedy jednak, po zwołaniu Stanów Generalnych, zaniosło się na poważniejsze zatargi z koroną, przerzucił się z opozycyi do stronnictwa czysto dworskiego, zaś niebawem, jeden z najpierwszych, już w 1789 roku, emigrował z kraju. Stawił się wnet w Turynie, głównej kwaterze emigranckiej, u boku braci królewskich. Zaskarbił sobie ich ufność, ogłaszając pamflet przeciw Zgromadzeniu Narodowemu paryskiemu, ozdobiony znamiennym wergilowym epigrafem: *monstrum horrendum, cui lumen ademptum.* Przeniósłszy się z książętami do Koblencyi, służył w armii Kondeusza przeciw armiom Rewolucyi; po ścięciu Ludwika wszedł do książęcej Rady regencyjnej. Nie zaniedbując pióra, ogłaszał w tym czasie rozliczne pisma polityczne w obronie sprawy bourbońskiej. Najciekawsze z nich, pod tytułem: „Duch historyi", zawierało osobliwsze napomnienie dla Bonapartego, ażeby, nie zwlekając dłużej, sprowadził z powrotem na tron ojcowski

wygnanego Ludwika XVIII, jak ongi sprowadzono w tryumfie wygnanego — Chilperyka. Gdy pierwszy Konsul oczywiście nie poszedł za tą historyozoficzną wskazówką, Ferrand wolał skorzystać sam z amnestyi, udzielonej emigrantom, i wrócił do kraju bez swego Chilperyka. O tym okresie swego życia pod rządami „Korsykanina" jak najkrócej napomyka w swoich Pamiętnikach. Skądinąd jednak posiadamy wskazówkę, że w tymto właśnie czasie, dostawszy się do spuścizny pisarskiej po Rulhièrze, rozpoczął swoje prace nad historyą polską, i nawet, jak się zdaje, wtedy, na przymusowych wczasach politycznych, wykończył w pełnym zarysie, jeśli nie w ostatecznej redakcyi, swoje obszerne dzieło o trzech rozbiorach byłej Rzpltej.

Ilekroć zdarza się nam, jak w tym wypadku, natknąć się na nazwisko Rulhièra, zawsze mamy mimowoli przykre poczucie jak gdyby niewypełnionego obowiązku i niespłaconego długu. To jest człowiek, to jest uczony niedoceniony i nienagrodzony wedle zasług. Takim był za życia i pozostał też po śmierci. Był człowiek honoru i sumienia, był *galant'homme* w najczystszem znaczeniu słowa. Był nadto jednym z najrzadszego gatunku, bo był także miłośnik i znawca życia, był wytrawny estetyk życiowy z urodzenia, upodobań i kultury: zaś takim najtrudniej przychodzi zachować niewinność, nieskończenie trudniej, niż duszom równie, ale taniej uczciwym, bo bardziej prostackim i mniej kuszonym. Żył w wielkim świecie polityki i towarzystwa, miał ambicyę i namiętność, a wracał do siebie na swoje

poddasze, aby pisać historyę. W salonach czytał paniom swoje zgrabne wiersze i lekkie komedyjki: w domu dla siebie pisał historyę upadku Polski. A był wielkim historykiem. Był nim, nie wahamy się oświadczyć, z wiedzy, z metody, z talentu i z sumienia. Do sposobu pisania historyi, jaki zastał, on wniósł coś nowego. Wniósł nieznaną na owe czasy gruntowność i obfitość bezpośredniego źródłowego badania. Wniósł przenikliwą ocenę i dobór krytyczny zgromadzonego źródłowego materyału. Wniósł także to, co on nazywał „poetyką historyi". Wniósł wreszcie czystą i głęboką sympatyę dla nieszczęścia. Zarzucano mu to nieraz. Własny jego niepowołany dziejopisarski następca i samozwańczy legataryusz literacki, ów nieciekawy Ferrand, z którym tutaj mamy do czynienia, wyrzucał mu później, że „zanadto identyfikował się z Polakami, zanadto dzielił wszystkie ich uczucia". Jeśli tak było, czynił to Rulhière nietylko całkiem bezinteresownie, ale i całkiem samoistnie, z niczyjej namowy ani wpływu, z własnego wyboru i natchnienia. Znał wielu panów i pań polskich, ale nikomu nie dworował, z nikim nawet się nie przyjaźnił. Był przyjacielem Rzpltej. Należałby mu się za to niezawodnie jakiś trwalszy dowód pamięci. Wprawdzie istnieje staranna edycya jego dzieła, wydana przez Ostrowskiego jeszcze z inicyatywy ks. Adama Czartoryskiego. Ale to nie wystarcza. Godziłoby się biograficznie oświetlić jego niedość znaną postać, a wartoby także rozejrzeć się w jego obszernej spuściźnie dyplomatycznej i pisarskiej, do której mnóstwo

[illegible] Ludwika XVIII, jak ongi [illegible] wygnanego — Chilperyka. [illegible] oczywiście nie poszedł za tą his[illegible] Fernand wolał skorzystać sam[illegible] emigrantom, i wrócił do kraju [illegible]. O tym okresie swego życia [illegible] jak najkrócej napomyka w [illegible]. Skądinąd jednak posiadamy [illegible] że w tymże właśnie czasie, dostawszy się d[illegible] po Rulhièrze, rozpoczął swoje pr[illegible] polską, i nawet, jak się zdaje, wted[illegible] [illegible] politycznych, wykończył [illegible], jeśli nie w ostatecznej redakcyi, swo[illegible] [illegible] o trzech rozbiorach byłej Rzpltej.

[illegible] się nam, jak w tym wypadku [illegible] Rulhièra, zawsze mamy [illegible] jak gdyby niewypełnionego [illegible] długu. To jest człowiek, [illegible] i nienagrodzony wedle [illegible] był za życia i pozostał też po śmierci. B[illegible] był *galant'homme* w n[illegible] słowa. Był nadto jednym z [illegible] bo był także miłośnik i znawca [illegible] estetyk życiowy z urodzenia, up[illegible] najtrudniej przychodzi za[illegible] trudniej, niż duszom [illegible] bardziej prostackim i mn[illegible]. Żył w wielkim świecie polityki i towarz[illegible] i namiętność, a wracał do siebie [illegible]

[illegible]sze, aby pisać historyę. W salonach czytał pa[illegible] swoje zgrabne wiersze i lekkie komedyjki; w do[illegible] dla siebie pisał historyę upadku Polski. A był [illegible] historykiem. Był nim, nie wahamy się oświad[illegible] z wiedzy, z metody, z talentu i z [illegible] [illegible]

przyczynków nietkniętych spoczywa po dziś dzień w paryskiem Archiwum spraw zagranicznych. Byłoby to wdzięczne zadanie a dla nauki polskiej ze wszech miar stosowne.

Ale wracamy do Ferranda. Powiedzieliśmy, że położył on rękę na szacownych materyałach, pozostałych po Rulhièrze, i w najkrótszym czasie wykroił z nich i własnymi dodatkami skompletował swoje własne dzieło o epoce rozbiorowej. Dlaczego jednak książka Ferranda o Polsce, skoro istotnie była gotowa już w 1808 r., nie ukazała się z druku zaraz wówczas, lecz jeszcze przez lat kilkanaście pozostała w rękopisie? Powody tego opóźnienia dosyć są ciekawe. Rzucają one pewne szczególniejsze światło i na książkę, i na autora. Zaś skądinąd, ze strony dość niespodzianej, uwydatnia się raz jeszcze i przy tej okazyi wszechobecna czujność cesarza Napoleona.

Rzecz tak się miała. Podczas trwania „pierwszej kampanii polskiej“ w 1806 i 1807 roku, Napoleon, stawiony wobec konieczności podniesienia sprawy polskiej w obszernym zakresie wojennym i politycznym, uznał za właściwe podnieść ją równocześnie w zakresie historycznym i naukowym. Szczegół to ze wszech miar nauczający. Wielki wódz i polityk, jak wiadomo, przy swojej intytulacyi urzędowej, zaraz obok godności „Cesarza Francuzów“, nakazywał umieszczać godność *„membre de l'Institut“:* nikt lepiej od niego, najpotężniejszego reprezentanta siły materyalnej, nie zdawał sobie sprawy z niezmiernego znaczenia siły duchowej.

Wtedy też zwrócił uwagę na ogromną pracę Rulhièra, zapoczątkowaną jeszcze niegdyś z polecenia Choiseula, kontynuowaną przez autora w ciągu lat trzydziestu, a po jego śmierci przechowywaną w rękopisie w Archiwum francuskiego ministeryum spraw zagranicznych. Dzieło Rulhièra, jak wiadomo, przeniknione najczystszą sympatyą dla spraw polskich, zostało tedy, na rozkaz Napoleona wydobyte z archiwalnej kryjówki i staraniem członka Instytutu, Daunou, a na koszt rządowy, ogłoszone drukiem w 1807 roku pod tytułem: „Dzieje anarchii polskiej i podziału Rzpltej". Owóż czterotomowa książka Rulhièra w tej pierwotnej postaci doprowadzoną została dopiero do 1769 roku, to jest do przedwstępnych rokowań, dotyczących pierwszego podziału. Zostały się jednak w spuściźnie autora całe stosy najszacowniejszych materyałów, zbieranych przez niego aż do śmierci (to jest do 1792 roku) i obejmujących dalsze dzieje Rzpltej aż do Sejmu Czteroletniego włącznie. Do tych mianowicie papierów dobrał się Ferrand, ułożył z nich kontynuacyę pracy Rulhièra, aż do trzeciego podziału, to jest do 1795 roku i, widocznie zachęcony nadzwyczajnem powodzeniem, jakiem cieszyła się świeżo wydana „Historya anarchii polskiej", zamierzał niezwłocznie po jej ukazaniu się ogłosić swoją własną dalszą kompilacyę. Kiedy jednak złożył ją, wedle ówczesnych przepisów, paryskiej cenzurze, wtedy — jak sam użala się z goryczą — „napotkał pewne przeszkody". „Przeszkody" sprowadzały się do tego, że cenzura cesarska, zapewne z inspiracyi samego Na-

poleona, zwróciła uwagę Ferranda na tę okoliczność, że nader jest pożądanem, ażeby w jego dziele, podobnież jak u Rulhièra, została należycie uwydatnioną strona prawnopaństwowa i dziejowomoralna opisywanych przez niego wypadków. Była to okoliczność, na którą, oczywiście, nie mógł być naówczas obojętny Napoleon, twórca i protektor Księstwa Warszawskiego. Lecz była to także okoliczność, która mniej była na rękę Ferrandowi, ex-emigrantowi, legitymiście, budującemu przyszłość swoją i bourbońską na współdziałaniu i pomocy Europy koalicyjnej. Wśród takich to warunków, pomiędzy autorem a cenzorem, — którzy w tym wypadku wyjątkowym jak gdyby zamienili swoje role,—nie mogło, rzecz prosta, dojść do porozumienia, i w ten to sposób osobliwszy książka o „Trzech podziałach“ nie mogła narazie dostać się do tłoczni drukarskich i musiała cierpliwie doczekiwać się swojej kolei aż dopiero po Lipsku i Waterloo. Tak nieraz małe rzeczy wiążą się i wikłają z wielkiemi.

Upadek Napoleona wyprowadził znowu Ferranda na widownię polityczną. W 1814 roku miał on sobie powierzoną, razem z Chateaubriandem, misyę polityczną do zwycięskiego Aleksandra I, z wymownem wstawiennictwem za restauracyą Bourbonów. Obsypany nagrodami i zaszczytami przez przywróconego Ludwika XVIII, został Ferrand w jednej chwili ministrem stanu, dyrektorem poczt, komandorem Ducha Św., kawalerem Św. Ludwika, parem i hrabią, a nawet, z nominacyi królewskiej, członkiem Akademii Francuskiej. Zdat-

ny widocznie do wszystkiego, został niebawem ministrem — marynarki. W tym charakterze zajął się gorliwie urządzeniem ścisłego nadzoru nad wyspą Elbą, za pomocą umyślnego krzyżownika, — lecz, jak się wnet miało okazać, marynarskie uzdolnienie uczonego akademika nie było wystarczającem, aby zapobiedz tryumfalnemu powrotowi więzionego cesarza. Podczas Stu Dni ulotnił się oczywiście z kraju, zaś za drugiej Restauracyi, skompromitowany nieco swoją ministeryalno-marynarską dekonfiturą, nie obejmował już żadnego stanowiska czynnego w wyższej administracyi. Podczas procesów o zdradę stanu, wytoczonych współwinnym doby Studniowej, występował z wielką zaciętością; w szczególności oburzył wtedy na siebie opinię publiczną swojem nienawistnem i obciążającem zeznaniem w charakterze świadka w głośnym procesie przeciw generałowi Lavalette, któremu też i w niniejszych Pamiętnikach nie szczędzi zaciekłych inwektyw. Wegetował odtąd bezczynnie na parowskim fotelu, w najlepszych aż do końca osobistych stosunkach ze swoim królewskim dobroczyńcą, Ludwikiem XVIII, który,—jak powiada wydawca w przedmowie do Pamiętników niniejszych,— „mądrością swego panowania zasłużył sobie na pochwałę historyi". Nie możemy, rzecz prosta, razem z wydawcą ani rozczulać się nad dworacką układnością Ferranda, ani unosić nad „mądrością" ostatniego Ludwika. Zaznaczamy tylko nawiasowo, że legitymistyczne i wicehrabiowskie upodobania p. De Broca nazbyt jednostronnie występują w przedmowie do niniejszego wy-

dawnictwa, co niewątpliwie też odbiło się niekorzystnie na zbyt pochlebnym i apologetycznym sądzie wydawcy o samym pamiętnikarzu. Ferrand w późnym wieku zmarł w 1825 roku.

Wracamy jeszcze w paru słowach do punktu wyjścia obecnego sprawozdania, do Ferrandowej „Historyi trzech rozbiorów". Ta książka doczekała się drugiej, nader starannej edycyi, kollacyonowanej z rękopisem staraniem Ostrowskiego w 1865 roku. Otóż wtedy dopiero wykazana została przez Ostrowskiego cała osobliwsza metoda pisarska Ferranda. Okazało się mianowicie, że Ferrand poprostu zrabował nieboszczyka Rulhièra, że nietylko wyzyskał w całości nagromadzone przez niego olbrzymie i jedynie drogocenne materyały źródłowe, sam od siebie nic literalnie nie dodawszy, oprócz bezwartościowych, z trzeciej ręki, wyciągów i wypisów ze starych druków i gazet; lecz, co gorsza, że przepisał bądź całkiem dosłownie, bądź też z lekką zaledwie parafrazą, całe gotowe rozdziały, zupełnie już w ostatecznej redakcyi wykończone przez Rulhièra. Tak więc naprzykład pierwsza księga „pracy" Ferranda, gdzie mowa o rokowaniach podziałowych między Fryderykiem II a Józefem II w Nisie i w Nowem Mieście w 1769 i 1770 roku, albo o misyi ks. Henryka pruskiego do Petersburga, jest to ani mniej, ani więcej, jak tylko ostatnie, nieogłoszone przez Daunou, może przez niego prześlepione, rozdziały księgi XII „Historyi Anarchii polskiej". Wprawdzie Ferrand w słowie wstępnem do swojej książki i w licznych notach nie żałował ogól-

nikowych pochwał dla Rulhièra, wygłaszanych protekcyonalnym tonem akademickiej i ministeryalnej wyższości; lecz zapomniał zupełnie uprzedzić czytelników, jakim to właściwie szczególniejszym sposobem „identyfikował się“ z pracą chwalonego poprzednika. W ogólności, przepisał, co się dało, a resztę skompilował dość zręcznie, lecz wszędzie w takim duchu, że wszelkie momenty „drażliwe“ uległy znacznemu, ministeryalno-akademickiemu, złagodzeniu. Nie chcemy przez to powiedzieć, żeby Ferrand nie żywił, lub nawet nie okazywał pewnej sympatyi dla traktowanych przez siebie nieszczęsnych dziejów polskich. Miał on zapewne wewnętrzne poczucie prawdy i słuszności. Ale, charakter i umysł jednakowo słaby, legitymista i dygnitarz przedewszystkiem, był on z natury rzeczy jak najmniej powołany do podejmowanego przez siebie zadania. W istocie, jakże były pamflecista, uderzający na Zgromadzenie Narodowe paryskie, mógł należycie ocenić Sejm Czteroletni warszawski? Jakże były emigrant francuski mógł należycie osądzić emigrantów polskich? Jakże były członek Rady Regencyjnej w Koblencyi mógł należycie wyrokować o Radzie Konfederackiej w Targowicy? To też żadną miarą niepodobna mu przyznać jakiejkolwiek istotnej kompetencyi w doniosłych sprawach historycznych, które opisać sobie przedsięwziął. Niestety,—rzecz nieprawdopodobna, a jednak prawdziwa, — jego książka po dziś dzień, po ośmdziesięciu latach, jest jedynem monograficznem opracowaniem doby trójpodziałowej. Jedynem, nietylko w piśmiennictwie

zagranicznem, lecz oraz i w polskiem. Tem to gorzej, im mniejsza jest wartość tej „monografii“ zarówno pod względem swego ducha, jakoteż metody naukowej. Pod obydwoma tymi względami trzeba raz na zawsze ustalić kapitalną różnicę pomiędzy pisarzem „Anarchii polskiej“, a jego „kontynuatorem“, pisarzem „Trzech podziałów“. Rulhière, tylekroć karcony za rzekomą swoją powierzchowność, był naprawdę wielkim historykiem. Ferrand, tylekroć wychwalany za rzekomą swoją powagę, był naprawdę małym kompilatorem. Ale jakże to być może? Wszak pierwszy tryska dowcipem i daje się czytać z przyjemnością? Wszak drugi jest przykładnie nudny i pisze stylem dosyć usypiającym, jak na akademika-ministra przystało? To prawda. Lecz ponieważ niema reguły bez wyjątku, trzeba tedy pogodzić się z tym gorszącym wyjątkiem: że można czasem, jak Rulhière, być dowcipnym, a jednak uczonym, i że można także niekiedy, jak Ferrand, być nudnym, a jednak nieukiem.

Ks. Adam Czartoryski ministrem rosyjskim.

Do najdotkliwszych braków we współczesnej produkcyi naukowej polskiej, zarazem zaś, co ważniejsza i gorsza, spółczesnej kulturze duchowej polskiej, należy bezprzykładne zaniedbanie nowożytnych i najnowszych dziejów krajowych. Bezprzykładne zaiste, gdyż równocześnie, w oczach naszych, historyografia rosyjska, niemiecka, francuska, angielska, — ba, nawet węgierska albo szwedzka, włoska albo bodaj fińska,—każda w swoim właściwym zakresie, z chwalebną troskliwością, czujnością i energią, dąży do zestrzelenia swoich poszukiwań badawczych dokoła ogniska blizkich i najbliższych dziejów ojczystych i każda tem samem przykłada się zbawiennie do kształcenia i oświecenia swojskiej samowiedzy publicznej. Czemuż u nas dzieje się inaczej? Czemu nauka nasza, z nielicznymi wyjątkami, uparcie zamyka oczy na najżywotniejsze zagadnienia wczorajszej i onegdajszej doby? Czemu, cofając się raczej z pewną ostentacyjną predylekcyą do epok odleglejszych, wyraźnie stroni od tej właśnie, tak ważnej, doby nowoczesnej i od tych mianowicie, tak aktualnych, nowo-

czesnych zagadnień? Czemu wyrzeka się podwójnego obowiązku rozwidnienia ich co rychlej i co jaśniej ku pożytkowi wiedzy i ogółu? Czemu pozwala opinii błąkać się tutaj poomacku i stopniowo zatracać pamięć i poczucie tych ostatnich i przedostatnich ogniw przeszłości, skąd bezpośrednio wyłania się teraźniejszość i przyszłość? Czyliżby dla polskich rzeczy dziejowych, wbrew wszelkim prawom przyrodzonym, siła przyciągająca, zamiast rosnąć, przeciwnie miała słabnąć odwrotnie proporcyonalnie do kwadratów odległości? Czyliżby te rzeczy miały być jak wino, smakowite dla poważnego historycznego podniebienia wtedy dopiero, kiedy się przez kilka wieków wystały? Czyliżby dla nich istniał i obowiązywał jakiś nadzwyczajny, nieznany gdzieindziej, termin dziejopisarskiego przedawnienia? I czyliżby, poniżej takiej nietykalnej preskrypcyjnej granicy, nie były one jeszcze dostatecznie „dojrzałe“ naukowo? Albo może jeszcze zanadto „drażliwe“ politycznie? Czyliżby wchodziły tutaj w grę jakoweś „głębsze“ względy pseudo-naukowe, których nie umieli dopatrzyć się Tucydydes ani Ranke, kiedy pisali o spółczesnych sobie wypadkach i ludziach greckich lub pruskich? Albo może jakieś „wyższe“ względy pseudo-polityczne, których nie umieli wyczuć Tacyt ani Taine, kiedy pisali o spółczesnym sobie Rzymie lub Francyi spółczesnej? Zapewne, oprócz tych fikcyjnych, istnieją inne realniejsze trudności. Są one nam dobrze znane, może lepiej niż komukolwiek. Przecie, zdaniem naszem, mogą one co najwyżej stanowić okoliczność łagodzącą, lecz

bynajmniej nie mogą uchodzić za wystarczające tłómaczenie. Jakkolwiekbądź zresztą, — nie chcemy obecnie zgłębiać racyi i pobudek dziwnej niepłodności czy obojętności, dziwnego niedołęstwa czy znieczulenia naukowej historyografii polskiej w dziedzinie nowych i najnowszych dziejów domowych. Stwierdzamy tylko ponownie — jak to czyniliśmy już nieraz — sam fakt oczywisty i opłakany. Stwierdzamy zarazem ponownie — jak to czyniliśmy już potylekroć — naglący obowiązek niezwłocznej naprawy tak rażącego i ujemnego zjawiska.

Do wygłoszenia niniejszego *ceterum censeo*, dały nam pochop dwie książki wyszczególnione poniżej. Są to dwie książki niemieckie, napisane przez niemieckiego profesora, na uniwersytecie niemieckim, a omawiające spuściznę pamiętnikarską i działalność ministeryalną wielkiego męża stanu — polskiego *). Być wielkim statystą polskim — trzeba wyznać — nie należało nigdy do zawodów zbyt łatwych ani zbyt fortunnych. Do najcięższych i najniewdzięczniejszych należało oczywiście w dobie nowoczesnej, a zwłaszcza w okresie przedstuletnim, pośrodku samej agonii i nazajutrz po dokonanym upadku państwa polskiego. Jednak kraj w tak twardych, tak nadzwyczajnych przeprawach wydał dosyć mężów niepospolitych, którymi śmiało mog-

*) H. Ulmann: *„Ueber die Memoiren des Fürsten Adam Czartoryski"*. Tenże: *„Russisch-preussische Politik unter Alexander I und Friedrich-Wilhelm III bis 1806"*.

łaby pochlubić się historya polska przed swoimi i obcymi. Mogłaby, powiadamy w trybie warunkowym, gdyż w istocie wolała puścić ich w niepamięć. W rzeczy samej, owi mężowie — jeśli za życia dźwigali niepomierne brzemię odpowiedzialności, — za to po śmierci pokryci zostali tem głębszem i upartszem milczeniem. Zapewne, bywają im jeszcze przy okazyi oddawane szablonowe honory, bywają przyczepiane do ich nazwisk szablonowe wykrzykniki i frazesy pochwalne. Lecz nie takim tanim kosztem można uiścić się względem nich ze społecznego i naukowego długu. Ten dług społeczności, z którego oddawna winna była wywiązać się nauka, został im niespłacony po dziś dzień. Nieutrwalone pędzlem historyka wybitne rysy ich słusznych i znacznych postaci zacierają się i blakną, niewybadane sondą badacza celne świadectwa ich obszernych i doniosłych zatrudnień w proch rozsypują się w pyle archiwalnym i ulatniają się doszczętnie ze świadomości potomnych. Nie tak, doprawdy, dzieje się gdzieindziej. Gdzieindziej, gdziekolwiek, u społeczeństw nietylko większych, lecz nawet nierównie mniejszych, nietylko starszych od nas, lecz nawet dużo młodszych pod względem kulturalnym, inaczej, lepiej i mądrzej umie ścisła nauka dziejowa czuwać nad imieniem i dziełem wydatnych przewodników lub pracowników krajowych.

Weźmy Niemcy. O każdym bez wyjątku wybitnym działaczu publicznym z ostatnich dwóch stuleci istnieją tutaj osobne wyczerpujące prace i wydawnictwa mono-

graficzne; częstokroć o jednej postaci istnieje cała osobna literatura źródłowa. Taki zaś minister Stein albo kanclerz Hardenberg, taki generał Scharnhorst albo Gneisenau, żeby już nie wspominać o Bismarckach i Moltkych, posiadają ogromne, wspaniałe mauzolea biograficzne, wzniesione przez najpierwszych architektów-dziejopisów, przez Ranków i Pertzów, Lehmannów i Delbrücków. Weźmy Francyę. W samej chociażby nieprzebranej erze rewolucyjnej i napoleońskiej, śród wielotysięcznej obsady tak rozległego dziejowego dramatu, żadna niemal postać celniejsza, lub bodaj tylko ciekawsza, nie została pominiętą przez niestrudzone badania historyografii francuskiej. Od aktorów najgłówniejszych aż do podrzędnych komparsów, od trybuna Mirabeau aż do dyrektora Barrasa, od księcia Talleyranda aż do księdza Pradta, od marszałka Davousta aż do „pierwszego grenadyera", o wszystkich tutaj pamiętano, każdemu wyznaczono właściwą kartę w wielkiej księdze dziejów narodowych, która wszak na swój sposób jest poniekąd *Grand livre de la dette publique.* Weźmy Anglię. O Walpolach albo Pittach, o Burkach albo Foxach, o Wellingtonach albo Palmerstonach, istnieją formalne biblioteki życiorysów, poszukiwań i publikacyi archiwalnych. Tutaj zresztą historyografii zawodowej przychodzi zazwyczaj z dzielną pomocą chlubny pietyzm rodzinny: przedstawiciele magnackich domów angielskich, skąd wyszli ci wielcy statyści, nietylko łożą znaczne fundusze na kosztowne wydawnictwa spuścizny politycznej po swoich znakomitych przod-

kach, lecz częstokroć do tych wydawnictw przykładają się osobiście własną naukową pracą edytorską. Weźmy Włochy. Paoli albo Melzi, Confalonieri albo Azeglio, Manin albo Cavour, byli i są przedmiotem niezliczonych specyalnych dociekań; ogłaszano ich pamiętniki, listy prywatne, korespondencyę polityczną; zbadano w najdrobniejszych szczegółach ich żywot i działalność. W szczególności cała epoka *Risorgimento,* t. j. kilkadziesiąt lat środkowych XIX stulecia, stała się w ostatnich czasach punktem wyjścia wprost niewyczerpanej, a ze wszech miar budującej, twórczości naukowej. Weźmy wreszcie Rosyę. Tutaj, jeżeli sobie uprzytomnimy, jak późno, jak niedawno wzięto się do dzieła, ogrom imponujących rezultatów, tak raptownie osiągniętych, poprostu wprawia w zdumienie. Wprawdzie produkcya dziejopisarska rosyjska pod względem technicznym, pod względem ścisłości i wytrawności metody naukowej, jeszcze przeważnie pozostawia wiele do życzenia. Ale rozpęd, rozmiar i owocność tej produkcyi jest istotnie nadzwyczajna. Kipi tu wprost, pali się w ręku, wszechstronna robota badawcza monograficzna, a zwłaszcza edytorska. Setkami, tysiącami woluminów ogłaszane są z archiwów publicznych i prywatnych dokumenty dziejowo-polityczne najpierwszej wagi, ze szczególnem, z wyjątkowem uwzględnieniem właśnie doby nowożytnej i nowożytnych działaczów państwowych. To też ci działacze, czy to Münnich, Suworow lub Paskiewicz, czy Bestużew, Bezborodko lub Potemkin, czy Kurakinowie, Paninowie lub Woroncowowie, mają swoje włas-

ne niezliczone pomniki naukowe, trwalsze i użyteczniejsze od kamiennych albo śpiżowych, gdyż każdy taki papierowy i drukowany pomnik wdzięczności publicznej jest zarazem jak gdyby pośmiertną mównicą, skąd tamci działacze ofiarują swój rozum, swoje doświadczenie i swoje dążności na użytek dzisiejszych i przyszłych pokoleń swoich spółrodaków.

Możnaby te przykłady łatwo mnożyć w nieskończoność. Lecz nie potrzeba ich chyba więcej, ażeby we właściwem, w najjaskrawszem świetle, obok cudzej wokół obfitości, postawić własne nieprawdopodobne historyograficzne ubóstwo. Rzecz w istocie nie do wiary: u nas ani Szczuka i Załuski, ani Konarski i Staszic, ani St. Małachowski i Ign. Potocki, ani Tad. Mostowski i Ksaw. Lubecki, ani Józef Poniatowski i Kniaziewicz, ani Dąbrowski i Ad. Czartoryski, ani tylu, tylu innych użytecznych, niepospolitych, lub nawet wielkich sług krajowych nie zarobiło sobie po dziś dzień na żadne, chociażby w przybliżeniu wystarczające, uwzględnienie i opracowanie naukowe. Istnieje podobno akademia i uniwersytety polskie, istnieją nareszcie może domy polskie, mające, zdawałoby się, najbliższe obowiązki dla tych szanownych imion. A jednak ani wiedza fachowa, ani pietyzm rodzinny nie objawiły się dotychczas na tem polu w pożądanej, twórczej mierze, w poważnym konsekwentnym sposobie, o ile wogóle objawiły jakikolwiek znak życia. I tak stało się, że dzisiaj potrzeba dopiero inicyatywy cesarskiego uczonego prusko-niemieckiego, profesora wszechnicy gryfijskiej, do-

ktora Heinricha Ulmanna, ażeby przypomnieć nauce historycznej osobę księcia Adama Czartoryskiego.

Nie po raz pierwszy przyczynki naukowe o ks. Adamie Czartoryskim przychodzą do nas ze źródeł obcych. W szczególności, najcenniejsze o nim materyały archiwalne, ujawnione ostatniemi laty, zawdzięczamy publikacyom rosyjskim. Nasamprzód, w „Zbiorze Towarzystwa Historycznego“ w Petersburgu, ogłoszono jego korespondencyę zamłodu z Repninem, część jego korespondencyi ministeryalnej, zwłaszcza z poselstwem rosyjskiem w Paryżu, oraz niektóre jego memoryały polityczne. Następnie w „Archiwum ks. Woroncowa“ ogłoszono wiele jego listów i depesz do członków tej rodziny, a zwłaszcza do posła rosyjskiego w Londynie. Wreszcie niedawno, staraniem petersburskiego ministeryum oświaty, ogłoszono zbiór dokumentów, dotyczących jego kuratorstwa wileńskiego. W Niemczech już dawniej Ranke ogłosił część ważnych jego negocyacyi z kanclerzem Hardenbergiem. We Francyi świeżo p. Pingaud w zajmującej pracy monograficznej zużytkował jego niewydaną korespondencyę ministeryalną z tajnymi agentami dyplomacyi rosyjskiej. Żadnej polskiej pracy naukowej o ks. Czartoryskim, zasługującej na to miano, niema dotychczas wcale. Niegdyś, przed laty, część ułamkową jego pamiętników i listów powierzono do ogłoszenia niepowołanemu i nieumiejętnemu francuskiemu dyletantowi, de Mazade, który też całkiem po dyletancku i całkiem niezadowalająco wywiązał się z tego zadania, przechodzącego jego siły i kompetencyę. Bro-

nisław Zaleski długo gotował się do wielkiego dzieła biograficznego, lecz koniec końców dał tylko drobny i słaby ułamek i utknął na samym progu. Interesujący, lecz oderwany przyczynek ogłosił niezbyt dawno p. Gadon. I to, mniej więcej, byłoby wszystko.

Obecnie prof. Ulmann, podejmując ważne poszukiwania historyczno - polityczne w zakresie stosunków prusko-rosyjskich w zaraniu XIX wieku, natrafił na kierowniczą w tej sferze działalność ks. Adama Czartoryskiego, bądź to jako zaufanego doradcy cesarza Aleksandra, bądź też jako oficyalnego naczelnika rosyjskiego ministeryum spraw zagranicznych. Tym sposobem, badanie uczonego autora, przedsięwzięte zapewne w myśli zarówno historycznej jakoteż politycznej, zarówno w celu wyświetlenia zawiłego epizodu dziejowego, jakoteż w celu objaśnienia spółczesnej dyplomacyi pruskiej o nauczającym precedensie międzynarodowym, stało się zarazem poniekąd obszerną monografią o czynnościach i dążeniach polskiego statysty w kilkoletniej jego roli sternika polityki rosyjskiej.

Jednym z najpierwszych odruchów cesarza Aleksandra I natychmiast po objęciu rządów (marzec 1801 r.) było przywołanie do swego boku Adama księcia Czartoryskiego. Już wtedy od lat kilku między nimi dwoma zadzierzgnięty był węzeł najściślejszej przyjaźni. Znalazłszy się nagle na najpotężniejszym z tronów, młody, dwudziestokilkoletni monarcha najbliższym swoim doradcą uczynił trzydziestoparoletniego przyjaciela. Czartoryski, zaskoczony wezwaniem monarszem na dalekiem po-

ludniu włoskiem, wnet pośpieszył z Neapolu do Petersburga i tutaj od pierwszej chwili znalazł się w gronie najzaufańszych doradców monarchy. Jednak polityka nowego panowania, a w szczególności polityka zagraniczna, była jeszcze w stadyum przejściowem, nieustalonem i nieklarownem. Cała Europa z niespokojnem zaciekawieniem miała oczy skierowane na nowego samowładcę Wszech-Rosyi. Najwięcej niepokoiły się sąsiednie Prusy. Od stulecia już z górą było aksyomatem dyplomacyi berlińskiej, iż losy Prus zależą od ich stosunku względem Rosyi. Niezwłocznie też z Berlina podjęto starania, ażeby obecnie ten stosunek zawczasu należycie zabezpieczyć, ażeby mianowicie odrazu oprzeć go na fundamencie osobistych sympatyi monarszych. Tak doszło, już w czerwcu 1802 r., do zjazdu cesarza Aleksandra I w Kłajpedzie z królem Fryderykiem-Wilhelmem III i piękną królową Luizą. Zjazd odbył się wbrew przeciwnej opinii ministrów Koczubeja i Strogonowa, a zwłaszcza wbrew stanowczym ostrzeżeniom Czartoryskiego. Tutaj jest punkt wyjścia rozstrząsań prof. Ulmanna. Oczywiście, iż ze swego stanowiska nie pisze się on na ostrzegawczy głos polskiego męża stanu. Wszakże stwierdzić potrzeba, iż równocześnie dzisiejszy historyk rosyjski, gen. Szylder, całkowicie podpisuje zdanie pamiętnikarskie Czartoryskiego, że „zjazd kłajpedzki był w swych skutkach jedną z najcięższych klęsk dla Rosyi". W rzeczy samej, nawiązane wówczas nici sympatyi osobistej miały niebawem skrępować inicyatywę polityki rosyjskiej w kilku arcy-

doniosłych przedsięwzięciach; stąd to, z Kłajpedy, drogą na Iławę i Friedland, miała następnie Rosya zostać sprowadzoną do ciężkich i niepraktycznych ofiar *pour le roi de Prusse;* i tędy, jeszcze znacznie później, aż do czasów najnowszych, z rzadką zręcznością i szczęściem, miały Prusy założyć dźwignię najwyższych swoich ambicyi. Przecie odmienne w tym wypadku zdanie, z całą wyrażone otwartością, nietylko nie zaszkodziło Czartoryskiemu, lecz owszem umocniło go w zaufaniu monarchy. Wymawiał się on długo od ofiarowanych sobie godności urzędowych: wreszcie, ulegając woli cesarza Aleksandra, został najprzód pomocnikiem przy kanclerzu Woroncowie, niebawem sam na własną rękę objął ministeryum spraw zagranicznych — ze zwolnieniem wszakże, na własną prośbę, od pensyi i odznaczeń, oraz zachowaniem sobie możności ustąpienia na wypadek kolizyi rozlicznych swoich obowiązków. Od początku swego urzędowania został cierniem w oku dyplomacyi berlińskiej. Prof. Ulmann pod tym względem dostarcza wielu nowych, nader zastanawiających szczegółów. Okazuje się, że ministeryum berlińskie przez swego posła w Petersburgu, Goltza, przez profesora dorpackiego Parrota, i przez inne jeszcze osoby, umiało obrócić przeciw Czartoryskiemu wpływy cesarzowej wdowy, Maryi Teodorówny. Między innymi, aż z Paryża, pracował w tym duchu znany nam dobrze Lucchesini, posłujący wtedy od Prus u Napoleona. Inne jeszcze ciekawe odkrycia wychodzą na jaw przy tej okazyi. Jeden z ludzi wysoko cenionych przez Czarto-

ryskiego, przed którym też zwierzał się on z całem zaufaniem ze swoją nieprzychylną dla Prus dążnością, był to generał rosyjski Wintzingerode. Owóż okazuje się, iż ten Niemiec w służbie rosyjskiej, generał-adjutant cesarza Aleksandra, wszystkie poufne wynurzenia rosyjskiego ministra spraw zagranicznych donosił potajemnie rządowi austryackiemu, — jak przekonał się o tem dowodnie prof. Ulmann w archiwum wiedeńskiem, — skąd znowu dostawały się one do Berlina. Ostatecznie, skutkiem tych wszystkich podziemnych machinacyi, stanowisko Czartoryskiego z końcem 1804 r. było mocno zachwiane. Jednak jeszcze tym razem nie udało się wysadzić go z siodła. Przeciwnie, pośród wynikłego w tym czasie powszechnego przesilenia europejskiego, w przededniu trzeciej koalicyi, zdołał on raz jeszcze utwierdzić się mocniej niż kiedykolwiek w zaufaniu cesarza Aleksandra i rozpocząć wielkie przedsięwzięcie polityczne, — które wszakże, wbrew jego pierwotnym intencyom zwichnięte, nie jego już ręką i nie wedle jego planu kierowane, miało narazić Rosyę na klęski austerlicką i frydlandzką, i utknąć w końcu na połowicznem rozwiązaniu tylżyckiem.

Już od połowy 1804 r.—odkąd, skutkiem rozstrzelania ks. d'Enghien, zerwane były stosunki dyplomatyczne między Rosyą a Francyą, — powszechna wojna europejska wisiała w powietrzu. Czartoryski, jakkolwiek osobiście był od początku raczej przeciwnikiem ówczesnego systematu francuskiego, a zwłaszcza najnieprzychylniej był usposobiony dla Napoleona, rozu-

miał wszelako, że sama wojna z daleką Francyą nie może przynieść Rosyi żadnych bezpośrednich korzyści realnych. Ale przy Francyi od lat dziesięciu, od haniebnego pokoju bazylejskiego, stał sojusznik pruski, sojusznik w najwyższym stopniu interesowny, który poprzednio w Bazylei był pogodził się z Francyą rewolucyjną, aby mieć wolne ręce dla zagarnięcia Warszawy, a który teraz wysługiwał się Francyi napoleońskiej, aby wziąć upragnioną zapłatę w Pomorzu szwedzkiem, w ziemiach nadreńskich, w Hanowerze angielskim. Rozumiał tedy Czartoryski, iż bezpośredni, realny, a nader żywotny interes Rosyi na tem właśnie polega, żeby w gotującej się walce powszechnej punkt ciężkości ze strony rosyjskiej położyć nie na bezpłodnych zapasach ze samą Francyą, lecz na gruntownej rozprawie z tym sąsiedzkim sekundantem Francyi—z Prusami. Wyobrażał sobie akcyę rosyjską w sposób następujący: zaofiarować Prusom akces do rosyjsko-austryacko-angielskiej koalicyi przeciw Francyi, zażądać od nich takiego akcesu, wytrącić je z ich ulubionej, dogodnej a nawskróś dwuznacznej roli pośredniczącej, zmusić je do zrzucenia maski, do jawnego, interesownego zdeklarowania się za Francyą i wtedy całą potęgą rosyjską na nie uderzyć, odebrać im ich zdobycze polskie i w ten sposób, przez połączenie wszystkich dawnych ziem polskich pod berłem rosyjskiem, podnieść Rosyę na najwyższy stopień potęgi światowej. Wielki ten zamysł pozyskał zupełną aprobatę cesarską. Wszelkie przygotowania dyplomatyczne i wojskowe zawczasu były zarządzone.

Za pośrednictwem posła rosyjskiego w Wiedniu, Razumowskiego, nawiązano rokowania o Galicyę, ewentualnie wzamian za obietnicę powrotu Śląska pruskiego do Austryi. W połowie września 1805 r. armia rosyjska pod Kutuzowem w 50,000 ludzi miała uderzyć na pruską Warszawę; druga armia, pod Buxhoewdenem, miała w 100,000 ludzi z Grodna wtargnąć do Prus Wschodnich; dwie armie rezerwowe Essena i Bennigsena miały poprzeć pierwsze natarcie. Równocześnie, we wrześniu, cesarz Aleksander z Petersburga, drogą na Brześć, udał się do Puław. Tutaj, w pałacu starych książąt Czartoryskich, zamienionym na główną kwaterą cesarską, zgromadzili się dokoła cesarza Aleksandra I przedstawiciele wszystkich dawnych ziem polskich, już niejako z wiernopoddańczem homagium.

Te niezwykłe puławskie dni jesienne 1805 r., z rozlicznych względów zaciekawiające i znamienne, były już powielekroć opisywane przez licznych świadków naocznych, polskich i rosyjskich. Jednakowoż jeszcze po dziś dzień wiele szczegółów kapitalnych i zasadniczych przedstawia się niedość jasno i wymagałoby dokładniejszego wyświetlenia. Kładziemy tutaj narazie jedno wcale nowe, a oryginalne i dające do myślenia świadectwo. Znaleźliśmy je w powierzonych nam Pamiętnikach rękopiśmiennych jednego z licznych gości, albo raczej reprezentantów, sprowadzonych wtedy do Puław z najrozmaitszych stron kraju. „Patryoci złożyli cesarzowi listę, pokrytą setkami podpisów. Cesarz zachował ją u siebie... Zażądano również i ode mnie

położenia mego podpisu na projekcie. Aliści — dodaje satyrycznie pamiętnikarz, który zresztą naogół, w długiem swojem życiu umiał uniknąć ryzykownych uniesień i *faux-pas* a kierować się raczej praktycznymi względami roztropności, w tym wypadku co prawda ze wszech miar uzasadnionej, — mądrość Konfucyusza nakazywała mi zachować powinną wierność memu monarsze, t. j. Fryderykowi-Wilhelmowi III, i ustanowionym władzom. Wymówiłem się tedy od podpisu a dałem natomiast słowo honoru, że i bez podpisu stawię się z bronią w czasie i miejscu, jakie mi będą wskazane... Później, w Berlinie, w chwili serdeczności, została królowi pruskiemu zakomunikowana czy też wydana owa lista osób, które w Puławach ofiarowały Rosyi koronę polską. Rząd pruski wnet wydał potajemne rozkazy, ażeby z temi osobami postąpić bez żadnej względności, jako ze źle myślącymi felonami i zdrajcami stanu".

Ale tak przykrych, a tak blizkich ewentualności nikt z początku nie przewidywał w Puławach. Cesarz Aleksander był jak najlepszej myśli. Jego otoczenie, nietylko polskie, lecz w równej mierze i rosyjskie, oczekiwało z niecierpliwością i upragnieniem gotujących się wielkich wypadków. Wprawdzie nie brakowało oczywiście jednego lub drugiego malkontenta. Takim był przedewszystkiem młody ks. Dołgorukij, osobisty nieprzyjaciel ks. Adama Czartoryskiego, a stąd przeciwny w zasadzie całej akcyi podejmowanej przez ministra. Lecz inni Rosyanie, co najmniej równie patryotyczni jak Dołgorukij, a bezstronniejsi od niego, doświadczeńsi i głę-

biej patrzący, najzupełniej godzili się na tę akcyę, skierowaną przeciw Prusom, a już zdawało się, nieodwołalnie postanowioną przez cesarza Aleksandra. Nadeszła przecie szczęśliwa pora, tak pisał stary kanclerz Woroncow do Czartoryskiego, aby nareszcie naprawić błędy stuletniej polityki względem Prus. Lada dzień, lada godzina winno było z kwatery puławskiej wypaść hasło do rozpoczęcia wielkiej akcyi, do zbrojnego uderzenia na Prusy. Dla Rosyi był to moment wyjątkowo obiecujący. Dla Prus był to moment najgroźniejszego niebezpieczeństwa, w jakiem znajdowały się kiedykolwiek, bodaj aż od straszliwych przepraw wojny siedmioletniej. Teraz zaś nie posiadały Wielkiego Fryderyka. Niszcząca i, zdawało się, nieodwołalna burza zawisła nad monarchią Hohenzollernów.

To jest ów sławny plan Czartoryskiego z roku 1805. *„Czartoryskis Mordplan gegen Preussen“* — mówi z oburzeniem historyografia pruska. Plan w najwyższym stopniu odpowiadający interesom Rosyi — mówili z wdzięcznością najdojrzalsi ówcześni statyści rosyjscy i mówią dzisiaj z uznaniem najświadomsi historycy rosyjscy. Prof. Ulmann z większą bezstronnością od swoich współrodaków, od Treitschków, Onckenów i innych, wstrzymuje się od fałszywego moralizowania nad tym planem „morderczym“, będącym niewątpliwie, cokolwiekby zresztą o nim sądzić, owocem niepospolitej myśli stanu, a będącym w każdym razie niczem więcej, jeno zasłużonym aktem odwetowym. Należy podnieść tę chlubną bezstronność uczonego autora. Lecz niepo-

dobna skądinąd akceptować jego wykładni samego przebiegu wypadków puławskich 1805 r. Usiłuje on mianowicie całą inicyatywę przygotowanej akcyi przypisać wyłącznie Czartoryskiemu i przedstawić rzecz w ten sposób, jakoby cesarz Aleksander I w sprawie tak arcydoniosłej odgrywał drugorzędną, czysto bierną rolę wobec swego własnego ministra. Jest to oczywiście pogląd od początku do końca błędny. Z jednej strony istnieją niezbite, konkretne dokumenty piśmienne,—wskazujemy chociażby tylko źródła, ogłoszone przez ks. Wasilczykowa, a świeżo uzupełnione przez gen. Szyldera, wykazujące w całej pełni osobistą, czynną inicyatywę cesarza w niniejszych, najcelniejszych działaniach przygotowawczych. Z drugiej zaś strony, trzebaby całkiem chyba niedocenić niezwykłej w istocie inteligencyi i samodzielności cesarza Aleksandra I i pominąć zarazem całą rozległość i komplikacyę niezbędnych w tym wypadku olbrzymich i trudnych czynności przedwstępnych, wojskowych i dyplomatycznych, aby przypuścić na chwilę, że przedsięwzięcie takiej miary i takich konsekwencyi mogło być podejmowane i już napoły urzeczywistniane pod obojętnem okiem biernego monarchy.

Jednakowoż potężny atak na Prusy, gotujący się w kwaterze głównej rosyjskiej w Puławach, w ostatniej godzinie został powstrzymany, a wnet całkiem odwołany. Przyczynił się do tego ujemnego rezultatu niefortunny zbieg okoliczności. Przyczyniło się chwilowe wahanie cesarza Aleksandra. Z okoliczności i z waha-

nia umiały w mgnieniu oka skorzystać Prusy. Jak wykazuje prof. Ulmann, stwierdzając ostatecznie zasadność podejrzeń, wyrażonych swego czasu przez samego Czartoryskiego, ówczesny poseł rosyjski w Berlinie, Alopeus, zdradził kanclerzowi pruskiemu Hardenbergowi sekret zamysłów puławskich cesarza Aleksandra. Autor odnalazł w archiwum berlińskiem kopie najpoufniejszych depesz ministeryalnych, posyłanych Alopeusowi. Z drugiej strony Dołgorukij wysilił wszystką swą wymowę i wpływy, aby zachwiać cesarza Aleksandra. Tyle zrobił, że wysłany został z Puław do Berlina. Tutaj, rzecz prosta, przyłączył swój przyjacielski głos ostrzeżenia do rewelacyi Alopeusa. Gabinet berliński, uprzedzony jeszcze zawczasu o grożącem niebezpieczeństwie, zdążył zażegnać je w lot przez zręczną dywersyę. Fryderyk-Wilhelm III pośpieszył zapowiedzieć swoją gotowość przystąpienia do koalicyi, i zarazem w najserdeczniejszych wyrazach zaprosił cesarza do swojej stolicy. Od jednego zamachu zupełnie odmieniło się położenie.

Aleksander I, wprost z Puław, omijając Warszawę,— gdzie go już oczekiwano, a gdzie oczywiście bardzo byliby nieradzi widzieć go Prusacy,— podążył do Berlina. Król Fryderyk-Wilhelm wysilił całą swą uprzejmość, królowa Luiza cały swój wdzięk, aby godnie przyjąć i ująć sobie nieocenionego gościa. Na wszelki sposób, aż z ostentacyjną przesadą, honorowano cesarza nad Sprewą; wtedy to jego imieniem ochrzczono "spaniały *Alexanderplatz* berliński, wystawiano jego

biusty po wystawach sklepowych, sprzedawano na ulicach jego wizerunek z alegoryczną gwiazdą północną, przebijającą chmury, opiewano go czułymi rymami w gazetach i pismach ulotnych. Śród tych wylewów gościnności, tem bardziej upokarzające, przykre i fałszywe było stanowisko Czartoryskiego, który w świecie cesarskiej znalazł się w Berlinie. Był on pobity na głowę przez dyplomacyę pruską, a przewidywał z góry, że koszta tego pruskiego zwycięstwa będzie musiała niebawem zapłacić Rosya. Teraz to mianowicie rząd berliński śród swego tryumfu nie zapomniał także wywiedzieć się na stronie jak najdokładniej o nazwiskach Polaków z Warszawy i Poznania, którzy dopiero co stawili się w Puławach z hołdem dla Aleksandra: na nich wszystkich obecnie spadły surowe prześladowania ze strony władz pruskich, jako na zdrajców królewskiego rządu. Tymczasem w Berlinie już po kilku dniach doszedł traktat prusko-rosyjski, warujący przyjacielską medyacyę Prus, a właściwie ich sprzymierzeńczą interwencyę przeciw Napoleonowi. Nazajutrz po podpisaniu traktatu, o samej północy, zaprowadzono cesarza Aleksandra do podziemi kościoła poczdamskiego, gdzie spoczywały prochy Fryderyka II: tutaj odbyła się słynna scena pożegnalna, nad trumną wielkiego króla podano sobie ręce i zaprzysiężono wieczyste braterstwo obu państw i dynastyi. Cztery tygodnie zaledwo minie od przysięgi Fryderyka-Wilhelma III, a nastąpi klęska austerlicka, i w te pędy Prusy, nie dobywając broni, opuszczą pobitą Rosyę, ułożą się ze zwycięskim Napo-

leonem i tym sposobem najdobitniej usprawiedliwią pierwotną politykę Czartoryskiego.

Na tym punkcie przełomowym zamyka się niniejsze badanie prof. Ulmanna. Mogliśmy tylko jak najkrócej wskazać główne zarysy jego pracy, dotykającej jednego z najciekawszych, a nawet poniekąd niepozbawionych żywej doniosłości aktualnej, momentów politycznych doby nowożytnej. Wprawdzie w licznych szczegółach, a nawet w niektórych kwestyach ogólniejszych, nie możemy podzielać wywodów autora, choć zresztą, rzecz prosta, na tem miejscu niepodobna podnosić trudnych i obszernych kontrowersyi naukowych. Lecz z rzetelną przyjemnością przychodzi nam stwierdzić bezstronną i spokojną metodę uczonego niemieckiego w całem traktowaniu tak drażliwych dla Niemca materyi. Ten spokój i bezstronność, podwójnie rzadkie w nowszej historyografii niemieckiej, ilekroć zwłaszcza wypada zawadzić o sprawy i postaci polskie, pozwoliły też autorowi, po raz pierwszy bodaj w piśmiennictwie niemieckiem, wznieść się, w pewnej przynajmniej mierze, do właściwego sądu o Adamie ks. Czartoryskim, będącym dotychczas prawdziwym kozłem ofiarnym pruskiego politycznego dziejopisarstwa. Nareszcie, po raz pierwszy, oddaje świadectwo czystości i bezinteresowności Czartoryskiego, jako ministra rosyjskiego, zaświadczonej już oddawna przez najpowołańsze głosy rosyjskie, za przykładem samego cesarza Aleksandra I. Przyznaje i poświadcza prof. Ulmann, o czem oddawna ...na była wiedzieć nauka i opinia, że w ministeryal-

nej działalności Czartoryskiego niemasz ani śladu owej karyerowiczowskiej *curée*, cechującej tylu jego poprzedników niemieckich, Münnichów, Ostermannów, Loewenwoldów i najdalszych ich sukcesorów, poszukujących własnego obłowu w obcem państwie i rządzie; że niemasz tu także ani śladu owego rzekomego podstępnego walenrodyzmu, który potwarcze denuncyacye Bernhardich, Onckenów i innych historyografów pruskich usiłowały przyczepić do osoby nienawistnego im Polaka w służbie rosyjskiej. Daleki od tej taktyki denuncyatorskiej, prof. Ulmann, widząc w Czartoryskim jednego z najgroźniejszych przeciwników potęgi pruskiej, uznaje w nim wszakże przeciwnika ze wszech miar godnego szacunku, i w ostatecznej konkluzyi sąd swój o polskim mężu stanu, jako ministrze spraw zagranicznych rosyjskich, zamyka oświadczeniem, iż jego działalność „przynosi mu zaszczyt zarówno jako mężowi stanu i jako człowiekowi charakteru"—*„ehrt ihn als Staatsmann und als Charakter"*. To uczciwe wyznanie, przychodzące z nieprzyjacielskiego obozu, posiada wartość niepoślednią. A być może— jak nader byłoby do życzenia — przyczyni się ono także do tego, aby przypomnieć badaczom swojskim, przypomnieć też najbliższej stronie depozytorskiej, zaniedbane obowiązki naukowe względem historycznej postaci Adama ks. Czartoryskiego.

leonem i tym sposobem najdobitniej usprawiedliwią pierwotną politykę Czartoryskiego.

Na tym punkcie przełomowym zamyka się niniejsz badanie prof. Ulmanna. Mogliśmy tylko jak najkróc wskazać główne zarysy jego pracy, dotykającej jedneg z najciekawszych, a nawet poniekąd niepozbawiony żywej doniosłości aktualnej, momentów polityczny doby nowożytnej. Wprawdzie w licznych szczegóła a nawet w niektórych kwestyach ogólniejszych, nie mamy podzielać wywodów autora, choć zresztą, rz prosta, na tem miejscu niepodobna podnosić trudn i obszernych kontrowersyi naukowych. Lecz z rzet przyjemnością przychodzi nam stwierdzić bezstr i spokojną metodę uczonego niemieckiego w traktowaniu tak drażliwych dla Niemca materyi. spokój i bezstronność, podwójnie rzadkie w no historyografii niemieckiej, ilekroć zwłaszcza w zawadzić o sprawy i postaci polskie, pozwoli autorowi, po raz pierwszy bodaj w piśmiennictw mieckiem, wznieść się, w pewnej przynajmniej do właściwego sądu o Adamie ks. Czartoryski dącym dotychczas prawdziwym kozłem ofiarny skiego politycznego dziejopisarstwa. Nareszcie, pierwszy, oddaje świadectwo czystości i bezi wności Czartoryskiego, jako ministra rosyjski świadczonej już oddawna przez najpowołańs rosyjskie, za przykładem samego cesarza Przyznaje i poświadcza prof. Ulmann winna była wiedzieć nauka i opi

[illegible] działalności Czartoryskiego niemasz ani śladu owej [illegible]owskiej *curée*, cechującej tylu jego poprzed[illegible] niemieckich, Münnichów, Ostermannów, Loe[illegible] i najdalszych ich sukcesorów, poszukują[illegible] obłowu w obcem państwie i rządzie; że [illegible] także ani śladu owego rzekomego podstęp[illegible]dyzmu, który potwarcze denuncyacye [illegible] Onckenów i innych historyografów pru[illegible] przyczepić do osoby nienawistnego im [illegible] rosyjskiej. Daleki od tej taktyki de[illegible], prof. Ulmann, widząc w Czartoryskim [illegible] z najgroźniejszych przeciwników potęgi pru[illegible] w nim wszelkie przeciwnika ze wszech miar [illegible], i w ostatecznej konkluzyi sąd swój [illegible] stanu, jako ministrze spraw zagranicz[illegible], zamyka oświadczeniem, iż jego dzia[illegible] mu zaszczyt zarówno jako mężowi [illegible] charakteru" — „Ehrt ihn als [illegible] als Charakter". To uczciwe wyzna[illegible] z nieprzyjacielskiego obozu, posiada [illegible]. A być [illegible] nader [illegible]

[illegible]

Sprawa polska przed Kongresem wiedeńskim.

Kongres wiedeński 1814 — 1815 roku zajmuje miejsce zupełnie wyjątkowe w nowoczesnych dziejach międzynarodowych. Tutaj to na najpełniejszem, jakie widziano kiedykolwiek, pokojowem zgromadzeniu mocarstw cywilizowanych nietylko przywrócona została narazie równowaga powszechna po gwałtownem zwaleniu rządów napoleońskich, lecz nadto z góry, na długi okres czasu, niemal na całe XIX stulecie, poniekąd aż do doby dzisiejszej, uwarunkowana została pod wielu względami dalsza ewolucya polityczna europejskiego świata. Przewodnicze stanowisko Rosyi wśród mocarstw, wywyższenie Prus pośród Niemiec, rozbieżne i zawisłe położenie Austryi, zdystansowanie Francyi, przewaga kolonialna W. Brytanii — te i inne zjawiska kardynalne, odtąd coraz dobitniej i wszechstronniej występujące na jaw w kolejnym rozwoju wypadków, wtedy to, za stołem kongresowym wiedeńskim, już zostały wyznaczone w swoich zarysach wytycznych. I mimo ogromne od tej pory dokonane zmiany, ciągle jeszcze

w wielu zasadniczych zagadnieniach międzynarodowych przychodzi nawracać do tamtych wytycznych roztrząsań i uchwał wiedeńskich. Jednakowoż rzeczywiste dzieje Kongresu wiedeńskiego po dziś dzień są znane w nader niedostatecznej mierze. Znana raczej scenerya zewnętrzna, strona czysto formalna, przeznaczona na pokaz. Znane ostentacyjne rokowania, urzędowne protokóły, publiczne rozprawy, pisma i sankcye. Natomiast główna, zakulisowa strona rzeczy, istotne sprężyny, przebieg i znaczenie negocyacyi wiedeńskich pozostały w znacznej części w dyskretnym cieniu. Ostatnimi dopiero czasy i ten cień stopniowo pierzchać poczyna. Kilka nowszych doniosłych publikacyi uchyliło rąbek dyplomatycznej zasłony. Pamiętniki głównego reżysera, ks. Metternicha, korespondencye wiedeńskie Castlereagha i Talleyranda, dziennik kongresowy Steina rzuciły sporo światła. Po Austryaku, Angliku, Francuzie i Prusaku stawili się także inni wybitni świadkowie. Będące w toku znakomite wydawnictwo petersburskiego ministeryum spraw zagranicznych, ogłaszane przez prof. Martensa, dorzuciło nieco nader pożądanych świadectw rosyjskich. Wszystko to przecie razem są dopiero pojedyńcze ułamki, z których prawie niepodobna złożyć pełnej i jasnej całości. Jeszcze brak wielu głosów najniezbędniejszych. Jeszcze w wielu szczegółach znaczne są luki i poważne wątpliwości.

To też każdy nowy nabytek naukowy nabiera tutaj podwójnej ceny. Z wdzięcznością przeto regestrujemy natychmiast jeden taki najnowszy nabytek, przyniesiony

pod postacią studyum p. Fourniera, prof. wszechnicy wiedeńskiej, znanego z dawniejszych sumiennych prac nad epoką napoleońską: „Z dziejów sprawy polskiej w r. 1814—1815“ *). Wprawdzie to studyum, jak już wskazuje sam skromny tytuł, nie ma i istotnie nie może mieć zgoła pretensyi do wyczerpania tak doniosłego i skomplikowanego przedmiotu. To nie dzieje, to zaledwo epizod „z dziejów“ tego przedmiotu. W dodatku autor oparł się prawie wyłącznie na papierach Archiwum wiedeńskiego, skąd zresztą zużytkował drugorzędny raczej materyał a nie umiał wydobyć dokumentów najciekawszych, które, jak mieliśmy sposobność sami skonstatować w temże archiwum, zawierają mnóstwo drogocennych, całkiem dotychczas nietkniętych świadectw w niniejszej właśnie, arcyważnej materyi. Poza tem autor gdzieniegdzie tylko, zupełnie przygodnie i pobieżnie, posiłkował się źródłami archiwalnemi Berlina i paru pomniejszych zbiorów. Zresztą najwidoczniej nie zdążył opanować należycie nawet odpowiedniej literatury drukowanej. W szczególności nie uwzględnił licznych odpowiednich publikacyi polskich i rosyjskich, które przecie w tym wypadku w pierwszym rzędzie spożytkować wypadało. Ale za te wszystkie braki nie będziemy zanadto winili p. Fourniera. Rzecz, roztrząsana w jego monografii, należy właściwie do historyi polskiej. Wszakże jak i wiele innych najży-

*) Aug. Fournier: *„Zur Geschichte der polnischen Frage 1814—1815“.*

wotniejszych zagadnień w obrębie dziejów nowożytnych, podobnież i niniejsze zostało zgoła zaniedbane przez spółczesną naukę polską. Skoro więc sami nie zrobiliśmy nic, nie krytykujmyż zbyt ostro cudzoziemca, że za nas nie zrobił wszystkiego. Zamiast tedy czynić tanie zarzuty oświeconemu i życzliwemu Austryakowi, który nas tutaj próbował wyręczyć, wolimy wdzięcznie wziąć do wiadomości i zużytkować jego bądź co bądź pożądany i przydatny, choć niedoskonały i epizodyczny przyczynek do dziejów własnych spraw naszych w przededniu Kongresu wiedeńskiego.

Z chwilą obalenia Napoleona przez sprzymierzoną Europę wynikła sama przez się nieodzowna konieczność wielkiej narady kongresowej zwycięskich sprzymierzeńców w celu podziału pomiędzy sobą wielkiej spuścizny po dotychczasowym panu Francyi i Europy. Traktat paryski pokoju z maja 1814 roku, wnet po wejściu koalicyi do Paryża, darował pokój pobitej Francyi — za cenę kilkunastu milionów poddanych, oderwanych z powrotem od napoleońskiego imperyum. Zarazem, bez traktatów, na mocy samego tylko faktycznego prawa wojny, prysły odrazu wszystkie owe efemeryczne nowotwory polityczne, powołane do życia przez Napoleona, odrazu runęły królestwa Hiszpanii i Włoch, Związek Reński, a najwcześniej Księstwo Warszawskie. Trzeba było rozrządzić całym tym niezmiernym łupem podwójnym: byłemi posiadłościami francuskiemi i byłemi lennami francuskiemi. A trzeba było to uczynić w ten sposób, ażeby pogodzić wszystkie spółzawod-

nictwa, wszystkie rachuby, wszystkie apetyty. Podział zdobyczy: to był ostatecznie sens moralny wielkiej krucyaty antynapoleońskiej. Zdobycz była ogromna. Tem trudniejszy oczywiście był podział. Tem niezbędniejszy przeto był kongres. To też już w tamtym traktacie pokojowym paryskim zapowiedziane było zwołanie powszechnego kongresu do Wiednia w jak najkrótszym terminie, bo już na początek sierpnia. Jednakowoż skutkiem wynikłych rozmaitych trudności, na życzenie cesarza Aleksandra I, otwarcie kongresu odroczone zostało jeszcze na dwa miesiące, aż do początku października 1814.

Kongres wiedeński miał przed sobą zadanie olbrzymie. Miał przywracać jednych królów i detronizować innych, stanowić i znosić ustawy rządowe, podnosić i zatwierdzać sekularyzacye, wymierzać odszkodowania, obliczać koszta wojenne, odmieniać prawo publiczne i międzynarodowe. Miał przeobrazić z gruntu kartę Europy. Od Baltyku aż do Śródziemnego morza, od Atlantyku aż do Niemna, miał wykreślić nowe granice, wznieść nowe instytucye, stworzyć nowy rzeczy porządek. Miał do załatwienia jednocześnie sprawy napoleońskie i szwedzkie, weneckie i holenderskie, portugalskie i westfalskie, szwajcarskie i illiryjskie. Wszakże ponad wszystkiemi temi sprawami, jakkolwiek były zawiłe, naglące i ważne, górowała jedna, najtrudniejsza, najaktualniejsza i najdonioślejsza: sprawa Księstwa Warszawskiego, sprawa polska. Można o tem przekonać się w sposób namacalny. Weźmy do ręki ostateczny

owoc długich, mozolnych i różnostronnych prac kongresowych, ów ogromny dokument, zawierający w ostatecznej redakcyi wszystkie wieloliczne uchwały kongresowe, wielki „Akt zamknięcia", słynny *Acte final du Congrès de Vienne*. To jest uświęcony kodeks prawodawczy Kongresu. Obejmuje on ośm rozdziałów w stukilkudziesięciu artykułach. Owóż okazuje się, że w tym kodeksie, pośród tych sankcyi ostatecznych i najwyższych, rozdział najpierwszy nosi tytuł: *De la Pologne* i w najpierwszych czternastu artykułach urządza sprawę polską przed wszystkiemi innemi sprawami lądu i morza, nawet przed palącą i arcyważną sprawą urządzenia Niemiec, która dopiero na drugiem przychodzi miejscu. To pierwszeństwo formalne w samym akcie końcowym jest ścisłym i konsekwentnym wyrazem takiego samego pierwszeństwa w istotnym przebiegu negocyacyi i w pierwotnym punkcie wytycznym Kongresu. Wynikało ono z samej natury rzeczy. Kongres wiedeński 1814 r. był bezpośrednim wynikiem wyprawy do Moskwy 1812 r. Tej wyprawy osią była sprawa Księstwa Warszawskiego, t. j. sprawa polska. Ona też z natury rzeczy musiała zostać osią Kongresu.

Superarbitrem, głową Kongresu był dotychczasowy wódz naczelny koalicyi, cesarz Aleksander I. W jego to ręku spoczęły teraz losy tamtej najpierwszej sprawy kongresowej.

Stanowisko cesarza Aleksandra było tutaj całkiem wyjątkowe. Dwaj obecni jego sojusznicy, a dwaj wcześniejsi uczestnicy traktatów rozbiorowych, już oddawna,

w czasie minionej zawieruchy napoleońskiej, byli zmuszeni w znacznej mierze odstąpić od onych pierwotnych traktatów podziałowych, już byli postradali w znacznej części zyskane wtedy nabytki polskie. On jeden był pozostał nietykalnym posiadaczem obszarów, przydzielonych jego państwu przez trzy rozbiory Rzplitej. W dodatku, do tych obszarów, do pierwotnych trzech działów rosyjskich, wnuk cesarzowej Katarzyny przyłączył wszystkie bez wyjątku odłączone działy sąsiedzkie, potracone przez sukcesorów Fryderyka i Józefa. A więc nasamprzód był przyłączył część działu pruskiego z trzeciego rozbioru, obwód białostocki, oderwany od Prus i jemu ustąpiony przez Napoleona w 1807 roku. Następnie przyłączył podobnież część działu austryackiego z pierwszego rozbioru, obwód tarnopolski, oderwany od Austryi i jemu ustąpiony przez Napoleona w 1809 r. Nareszcie obecnie, od półtora roku, od początku 1813 r. był posiadaczem całego Księstwa Warszawskiego w pełnej onego rozciągłości, jak było stworzone przez Napoleona w 1807 i rozszerzone w 1809 r. Księstwo obejmowało teraz mianowicie: dwa działy pruskie z Poznaniem i Warszawą z drugiego i trzeciego rozbioru, oraz część działu austryackiego z Krakowem z trzeciego rozbioru. Tym sposobem w obecnej chwili cesarz Aleksander I, stanąwszy na czele Europy, jako tryumfator, jednocześnie rozkazywał, jako władca, w Poznaniu i Wilnie, w Toruniu i Tarnopolu, w Krakowie i Warszawie. Brakowało już [illegible]dańska i Lwowa. Zresztą był panem całej nie-

mal dawnej Rzpltej. Nigdy, ani wcześniej, ani później, Rosya, krępowana przez współzawodnictwo sąsiadów, nie potrafiła w sprawie polskiej posunąć się tak daleko, jak w tej właśnie chwili. Urzeczywistniała się poniekąd w tej chwili pierwotna idea kierownicza polityki rosyjskiej względem Rzpltej: idea Piotrowa. Piotr Wielki był zamyślał pierwotnie o objęciu całej Rzpltej, bez żadnego udziału sąsiadów. Dopiero w późniejszym okresie, ostatecznie zaś za Katarzyny II, ci sąsiedzi, Prusy i Austrya, przeparli inną, mniej rozległą a łatwiej wykonalną ideę rozbiorową. Obecnie samo położenie rzeczy nawracało Aleksandra I do podjęcia idei Piotra I. Sprowadzało się to narazie, praktycznie, do dwóch dezyderatów cesarza Aleksandra w sprawie polskiej wobec głównych mocarstw kongresowych, zwołanych do Wiednia. Po pierwsze pragnął on nie dać sobie wydrzeć niczego ze swojej zdobyczy wojennej, okupionej kosztem tylu nadzwyczajnych wysiłków, t. j. pragnął zatrzymać całe Księstwo Warszawskie. Powtóre zamierzał zaokrąglić je w sposób pożądany a ostateczny, t. j. zamierzał traktować z Austryą o Lwów. Co się tyczy Gdańska, to tymczasem, po długiej bohaterskiej obronie generała Rappa, na mocy zaszczytnej, lecz niestety niedotrzymanej kapitulacyi, to wielkie, jedyne miasto portowe polskie, znalazło się również w ręku załogi rosyjskiej, znalazło się faktycznie również w posiadaniu Rosyi. Wielka była szkoda wypuścić z ręki tak drogocenną zdobycz. Ale trudno ją było utrzymać. Ostatecznie, co do Gdańska, o ile nie dałoby się w myśl

dawniejszych propozycyi angielskich i świeżej praktyki napoleońskiej pozostawić go na stopie wolnego miasta, Aleksander był zrezygnowany wraz z pierwszym pruskim działem fryderykowym zostawić na własność Prusom, jako niezbędne połączenie między Berlinem a Królewcem. Ale — nie więcej.

Zresztą główna podstawa całej tej wielkiej kombinacyi polegała oczywiście przedewszystkiem na ścisłem porozumieniu się z dworem berlińskim. Takie też porozumienie zawczasu zostało dokonane. Traktaty prusko-rosyjskie, zaraz na samym początku wyprawy 1813 r. podpisane w Kaliszu i Wrocławiu pomiędzy Aleksandrem I a Fryderykiem Wilhelmem III, warowały z góry: że Prusy wrócą do poprzedniego „stosunku“ *(proportion)*, nie zaś do poprzedniej tożsamości swoich granic przed-napoleońskich, że mianowicie otrzymają one odpowiednie „odszkodowania“ *(équivalents)*, nie zaś restytucyę dawniejszych swoich posiadłości. Znaczyło to innemi słowy, że Prusy wyrzekały się Księstwa Warszawskiego, t. j. swojego drugiego i trzeciego działu polskiego, na rzecz Rosyi, a natomiast z rąk Rosyi miały otrzymać „ekwiwalent“ w odpowiednim „stosunku“ pod postacią Saksonii. Istotnie na tej to właściwie zasadzie władze rosyjskie w Warszawie przystąpiły do nowej organizacyi Księstwa, następnie zaś w samym przededniu otwarcia Kongresu wiedeńskiego władze pruskie w Dreźnie przystąpiły do nowej organizacyi nii. Jednocześnie prowadzone były rokowania em wiedeńskim względem drugiego zasadnicze-

go dezyderatu w sprawie polskiej, dotyczącego Lwowa i reszty Galicyi. Z tej strony wyłoniło się kilka najrozmaitszych projektów, zmierzających do ewentualnego odszkodowania Austryi za Galicyę. Takiego odszkodowania poszukiwano w Illiryi, we Włoszech, a nawet na początku 1814 r. zrodziła się myśl wyszukania go nad Renem: za Lwów — Strasburg, za Galicyę — Alzacya miała wynagrodzić Austryę. Jednakowoż, kiedy tamta negocyacya pruska odrazu była znalazła pomyślne rozwiązanie pod postacią traktatów wrocławsko-kaliskich, natomiast ta negocyacya austryacka jakoś ciągle nie wychodziła z dziedziny projektów i zgoła nie posuwała się naprzód. Nie dość na tem. Utknięcie z tej strony zamierzeń cesarza Aleksandra w sprawie polskiej miało swoje głębsze, zasadnicze powody, które w ostatecznym wyniku miały nadać zupełnie odmienny obrót całej tej sprawie, a tem samem wpłynąć decydująco na cały przebieg wypadków na Kongresie wiedeńskim.

Istnieje po dziś dzień rozpowszechniona legenda o stosunku mocarstw kongresowych względem sprawy polskiej w 1814 i 1815 r. Według tej legendy niemal wszystkie owe mocarstwa ożywione były najgorętszemi sympatyami dla tej sprawy. Jakimże więc sposobem ona nie wzięła skutku w najrozleglejszem znaczeniu? Byłaby to osobliwsza zagadka. Ta zagadka rozwiązuje się najprościej. Rozwiązuje się mianowicie przez absolutną nicość i bezpodstawność tamtej legendy. W rzeczywistości ani jedno z wielkich mocarstw kongresowych nie potrafiło w tym wypadku wznieść się na

wyższe stanowisko dziejowo-polityczne. Wobec ujawnionych dzisiaj dokumentów jest to prawda oczywista i niezbita. Okazuje się to przedewszystkiem w zastosowaniu do mocarstw zachodnich, które później, po piętnastu latach, po niewczasie, miały zgłosić się ze spóźnioną, platoniczną czułością. Tutaj była nasamprzód Francya. Tej w obecnym wypadku chodziło głównie o Saksonię. Ludwik XVIII, przez matkę wnuk naszego Augusta III, urodzony z królewny polsko-saskiej, był kuzynem Fryderyka-Augusta. Francya żadną miarą nie chciała dopuścić aneksyi Saksonii przez Prusy, wzmocnienia Prus na Zachodzie, skierowania ich frontem naprzeciw Renu. Francya, po doświadczeniach Lipska a niebawem Waterloo, nauczyła się obawy przed Prusami. Następnie szła Anglia. Ta przeciwnie dawała zgodę na aneksyę Saksonii, gdyż owszem rada była wzmocnić groźbę pomsty przeciw Francyi, lecz natomiast żadną miarą nie chciała dopuścić aneksyi całej Polski, a zwłaszcza Galicyi, przez Rosyę, a tem samem skonsolidowania z tej strony potęgi rosyjskiej i rozwiązania jej rąk na Wschodzie. Anglia po doświadczeniach sojuszu Napoleona z Aleksandrem, po projektach rosyjskich wyprawy do Indyi, po ostatniej kampanii rosyjsko-tureckiej, nauczyła się obawy przed Rosyą. Nareszcie przychodziła Austrya. Ta, wepchnięta w sam środek pomiędzy Prusami a Rosyą, żadną miarą nie chciała dopuścić nadmiernego wzmocnienia żadnego z tych sąsiadów, gdyż oddawna nauczyła się jednakowo obawiać się ich obu. Tym sposobem Francya była prze-

ciwna wynagrodzeniu Prus w Saksonii, Anglia — panowaniu Rosyi w Księstwie Warszawskiem i Galicyi, Austrya — jednej i drugiej połowie całej kombinacyi polsko-saskiej. Tak więc ta kombinacya ze strony Zachodu wisiała w powietrzu. Co się tyczy samych głównych filarów tej kombinacyi na Wschodzie, t. j. Prus i Rosyi, to i tutaj pod pozorami dokonanego porozumienia tkwiły ukryte, zgoła odmienne intencye. Prusy najchętniej wzięłyby Saksonię z rąk Rosyi a zarazem zatrzymałyby jak największą część Księstwa. Rosya, odwrotnie, najchętniej wzięłaby Księstwo, dając Prusom jak najmniej w Saksonii. Zresztą sama operacya aneksyi Księstwa a ewentualnie i Galicyi przedstawiała się dla Rosyi pod podwójnym kątem widzenia. Przyłączyć — to było jedno; organizować— to było drugie. Nie brakowało w Rosyi głosów, które przyłączenie, pod nazwą Królestwa, tak znacznych obszarów polskich uważały za rzecz wprost niebezpieczną i przeciwną interesom rosyjskim. Te głosy nie były bez wpływu na cesarza Aleksandra, te ostrzegawcze zapowiedzi nie przestawały zaprzątać go i we własnym jego, już z natury tak dziwnie wrażliwym i giętkim umyśle budziły niejedną poważną wątpliwość co do własnej, tak śmiałej i obszernej a ciągle odsuwanej i nieustatkowanej koncepcyi politycznej.

Śród takich warunków cesarz Aleksander z Paryża udał się, drogą okólną na Londyn, do Petersburga, ażeby tutaj po tylu nadzwyczajnych tryumfach ukazać się swemu narodowi, położyć rękę na pulsie opinii

publicznej i stąd dopiero z ostateczną decyzyą wyjechać na Kongres wiedeński. Rząd austryacki postanowił niezwłocznie zużytkować tę podróż petersburską cesarza, ażeby tutaj, na miejscu, dla zapobieżenia tamtej koncepcyi cesarza Aleksandra, wyzyskać wszelkie, przeciwne jej, miejscowe żywioły stolicy nadnewskiej. Do Petersburga, w tropy cesarza, natychmiast, we wrześniu 1814 r. wysłany został z Wiednia generał austryacki, baron Koller, ze specyalną w tej mierze misyą poufną. Relacye petersburskie Kollera, ogłoszone obecnie częściowo przez p. Fourniera, a które mieliśmy sposobność przeglądać w oryginale w Archiwum wiedeńskiem, rzucają światło nader ciekawe na sytuacyę owoczesną. Sam cesarz Aleksander przyjął wysłańca austryackiego dosyć zimno: dawał mu do zrozumienia, że w najgorszym tylko razie zdobędzie się na wydanie z powrotem obwodu tarnopolskiego, będącego już od lat pięciu w prawnem jego posiadaniu, że jednak natomiast bezwarunkowo będzie żądał zachowania przy byłem Księstwie, t. j. przyszłem Królestwie, miasta Krakowa z okolicą. W całkiem innym atoli duchu były wynurzenia poufne, jakie odbierał Austryak od najbliższego otoczenia cesarza. „W. Ks. Konstanty—tak donosił Koller z Petersburga do Metternicha — który nie ma dla mnie żadnych sekretów, generał Arakczejew, będący osobistym moim przyjacielem, i generał Uwarow, pokładający we mnie pełne zaufanie, zapewnili mnie, że cesarz Aleksander całkiem wyrzeka się ulubionego swojego projektu, który byłby zgubny dla interesów Rosyi".

Takie samo zresztą wrażenie wyniósł podpułkownik Ostrowski, w tym samym czasie wysłany przez Dąbrowskiego do Petersburga: Cesarza osobiście znalazł nader łaskawym, natomiast ze strony najwybitniejszych dostojników, jak Rumiancew, Sałtykow, Łopuchin i wogóle całe otoczenie cesarzowej-wdowy po Pawle I, spotkał się z jawną podejrzliwością i wprost z nieprzyjaźnią.

Wśród podobnego nastroju stolicy cesarz Aleksander z końcem 1814 r. opuścił Petersburg, udając się do Wiednia, gdzie już był oczekiwany przez innych uczestników Kongresu. Drogę obrócił na Puławy, lecz już omijając Warszawę, dokąd pierwotnie wstąpić był zamierzał. W Wiedniu natychmiast po swojem przybyciu przekonał się o niezwykłych trudnościach sprawy polsko-saskiej. Zaraz w pierwszych dniach wydarzyły się gwałtowne w tym względzie sceny pomiędzy cesarzem z jednej strony a z drugiej, kolejno: Talleyrandem, Castlereaghem, Metternichem. Sprawa przybrała odrazu obrót zły i najgorszy. Najrozmaitsze czynniki spiknęły się jednocześnie na niekorzyść b. Księstwa Warszawskiego. Już nietylko obszar terytoryalny przyszłego Królestwa został zakwestyonowany, lecz, co najważniejsza, sama jego organizacya ustawodawcza podana została w wątpliwość. W tej chwili krytycznej, w sprawy wiedeńskie, wikłające się coraz bardziej, wdał się z powagą i stanowczością Komitet Wojskowy Organizacyjny warszawski, wtedy właśnie powołany do życia pod prezydencyą W. Ks. Konstantego. Mądre, dojrzałe i mocne memoryały Komitetu Wojskowego,

złożone W. Ks. Konstantemu w listopadzie i grudniu t. r., aprobowane następnie przez cesarza Aleksandra, wyniesione na stół Kongresu wiedeńskiego, niepomału przyłożyły się do pomyślnego, chociażby w części, zdecydowania losów b. Księstwa Warszawskiego i do wzniesienia nowej budowy Królestwa Polskiego.

Ograniczamy się do kilku powyższych spostrzeżeń, usuniętych przez omawianą pracę p. Fourniera. Nie możemy, rzecz prosta, na tem miejscu wdawać się w szczegółowe roztrząsanie wszystkich perypetyi sprawy sasko-polskiej na Kongresie wiedeńskim. Pozwalamy sobie tylko raz jeszcze wyrazić życzenie, ażeby ten ważny i skomplikowany przedmiot spotkał się z gruntownem i wyczerpującem opracowaniem ze strony najpowołańszej w tym względzie, własnej naszej historyografii, i ażebyśmy co rychlej mieli do czynienia już nie z austryacką, nie z cudzoziemską, ale z polską monografią o jednym z najciekawszych i najdonioślejszych momentów dziejów nowożytnych.

Pani Lieven.

Jeżeli istotnie, jak głosi utarta sentencya klasyczna, „książki miewają swoje fatum", to najprawdopodobniej niezakłócony spoczynek na półkach bibliotek lordowskich będzie przeznaczeniem wydanej zbytkownie i po pańsku „Korespondencyi księżny Lieven z hrabią Greyem". Brak w niej bowiem napozór owej nuty sensacyjnej, której przedewszystkiem poszukuje czytająca publiczność w wydawnictwach autobiograficznych. A jednakowoż, za nieco bliższem i przenikliwszem w rzecz wejrzeniem, w tej korespondencyi pomiędzy typową „kobietą stanu" a znakomitym inwalidem politycznym mieści się treść wcale niepowszednia, aczkolwiek nie wpadająca w oko, mieści się nawet morał godny uwagi i zastanowienia, zarówno pod względem dziejowym, jak politycznym, i bodaj, jeśli kto ciekaw,— psychologicznym *).

*) „*Correspondence of princess Lieven and earl Grey*". Edit. by Guy Le Strange.

Darya, czyli właściwie Dorota, Benckendorfówna, urodzona w Rydze, ze starego, lecz podupadłego domu kurlandzkiego, była czystej krwi Niemką nadbałtycką. W bardzo młodym wieku poślubiła znacznie starszego od siebie spółrodaka, Krzysztofa Lievena. Małych zdolności, lecz wielkiego sprytu, umiał Lieven nietylko dostać się do łask cesarza Pawła I, lecz nawet, co było dużo trudniej, trwale w nich się utrzymać. Piastował on wtedy mianowicie niepoczesny, ale niezmiernie wpływowy urząd naczelnika korpusu feldjegrów. Wtedy jeszcze, za Pawła, nie znano korpusu żandarmów. Wszakże Lieven, na trudnem stanowisku stałego ulubieńca Pawła, potrafił dokonać trudniejszej jeszcze rzeczy. Potrafił siedzieć na trzech naraz stołkach: osobiście pielęgnować zmienną łaskę cesarza, zyskiwać sobie przez młodą żonę względy cesarzowej Maryi-Teodorówny, a zarazem zasługiwać na zaufanie W. Ks. Aleksandra Pawłowicza. Wreszcie potrafił wywinąć się najzręczniej z najtrudniejszej, najkrytyczniejszej przeprawy: nie przeszkadzać knowaniom swego rodaka, Pahlena, a jednocześnie oględnie od niego się odstrychnąć. Tym sposobem dokonał tej rzadkiej, prawie bezprzykładnej sztuki, że pośród wszystkich ulubieńców dotychczasowej doby Pawłowskiej, fortunnym, prawie jedynym wyjątkiem, utrzymał się na powierzchni za następnych rządów Aleksandra I. Trzymał się zresztą w początkach nowego panowania z roztropną ostrożnością na uboczu, w ściślejszej będąc zażyłości ze stronnictwem cesarzowej-wdowy, a zarazem wiążąc się pocichu z par-

tyą przeciwną ks. Adamowi Czartoryskiemu, Koczubejowi i innym młodszym doradcom cesarza Aleksandra. Podczas pierwszej wojny z Napoleonem znalazłszy się w kwaterze głównej cesarskiej, należał do tych szkodliwych żywiołów, które umiały najprzód wstrzymać, w końcu całkiem skręcić zamierzoną akcyę wojenną przeciw Prusom, a natomiast na wszelki sposób popychały Aleksandra w ramiona dworu berlińskiego. Jeszcze po porażce austerlickiej a przed samą klęską frydlandzką, kiedy Czartoryski, Strogonow, Nowosilcow, nawet sam wódz naczelny Bennigsen, nawoływali do wstąpienia na konieczną drogę pokojową, Lieven razem z następcą Czartoryskiego Budbergiem i innymi zwolennikami polityki berlińskiej, nie przestawali naglić cesarza do dalszej walki z Napoleonem — *pour le roi de Prusse*. Odtąd bezustanku w 1808, 1809, 1810 r., wędrował Lieven pomiędzy Newą a Sprewą, wożąc listy przyjacielskie, organizując zjazdy obu monarchów w Królestwie i Petersburgu, używany stale jako zaufany pośrednik pomiędzy tymi dwoma rzekomymi sprzymierzeńcami Napoleona. Mianowany wreszcie urzędownie posłem rosyjskim w Berlinie, przykładał potajemnie rękę do skrytej roboty prowokacyjnej, prowadzonej stąd pod adresem Petersburga, i w ścisłem porozumieniu z dyplomatycznymi muzykantami berlińskimi grał na strunach podejrzliwości i obawy w duszy Aleksandra, popychanego tędy to, z Berlina, do nowej ostatecznej rozprawy z Napoleonem. Kiedy cel nareszcie został szczęśliwie dopięty, podczas wojny 1812 r.,

miał Lieven z kolei swoją rękę we wszystkich robotach w Kurlandyi, ze stojącym tam „sprzymierzeńczym“ korpusem pruskim, który istotnie, jak wiadomo, znowuż najszczęśliwiej dał się skłonić do odstąpienia Francyi, a niebawem — do obrócenia „sprzymierzeńczej“ broni przeciw sojusznikom francuskim. Za tyle zasług ruchliwy dyplomata nagrodzony został niebawem nominacyą na stałą ambasadę londyńską.

Pani Lieven dotychczas mało brała udziału w pracach i sukcesach mężowskich. W Berlinie, pod rózgą napoleońską, było cicho i nudno. Dopiero teraz młoda ambasadorowa odżyła w wielkim świecie londyńskim. Znalazła się tutaj w swoim żywiole. Londyn ówczesny pod względem obyczajowym przedstawiał szczególniejsze widowisko. Od czasów niepamiętnych, bodaj aż od czasów Karola II, nie widziano tu podobnej świetności i podobnego rozhulania się w życiu dworskiem i wielkoświatowem. Król był obłąkany, książę regent był prosty *viveur*. Zdawało się księciu Jerzemu, że naśladował szekspirowskiego księcia Henryka. W rzeczywistości naśladował tylko Falstaffa. Na skoczną nutę, podaną z wysokości tronu, obracało się w szalonym wirze całe „towarzystwo“ angielskie, upojone w dodatku świeżym ogromnym tryumfem nad zwaloną napoleońską potęgą. Do tego świata, do tego kamertonu, umiała dopasować się doskonale pani Lieven. Nieładna, — ile sądzić można z portretu, jak również z kompetentnego zdania Chateaubrianda, — o rysach pospolitych, lecz nader rozumnym wyrazie oczu, zręcznie

ukrywała brak właściwego wdzięku i wykształcenia pod wielką swobodą towarzyską. Przyswoiła sobie pewną bezwzględną nonszalancyę wielkopańską, do której zapewne dość mało miała tytułu nieznana szlachcianka nadbałtycka; akcentowała z rozmyślną przesadą pewien nieprzejednany radykalizm legitymistyczny, do którego napewno najmniej miała prawa powinowata Pahlenów i kompanii. Umiała, jednem słowem, imponować w tym świecie, gdzie może najłatwiej imponować — *toupetem*. Wkrótce w najlepszem towarzystwie angielskiem zdobyła sobie stanowisko wybitne, jeśli nie wyjątkowe. Budziła zainteresowanie owem szczególnem *haut-goût* z dalekiego Wschodu, jakie częstokroć w pewnych sferach na Zachodzie tak przypada do smaku. Nie będziemy wdawali się w wyłuszczenie wielolicznych jej laurów towarzyskich, ani w specyfikacyę długiej listy jej ówczesnych poufałych przyjaciół, gdzie znajdował się podobno sam książę regent, lord Willoughby, lord Gower, późniejszy ks. Sutherland, ks. Palmella, i wielu innych, — tembardziej że podobno w tem wszystkiem miało jedynie szukać zapomnienia zranione serce, które należało podobno naprawdę — niktby nie zgadł, — ani mniej, ani więcej tylko do ekscelencyi Metternicha. Wszakże niezawiśle od tamtych szczegółów i od tej legendy, tyle można stwierdzić z wszelką pewnością, że czuła a roztropna z niemiecka kobieta stanu nie zapominała nigdy, sławnym wzorem, łączyć wybryków sentymentu z wymaganiami polityki praktycznej.

Powszechna polityka europejska, po doszczętnem już obaleniu napoleońskiego kolosu, niedługo utrzymała się w stanie sztucznej równowagi i spokoju. Po upadku i usunięciu Napoleona, spojrzały sobie wprost w oczy Anglia i Rosya. Było to jakby opadnięcie i odsunięcie zasłony. Nowożytna rywalizacya anglo-rosyjska, istniejąca już oddawna w postaci utajonej, przyszła naraz do zupełnej samowiedzy. Owóż, niezmiernie musiało na tem zależeć, ażeby ten proces uświadomienia możliwie złagodzić, opóźnić, powstrzymać. Zależało zwłaszcza, odkąd wielkie powstanie greckie obnażyło nanowo odwieczną, nigdy dobrze niezamkniętą ani zgojoną ranę sprawy wschodniej. Gdyż na tym to mianowicie terenie wschodnim musiały uderzyć o siebie najmocniej dążenia wytyczne dyplomacyi rosyjskiej i angielskiej, tutaj właśnie interesowane najsilniej, a biegunowo sobie przeciwne. Śród takich warunków ambasada londyńska była oczywiście nadzwyczaj ważnym posterunkiem w rozpoczętej kampanii dyplomatycznej. Ten posterunek, jak się okazało, był w dobrym i sprawnym ręku, i to właśnie nie w oficyalnym ambasadora, ale w niewieścim, nieurzędowym ręku ambasadorowej. Pani Lieven sama później opowiadała Guizotowi o początkach swojej dzielnej służby w tej ciężkiej kampanii, o znamiennych słowach, wyrzeczonych do niej przez cesarza Aleksandra: *„Madame, il me faut une Grèce"*. Trzeba przyznać, że zrobiła ona wszystko, co było w jej mocy, a nawet dużo więcej, dla ziszczenia tak doniosłego i trudnego dezyderatu.

Ale niedość było stworzyć Grecyę. Trzeba było koniecznie zapobiedz, ażeby ta Grecya nie popadła pod wyłączne wpływy zachodnie, a przedewszystkiem pod wpływy angielskie. Trzeba było nasamprzód przeszkodzić solidarnemu skupieniu się Zachodu w tej sprawie, a następnie zosobna pociągnąć ku sobie rozstrzelone mocarstwa zachodnie. Zadanie nie było łatwe, ale było wykonalne. Wprawdzie przed kilku laty, na Kongresie wiedeńskim, staraniem Talleyranda a przy pomocy torysowskiej, dokonało się chwilowe zbliżenie między Anglią a Francyą, zwrócone pośrednio przeciw Prusom i Rosyi. Ale donkiszoterya legitymistyczna, jaka odtąd zapanowała w Paryżu, znacznie wpłynęła na ochłodzenie tego stosunku, tembardziej, że równocześnie mocniły się w Londynie postępowe poglądy wigowskie. Zresztą ciągle tliło pod spodem starodawne współzawodnictwo anglo-francuskie, niezgaszone wszak bynajmniej świeżą krwią, przelaną pod Waterloo, a zaognione najświeższym zatargiem interesów obustronnych w Hiszpanii i Portugalii. Lieven, z dworu berlińskiego przeniesiony do Anglii, miał sobie oczywiście za główne zadanie przywrócić tutaj, z rozlicznej strony, dawniejsze, przedkongresowe stosunki koalicyjne, a więc zapobiedz bezpośredniemu skoncentrowaniu się Anglii z Francyą, dążąc natomiast do sprowadzenia jednej i drugiej do porozumienia się wprost z Rosyą w wielkich sprawach europejskich, a nadewszystko, jak narazie, w sprawie wschodniej. Podwójnie też znaczącem było w tym czasie ze strony francuskiej wyprawienie

w te same tropy Chateaubrianda, podobnież odwołanego z poselstwa w Berlinie do ambasady londyńskiej. Antagonizm między obydwoma ambasadorami z powodu wspólnego ich pożycia nad Tamizą uwydatnił się w bardzo drastyczny sposób i tłómaczy poniekąd niepochlebne, choć dosyć podobne rysy portretu, jakie znajdujemy w „Pamiętnikach Zagrobowych", nakreślone ostrem piórem mściwego poety. „Pani Lieven,— pisze Chateaubriand — o twarzy śpiczastej i niemiłej, jest to kobieta nużąca, bezpłodna, pospolita. Przypisywano jej dowcip, ponieważ nie znajdowano go u jej męża... Posiada ona tylko jeden rodzaj konwersacyi: politykę wulgarną, zresztą nic nie wie o niczem... Swoją nicość umysłową ubiera w jakiś wyższy ton udanego znudzenia, jak gdyby jej wolno było nudzić się... Utrzymuje korespondencye potajemne i wydaje się być bardzo mocną na punkcie chybionych małżeństw". Ta ostatnia strzała odnosiła sią do rozlicznych wielkoksiążęcych projektów matrymonialnych, bądź to z dworem anglo-hanowerskim, bądź też z bourbońskim, między innemi nawet z samym księciem Berry, następcą tronu francuskiego, które przez długi czas zajmowały bardzo panią Lieven, a nie powiodły się jej w zupełności. Z tem wszystkiem, nie ulega żadnej wątpliwości, że powyższy lekceważący wyrok Chateaubrianda, jeżeli nawet trafnie odmalował kobietę, to przecież całkowicie niedocenił dyplomatki.

W rzeczy samej, dyplomatką najpierwszego rzędu miała objawić się pani Lieven w Londynie we wszyst-

kich perypetyach swojej działalności tamecznej, zaś szczególnie w kapitalnej sprawie greckiej. Miała nietylko zamatować ze wszelką łatwością tego rodzaju dyletantów, jak Chateaubriand, co ostatecznie nie było rzeczą trudną, gdyż tego rodzaju mężowie stanu z przypadku, a poeci z zawodu, zazwyczaj nie umieją sobie dobrze radzić na szachownicy politycznej. Ale miała nadto swoim kobiecym sprytem pomieszać i pobić grę wytrawnych i znakomitych ministrów angielskich i to tak arcydowcipnie i arcymisternie, że ci rzekomi mistrze, ciągle czyniąc inspirowane przez nią posunięcia i ciągle pewni swojej wygranej, dopiero wtedy odkrywali swoją własną haniebną fuszerkę, kiedy nie pozostawało już nic innego, jak poddać się. „Pani Lieven — powiada jej niewczesny wielbiciel, Guizot, najwidoczniej nie zdając sobie wcale sprawy z moralno-politycznej strony tych osobliwych jej sukcesów w cudzym kraju, które on z takim prostodusznym admiruje respektem, — wzięła się do rzeczy bez hałasu. Jej to wpływy, używane z równą energią jak i sprytem, bądź pośród artystokracyi angielskiej, bądź też wprost u naczelnych mężów stanu londyńskich, nie były obce tym kombinacyom ministeryalnym, które przyczyniły się wtedy do zupełnej odmiany, na rzecz Greków, dotychczasowej, bardzo tureckiej, polityki gabinetu angielskiego". Już w czysto torysowskiem ministeryum lorda Liverpoola potrafiła pani Lieven wyróżnić i wyłowić jedynego człowieka przyszłości, biednego Canninga. Odtąd nie wypuściła go z ręki. Kiedy zaś, po samo-

bójstwie ministra spraw zagranicznych, Castlereagha, Canning sam stanął na czele rządów, potrafiła mądra ambasadorowa prowadzić go aż do końca na pasku własnych jego szlachetnych lecz krótkowidzących porywów i od wypadku do wypadku chwytać go na wędkę pięknie brzmiących lecz fikcyjnych haseł wolności i niepodległości greckiej. Póki żył cesarz Aleksander I, pogrążony pod koniec panowania coraz głębiej w ponurej, biernej rezygnacyi, niechętnej dla wszelkiej śmielszej akcyi zaczepnej i wojennej, póty nie było jeszcze sposobu wyzyskać należycie korzystnego położenia i świetnych szans, nadarzonych na Wschodzie. Lecz po wstąpieniu na tron Mikołaja I wybiła nareszcie godzina zebrania żniwa z pracowitego posiewu. Niepomału w tym posiewie była uczestniczyła ręka ambasady londyńskiej. Stąd to niejedno rzucone ziarno było wzeszło bujnym plonem na klasycznej, użyźnionej potokami krwi, ziemi Hellady. Stąd też wyszła teraz ostatnia sankcya dojrzewającego już dzieła. Dał Canning zgodę na protokół petersburski 1826 roku w sprawie greckiej, zdążył jeszcze dać zgodę na protokół londyński 1827 r.; na szczęście dla siebie w sam raz nie dożył pierwszego wnet, najbliższego owocu tych aktów: rzezi nawaryńskiej. Na obu protokółach położył zasłużenie swój podpis Lieven, — choć właściwie jeszcze zasłużeniej winna była swój położyć pani Lieven. Gdyż, w rzeczy samej, jej w tem wszystkiem główna była zasługa. Tak dalece, że nawet urzędową korespondencyę poselską w tym czasie naprawdę prowadziła ona sama: sama

redagowała depesze do ministra spraw zagranicznych, hr. Nesselrodego, zaś mężowi dawała już tylko do przepisania i podpisania. Czemuż Canning nie mógł czytać tych depesz? Byłby w nich znalazł dosyć rzeczy takich, które byłyby niewątpliwie napełniły go gorzkiem rozczarowaniem, lecz może byłyby także otworzyły mu oczy na przyjaźń przyjaciółki. „Próżność p. Canninga — pisał Lieven, a raczej Lievenowa do Nesselrodego — czuje się nieskończenie pochlebioną na widok deferencyi, z jaką przyjmujemy jego zamiary. Jest on nader wrażliwy na zaufanie, jakie staram się mu okazywać... Nie waham się wziąć na siebie gwarancyi osobistej za szczerość jego postanowienia, ażeby razem z nami spółdziałać ostatecznemu ziszczeniu naszych zamysłów w sprawie greckiej".

Ale nie stało Canninga. Rządy w Anglii objął znów wojowniczy gabinet czysto torysowski starego Wellingtona. Wojowniczość i toryzm tego gabinetu były w najwyższym stopniu nie na rękę w ówczesnej właśnie krytycznej dobie. Była to właśnie doba nowej wielkiej wojny tureckiej. Ta wojna była koniecznym, bezpośrednim wynikiem tamtych protokółów. Ale wzięła ona w pierwszej chwili obrót całkiem niespodziany, a nader niefortunny. Skutki stąd mogły być fatalne. Europa mogła pomyśleć o wrogiem wyzyskaniu nieprzewidzianych kłopotów Rosyi na półwyspie bałkańskim. Pomyślała o tem istotnie Austrya. Kanclerz wiedeński, ks. Metternich, ten sam, który tak boleśnie zranił serce pani Lieven, zamierzył się do zadania dużo

boleśniejszego ciosu reprezentowanej przez nią polityce. Zwrócił się on jak najpoufniej do ks. Wellingtona z propozycyą wspólnej interwencyi w zatargu wschodnim i wojnie rosyjsko-tureckiej. Ks. Wellington wnet zapalił się do tego projektu austryackiego i osobiście, ciągle w najściślejszej tajemnicy, zajął się ułożeniem szczegółów wspólnej akcyi, z imienia medyatorskiej, zaś naprawdę mającej potężnie wesprzeć zagrożoną Portę Ottomańską i nadługo położyć tamę postępom Rosyi na Wschodzie. Łatwo zrozumieć, jak fatalne skutki mogło pociągnąć za sobą takie wystąpienie w chwili, kiedy armie rosyjskie tkwiły uwięzione w ciężkiem, prawie rozpaczliwem położeniu pod Szumlą i Warną. Na szczęście udało się w samą porę zapobiedz niebezpiecznym austro-angielskim knowaniom. I znowuż niemała, jeśli nie główna okazała się w tem zasługa wszechobecnej i wszechwiedzącej pani Lieven. Ona już zdążyła opłakać przedwczesną śmierć Canninga. Już zdążyła zawrzeć nową, jeszcze idealniejszą przyjaźń z żywym lordem Greyem. Minister przyjaciel umarł, — tak widocznie rozumowała bystra pani,— niechaj żyje przyjaciel minister. Co więcej, jej nowa korespondencya przyjacielska z Greyem, zaraz na samym wstępie, w parę tygodni zaledwo po zgonie Canninga, mieściła takie niespodziane wynurzenie nekrologowe, że nieboszczyk w gruncie rzeczy był przecie tylko „awanturnikiem politycznym“. To też poważny lord Grey natychmiast postarał się udowodnić na swój sposób, że on żadną miarą nie powinien być podejrzewany o „awanturnic-

two". Dał pod tym względem natychmiast nader oryginalną rękojmię. A mianowicie, poprostu, w najpoufniejszem piśmie do pani Lieven, odkrył jej najszczegółowiej sekretne zamysły interwencyjne Wellingtona i jego konszachty z Metternichem. To odkrycie, rzecz prosta, było wagi nieoszacowanej. Z najczulszem wylaniem podziękowała pani Lieven angielskiemu mężowi stanu za to usłużne odsłonięcie planów angielskiego rządu. Obsypała go pochwałami, uznała „wielkim statystą, stworzonym na to, aby samemu rozkazywać i rządzić", a nie na to, aby przyglądać się zbrodniczym rządom Wellingtonowym, zachęcała do obalenia gabinetu torysów, do sięgnięcia własną ręką po władzę. Istotnie, ten cel upragniony niebawem został dopięty. Wellington upadł, wigowie objęli rządy. Trudno dzisiaj dać pojęcie o tych gorących sympatyach, jakie w owych czasach potrafiła wzbudzić ambasadorowa w sercach wigowskich dla polityki wschodniej cesarza Mikołaja I. Lady Aberdeen, małżonka ówczesnego ministra spraw zagranicznych, w listopadzie 1828 roku, zapraszając do siebie na wieczór lorda Johna Russella, młodą wtedy, wschodzącą gwiazdę wigowską, pisała mu nie bez złośliwości: „jeśli pan przyjdzie, będziesz miał sposobność powinszować pani Lieven wzięcia Warny, z czego zapewne niemniej od niej się cieszysz, — choć nie wiem doprawdy dlaczego?" Odtąd znikły wszelkie obawy, spokojnie odbyła się druga kampania turecka, spokojnie dotarły armie zwycięskie aż niemal pod same mury Stambułu, spokojnie w obozie Dybicza Zabałkań-

skiego podpisane zostały artykuły adryanopolskiego pokoju. Spokojnie też pani Lieven mogła pozwolić sobie na odpoczynek. Latem 1830 r. zjechała na sejm do Warszawy, brała udział w uroczystościach tutejszych, i pełne rozmyślnego optymizmu listy posyłała z nad Wisły do Greya, którego nawet zdaleka utrzymywała w powinnem posłuszeństwie zapomocą częstej, nieprzerwanej epistolarnej suggestyi.

Spokój i wypoczynek przerwała jednak nagle najprzód rewolucya lipcowa w Paryżu, potem rewolucya listopadowa w Warszawie. W te pędy na swoim posterunku londyńskim znalazła się czujna pani Lieven. Zdawało się jej, w pierwszej chwili, nazajutrz po wypadkach paryskich, że nadszedł czas dla nowych wielkich przedsięwzięć. Marzyła o nowem przymierzu świętem przeciw niepoprawnej burzycielskiej Francyi, o nowej powszechnej wyprawie krzyżowej w imię zdeptanych nad Sekwaną nietykalnych zasad legitymizmu. W tym samym czasie hr. Grey, jako pierwszy lord skarbu, stanął na czele ministeryum wigowskiego, podejmującego arcydoniosłą sprawę reformy parlamentarnej na wielką skalę. Oczywiście, w takich okolicznościach, częściej musiała pisywać przyjaciółka do premiera, niż dawniej do członka parlamentu. Grey ze swojej strony, pomimo nawału zajęć, starannie utrzymywał z nią korespondencyę. Dosyć wprawdzie luk, zaznaczonych tylko kropkami, poczynił tutaj dyskretny wydawca dzisiejszy. Ale dosyć zostawił, i to, co zostało, starczy zupełnie dla oświecenia uważnego czy-

telnika. Nadzwyczajny to widok: premier wigowski, który silne swoje stanowisko w najważniejszych sprawach polityki wewnętrznej zawdzięczał przedewszystkiem wypadkom francuskim i nieodpartemu ich oddziaływaniu na opinię publiczną angielską, jednocześnie w swojej polityce zagranicznej, całkiem ulegając obcym wpływom kobiety, uczynił się, wbrew logice i zasadom własnego stronnictwa, zaciętym Francyi nieprzyjacielem. Argumentem głównym, jakim bojowała tutaj zręczna dyplomatka, było ustawiczne niecenie obaw angielskich o Belgię, dokąd wnet, pierwszym zaraz odruchem, była sięgnęła, paryska fala rewolucyjna. Straszono Anglię usadowieniem się Francyi rewolucyjnej w Brukselli, tak samo w 1830 r., jak niegdy straszono w 1793. Jednak przerachowała się pani Lieven, jeśli zanadto na swego Greya liczyła; nie wzięła w rachubę opinii publicznej angielskiej, całkiem odmiennie usposobionej teraz, niż przed czterdziestu laty. Talleyrand, wysłany przez Ludwika-Filipa w tym samym czasie do Londynu, a pamiętający jeszcze, jak go przed czterdziestu laty z taką samą misyą pokojową był wyprawił do Londynu Danton, lepiej tę różnicę uchwycił. Ciche jego odtąd nad Tamizą walki z panią Lieven, których ślad występuje wyraźnie w częstych jej skargach do Greya, skończyły się zupełnem zwycięstwem wytrawnego dyplomaty nad kobiecą intrygą. Niestety, praktyczny Talleyrand miał tylko swoją Francyę na widoku, o resztę świata nie dbał wcale. To też w pozostałej

swej robocie owoczesnej miała pani Lieven ręce rozwiązane.

Otóż, owa pozostała robota uboczna stała się dla niej niebawem najpierwszą, a naprawdę jedynie interesującą, i to tak dalece, że pierwotna główna akcya w rzeczach francuskich była odtąd używana wyłącznie jako środek pomocniczy dla późniejszej, nierównie żywotniejszej akcyi w rzeczach polskich. Odtąd przedewszystkiem zależało na tem, ażeby uwagę Anglii tembardziej obracać ku Brukselli, im więcej wypadało odwracać ją od Warszawy. W stopniu, jeszcze nieskończenie wyższym, niż niedawno, czasu wojny tureckiej, musiało obecnie, czasu polskiej, na tem zależeć, ażeby Wielka Brytania nie dała wytrącić się z przyzwoitej bierności postronnego widza. I tym razem cel został w zupełności dopięty, daleko nawet łatwiej i skuteczniej, niż w poprzedniej wschodniej potrzebie. Premier Grey wolał interesować się bliższemi sprawami francuskiemi i belgijskiemi. Zresztą, był pochłonięty najbliższą domową sprawą reformy wyborczej, która w owej chwili leżała głównie na sercu przewodnikowi wigów. Przeparcie wewnątrz bilu reformy, żadne „awantury“ na zewnątrz, pokój za wszelką cenę: takie były hasła kierownicze jego ministeryum. Umacniała go w nich najgoręcej pani Lieven. Unosiła się nad pięknościami liberalnego bilu. Wykazywała niezbędność złamania zacofanej przeciw niemu opozycyi torysowskiej, i to natychmiast, i to przed wszystkiem innem na świecie. Stawiała się bardziej postępową od lewicy parlamentu

angielskiego, bardziej wigowiską od wodza wigów. Skutek odpowiedział oczekiwaniom. Lord Grey zachował się ze skromnością wzorową. Jego poseł w Petersburgu, lord Heytesbury, skromnie zamykał oczy i zatykał uszy na przebieg wypadków wojennych nad Wisłą. Wysłany do Londynu młody jeszcze wtedy i niedoświadczony Aleksander marg[illegible]bia Wielopolski spotykał się w sferach rządowych angielskich z lodowatą obojętnością. Odmówiono ustanowienia zacnego Ewansa konsulem angielskim w Warszawie. Odmówiono najsłabszego bodaj objawu oficyalnej życzliwości. Po wyjeździe z Londynu Wielopolskiego, zastąpił go tutaj młodziutki Aleksander Walewski, jak wiadomo, syn naturalny Napoleona I i pięknej pani Walewskiej, lecz niestety z twarzy tylko, nie z talentów do ojca podobny. Walewski okazał nad Tamizą większą ruchliwość od Wielopolskiego, lecz ze skutkiem jednakowo ujemnym. Każdy jego krok był bacznie strzeżony i natychmiast paraliżowany przez czujną panią Lieven. Ministrem spraw zagranicznych w ówczesnym gabinecie Greya był początkujący wtedy lord Palmerston. Za pośrednictwem serdecznej swojej przyjaciółki, lady Cowper, późniejszej małżonki Palmerstona, jego również pod swoje wpływy bezpośrednie umiała ściągnąć pani ambasadorowa. Palmerston, przyjmując na audyencyi Walewskiego, oświadczył mu bez ogródek: „W tej chwili nie Rosyi, lecz Francyi się lękamy; co więcej, potrzebujemy nawet, aby Rosya mocną była, dla użycia, jej w razie potrzeby przeciw Francyi... Gabinet francu-

ski — w interesie Belgii — oddycha tylko myślą powiększenia granic, duchem podbojów, i dlatego nasze usiłowania nie mogą być inne, jak położyć tamę tym dążeniom i widokom". Walewski spróbował uderzyć do samego Greya. Zgłosił się do niego z dwoma pismami od ks. Adama Czartoryskiego, gdzie książę apelował wymownie do dawnej swojej przyjaźni osobistej z teraźniejszym premierem, odwoływał się do jego serca i sumienia. Apel zgoła pozostał bez echa. „Nie mogę być kontent — donosił zasmucony Walewski do Warszawy — z rozmowy lorda Greya. Długi wstęp do niej uczynił, oświadczył, że przyjmuje mnie tylko jako osobę prywatną, i zarazem dodał, że prosi, abym oświadczył księciu, że listy od niego, jako od osoby prywatnej uważa i że w pozycyi, w jakiej się znajduje, wprawdzie z wielką boleścią dla siebie, odpowiedzieć na nie nie może... Trzymał się w wielkiej rezerwie i nakoniec oświadczył, że — przejrzy jeszcze raz starannie akty Kongresu wiedeńskiego". Ze swojej strony, jak możemy się obecnie przekonać z Korespondencyi niniejszej, Grey natychmiast pośpieszył z przykładną pokorą zdać sprawę pani Lieven z odprawy danej Walewskiemu. Aliści przy tej sposobności ośmielił się, w formie najdyskretniejszej, odezwać się do niej z radą pokojową. Tego nawet drobnego zapomnienia nie przepuściła mu wymagająca przyjaciółka i zaraz w swojej odpowiedzi, zamiast dziękować, ostro głowę mu zmywa: „Proszę Cię, kochany lordzie, nie powtarzaj nikomu, coś mi [illegible]ostatnio, gdyż cały świat nie jest tak łaskawego

usposobienia, jak ja". Gorzej jeszcze dostaje mu się w marcu 1831 r., z powodu paru słów nieostrożnych, które jakoby wyrwały mu się publicznie pod wrażeniem nadeszłych wiadomości wojennych: „wszystko tam skończone, niestety",— a on zaraz z pokorą wzorową zaklina się na wszystkie świętości, że tych słów grzesznych nie wyrzekł, że go spotwarzono. W tym samym czasie pani Lieven, nie bardzo zdając sobie sprawy z tego, że znajdowała się w Anglii, — bardzo zrozumiała zresztą dystrakcya ze strony korespondentki Greya — domaga się od niego, między innemi, aby zakazał drukowania pewnych, nie będących jej na rękę artykułów politycznych w „Kuryerze" londyńskim. Znakomity wig podziela to oburzenie, lecz tłómaczy jej żałośnie: „nie mamy żadnej władzy nad tem pismem; kiedy istnieje silny prąd społeczny w pewnym kierunku, jak w danym razie, wszelka kontrola staje się niepodobieństwem. Możemy przekupić pismo mało poczytne, lecz niewielki byłby stąd zysk, zaś dochody pism tutejszych, bardziej wziętych, są tak znaczne, że niema sposobu ich kusić". Sam Grey zresztą niebawem doświadczył na sobie niemiłych skutków swobody słowa drukowanego. W kwietniu 1831 r. ogłosiło *Morning Chronicle* list jego wystosowany ongi, w lipcu 1814 r., do Naczelnika, pełen nieopatrznych serdecznych sympatyi: „Bądź pewien — tak przed kilkunastu zaledwo laty wynurzał się ten sam Grey w owym kompromitującym liście, teraz, jak na złość wydobytym z zapomnienia, — że los Twego kraju nikogo silniej dotykać ode

mnie nie może. Przygody tego mężnego a nieszczęśliwego narodu, jego stateczność i cnoty, których wzór znakomity widzimy w Twojej osobie, muszą wzbudzać ku sobie pociąg serc, przeniknionych sprawiedliwością i ludzkością... Te uczucia są zbyt głęboko w duszy mojej wyryte; chciej ufać, iż nie zaniedbam żadnej sposobności do wynurzenia ich jawnie, gdziekolwiek tylko osądzę, że będą mogły być skuteczne". Trzeba było zaiste karygodnej niedyskrecyi, ażeby te stare grzechy teraz przypominać premierowi i wywlekać je na trybunę publiczną. Z widocznem też zakłopotaniem piorunuje nieborak Grey na taką niedyskrecyę w skruszonem piśmie do pani Lieven. Za nadejściem ciężkiego lata t. r. biedny lord w coraz cięższych znajduje się kłopotach. W sierpniu „zmuszony" przyjąć u siebie Niemcewicza; odbiera zaraz okrutną burę od swojej przyjaciółki i tłómaczy się ze skruchą, że Niemcewicz nie jest znów tak niebezpieczny, że jest to siedmdziesięcioletni, schorowany i sterany starzec, że jest to znajomość jeszcze z przed lat czterdziestu, kiedy bawił w domu szlachetnego lorda jako adjutant Kościuszki, że zatem nie można było tak bez ceremonii odpędzić ode drzwi tego niemiłego gościa. To były zapewne okoliczności łagodzące. Zresztą, tymczasem na głównym terenie wszystko się skończyło. „Nareszcie — pisała pani Lieven do premiera angielskiego, donosząc mu o wzięciu Warszawy, — jestem spokojna o Polskę i mogę całkowicie oddać się tutejszym sprawom parlamentarnym". Ale i teraz jeszcze, z czujną swoją wrażli-

wością, nie myślała przepuścić przyjacielowi żadnych niewłaściwych wybryków, chociażby tylko sentymentalnych i towarzyskich. Tymczasem Grey, zimą t. r., tak dalece znów się zapomniał, że — zaprosił do siebie na obiad ks. Adama Czartoryskiego. Tutaj już straciła cierpliwość pani Lieven i posłała swemu lordowi tak pieprzną epistołę, jakiej chyba żaden premier angielski nie otrzymał od nikogo w podobnych warunkach. „Zapominasz, — pisała dosłownie — że przyjmujesz u siebie zbrodniarza". Było to jednak trochę zadużo nawet jak na Greya. Zbudził się w nim nareszcie, nie minister wprawdzie, lecz przynajmniej *gentleman*. „Nie wydaje mi się stosownem — odpowiedział na daną sobie reprymendę, — abyś mi Pani komunikowała podobne oświadczenia, ani też, abym ja je odbierał. Sądzę, że jest to pierwszy wypadek, żeby członek rządu miał sobie kwestyonowane przez obce poselstwo, kogo mu wolno prosić do siebie na obiad". Pani Lieven zrozumiała, że tym razem przeciągnęła strunę. Nie nalegała więcej i przeszła nad tym incydensem do porządku dziennego. Zresztą, wszak były to drobnostki. Zadanie główne zostało rozwiązane sposobem całkiem zadawalającym: niepożądana interwencya Zachodu została skutecznie zażegnaną.

Niedługo już jednak wypadło cieszyć się pani Lieven użyteczną służbą ministeryalną angielskiego statysty. Grey już od początku 1834 r. czuł się zachwianym; niezadługo, jeszcze w ciągu tegoż roku, skutkiem burzliwych rozpraw irlandzkich, ustąpić musiał Mel-

bournowi. Właściwie niefortunny premier poprostu przez własnych ministrów wigowskich usunięty został z gabinetu. Prawie jednocześnie Lievenowie zmuszeni zostali do opuszczenia Londynu. Ta ostatnia sprawa nie znajduje wyjaśnienia w Korespondencyi niniejszej i przedstawia się dość zagadkowo. Tyle pewna, że głównym winowajcą był nikt inny, jak lord Palmerston. Zatrwożony niebezpiecznym obrotem rzeczy wschodnich po pokoju adryanopolskim, zatrwożony w szczególności protektorską przyjaźnią Rosyi dla Porty Ottomańskiej, w swych skutkach wprost nieobliczalną, angielski minister spraw zagranicznych nagle całkiem odmienił dotychczasowy, często bierny kierunek swojej polityki. Równocześnie, pomimo gorącego wstawiennictwa Nesselrodego, odwołał z Petersburga miękkiego Heytesburego, który cieszył się tam zasłużonem uznaniem, i na jego miejsce przeznaczył twardego Stratforda-Canninga, który z dotychczasowej swojej energicznej działalności w Stambule był jak najgorzej zapisany nad Newą. Pani Lieven postanowiła nie dopuścić do tego żadną miarą. Puściła w grę wszystkie najmocniejsze swoje sposoby. „Pamiętniki“ Grevilla, to niewyczerpane źródło wiadomości zakulisowych do dziejów panowania Wilhelma IV i Wiktoryi, zawiera kilka kapitalnych szczegółów o tym śpiewie łabędzim tej niebywałej dyplomatki nad Tamizą. Wpadła ona osobiście do Palmerstona, zaczęła piorunować, nawet wygrażać się, chciała wziąć go „z góry“. Ale *old Pam*, jak nazywają go Anglicy, nie był wcale Greyem. Oświadczył z flegmą,

że jego posłem w Petersburgu „nie będzie nikt inny, tylko mr. Stratford", a na dalsze wybuchy swojej namiętnej interlokutorki zrobił uwagę, że nie ma czasu. Zaś nazajutrz ogłosił w urzędowej *London Gazette* nominacyę Stratforda na ambasadę petersburską. Jeszcze nie dała za wygraną zacięta przeciwniczka. Tyle wyrobiła w Petersburgu, że stamtąd — wypadek niezmiernie rzadki w nowoczesnej praktyce dyplomatycznej — oficyalnie odmówiono przyjęcia Stratforda. Nie wątpiła, że tym ciosem albo ugnie Palmerstona i zmusi do ustępstwa, albo też skompromituje go i narazi na stratę teki ministeryalnej. Ale Palmerston uparł się i utrzymał. Poprostu zostawił nieobsadzoną ambasadę petersburską. To był znów najdotkliwszy z jego strony odwet, gdyż w ten sposób zmuszał do odwołania z Londynu Lievena. „Lievenowie się wynoszą, — pisał Palmerston z suchym swoim humorem do Williama Templa — nie wiem, czy ich wyjazd będzie wielką stratą. Podejrzywam, że oboje, mąż i żona, daliby sobie obciąć czworo swoich uszu, byle tylko tutaj pozostać". Co jednak w tem wszystkiem najciekawsza, to ta okoliczność, jakim właściwie szczególniejszym sposobem Palmerston, dotychczas adjutant Greya i razem z nim jeden z wiernych przyjaciół wigowskich pani Lieven, został nagle tak z gruntu do niej rozczarowany i zarazem tak gruntownie wyleczony z niewzruszonego dla niej zaufania? Owóż, okazuje się, że otworzyły mu oczy niektóre argumenty najniespodziańsze a najniezbitsze, bo czarno na białem, mianowicie niektóre nader niezwykłe

dokumenty, nader niezwykłą drogą przychodzące z za kulis i wydobyte na pełne światło dzienne. W kancelaryi dyplomatycznej w Pałacu Brylowskim w Warszawie znalazły się urzędowne kopie depesz londyńskich Lievena, t. j. pani Lievenowej, posyłanych do Nesselrodego w ciągu lat ostatnich. Parę bardziej „pikantnych" wzorków, jak się zdaje, przywiózł ks. Czartoryski ze sobą do Londynu. Niebawem ukazały się one nawet w druku w słynnem *„Portfolio"*, w Londynie, Paryżu i Hamburgu, wydawanem przez dzielnego Dawida Urquharta, lecz z natchnienia i staraniem księcia. Tutaj to, w tej samej stylizacyi damskiej, w jakiej były pisywane listy, odbierane przez Canninga i Greya z gmachu poselstwa, tylko tym razem w nieco szczerszej i wiarogodniejszej wersyi, mógł wyczytać Palmerston istotne dążności pani Lieven i istotne jej zapatrywania na „próżność" i krótkowidztwo wielkich statystów angielskich. „Przekonałem się zbyt dokładnie,— pisał z gorzkiem rozczarowaniem lord Palmerston — jaką korzyść moim przyjaciołom przyniosły rady pani Lieven, ażebym miał odtąd z tych rad czynić jakikolwiekbądź użytek. Należy robić to właśnie, czego nie mówi ta pani, i iść w tym właśnie kierunku, którego ona nie zaleca". Trzeba przyznać, że sens moralny, acz zapewne nieco późno, przynajmniej z całą pożądaną precyzyą sformułowany został przez wytrzeźwionego wielbiciela.

Wyparowana z Londynu, osiadła pani Lieven na stałe w Paryżu, skąd jeszcze przez szereg lat nie prze-

rywała korespondencyi z wytrwale wiernym Greyem, zupełnie już przecie platonicznej, gdyż oboje pozbawieni byli swoich stanowisk wpływowych. Próbowała wprawdzie ex-ambasadorowa przebłagać zaciętość Palmerstona, i już po swojej przymusowej eksmisyi z Anglii zwróciła się listownie do jego żony, byłej lady Cowper, z prośbą o pośrednictwo; lecz odebrała od milady bardzo suchą i bardzo wyraźną odprawę. Trzeba było pogodzić się z losem i pozostać w Paryżu. Zresztą pani Lieven, jakkolwiek przebywała w Paryżu w charakterze czysto prywatnym, nie wyrzekła się wszakże bynajmniej gorączkowej roboty politycznej, wykonywanej tylko odtąd w sposób daleko dyskretniejszy, lecz raczej przez to jeszcze bardziej interesujący. Dowiadujemy się mianowicie z nowych rewelacyi badaczów rosyjskich, że posyłała ona stale z Paryża tajne własnoręczne raporty polityczne na ręce rodzonego swego brata, którym był nie kto inny, jeno Aleksander Benckendorf, słynny szef korpusu żandarmów w dobie cesarza Mikołaja I. Owóż czynność ta wymagała koniecznie ciągłej bezpośredniej styczności z życiem towarzyskiem i publicznem nad Sekwaną. Wymagała także znacznego materyalnego nakładu. Wprawdzie pani Lieven tymczasem, po śmierci męża, została bez żadnych środków majątkowych. Ale potrafiła uzyskać, bez określonego zresztą tytułu, bardzo znaczną pensyę roczną, dającą jej możność prowadzić w Paryżu dom na dużą stopę. Otworzyła też tutaj salon nader gościnny, gdzie przyjmowała towarzystwo liczne, choć dosyć

mieszane. Zamieszkała w tym celu w samem ognisku życia światowego, odnajęła wspaniałe apartamenty w antresoli hotelu Talleyranda, z którym zawarła była zgodę za pośrednictwem jego siostrzenicy, pięknej księżny Dino. Talleyrand był już bardzo stary, już dogorywał. Ale jeszcze miał dobre oczy. Francuszczyzna pani Lieven — mówił — jest wcale nienajgorsza; ale wolę jej mowę epistolarną, niż jej konwersacyę francuską; albowiem w rozmowie wypada ona z dobrego stylu, pogrąża się mimowoli w zbyt jednostajne zwroty interrogagatywne, zasypuje pytaniami, ażeby zaspokoić swoją nienasyconą ciekawość". Całkiem podobne, choć nieco prostoduszniejsze świadectwo przynosi dzisiaj ks. Broglie, który wtedy był jeszcze bardzo młody, dziś jest już także stary, ale który, jak się zdaje, nigdy nie był Talleyrandem. Wszyscy nasi dyplomaci ówcześni — opowiada autor „Sekretu Króla", niedomyślający się widocznie po dziś dzień sekretu ex-ambasadorowej, — schodzili się w salonie pani Lieven; „przynosili jej to, co Saint-Simon nazywał zapachem kuchni politycznej, a bez czego ona nie umiała obejść się. Sam zauważyłem, że zaczęła mnie przyjmować daleko łaskawiej od chwili, odkąd miałem możność przynoszenia jej z ministeryum spraw zagranicznych takich wiadomości, jakich nie mogłaby otrzymywać od nikogo innego". Nie sądzimy, żeby książę miał zanadto powodu szczycić się takiemi łaskami. Ale najciekawsze, najzupełniejsze i najzabawniejsze zwycięstwo święciła tutaj pani Lieven na innym, poważniejszym statyście. Nie zaniechała ona

i tutaj, na bruku paryskim, bez względu na wiek dojrzały, uprawiania czułych stosunków z wybitnymi mężami stanu: zamieniła jeno szlachetnego lorda na plebejuszowskiego doktrynera. „Śmieszność — powiada Chateaubriand — oczekiwała w Paryżu panią Lieven. Surowy doktryner upadł do stóp Omfali. Amorze, ty gubisz Troję". Herkulesem w tym wypadku był wielki Guizot. Trzeba poczytać u samego Guizota, jak on, z wielomównymi szczegółami, z naiwnem wzruszeniem opisuje owe pierwsze niezapomniane chwile, kiedy poznał swoją Omfalę i był przez nią ujarzmiony. Zostawszy niebawem prezesem ministrów, został naturalnie równocześnie stałym gościem jej salonów. Maniery wielkopańskie pięćdziesięcioletniej gospodyni olśniły uczonego historyka. Nie mógł on nigdy potem dość odżałować tego „salonu bezstronnego i eleganckiego", a nigdy nie wątpił, że to jego piękna pretensyonalna dusza, nie zaś jego stanowisko urzędowe, otworzyła mu przystęp do tego cudownego przybytku i do serca królującej tu wróżki. Inaczej na to zapatrywali się inni spółcześni. „Kiedy, po upadku gabinetu Thiersa, Guizot objął ministeryum spraw zagranicznych, wówczas pani L even — tak pisze niedyskretny jej wielbiciel, Greville,—więcej zbliżyła się do niego, i istotnie, przez całe trwanie jego rządów, stosunek między nimi nosił piętno najściślejszej zażyłości. Oczywiście było dla niej rzeczą niezmiernej wagi posiąść nieograniczone zaufanie ówczesnego kierownika francuskich spraw zagranicznych, który ją trzymał *au courant* wszystkiego, co się

działo w świecie politycznym... Każdą chwilę, wolną od zajęć w ministeryum i izbach, poświęcał Guizot pani Lieven; przychodził zwykle do niej trzy razy dziennie". Wypadałoby dodać do tego jeden jeszcze szczegół, drobny zapewne, ale dość przykry. Wiadomo mianowicie skądinąd, że francuski mąż stanu nie odmawiał pobierania od przyjaciółki dość znacznych zasiłków pieniężnych. Wprawdzie działo się to podobno w formie najdelikatniejszej, wprawdzie były to podobno posagi dla jego córek. Zawszeć te trochę przykro. Guizot, surowy, katoński Guizot, akceptował zasiłki od politycznej przyjaciółki, o której nie mógł nie wiedzieć — i w tem właśnie sęk, w tem kłopot, — że nie posiadała sama żadnego absolutnie majątku. Po rewolucyi lutowej 1848 r. musiała pani Lieven z kolei uciekać z Paryża. Schroniła się razem z Guizotem napowrót do ukochanego Londynu, na plac pierwszych swoich tryumfów. Tutaj szczególniejsze wydarzyło się spotkanie: w Londynie zjawił się w tym samym czasie ks. Metternich, który znowuż przed rewolucyą marcową t. r. musiał uciekać z Wiednia. Znalazła się podstarzała pani między tymi dwoma żałosnymi rozbitkami: jednym, który ongi zranił jej serce; drugim, który asystował jej obecnie. W ciekawym liście dała wyraz swoim sentymentom: „Metternich tutaj gada i łże bezustanku, przed bardzo szczupłem audytoryum. Guizota, przeciwnie, wszyscy chcą widzieć, on nikomu się nie narzuca". Wróciła jeszcze do Paryża po uciszeniu się burzy rewolucyjnej. Do samego końca nie przestawała „robić"

w polityce. Opiekowała się gorąco piękną panną Eugenią Montijo, pracowała zawzięcie nad jej małżeństwem z Napoleonem III. Nie zebrała jednak stąd pociechy, doczekała się jeszcze wojny krymskiej, ruiny wszystkich swoich robót londyńskich i paryskich. I znowu szczegół wcale zabawny. Życzyła sobie bardzo pani Lieven, aby podczas toczącej się wojny mogła pozostać w Paryżu. Zwróciła się też *sans gêne* z natarczywą prośbą w tym względzie do francuskiego ministra spraw zagranicznych. Tym ministrem był wtedy — w tem dowcip— Aleksander Walewski, ten sam, którego przed dwudziestu laty również *sans gêne* była wykurzyła z Londynu. Liczyła widocznie na jego cnotę ewangeliczną. Niestety, Walewski nie okazał się dość wyrozumiałym i udzielił kategorycznej odmowy. Dopiero po zawarciu pokoju mogła pani Lieven wrócić do Paryża. Niedługo już przyszło jej tutaj wegetować: zmarła w sędziwym wieku 1857 r.

Pani Lieven należy do liczby owych aktorów drugoplanowych, którzy, pomijani zazwyczaj przez historyę, mają sobie w obsadzie politycznej wyznaczoną rolę podrzędną, niewidoczną, nieświetną, lecz doniosłą dla głównego biegu samej akcyi.

Literatura orleańska.

Leży przed nami książka miła i nauczająca *). Ujmuje już samym wyglądem zewnętrznym. Nie jest rzeczą zwyczajną, aby królewicze wydawali swoje pamiętniki w formacie małej ósemki, śród plebsu takich samych, żółto obleczonych tomików, kryjących prozę mieszczańską jakiego France'a albo Bazina. Jest zgoła nadzwyczajną, aby królewicz wydziedziczony, prawie pretendent, swoje wspomnienia z lepszych czasów minionych, ofiarowane publiczności republikańskiej, kreślił w takim tonie swobodnym, lekkim, facecyjnym, okraszając je nadto własnej dostojnej ręki dowcipną akwarelą, lub drastycznym rysunkiem piórkowym. Tyle jowialności, tyle pogody, najprzód ujmuje, potem zbija z tropu czytelnika. Książka, pierwej miła, staje się nauczającą, nieprzewidzianym przez autora sposobem, jako znak czasu. Czasów dzisiejszych było potrzeba, potrzeba radykalnych przewrotów dziejowych i duchowych, aby taki biblocik mógł ofiarować zamiast auto-

*) Prince de Joinville. *„Vieux souvenirs 1818—1848. Avec illustrations de l'auteur".*

biografii człowiek w wieku podeszłym, w takiej sytuacyi, z takiem nazwiskiem. I tutaj mimowoli nasuwa się porównanie pomiędzy tem kruchem cackiem nowoczesnem, a jednym z najkosztowniejszych starych klejnotów francuskiej literatury pamiętnikarskiej, na którym położył to samo nazwisko inny pamiętnikarz Joinville. Lecz jakaż przepaść między tamtym towarzyszem wypraw Ludwika IX, prostym *sieurem* de Joinville z XIII wieku, ciężką od miecza ręką spisującym rzeczy, godne zapisania, rzeczy, które obchodzą Francyę i świat, — a tym ogładzonym św. Ludwika potomkiem, starem *enfant terrible*, które opowiada dwuznaczne *bonmots* i rysuje dekoltowane do pięt Murzynki albo smaczne dziewczęta z Hawanny. Zaiste, gdyby nie uprzedzić o nazwisku autora i opuścić parę zwrotów, wprost wskazujących na syna Ludwika-Filipa, czytelnik długoby się nie domyślił, przerzucając te żartobliwe karty, że ma do czynienia z Orleanem, z odrośla Bourbonów i Walezych. W tem jest znak czasu, w tem najciekawsza strona niniejszych Pamiętników, w tem ich specyficzna cecha, wyznaczająca im poniekąd osobny kącik nietylko w literaturze francuskiej wogóle, lecz nawet w „orleańskiej“ w szczególności.

Gdyż w rzeczy samej, istnieje dzisiaj dosłownie taka mianowicie obszerna, najautentyczniejsza literatura orleańska. *Tout arrive.* I to dzisiaj się zdarza, że sukcesorowie św. Ludwika pisują grube, średnie i cienkie tomy, tomiki i broszury *pro domo sua*, a sukcesorowie p. Calmanna Lévy je wydają, po siedm i pół,

po trzy i pół i po jednym franku za egzemplarz. I co właśnie, co przedewszystkiem razi w tej literaturze „Domu Francyi", to mianowicie ten jej natarczywy charakter *pro domo*. Zapewne, istnieje tutaj także jeden jedyny sympatyczny wyjątek. Taki wyjątek wyobrażał w swojej osobie starszy brat ks. Joinvilla, Orléans-akademik. Ale ks. Aumale pisywał inaczej, niż wszyscy jego krewniacy, na swój własny, poważniejszy sposób. Zaczął on przed wielu laty „Historyę Kondeuszów", a nikt chyba nie był bardziej do tego powołanym, jak on, legataryusz ostatniego, zwyrodniałego potomka rodziny Condé. Był to zarazem najpiękniejszy sposób wywdzięczenia się za legat i zatarcia skazy, jaką skandaliczny proces zostawił na legacie. Tym sposobem, bez pośpiechu, a bez dysonansu, powstało dzieło piękne i szacowne, pisane przez historyka, który mógł wydawać się jak gdyby uczestnikiem swoich historyi, przez obywatela trzeciej Rzeczypospolitej, który wydawał się jak gdyby towarzyszem opisywanych przez siebie ludzi XVII wieku. Kiedy się słuchało tego uczonego Aumala, prawiącego o *„Monsieur le Prince"*, o *„Monsieur le Cardinal"*, o wielkim Kondeuszu, o Mazarinim,—osobliwe, lecz całkiem sharmonizowane, nastrojowe wrażenie czyniła ta poufała powaga królewskiego pisarza, którego nazwisko nierozłącznie jest związane z wielkiemi nazwiskami historycznemi Francyi. Ale takie wrażenie harmonijne tylko dlatego w tym wypadku rodziło się w czytelniku, że tutaj chodziło o historyę całkiem przedawnioną, o dzieje nieodwołalnie minione, których

szanowną pozostałość oglądał w odbiciu w osobie pisarza, u którego też nie będzie szukał wyczerpującej erudycyi, ani nawet obojętnej bezstronności zawodowego dziejopisa. Zgoła różne natomiast będzie wrażenie, całkiem odmienne wymagania, jeśli przyjdą na stół sprawy doby nowożytnej i bieżącej, gdzie o tradycyi niemasz mowy, o aktualne i sporne zagadnienia społeczne, gdzie niemasz mowy o bezinteresowności. Tymczasem w tym to właściwie kierunku rzucili się hurmem wszelakiego rodzaju inni, mniej lub więcej piśmienni Orleanowie i orleańscy klienci. Tędy obrócił się sam najjaśniejszy bratanek książąt Aumala i Joinvilla, król *in partibus infidelium*, hr. Paryża. Stanął on w pierwszym szeregu pod protekcyjnym znakiem żółtych barw p. Calmanna Lévy. Pisywał obficie o Ameryce i Anglii. Rozwodził się szeroko o sprawie robotniczej i wolności stowarzyszeń. Zaś wszędzie do jednej i tej samej przychodził konkluzyi: że należy mu co rychlej przywrócić po dziadku prawą koronę orleańską — t. j. koronę, przez dziadka zabraną Bourbonom, i z kolei dziadkowi odebraną przez naród. W tropy za hr. Paryża podążył cały zastęp Brogliech, Noaillów, Haussonvillów i tylu innych dziedzicznych dworaków niedoli orleańskiej. Ich przodkowie niegdyś na polach bitew, ze szpadą w ręku, śpieszyli przelewać krew za jego protoplastów. Oni w ślad za epigonem, uzbrojeni w stalówki, przelewają atrament na szpaltach *Revue des deux mondes*. Dość niepłodna, jak się zdaje, i niecieka wa robota, — która w każdym razie musi wydawać

się taką dla nas, śledzących ją zdaleka, *sine ira et studio*, a z dobrą pamięcią na własne nasze doświadczenia i własne porachunki.

W rzeczy samej, cokolwiekbądź o całej tej robocie mogliby sądzić bezpośrednio interesowani Francuzi, tyle przecie nie ulega wątpliwości, że w duszy dalekiego widza polskiego nie może ona budzić żadnego żywszego współczucia. Nie mamy powodu do żadnych, chociażby platonicznych, sympatyi orleańskich. Mamy swoje retrospektywne rachunki z domem Ludwika-Filipa. Wyniesienie tego domu we Francyi było głosem pogrzebowego dzwonu dla Królestwa Kongresowego. Dni lipcowe paryskie podały hasło dla nocy listopadowej warszawskiej. Sprytny Orleańczyk, zanim się opatrzono, potrafił skonfiskować na swoje dobro przewrót lipcowy. Czyliżby jednak potrafił utrzymać się przy eskamotowanej koronie? Napewno nie byłby utrzymał się bez ciężkiej walki z Europą. Już Dybicz Zabałkański w Berlinie układał ze sztabem pruskim plany nowej wyprawy koalicyjnej. Tutaj, jak na zawołanie, przypadł wybuch listopadowy. Zamiast wyprawy nad Ren przyszła kampania nad Wisłą. Tak było niegdyś w roku 1792 i 1794. Tak stało się teraz w 1830 i 1831 r. Teraz nawet stało się jeszcze pomyślniej. Ludwik-Filip widocznie w czepku się rodził. Zwolnił się nawet od tego połowicznego niebezpieczeństwa, nawet od tej połowicznej walki, z jaką ongi musiała uporać się pierwsza Republika. Gdyż tym razem Prusy i Austrya, widząc sytę zajętą, i bardzo zajętą, nawet nie pomyślały na

własną rękę uderzyć na Francyę. Znamy dzisiaj te rzeczy z wystarczającą ścisłością. Znamy je z najpoważniejszego źródła, zarówno ze źródłowych badań francuskich, jakoteż z bezstronnego świadectwa rosyjskiego, z szacownych rewelacyi prof. Martensa i generała Szyldera. Możemy też obecnie ocenić wedle zasług całe postępowanie rządu Ludwika-Filipa, od pierwszych podziemnych rokowań z rządem warszawskim, aż do ostentacyjnej deklaracyi Sebastianiego: *„L'ordre règne"*... Możemy stwierdzić pozytywnie, że ani przedtem za pierwszej republiki i pierwszego cesarstwa, ani później za Napoleona III, nie zdobyto się w Paryżu na tyle dwuznaczności, a zwłaszcza na tyle wyszukanej hipokryzyi w rzeczach polityki zagranicznej, ile wtedy, na samym progu rządów mieszczańskich Ludwika-Filipa I. To też, rzecz prosta, w takiem retrospektywnem przeświadczeniu niepodobna znaleźć najlżejszych zgoła pobudek dla rozrzewniania się nad dzisiejszymi bezsilnymi wysiłkami wewnętrznej „polityki" orleańskiej.

Na szczęście, najmłodszy syn Ludwika-Filipa, ofiarujący nam swoje pamiętnikarskie wczasy, starał się zawsze, i w życiu i w pisaniu, ile tylko było można, trzymać się jak najdalej od wszelkiej polityki. A nawet podobno, ile tylko było można, starał się unikać wszelkiego wogóle zbytecznego suszenia głowy. Nie zapatrywał się on widocznie ani na brata, ani na synowca. Nie studyował jak ks. Aumale, ani też nie agitował jak hr. Paryża. Nietyle może wzorował się na ich poważnej

prozie historycznej i politycznej, ile raczej — jeśli już koniecznie chodziło o wzory familjne — gustował w wesołych piosnkach, improwizowanych przez podochoconego Franciszka I. Zamiast „Historyi Kondeusza“ albo „Kwestyi robotniczej“ wolał najpewniej brać do ręki śliczny „Heptameron“ Małgorzaty z Nawarry i słuchać ślizkich opowieści jej pań dworskich i kawalerów, ich śmiechów szczerych, rubasznych morałów i subtelnych spostrzeżeń. Zadowolił się skromną rolą wykwintnego dyletanta i ten pogodny dyletantyzm prywatnego człowieka przeniósł żywcem, z całą swobodą do niniejszych swoich „Starych wspomnień“.

Książę, urodzony 1818 r., dobrze zachował w pamięci czasy najmłodszego dzieciństwa. Doskonale pamięta Ludwika XVIII. Wyrysował go, starego sybarytę, wielbiciela Horacego i pani du Cayla, jak usadowiony w głębokim fotelu, w otoczeniu rodziny, z uśmiechem patryarchy, egzaminuje małych Orleanów z łaciny. Pod pozorami patryarchalnymi ukrywał się zatruty jadem podejrzeń i zawiści stosunek domu panującego do orleańskich krewniaków. Dzieciom i wnukom Filipa Egalité nie wybaczyli Bourbonowie grzechów ojca i dziada. Czy mieli do tego prawo? — co najmniej jest wątpliwe. Jeśli Filip wszystko uczynił, aby zgubić nieszczęśliwego kuzyna, hrabiowie Prowancyi i Artois nic nie zrobili, aby uratować brata. To też, czego w gruncie rzeczy nie mogli oni wybaczyć Orleanom, to nie krzywdy, jaką w niedawnej przeszłości Ludwikowi XVI wyrządził książę-jakóbin, gilotynowany Ludwik-Filip ojciec, lecz

tej krzywdy, jaką Ludwikowi XVIII mógł w najbliższej przyszłości wyrządzić popularny żołnierz z pod Jemmapes, żywy Ludwik-Filip syn. Ten siedział cicho, kłaniał się i czekał. Takim kłaniającym się i wyczekującym oglądamy go na rysunkach ks. Joinvilla, który w tekście swoich „Wspomnień“ usiłuje pogodzić lojalność dla bourbońskiej głowy domu z pietyzmem synowskim, lecz zdradza werwą ilustratora, co był zasłonił wstrzemięźliwością prozy. Nieoszacowaną jest na tych rysunkach powtarzająca się głowa Ludwika - Filipa, z uległą powagą, bokobrodami i schowanym sprytem portyera hotelowego, sławna „głowa-gruszka“, która z pod dowcipnego ołówka ks. Joinvilla wychodzi na swój sposób niemniej charakterystycznie, jak na spółczesnych karykaturach Philippona.

Cicho zbiegało, pod podejrzliwym rządem Restauracyi, życie rodziny książęcej w Palais-Royalu, starej rezydencyi paryskiej Orleanów. Różni tu przecie zachodzili goście: tłusty, wiecznie śmiejący się, udający poczciwca, a sprzedający się na prawo i lewo, Pozzo di Borgo; Alfred de Musset, jeszcze w zaraniu rozgłosu, prawiący madrygały młodym księżniczkom; Talleyrand, już, zdawało się, u zachodu karyery, z martwą twarzą i okiem, a który odwiedzał ks. Orleańskiego ze świadomem przeczuciem przyszłości, gotując sobie miejsce naczelne śród fundatorów i sług przyszłej monarchii lipcowej. Niekiedy odzywał się „wielki dzwon“: przychodziła z urzędową wizytą Delfinowa, księżna Berry; „i mój ojciec wybiegał krokiem gimnastycznym,

a my wszyscy za nim, aby ją przyjąć na schodach". Nie przeczuwała wtedy dumna pani, że ją po kilku latach, opuszczoną, shańbioną kobietę, usłużny kuzyn będzie trzymał pod kluczem.

Jeszcze jednostajniej schodziły dni w letniej rezydencyi orleańskiej, w Neuilly. Ze wzruszeniem wspomina autor lata dziecinne, spędzone tutaj, w czarownym zakątku wiejskim, pod samą stolicą, gdzie dziś z pięknego zamku, skonfiskowanego przez Napoleona III, sterczą tylko resztki opalonych murów. Pędził tu Ludwik-Filip żywot parafiański zamożnego szlachcica; zjeżdżało się do niego obywatelstwo okoliczne, paru księży, goście z Paryża; gawędzono, grywano w bilard. Wymalował pamiętnikarz z humorem jedną taką partyę bilardu w Neuilly: goście, paradne typy prowincyonalistów, skupieni dokoła zielonego stołu, — z boku w krześle gospodarz, cały zasłonięty wielką gazetą, zupełnie w nią wczytany: jest to niezawodnie nadeszły przed chwilą świeży dziennik polityczny paryski, może radykalny *Globe*, może opozycyjne *Debaty*, które oddawna wskazują narodowi na niewiędnący laur żołnierza z pod Valmy i Jemmapes, na liberalnego księcia, wychowańca pierwszej Rzeczypospolitej, który potrafiłby być razem i najlepszym królem, i „najlepszą republiką".

Rychlej, niż można było oczekiwać, rozstrzygniętą została dwuwiekowa, tem głębsza, że tajona, rozterka rodzinna wewnątrz Domu Francyi; sprawdzone wszystkie zazdrosne obawy starszej linii, ziszczone wszystkie

ambitne nadzieje młodszej; strącony z tronu pradziadów ostatni Bourbon, wyniesiony pierwszy — a także, zda się, ostatni, — Orléans. Do wybuchu rewolucyi lipcowej 1830 r. znajdujemy u ks. Joinvilla niejeden szczegół ciekawy. Ciekawy jest opis głośnej uczty, jaką wyprawił ojciec autora w Palais-Royalu na cztery tygodnie przed katastrofą. Jak wiadomo, przy tej okazyi jeden z obecnych, Salvandy, wyrzekł historyczne słowa: „Festyn, iście neapolitański, tańczymy na wulkanie". Ks. Joinville nakreślił tu obrazek, który wart jest dokumentu historycznego,— jakkolwiek zdawałoby się nam, że pamiętnikarz, wówczas całkiem jeszcze dzieciak, zapożyczył się tym razem tyleż ze znanej relacyi Salvandego, co z własnej pamięci. „Po kadrylu kostyumowym, król wyszedł na taras, wznoszący się nad galeryą orleańską. Wkoło krążyły panie w strojach balowych, noc była ciepła, jasność niemal dzienna biła od świetnej iluminacyi. Podwórze pałacowe było zamknięte, lecz w ogrodzie cisnęły się tłumy, zwabione ciekawością. Ja biegłem przed Karolem X, który ze swoją postawą, prawdziwie królewską, zatrzymał się u balustrady od strony ogrodu. Ręką po kilkakroć skinął ku tłumom, które w tak blizkiej odległości i takiem oświetleniu nie mogły go nie poznać, a jednak nie wydały żadnego okrzyku... „Dobranoc mój narodzie" — rzekł wreszcie król pół żartem, pół seryo, i oddalił się. Nigdy więcej nie miałem go ujrzeć. Natychmiast tłum pochwycił krzesła z ogrodu, ułożył z nich stos i pod-

palił. Trzeba było wezwać siły zbrojnej i ogród opróżnić". Były to pierwsze odgłosy zbliżającej się burzy. Ale znowu lepszym jeszcze od tej anegdoty jest rysunek, jakim ją ilustruje pamiętnikarz: królewski gość, stary Karol X, spoglądający w zamyśleniu na ten swój niesforny Paryż, który już teraz nie oddaje mu ukłonu, niebawem uczyni go wygnańcem, — a z tyłu, pochylony z deferencyą gospodarz, Ludwik - Filip, ostrożnym wzrokiem szukający już teraz tajnych stronników, być może agentów, w tych czarnych tłumach milczących, które niebawem jego uczynią królem.

Książę Joinville, rzecz prosta, dość jest zakłopotany, kiedy mu wypada opowiedzieć przebieg trzech dni lipcowych i objęcie rządów przez ojca. 25 lipca, przy niedzieli, był z całą rodziną w Saint - Leu, u ks. Bourbon, „który tam prowadził życie wspaniałe i piękne": tak przedstawia się autorowi ostatni z Kondeuszów, zdziecinniały starzec, wtedy już całkiem prowadzony na pasku przez pospolitą awanturnicę, niedługo znaleziony wiszącym na stryczku, samobójca czy ofiara, niewiadomo, lecz napewno niegodny wielkiego imienia, które z nim zeszło do grobu. Nazajutrz, 26 lipca przyniesiono do Neuilly wiadomość o zamachu stanu, „ordynansach" królewskich przeciw prasie. „Wbiegliśmy do salonu, gdzie zastaliśmy ojca; siedział skamieniały, trzymając w ręku *Monitora*. Na widok wchodzących podniósł ręce do góry z gestem rozpaczy. Po chwili milczenia rzekł tylko: „Potracili rozum"; potem znów po dłuższej pauzie: „Uczynią się sami raz jeszcze wy-

gnańcami. O, co do mnie, byłem nim już dwukrotnie, nie chcę więcej, zostanę we Francyi". To wszystko byłoby wzruszające; cóż jednak dalej się stało, co czynił Ludwik - Filip tegoż dnia i następnych? — tego ani jednem słowem nie wyjaśnia ks. Joinville. Powiada tylko tyle: „Ojciec mój znikł z Neuilly; jego dalsze kroki pozostały dla nas zupełną tajemnicą i nawet do tej chwili nie są mi dobrze znane; nic też o nich nie powiem". Zaś w odsyłaczu czyni w tem miejscu następujące oświadczenie: „Nie moją jest rzeczą wydać sąd o przyjęciu korony przez mego ojca w 1830 r. Rewolucya lipcowa była niewątpliwie wielkiem nieszczęściem... lecz mam przekonanie bezwarunkowe, że mój ojciec nigdy jej nie pragnął, owszem, wielce nad nią bolał... Jeśli przyłączył się do powszechnego ruchu, czynił to początkowo niezawodnie li tylko w zamiarze osadzenia na tronie Henryka V. Utraciwszy tę nadzieję, ustąpił namowom, jakiemi zaklinano go zewsząd aby powstrzymać Francyę na pochyłości fatalnej, prowadzącej przez republikę ku dyktaturze, inwazyi, zaborowi. Potrafił on o lat ośmnaście opóźnić te opłakane konsekwencye, z niebezpieczeństwem własnego życia, pod groźbą codzienną. Pozostanie to jego zasługą w historyi, jakąkolwiek byłaby niesprawiedliwość ludzka". Mamy w tych słowach, z ust chyba najpowołańszego apologety, obronę urzędową monarchii lipcowej. Nie potrzebujemy tłómaczyć, że jest jeszcze mniej przekonywającą od zręczniejszych obron Guizota, Thiersa, albo Renana, które nas również nie przekona-

ły. Że Ludwik - Filip na swą rzecz skonfiskował koronę jedynie w tej myśli, aby ją, jako wierny depozytaryusz, zwrócić Henrykowi V, — pewno takiego tłómaczenia ani nawet nie próbował ks. Joinville przed hr. Chambordem, podczas sceny pojednania we Frohsdorfie. Co się zaś tyczy ośmnastoletniego pokoju i bezpieczeństwa, jakie monarchia lipcowa dała Francyi, — zbyt dobrze wiemy, pamiętamy zbyt dobrze, jakim kosztem zostało opłacone to bezpieczeństwo wygodne i ten ostrożny pokój.

Był to zresztą spokój wielce niespokojny, jeśli wziąć na uwagę stosunki wewnątrz Francyi w epoce rządów orleańskich. W kraju, który się domagał republiki, domagał przedewszystkiem wielkiej akcyi europejskiej, nie przestawano burzyć się przeciw mieszczańskiej gospodarce nowego panowania. Napróżno nad uchem królewskiem nawoływał Béranger: *„Un long sceptre au bout d'un bon bras Peut atteindre aux bornes du monde... Hâtons-nous: l'honneur est là-bas“*. Król nie chciał słuchać. Król chciał spokoju. Obwieścił o tem Francyi i światu nielitościwy pieśniarz: *„Je veux la paix... Et je vous ai donné pour armes Non pas un coq, mais un chapon“*. Lecz tego, tak pożądanego, tak drogo okupionego spokoju nie było sądzonem długo zażywać królowi „mieszczańskiemu“. Ks. Joinville odtąd na każdej stronicy prawie miewa sposobność wzmiankować o rozruchach w Paryżu lub na prowincyi. Opowiada, jak razu jednego, podczas urzędowego ‹adu dyplomatycznego u króla w Palais - Royalu, na-

gle rozlega się pod oknami strzelanina; cisza zalega u stołu, jak makiem zasiał; nareszcie śród tej ciszy słychać szarżę kawaleryi, ucieczkę rozbiegających się tłumów; z odetchnieniem ulgi wracają biesiadnicy do przerwanej konwersacyi. „Kiedyindziej sprawa była poważniejsza. Rokosz, nie pamiętam już który, — było ich tyle! — przez chwilę stawał się groźnym. Widzę jeszcze mego ojca, jak chwyta Kazimierza Périer za ramię i krzyczy mu nad uchem: „Każ pan dać naboje, naboje...“ W tej chwili ujrzałem w kącie salonu, gdzie odbywała się ta scena, jakiegoś człowieka na krześle, z dość kiepską miną. Przechadzał się przed nim adjutant mego starszego brata, generał Marbot, nie spuszczając go z oka. Cóż pan tu robi? — spytałem generała. — Pilnuję tego jegomościa.—Któż to jest?— Prefekt policyi. — A więc cóż? — On podobno zdradza. — Ot w jakiem położeniu można znaleźć się nazajutrz po rewolucyach“. Istotnie, położenie było nie do zazdrości, zwłaszcza w pierwszych latach. Oczywiście o ponawiających się rozruchach odzywa się książę z największem oburzeniem i pogardą. Kiedy mówi o powstaniu 1832 r., wywołanem jakoby przez samych złodziejów i rabusiów, nikt się nie domyśli, że mówi o gorących młodzieńcach z pogrzebu generała Lamarqua, o pięknych i szlachetnych duszach, które uwiecznił Wiktor Hugo w „Nędznikach“. Interesujące szczegóły podaje pamiętnikarz o częstych zamachach przeciw osobie królewskiej, osobliwie o strasznym zamachu Fieschego, przy którym był obecny. Te zbrodnicze za-

machy nie dawały chwili spokoju rodzinie Ludwika-Filipa; co dnia oczekiwano nowego nieszczęścia i zewsząd je zapowiadano. „Stary książę Talleyrand, prawie umierający, wezwał do siebie mego starszego brata, aby mu wygłosić własne w tej mierze proroctwo. Podnosząc się na łóżku, z twarzą, naznaczoną już piętnem blizkiego skonu: „Nie zginiecie — wyrzekł — od noża, ani od pistoletu, lecz deszcz kamieni przywali was wszystkich". Bardzośmy obowiązani za tę przepowiednię; nie sprawdziła się na szczęście". Czyżby w istocie się nie sprawdziła? Czyż słów wielkiego mistyfikatora nie można tłómaczyć mniej dosłownie, i czyż nie kamienie brukowe, z jakich wzniesiono barykady 24 lutego 1848 r., przywaliły monarchię orleańską?

Na tej fatalnej dacie 1848 r. zamykają się też „Wspomnienia" ks. Joinvilla. Bawił on w owej chwili w Algierze, u brata, ks. Aumala, naówczas gubernatora generalnego prowincyi. Tu otrzymał niespodzianie od byłego swego guwernera, Araga, który przez noc z astronoma został ministrem nowego rządu prowizorycznego, list lakoniczny, zawiadamiający księcia o dokonanym rewolucyjnym przewrocie w Paryżu i wzywający, w imię patryotyzmu, aby nie usiłował załóg floty, którą miał pod swymi rozkazami, skłonić do oporu przeciw Republice lutowej, okrzykniętej przez Paryż i Francyę. W tym liście, po raz pierwszy ogłoszonym obecnie, niemasz nic, coby nie czyniło zaszczytu wielkiemu uczonemu a dobremu obywatelowi, jakim był Arago. Ksiązę taki od siebie dodaje komentarz: „Pewność

siebie *(l'aplomb)*, z jaką ten człowiek, który dotychczas miał do czynienia z cyframi lub teleskopem, przyswajał sobie autorytet najwyższy, wprawiła mnie w osłupienie". Dodaje też, że pokazywał to pismo Changarnierowi, naczelnemu dowódcy armii algierskiej, i zażądał oporu przeciw powstańcom paryskim; ten jednak tylko wzruszył ramionami. „Niestety, — konkluduje z goryczą pamiętnikarz, — w naszej epoce postępu religia przysięgi żołnierskiej była pustym dźwiękiem". Zbyteczne byłyby tutaj wszelkie uwagi; dziwić się tylko należy otwartości autora, który z tak lekkiem sercem się przyznaje, że miał szczery zamiar wszczęcia wojny domowej, — kiedy dotychczas za największą zasługę poczytywano młodym książętom orleańskim, że, mając w ręku armię algierską i flotę, nie użyli jej dla rozlewu krwi, lecz posłusznie poddali się wyrokowi kraju. Poddali się, bo nie mogli nie poddać się, bo Changarnier ramionami ruszył, — opowiada dziś otwarcie ks. Joinville. Taka otwartość rozbraja.

Ale to nie są nasze rzeczy. Byłoby zresztą niewdzięcznością same tylko dysonanse wytykać w książce tak przyjemnej, naturalnej, miłej. Miłą jest, — powiedzieliśmy to od pierwszego słowa, — opowieść pamiętnikarska autora wszędzie, gdzie się on nie spotyka z nieszczęśliwą polityką, gdzie natomiast opowiada, jak podróżował, flirtował, polował we wszystkich niemal częściach świata. A istotnie widział i bawił się dużo. Lecz z zabaw prywatnego człowieka nie czujemy się powołani zdawać sprawy. Powtarzamy więc tyle tylko,

że ten człowiek prywatny przedstawia się tym razem sympatycznie, a bez wszelkiej pretensyi, zrzucając z siebie najzupełniej wszelką wprawdzie powagę, ale też i wszelką pompę królewskości. — „Czy pan także jesteś królem?“ — pytało się Kandyda pięciu zdetronizowanych monarchów w weneckiej oberży. „Nie, panowie, — odparł Kandyd, — i nie mam do tego żadnego gustu“. Możnaby tę odpowiedź położyć jako godło nad „Wspomnieniami“ ks. Joinvilla.

Stendhal dyplomata.

Literat dyplomatą — a i czemużby nie? Wszak Voltaire woził do Berlina projekty traktatowe, Diderot woził do Petersburga propozycye sprzymierzeńcze. Wszak Chateaubriand przywdziewał frak ministra i ambasadora, redagował noty okólne i podpisywał kongresowe protokóły. Wszak Lamartine przez jedną chwilę, jako naczelnik rządu, prowadził Francyę i trząsł Europą. Czemużby więc pisarz „Kronik włoskich“ i „Klasztoru Kartuzów“ nie miał także posiadać znakomitych talentów dyplomatycznych?

Gdyż takie mianowicie talenta, i to podobno zgoła niepospolite, odkrył w nim p. Farges, który z paryskiego Archiwum spraw zagranicznych wydobył i drukiem uwiecznił raporty konsulackie, posyłane przez Stendhala z Włoch w okresie 1830 — 41 roku do kil-

---

*) *„Stendhal diplomate. Rome et l'Italie de 1829 à 1842. D'après sa correspondance officielle inédite“* par L. Farges.

ku z kolei ministrów Ludwika - Filipa *). Wydawca tych osobliwości nie jest całkiem nieznany publiczności polskiej. Dobrze się zaleciwszy przez kilka prac historycznych, — między innemi przez ogłoszenie ciekawej korespondencyi poselskiej francuskiej z dworu Henryka VIII angielskiego,—miał on sobie powierzoną w wielkim Zbiorze Instrukcyi, wydawanym przez paryskie ministeryum spraw zagranicznych, publikacyę zleceń pełnomocnych, udzielanych posłom francuskim w Warszawie w końcowej dobie Rzpltej polskiej. Z tego ważnego zadania wywiązał się niekoniecznie zadowalająco i wiele, bardzo wiele mielibyśmy do zarzucenia wątpliwej jego erudycyi w rzeczach polskich, częstokroć tak wątpliwej, że poprostu staje się kompromitującą w wydawnictwie naukowem, cóż dopiero urzędowem. Natomiast z przyjemnością można było stwierdzić ze wszech miar bezstronne stanowisko wydawcy względem spraw i ludzi polskiej Rzpltej, odbijające tem sympatyczniej od niektórych innych części tego samego Zbioru. Owóż p. Farges, od ciężkich urzędowych obowiązków edytorskich przerzuciwszy się do znacznie lżejszej roboty na własną rękę, od fachowej korespondencyi polityków zawodowców do przygodnej polityka dyletanta, uznał za potrzebne wydobyć na światło dzienne prześlepioną dotychczas spuściznę „dyplomatyczną“ powieściopisarza, nowelisty i autora pewnego traktatu — którego próżnoby szukać w zbiorach traktatów Dumonta albo Martensa, — traktatu „O miłości“. Jest to, w rzeczy samej, niespodzianka. Byłby

to naprawdę Stendhal „niewydany“ — ów „dyplomata“, którego obiecuje pokazać nam wydawca. Czyliż jednak w istocie go pokazał? czy też wogóle mógł go pokazać?

Powołaliśmy sami parę wielkich nazwisk literatów politykujących, które za taką możliwością zdąwałyby się przemawiać. Lecz natychmiast z tych samych powołanych przykładów rodzą się pewne wątpliwości. Niezrównany jest Voltaire, kiedy rozpowiada opłakane przygody biednego „Kandyda“; na drwiny się wystawia, kiedy z Fryderykiem prowadzi negocyacye związkowe. Porywający jest Diderot, kiedy obnaża cyniczną duszę „Bratanka Rameau“; jest pocieszny, kiedy na cztery oczy z Katarzyną zapuszcza się w rozprawy o równowadze europejskiej. Świetny pisarz „Atali“ zgoła niefortunne czyni wrażenie, kiedy z trybuny parlamentarnej domaga się interwencyi zbrojnej w Hiszpanii i broni czystości księżny Berry, albo kiedy w poufnych memoryałach kreśli szerokie plany podziału Turcyi i Niemiec i lekką ręką oddaje Drezno Prusom a Rosyi Konstantynopol. Czuły śpiewak przejmujących żalów nad „Jeziorem“ śmiesznie wydaje się ze swoją wodnistą, nieporadną elokwencyą i zupełnym brakiem decyzyi w niestosownej dla siebie roli zbawiciela narodów. Naodwrót, wielkiemu Fryderykowi żadną miarą niepodobna wybaczyć okaleczonych sromotnie aleksandrynów w „Konfederatach barskich“, chociażbyśmy nawet wybaczyli mu wszystek jad, zawarty w tym osobliwszym królewskim poemacie. Katarzyna II najnieza-

wodniej jako rzewna autorka „Felicy“ jest daleko mniej zajmująca, aniżeli w swoich ukazach i reskryptach monarszych. Zaś nie może być dwóch zdań, że Marengo i Austerlitz lepiej udały się Napoleonowi, niż sonet, w którym uwiecznił piękne oczy aktorki Saint-Huberty. Pisywali więc wielcy mężowie stanu, lecz pozostali ciurami w literaturze nadobnej. Politykowali wielcy pisarze, lecz pozostali fuszerami w polityce. Taką napewno jest niewzruszona reguła. Bywały wprawdzie i od tej reguły wyjątki. Komedye a raczej farsy Machiavela są może równie zgrabne i dowcipne, jak jego doniesienia poselskie; i można z równą przyjemnością czytać ślizkie sceny z „Mandragory“, jak ponure morały z „Księcia“. Ale to są wyjątki chyba rzadkie — w tej chwili drugiego nie umielibyśmy naprędce przytoczyć. Zaś niechybnie do takich wyjątków nie należał Stendhal.

Dziwne doprawdy były koleje sławy pisarskiej Beyla - Stendhala. Drukował za życia dużo, pisywał jeszcze znacznie więcej. Zaś niemal od pierwszego wystąpienia był już prawie całkiem sobą, posiadał całą swoją odrębną wrażliwość, nawet nadczułość, swoje oryginalne upodobania i wybryki, a także ten swój styl niekształtny, szczególniejsze połączenie samorzutnej swobody i nienaturalnego przymusu, którego nie mógł, czy też nie chciał wyzbyć się aż do końca. Z tem wszystkiem za życia pozostał prawie nieznany. Znali go najbliżsi przyjaciele, czytelnicy *Revue des deux mondes* i garstka wybredniejszych smakoszów literackowych. U krytyków spółczesnych nie miał

miru. Był też z nimi ciągle na stopie wojennej. „Pisarz, kiedy zabiera się do pisania — takie gdzieś uczynił oświadczenie publiczne — winien równie mało myśleć o krytyce, jak młody oficer dragoński, idąc na szarżę ze swoim szwadronem, nie myśli o szpitalu". Jednak w rzeczywistości był podobno pod tym względem dużo wrażliwszy, aniżeli pokazywał po sobie. Znał swoją wartość i miał ambicyę. Raz tylko doczekał się pełnego uznania i to od mistrza: Balzac, po przeczytaniu jego „*Chartreuse de Parme*", wypalił dla tej istotnie niezwykłej powieści jeszcze niezwyklejszy, entuzyastyczny panegiryk. Niestety jednak, jeśli wierzyć zjadliwemu świadectwu Sainte-Beuva, był to entuzyazm niezupełnie bezinteresowny, bo podniecony poniekąd przez „dyplomatyczne" subsydyum pieniężne ze strony chwalonego autora. I później jeszcze, długo po zgonie Stendhala, było ciągle o nim głucho w piśmiennictwie francuskiem. Odezwało się o nim serdecznie paru przyjaciół i uczniów, Coulomb, Mérimée; dla ogółu pozostał obojętnym. Odkrył go dopiero naprawdę Taine i przez jedno wspaniałe swoje studyum odrazu postawił na świeczniku. Odtąd właściwie Stendhal został sławnym. Odtąd jego dzieła, tak niesłusznie zapomniane, zaczęły się pojawiać w coraz nowych edycyach. Jak zwykle w takich wypadkach, spóźnione admiracye pośmiertne przesadziły w przeciwnym kierunku. Nawet najsłuszniej zapomniana, nigdy nie przeznaczona do druku spuścizna rękopiśmienna po Stendhalu została ofiarowana czytającej publiczności. Polski

jego admirator, jeden z najżarliwszych, a i najniebezpieczniejszych, z niezmordowaną wytrwałością, godną lepszej sprawy, uczynił niejako celem swego życia wydobywanie z niewyczerpanej chyba biblioteki w Grenobli coraz nowych „dokumentów" Stendhalowskich, a to „Dziennika", a to „Autobiografii", a to „Listów poufnych", itd. bez końca. Bądźcobądź, dzisiaj, w półwieku przeszło po swojej śmierci, jest Stendhal pisarzem europejskim. Jest tłómaczony na wiele języków obcych. Dotarł nawet do piśmiennictwa polskiego, któremu przyswojono w starannym przekładzie najcelniejsze jego powieści. Pisarz, przejęty zawsze pogardą dla tłumu, dla *profanum vulgus*, pisarz, który oświadczył, że pisze dla nielicznej garstki ludzi, „których nie zna, których nie ujrzy nigdy, a których kocha", liczy dzisiaj na tysiące czytelników i przyjaciół pośmiertnych. Czy to jest istotnie w porządku rzeczy? — możnaby wątpić. Możnaby zapewne bardzo wiele z tej nagłej poczytności i admiracyi położyć raczej na karb zaraźliwego literackiego snobizmu, aniżeli istotnego duchowego powinowactwa pomiędzy samotnym pisarzem a wielogłową czytelniczą rzeszą. Byłoby może nieraz środkiem wcale użytecznym, gdyby skłonny do entuzyazmu czytelnik, zanim odda się ekstazie nad czytaną książką, spróbował wyobrazić sobie na chwilę siebie samego w żywem towarzystwie jej autora. Sądzimy, że w wielu wypadkach takie towarzystwo nie sprawiłoby przyjemności żadnej stronie i że taka fikcya mogłaby z pożytkiem zmrozić wiele niedobranych, udanych zachwytów. Są-

dzimy zwłaszcza w danym wypadku, że zamknięty w sobie, nadczuły, przenikliwy i wybredny Stendhal nieszczególnie byłby zbudowany widokiem swoich zwolenników dzisiejszych i nie dalibyśmy głowy, azali pośród tysięcy „psychologów", histeryczek i cherlaków, rozczytujących się z błogą rozkoszą w jego pismach, potrafiłby zebrać ową nieliczną garstkę „nieznanych a kochanych".

Stendhal, a właściwie Henryk Beyle, pochodził z rodziny mieszczańskiej w Grenobli. Tutaj kończył pierwsze nauki, a gotował się pierwotnie do politechniki paryskiej, gdyż palił się zamłodu do nauk ścisłych, ubóstwiał Pascala, marzył zostać drugim Mongem albo Laplacem. Wyrzekł się jednak niebawem tych ambicyi naukowych. Wyciągnął dla siebie morał z opłakanych doświadczeń weneckich nieboraka Jana - Jakóba i wnet, obracając na wspak srogi aforyzm obrażonej Giulietty z „Konfesyi" Roussa, powiedział sobie raz na zawsze: *lascia la matematica e studia le donne.* Nie straciła na tem napewno astronomia, a zyskało piśmiennictwo. Zresztą, trochę matematyki w młodości, zdaniem naszem, może wyjść tylko na dobre każdemu pisarzowi, nawet artyście. Zachował też odtąd Stendhal, jakby się nam zdawało, i nie bez korzyści dla siebie, w swoim sposobie obserwacyi i sposobie pisania jakieś tchnienie pierwotnych swoich studyów ścisłych. Tymczasem wstąpił do służby rządowej. Było to nazajutrz po zamachu Brumaira, za pierwszych dni Konsulatu. Otworzył się naraz szeroki upust dla prześcigających się

młodych energii i młodych ambicyi. Zginąłby może w tym wyścigu nieporadny Beyle, gdyby zaraz na wstępie nie znalazł kierownika i opiekuna w osobie blizkiego krewniaka, który odtąd miał zostać życiowym jego mentorem.

Tym mentorem Beyla - Stendhala został jego starszy kuzyn, Piotr Daru, figura nadzwyczaj ciekawa, figura historyczna, bardzo głośna, prawie sławna, a przecież, jak się dziś najniespodzianiej okazuje, do niedawna naprawdę nieznana. Daru jeszcze przed samą rewolucyą był służył w intendenturze wojskowej jako urzędnik królewski; umiał utrzymać się, po upadku monarchii, jako rewolucyjny komisarz wojenny; przez Talleyranda, z którym był ściśle zaprzyjaźniony, dostał się do zaufania Bonapartego; awansował raptownie za konsulatu i cesarstwa; został intendentem zdobytych prowincyi austryackich w 1805 r., a następnie — zdobytych prowincyi pruskich w 1806 i 1807 r. i wtedy też piastował administracyę odebranych Prusom ziem polskich, na obszarze późniejszego Księstwa Warszawskiego; był faktycznym wykonawcą, ze strony finansowej i demarkacyjnej, traktatu preszburskiego z Austryą i tylżyckiego z Rosyą i Prusami; sprawował intendenturę generalną Wielkiej armii w drugiej kampanii austryackiej 1809 i rosyjskiej 1812 r.; został ministrem sekretarzem stanu, jednym z najczynniejszych członków Rady Stanu, otrzymał tytuł hrabiowski, zasiadł w Akademii, zebrał ogromny majątek. I rzecz dziwna, ten człowiek wszechstronny, który, wysunąwszy się jako królewski urzędnik

bourboński i przebrnąwszy przez rewolucyę, został prawą ręką Napoleona, który wszystko zawdzięczał cesarzowi, — jednakowoż nie wywrócił się i później za Restauracyi, lecz przeciwnie, zostawiony był w spokoju przez przywrócone rządy Ludwika XVIII, a nawet zaszczycony przez niego godnością parowską. Niedość na tem. Po tylu świetnych sukcesach służbowych i politycznych, obrócił Daru swoje wczasy na prace literackie i naukowe. Przetłómaczył zręcznie Horacego i napisał wielotomową, niepozbawioną istotnej wartości „Historyi republiki weneckiej". To też po dziś dzień był uważany za postać ze wszech miar poważną i szanowną. Cieszył się podwójnym autorytetem nieposzlakowanego męża stanu i tęgiego dziejopisa. Co się nas tyczy, nie mieliśmy nigdy powodu żywić zbyt gorących sympatyi dla pana intendenta. Dał on się nam dobrze we znaki za swojej gospodarki w Warszawie. Nie żałował on Księstwa Warszawskiego, wyciskał z niego bez pardonu ciężkie dostawy dla Wielkiej armii, uczestniczył też w fatalnej umowie o „sumy bajońskie", jednem słowem, na wszelki sposób, jak się mówi, darł pasy ze zbiedzonego kraju. „Imci Pan Daru — tak żałośnie pisał do Batowskiego prezes warszawskiej Komisyi Tymczasowej, zacny Stanisław Małachowski — jak dawniej nie był na nas Polaków łaskaw w sprawiedliwem ocenianiu rzeczy, które dostawiamy wojsku, tak teraz bardziej, gdy doznał przez bytność JWPana w Gdańsku, iż więcej wystawiłeś zdobyczy dla wojska francuskiego, jak on doniósł cesarzowi, zagniewany

o to doniesienie, swe niechęci większe w podobnych zdarzeniach okazuje, którym ulegamy, lecz zawsze z naszem pokrzywdzeniem". Co gorzej, skądinąd posiadamy pewne wskazówki, wiele dające do myślenia, a które naprowadziły nas na przypuszczenie, że Daru miał swoją rękę w pewnym bardzo ciekawym i bardzo brzydkim szantażu, gdzie chodziło o wymuszenie na rządzie warszawskim paru milionów napiwnego dla JE. ks. Talleyranda, wzamian za przyobiecane usługi polityczne dla sprawy polskiej: „ten „interes" rozbił się o drażliwość Małachowskiego i Stanisława Potockiego i zdaje się, że ten zawód jeszcze zaostrzył niełaskawość pośredniczącego pana intendenta dla Księstwa Warszawskiego. Ale to są dotychczas tylko przypuszczenia. Co do rzeczy pozytywnie stwierdzonych i wycierpianych, mogliśmy nie kochać cesarskiego intendenta, mogliśmy dotkliwie odczuwać jego zarządzenia prowiantowe, jego surową administracyę wojskową, ale dotychczas musieliśmy uznawać, że on podobnież postępował na ziemiach austryackich i pruskich, że działał w wyjątkowych warunkach wojennych, że służył Wielkiej armii, że był odpowiedzialny przed Napoleonem. Musieliśmy dotychczas widzieć w nim gorliwego, zbyt może gorliwego, ale oddanego sercem i duszą, sługę cesarza. Taką też opinią aż po dziś dzień cieszył się Daru. Naraz przyszła zadziwiająca niespodzianka. Przed paru laty uczony francuski, prof. Pingaud, w petersburskiem Archiwum spraw zagranicznych znalazł szereg nadzwyczaj interesujących tajnych doniesień

z Paryża, z czasów konsulatu i cesarstwa, posyłanych stamtąd do ks. Adama Czartoryskiego, ówczesnego rosyjskiego ministra spraw zagranicznych. Te doniesienia dostarczane były ks. Czartoryskiemu przez Drezno, za pośrednictwem usadowionego tam tajnego agenta, emigranta francuskiego, niejakiego hr. Antraiguesa, jednego z najsprytniejszych i najdwuznaczniejszych działaczy ówczesnej dyplomacyi zakulisowej. Rzecz cała odbywała się w takiej tajemnicy, że sam ks. Czartoryski nie znał prawdziwego nazwiska swego korespondenta paryskiego, które pośredniczący Antraigues ukrywał nawet przed ministeryum rosyjskiem. Tyle tylko nie ulegało żadnej wątpliwości, że ów tajemniczy korespondent był człowiekiem, zajmującym stanowisko wybitne w rządzie konsulackim i cesarskim, że stał blizko samego Napoleona, że był w szczególnej zażyłości z Talleyrandem, że był doskonale informowany o najtajniejszych sprawach i zamiarach rządowych francuskich, że miał wolny przystęp do paryskiego ministeryum spraw zagranicznych, do ministeryum wojny, do Rady Stanu, i że wszystko, co tylko wiedział, co tylko mogło przydać się nieprzyjacielskiemu rządowi, co tylko mogło szkodzić rządowi konsula Bonapartego i cesarza Napoleona — to wszystko ów anonimowy korespondent, ów zagadkowy „*ami*“ w te pędy, drogą na Drezno, donosił do Petersburga, a jak się zdaje, także i do Londynu, t. j. pod adresem dwóch najgroźniejszych wówczas, śmiertelnych przeciwników Francyi. Któż był ten człowiek? Któż był ten tajemniczy zdrajca

stanu, ów niewidzialny szpieg przy samym boku Napoleona? Prof. Pingaud nie umiał rozwiązać tej zagadki, ogłosił tylko w dosłownem brzmieniu pewną ilość tych niezwykłych doniesień, które musiały wzbudzić najżywszą ciekawość co do osoby ich autora. Próbowali domyślić się tej osoby inni badacze, tacy znawcy, jak pan Sorel; łamaliśmy i my sobie głowę nad tym twardym orzechem — napróżno. Dopiero niedawno, dzięki szczęśliwemu zbiegowi kilku niespodzianych wskazówek, udało się odsłonić sekret, tak dobrze przez lat sto dochowany, udało się zerwać maskę, tak długo i tak szczelnie okrywającą tajemniczego anonima. I cóż z pod tej maski się ukazało? Ukazała się znajoma twarz wytwornego tłómacza Horacego, uczonego historyka Wenecyi, wiernego napoleońskiego służbisty, twarz surowego intendenta generalnego, ministra sekretarza stanu, członka Akademii, hrabiego Daru. On to, w tym samym czasie, kiedy obsypywany był dobrodziejstwami cesarza, kiedy był obdarowany pełnem jego zaufaniem, zdradzał go najhaniebniej, najsystematyczniej i może najszkodliwiej. Nie był on, co prawda, wyjątkiem. Najnowsze badania krytyczne nad epoką napoleońską wykazały cały szereg zjawisk pokrewnych, od zdrady w wielkim stylu, popełnianej przez Talleyranda, aż do podrzędnej roboty donosicielskiej i fałszerskiej, wykonywanej przez Esmenarda i inne podobne nieznane kreatury. Te odkrycia posiadają niemałe znaczenie naukowe, gdyż rzucają światło na niektóre, dotychczas niejasne zagadnienia dziejów napoleońskich.

Wszakże, ze wszystkich najświeższych odkryć zakulisowych tego rodzaju, najbardziej sensacyjnem, bo najniespodziańszem, było właśnie zdemaskowanie cnotliwego Piotra Daru.

Tutaj jednak samo przez się narzuca się bardzo zabawne spostrzeżenie. Subtelny Stendhal, jak rzekliśmy, od pierwszej chwili dostał się pod skrzydła opiekuńcze swego kuzyna, tego samego Daru, i aż do końca, przez lat kilkadziesiąt, pozostał w najbliższem jego otoczeniu, pod bezpośrednim jego kierunkiem. Siedział u niego w kancelaryi, stale przebywał w jego domu, znalazł nawet okazyę przyprawić mu rogi i poromansować z jego przystojną żoną. Ale nie domyślił się jego sekretu. Nie domyślił się nigdy zdradzieckich stosunków swego protektora z zagranicą. Gdyby miał choćby najlżejsze w tym względzie podejrzenie, nie wątpimy, że, przy swoich surowych pojęciach powinności i honoru, napewno w zdrajcy nie byłby pożałował protektora i krewniaka. Lecz on istotnie nie domyślił się niczego. Zachował względem niego aż do końca uczucie wdzięczności dla swego dobroczyńcy, uczucie skruchy dla oszukanego męża, a przedewszystkiem uczucie respektu dla wyższego i nieposzlakowanego statysty. To jest bardzo nauczające. Okazuje się, że można dosięgać szczytów subtelności z piórem w ręku, jako analityk psychologii powieściowej, a zarazem w życiu powszedniem zachować zdumiewającą naiwność. Okazuje się także chyba dość przekonywająco już z tego jednego przykładu, jak mało uzasadnione były pretensye dyplo-

matyczne Stendhala. P. Farges, a wcześniej jeszcze Balzac, uznają słuszność tych pretensyi i mniemają, że w Stendhalu tkwił wielki dyplomata, gdyż był on bardzo subtelny. Był nim zanadto. Był nim w teoryi, nie w praktyce. Prowadził przez długie lata najszczegółowszy dziennik — rzecz zawsze opłakana; co gorsza, prowadził go wyłącznie o sobie samym. Ten „Dziennik" ogromny, od niedawna, dzięki bezwzględnej admiracyi pośmiertnej, oddany również na pastwę ciekawości publicznej, odsłonił wszystkie małostkowe i śmieszne strony swego autora, jego słabość do złej angielszczyzny i pseudonimów, jego serce nierówne, nieraz twarde a nieraz dziecinne, jego nadwrażliwość i nieporadność, a co najdziwniejsza, nie pokazał bynajmniej znawcy ludzi. Zdaje się, że z nadmiaru subtelności niepospolity pisarz poprostu nie umiał postępować sobie z ludźmi; zaś ta umiejętność należy chyba do najpierwszych i najniezbędniejszych kwalifikacyi na dyplomatę.

Pierwsze kroki służbowe, w biurze intendenta Daru, zaprowadziły Stendhala, śladem zwycięskiej armii republikańskiej, do Włoch, do Lombardyi, do Medyolanu. Ta chwila zdecydowała o jego życiu. Musimy wyznać, po wszystkich poczynionych zastrzeżeniach, że Stendhal, jako pisarz i nawet jako człowiek, jest nam bardzo miły. Jego powieści wydają się nam nietylko arcydziełami psychologii, ale także arcydziełami powieściopisarstwa historycznego, albo raczej historyczno-spółczesnego. Zaś może więcej jeszcze od sztuki powieściopisarza ujmuje za serce głęboki i trwały, trochę

zapewne gorączkowy i zaślepiony, ale trafiający do przekonania, bo szczery, bo serdeczny, entuzyazm człowieka dla pięknej ziemi i kultury włoskiej. Któraż to dusza lepsza i wrażliwsza, przedostawszy się po raz pierwszy za Alpy, nie odczuła na swój sposób tego samego zapalnego tchnienia, nie poddała się mimowoli tym samym dziwnym czarom? Moc tego wiecznego czaru, spotęgowana jeszcze niezwykłością chwili ówczesnej, niezatarte wyryła ślady na nadczułej duszy Stendhala. Tutaj to, w Medyolanie, nazajutrz po Marengo, młodziutki oficer, zakwaterowany w lepszych domach, pielęgnowany miękką ręką patryotek włoskich, po raz pierwszy był szczęśliwy. Tutaj, wieczorem, podczas baletu, w loży *Scali* medyolańskiej, po raz pierwszy składał raport generałowi Bonapartemu. Te silne i harmonijne wrażenia młodości przetrwały gorycz wszystkich późniejszych doświadczeń życiowych. „*Arrigo Beyle Milanese*“ — takie epitafium sam dla siebie ułożył jeszcze przed śmiercią. Jednak ten Medyolańczyk z wyboru pozostał w gruncie rzeczy dobrym Francuzem. Uczestniczył w kampanii nad Mincio pod generałem Michaud; stykał się wtedy z legionistami polskimi Dąbrowskiego, a byłoby rzeczą wcale ciekawą odszukać bliższe ślady tych stosunków. Niebawem jednak musiał opuścić ukochane Włochy, a nawet całkiem wystąpił ze służby wojskowej. Wrócił do niej za cesarstwa, znowuż pod opieką i kierunkiem Daru; uczestniczył w kampaniach prusko - rosyjskiej 1806 — 7, austryackiej 1809, rosyjskiej 1812 r. Niestety, najcie-

kawsze dla nas kartki jego „Dziennika“ z 1807 i 1812 roku zaginęły podczas straszliwego odwrotu z Moskwy. Zostało się jednak w „Korespondencyi“ parę zajmujących wzmianek z kampanii polskich, a zwłaszcza z wyprawy moskiewskiej. Stendhal pełnił wtedy obowiązki kwatermistrza Wielkiej armii w Mińsku, Witebsku, Mohylowie. W tych jego listach, pisanych pod świeżem wrażeniem wypadków, niektóre ustępy, np. opis promenady nocnej po palącej się Moskwie, przypominają najlepsze stronice jego powieści. W Moskwie mieszkał razem z Daru w pałacu Sałtykowskim i nadziwić się nie może zbytkom nieznanego sobie wschodniego przepychu. „Tutaj jest mnóstwo osób z milionowym dochodem. W Wiedniu tacy ludzie poruszają się przez całe życie ze sztywną powagą i marzą o krzyżu św. Szczepana. W Londynie tacy mają ambicyę rządzenia krajem. Tutaj zaś pozostaje im tylko przyjemne urządzenie sobie życia“. Niedługo przecie wypadło popasać w zbytkownych pałacach moskiewskich, niebawem zamienionych w popiół mściwą ręką Rostopczyna. Wypadło przebyć wszystkie okropności rozpaczliwego odwrotu. Znosił je Stendhal z krwią zimną i spokojem i z tomikiem Voltaira, jedyną zdobyczą, jaką zabrał z Rosyi; „najlepsze w tem wszystkiem, pisał z Wilna, najmniej schudłem“ — a zawsze martwił się, że roki w pasie, tak samo, jak ubóstwiany przez Byron. Przed samem przejściem Berezyny ostatnie usługi, zaopatrując wygłodzoną nt parudniowy. „Zniosłem dużo cierpień

fizycznych bez żadnej pociechy moralnej, — pisał jeszcze do siostry z Wilna — ale wszystko już zapomniane i gotów jestem rozpocząć na nowo służbę dla J. C. M.".

Katastrofy pod Lipskiem i Waterloo zamknęły niepowrotnie służbę cesarską. Stendhal znalazł się na bruku paryskim, bez zajęcia, bez środków; został jednym z owych wielotysięcznych rozbitków napoleońskich, odmalowanych tak prawdziwie i ponuro mistrzowskiem piórem Balzaca w „Scenach z życia wojskowego". W ciągu dotychczasowej kilkunastoletniej aplikacyi wojskowej zaledwo dosłużył się audytorstwa. Na odwadze mu nie zbywało, odwaga w Wielkiej armii rozumiała się sama przez się: wszakże talentów wybitnych nie okazał bynajmniej. Odznaczył się razu jednego, kiedy z małej mieściny w Brunświckiem, z owego Stendhalu, skąd wziął swój pseudonim, wycisnął niepomierną kontrybucyę wojenną: nie było wielkiej sztuki w takiej zasłudze biurokraty i poborcy. Odznaczył się później, jak wzmiankowaliśmy, w Orszy, przed Berezyną. Choć forytowany przez możnego Daru, jednak w ciągu tak długiej karyery wojskowej, obfitującej w najświetniejsze do odznaczenia się okazye, nie potrafił na wierzch wypłynąć, prześcigany przez sprawniejszych lub zdatniejszych towarzyszów. Nie dziwota zresztą: inni robili karyerę, kiedy on tracił czas na kochaniu się, oglądaniu pięknych obrazów i słuchaniu dobrej muzyki. Naprawdę to „tracenie czasu" było najwłaściwszą drogą do jego istotnego pisarskiego po-

wołania. Ale on długo sam z tego nie zdawał sobie sprawy. Ambitny był bardzo, tem ambitniejszy, że prawie zawsze był bez grosza; lubił podpisywać się z przydatkiem *de*, do którego nie miał prawa, marzył zostać baronem, bodaj prefektem. Przekonań politycznych nie miał żadnych, albo przynajmniej bardzo niejasne, sprzeczne i chwiejne. Był napoły za parlamentaryzmem na sposób angielski, napoły za samowładztwem na sposób napoleoński. Wprawdzie w owem swojem niezwykłem epitafium „medyolańskiem" położył w końcu słowa: „szanował jednego człowieka —Napoleona". Jakież jednak było to poszanowanie, o tem można było przekonać się niedawno z niewydanych jego pamiętników o dworze cesarskim: pełno tam zwyczajnych, złośliwych plotek, które z drugich i trzecich ust musiał słyszeć, sam do cesarza rzadki miewając dostęp. Wogóle podobno upodobanie w plotkach częstym bywa kamieniem obrazy dla umysłów zanadto „subtelnych"; tak długo w swojej i cudzych duszach grzebać lubią, tak długo w drobnych rysach anegdotycznych szukają prawdy najprawdziwszej, aż ze zbytku subtelności wpadają w łatwowierne i zgryźliwe plotkarstwo. Sam wielki Taine poniekąd w podobny sposób potknął się w swojej przesubtelizowanej analizie duszy Napoleona. Gdybyśmy zresztą żywili jakiekolwiek złudzenia na punkcie stałości politycznej Stendhala, ostatecznie rozwiałby je drobny i niepozorny dokument, który wyławiamy wśród ogłoszonych przez p. Farges *inedit*ów. Jest to krótki liścik Beugnota do Talleyranda, gdzie po-

leca mu oddawcę, „pana *de* Beyle, który od łaski Waszej Wysokości spodziewa się nominacyi na konsula we Włoszech; p. *de* Beyle jest to młody człowiek w pełni dojrzałości, nader oświecony, a przekonań umiarkowanych; zasługuje on na odznaczenie ze strony obecnego rządu". Jakiż to był rząd? Rząd sług, co sprzedali swego pana. Zaś, pośród tych sług, dwóch było najbardziej zdeklarowanych zaprzańców obalonego cesarza: Beugnot i Talleyrand; do jednego po rekomendacyę, do drugiego po łaskę przychodzi Stendhal. Biegnie, nie przychodzi: list rekomendacyjny Beugnota datowany jest w sierpniu 1814 r., dziesięć tygodni po abdykacyi, po pożegnaniu w Fontainebleau starej gwardyi z cesarzem, którego „jednego szanował", którego chleb przez lat czternaście jadł „p. *de* Beyle". Jednak skutek tych zachodów był żaden. Mniej, niż dla kogokolwiekbądź innego, był przydatny dyletantyzm Stendhalowski dla ks. Talleyranda, realnego z krwi i kości męża stanu. I możemy wyobrazić sobie wybornie, jak sceptyczny, wytrawny znawca ludzi popatrzeć musiał swemi blademi, szklanemi oczyma na tego zanadto rozumnego, zanadto ambitnego, a przecie całkiem nieprzydatnego petenta i jak z lodowatą uprzejmością, w której celował, odprawił go z niczem.

Ponowił starania Stendhal za następnych rządów Karola X. Swoją doskonałą znajomość powikłanych stosunków włoskich ofiarował na usługi reakcyjnemu ministeryum Martignaca, kiedy po zgonie Leona XII zależało na przeprowadzeniu elekcyi przychylnego dla

Francyi kardynała. Stendhal życzył sobie, aby go wysłano z misyą specyalną do Rzymu; podejmował się przeprowadzić wybór kardynała Gregorio, który był synem naturalnym Karola III hiszpańskiego, był więc z krwi Bourbonem, oraz pewnym przyjacielem Francyi bourbońskiej. Misya ta do skutku nie doszła. Chateaubriand, który jeszcze królował w literaturze, był wtedy ambasadorem francuskim przy Watykanie; drażliwy poeta żadną miarą nie chciał pozwolić, aby podrzędny kolega-literat bróździł mu w sprawach wielkiej polityki. Jak wiadomo, starania francuskie skutku nie odniosły; kunsztowna przemowa, jaką popisał się Chateaubriand przed zgromadzonem *Conclave*, żadnego nie wywarła wrażenia na kardynałach; obrany został Pius VIII, kandydat austryacki, wedle myśli i starań ks. Metternicha. P. Farges nie żywi najmniejszej wątpliwości, że gdyby skorzystano z usług Stendhala, stałoby się inaczej; nie podzielamy zgoła tego przekonania. Bądźcobądź, były Napoleończyk w 1829 r. zupełnie nie w porę wybrał się z usługami do dogorywających już wówczas rządów legitymistycznych, które niebawem zmiotła zawierucha lipcowa następnego już roku. Nie stracił jednak kontenansu: nieco dalej w aneksach do jego korespondencyi urzędowej znajdujemy nową jego prośbę, przedstawioną hr. Molému w sierpniu 1830 r., a więc nazajutrz po świeżej rewolucyi, kiedy nie zdążył jeszcze obeschnąć pokost na nowowzniesionym tronie Ludwika-Filipa. Audytor przy napoleońskiej Radzie Stanu, petent ks. Talleyranda, doradca Martignaca, poleca się z kolei

ministrowi orleańskiemu. Zresztą, zbytnio wziąć mu tego za złe niepodobna, czytając w prośbie do Molégo takie wyznanie: „P. Beyle — tym razem pseudo-szlacheckie „*de*“ opuszczone, które w chwili reakcyi bourbońskiej mogło stanowić rekomendacyę — wyjaśnia, że pomimo 47 lat wieku i 14 lat służby jest obecnie pozbawiony zupełnie wszelkich środków do życia“. Taka brutalna presya życiowa nieraz okrutnie zgina i koszlawi charaktery najtwardsze. Teraz nareszcie biedny Stendhal szczęśliwie dopiął swego, dostał się na skromną posadę konsula francuskiego do swoich Włoch.

Do tych Włoch ukochanych, nieodżałowanych, ciągnęło go oddawna. Tutaj najlepsze zostawił wspomnienia. Tutaj kiedyś, tutaj raz jeden w życiu, był sobą. Jednak jeszcze teraz, w ostatniej chwili spotkał się z przeciwnościami. Już był urzędownie mianowany konsulem w Tryeście, kiedy nagle przyszła z Wiednia wiadomość, że Metternich odmawia mu swego *exequatur*, a nawet przez ambasadę austryacką w Paryżu zakłada formalny protest przeciw jego nominacyi. Metternich, wojując wtedy ciągle z karbonaryzmem, czy to w Lombardyi, czy bodaj w Galicyi, a przewidując ciężkie kłopoty ze strony młodych książąt Bonapartów, rozrzuconych po Włoszech, nie życzył sobie mieć w Tryeście, na stanowisku urzędowem, byłego audytora cesarskiego, którego nie bez powodu podejrzywał o żażyłe stosunki z patryotami włoskimi. Przeniesiono tedy Stendhala do Civita-Vecchia w państwie Kościelnem.

Czy odpłacił się Metternichowi, malując jego portret w osobie hr. Mosca z „Klasztoru Kartuzów“ — pozostaje rzeczą wątpliwą. Takie było zdanie Balzaca, powszechnie przyjęte. Nam by się raczej wydawało, że słynna postać ministra z epoki Restauracyi, uwieczniona w tej powieści, wykazuje więcej rysów podobieństwa do innej, mniej znanej, a jednak nader ciekawej figury, do hr. Sauraua, posła austryackiego we Florencyi, który później, z Wiednia, swoją działalnością policyjną dał się także dobrze we znaki naszej Galicyi w dobie rządów Metternichowskich.

Dotarliśmy nareszcie do właściwej treści robót dyplomatycznych Stendhala, do jego raportów konsulackich, lecz nie będziemy wielu słów o niej tracili. Mieści się w tych raportach bystrego obserwatora z małej mieściny włoskiej trochę ciekawych przyczynków—wprawdzie nie do dziejów „Rzymu i Włoch w okresie 1829—42“, jak obiecuje tytuł książki, — lecz do lepszego zrozumienia niektórych rzeczy i ludzi w paru kątach państwa Kościelnego oraz Toskanii w 1832 i 33 r. Jakkolwiek zaś najczęściej konsul-poeta nie umie ujmować samych spraw bieżących z szerszego stanowiska politycznego, natomiast pojedyńcze szczegóły miejscowe odsłania zazwyczaj ze znakomitą przenikliwością i precyzyą. Tak więc z pożytkiem można uzupełnić stosy dokumentów dyplomatycznych w zbiorach Bianchego, Cantù i innych, przy pomocy kilku ostrych a trafnych spostrzeżeń Stendhala o osobie i otoczeniu arcyksięcia Leopolda, tego ostatniego we Florencyi pana habsbur-

skiego, którego ospałe rysy odnajdujemy zresztą ponownie na twarzy młodego księcia z „Klasztoru Kartuzów". Ale takiego, istotnie ciekawego materyału historycznego niewiele mieści się w doniesieniach Stendhala. Wciąż odrywany od zajęć zawodowych przez sprawy czysto osobiste, nieustannie szukając nowych wrażeń, ciągle uwijając się po różnych zakątkach włoskich, po najrozmaitszych towarzystwach, zapełnia on swoje raporty treścią przeważnie anegdotyczną, często oczywistą plotką, kiedyindziej epigramatem. Wypadki doniosłe, których był świadkiem naocznym, wybuchy rewolucyjne w państwie Kościelnem w 1831 i 32 roku, choć często wzmiankowane w korespondencyi, żadnego nie zyskują oświetlenia. Zaś jakkolwiek konsul niejednokrotnie chwali się przed ministrem, że we wszystkich warstwach ludności, od tragarzy portowych w Civita-Vecchia, aż do książąt i kardynałów rzymskich, posiada wstęp i znajomości, jednak całkiem prześlepił narodziny „Młodych Włoch" i wschodzącą gwiazdę Mazziniego. Jak dalece zresztą, przy całej swojej wyszukanej finezyi, nie potrafił włożyć się do najprostszych wymagań rutyny dyplomatycznej, o tem świadczy między innemi kapitalna anegdota, opowiedziana gdzieś przez Mériméego: okazuje się mianowicie, że Stendhal nieraz, posyłając ministrowi Brogliemu swoje najpoufniejsze cyfrowane depesze włoskie, do tej samej koperty kładł przez dystrakcyę klucz swojej cyfry. Nadto, w ogólności, z niektórych jego projektów, dotyczących reformy w Toskanii, oraz z uwag, jakie nastręcza mu wyprawa

francuska do Ankony, można wyprowadzić niechybny wniosek, że zupełnie nie zdawał sobie sprawy z przebiegu spółczesnej akcyi wszecheuropejskiej. Można także niechybnie orzec, że zbyt zaślepiony własną dla Włoch sympatyą, łudził się on zbytnio rzekomą sympatyą Włochów dla Francyi. Nie wsłuchał się dostatecznie w ziejące nienawiścią strofy gallofoba Alfierego, nie dosłyszał wymownego ostrzeżenia, jakie spółcześnie wypowiadał Gioberti: „*Temo piú gli amici francesi, che i tedeschi nemici*". Wyobrażał sobie może Solferino i rok 1859; nie wyobrażał roku 1866, ani też, tembardziej, roku 1870, cóż dopiero trójprzymierza włosko-austro-niemieckiego przeciw Francyi. Jeśli nie był dyplomatą, jeszcze mniej był politykiem. Ostatecznie w całej swojej karyerze dyplomatyczno - politycznej jeden tylko szczęśliwy pomysł miał Stendhal, gdy w 1836 r. wystarał się o dłuższy urlop do Paryża. Podczas tego wytchnienia z oficyalnych swoich trudów napisał „Kroniki włoskie" i ostatnią wielką powieść, napisał kilkanaście stronic, które przetrwają najmędrszy memoryał Metternicha.

Mérimée.

Prosper Mérimée nie pociąga jako człowiek, nie porywa jako artysta, niewiele nauczy jako historyk. Epikurejski dworak Napoleona III jest często nieprzyjemny, niekiedy jest odpychający. Nowelista przesuwa przed czytelnikiem figurki ciekawe, lecz jak gdyby wycięte ostremi nożycami, poruszane wprawną ręką reżysera teatru maryonetek. Dziejopis goni za efektami powieściopisarza, i w dodatku zazwyczaj zapożycza się z drugiej ręki. Jego ostatnia powieść odbywa się na Litwie, ale jakiejś Litwie z tektury i drutów. Jego Maryna Mniszchówna to rodzaj ambitniejszej *„Colomby"*; jego Chmielnicki żywcem wzięty z Kostomarowa. Jednak mamy pewną słabość do Mériméego. Jest w nim zwięzłość i wstrzemięźliwość. Dwie zalety, w piśmiennictwie współczesnem zastąpione przez natrętne gadulstwo. Mérimée nie nadużywa czasu i cierpliwości czytelnika. Opowie jaką historyę przejrzyście, dobitnie, krótko, i na tem koniec. Nie rezonuje, nie dziwi się łatwo, bo z natury jest podejrzliwy i chłodny, bo zresztą

sam żył i widział wiele. Wykwintny i uczony bywalec, który zajmował się poezyą, historyą, archeologią, który widział rok 1830 i 1848, i przez cały czas trwania trzeciego cesarstwa stał w pobliżu tronu, jest postacią interesującą z wielu względów.

P. Filon, który go znał jeszcze z Tuileryów,—z czasów, kiedy sam był guwernerem nieszczęśliwego cesarzewicza,—napisał o nim książkę wcale ciekawą. Należy tylko żałować, że nie ograniczył się do rzeczy czysto biograficznej i wdał się niepotrzebnie w krytykę i erudycyę. Pisząc żywot mistrza przenikliwej ironii, wysadził się na własne *esprit*, na finezyę krytyczną, najniefortunniej i najzbyteczniej, zwłaszcza po świetnem studyum, poświęconem Mériméemu przez Taina. Również niefortunnie i zbytecznie popisał się erudycyą. Z powodu ślicznej „*Vénus d'Ille*" uczenie wyłuszcza, że fabuła wzięta jest z „kronikarza X wieku", a mianowicie z Cornera, skąd odpowiedni ustęp uczoną łaciną dosłownie przytacza w aneksie. Owóż najprzód, „Nowa kronika" Cornera pochodzi z XV wieku; powtóre, bliżej chyba było Mériméemu sięgnąć po tę bajkę do znanego „*Mons Veneris*" (skąd już ją wziął Heine); a potrzecie, najprawdopodobniej zaczerpnął ją poprostu z „Grzegorza VII" Villemaina. Balastem podobnej niepowołanej krytyki i chybionej erudycyi obciążył i popsuł biograf swą książkę, lepszą zapewne od ckliwych romansideł, jakich nie przestaje płodzić na dobrowolnem w Anglii wygnaniu, ale która stanowczo byłaby zyskała, gdyby mniej było w niej rozmyślań p. Filona, a więcej

wyjątków z korespondencyi Mériméego. P. Filon miał bowiem w ręku nader cenny, nieznany dotychczas materyał biograficzny. Cesarzowa Eugenia, której przypisał książkę w wiernopoddańczej dedykacyi, udzieliła mu swoich wspomnień osobistych, oraz długoletniej (od 1839 do 1870 r.) korespondencyi swojej matki, pani Montijo, z pisarzem *„Don Pedra"*. Inna interesująca korespondencya Mériméego, szereg jego listów do nieznanej damy, świeżo została ogłoszona drukiem. Nowe te przyczynki biograficzne, po ogłoszonych dawniej „Listach do nieznajomej" oraz „Listach do Panizzego", pozwalają ująć w chronologiczną i logiczną całość żywot i pisma Mériméego *).

Mérimée należy jeszcze do zarania stulecia; lecz nietyle do romantycznej generacyi Mussetowskich „dzieci wieku", ile raczej do pogrobowców ery „oświecenia". Nie był nawet chrzczony. Ale nie więcej, jak w katechizm, wierzył w „Przedmowę" do *„Cromwella"*. Jeśli zamłodu udawał romantyka, to dla żartów, w wybryku dobrego humoru. Miał lat dwadzieścia, kiedy wystąpił z pierwszą mistyfikacyą, pysznym „Teatrem Klary-Gazul", niby przekładem z hiszpańskiej pisarki, którą sam gołowąsy „tłómacz" wyobrażał na okładce, odrysowany przez Delécluza w dekoltowanej sukni, z mantylką spadającą na oczy. Krytyka *Globa* ogłosiła światu odkrycie żeńskiego Szekspira w Hiszpa-

*) Aug. Filon: *„Mérimée et ses amis"*. — Prosper Mérimée: *„Lettres à une autre inconnue"*.

nii; zupełnie tak samo, jak za naszych czasów krytyka *Figara* odkryła nowego Szekspira w Belgii. Druga mistyfikacya jeszcze lepiej udała się Mériméemu. Chciał z przyjacielem odbyć podróż po Turcyi, ale nie mieli pieniędzy. Oto jak sobie poradził: ogłośmy najpierw opis naszego wojażu, a potem na koszt publiczności pojedziemy sprawdzić na miejscu, jak dalece nasz opis był do prawdy podobny. Tak powstała *„Guzla"* (gęśl) illiryjska, z anagramu tamtej Hiszpanki, zbiór pieśni „ludowych" Słowiańszczyzny południowej, napisana w dwa tygodnie, bez najlżejszej znajomości kraju i języka, — jak wiadomo, tłómaczona pięknie przez Puszkina, który, podobnież jak inni znawcy, dał się wyprowadzić w pole.

Od niechcenia, dla kaprysu, jak wstąpił do literatury, tak samo wszedł Mérimée do nauki historycznej. Podróżował po Włoszech, Grecyi, Azyi Mniejszej. Tutaj znalazł pochop do studyów rzymskich. Ale z jednej strony, zaraz wyjaśnia w liście poufnym, że ma na widoku li tylko wysłużenie sobie tytułów do Akademii Francuskiej. Z drugiej strony, interesował się Katyliną, jako obdłużonym rzymskim światowcem, zaś Cezarem dlatego, że też wcześnie wyłysiał i uwodził cudze żony. Z takiej intencyi i takiej ciekawości powstało „Sprzysiężenie Katyliny" i „Wojna domowa", pierwsze produkcye historyczne Mériméego, których do końca nie doczyta nikt, kto czytał Sallustyusza i Niebuhra. Obrany szczęśliwie po tym wysiłku do Akademii, dał już pokój Cezarowi. Wrócił do niego dopiero znacznie

później, kiedy Napoleonowi III pomagał, i bardzo pomagał — pomimo zaprzeczeń p. Filona — do napisania „Juliusza Cezara", którego jeszcze w dodatku musiał nieborak sam pochwalić w *Journal des Savants*. Wszakże, jakkolwiek tak lekceważąco traktował zawód historyczny, posiadał przecież gruntowną znajomość dziejów klasycznych. Na stanowisku inspektora pomników starożytnych położył rzetelne zasługi. Powiedziano o nim, że jego raporty urzędowe i „*Notre Dame*" Wiktora Hugo uratowały od zagłady resztę najpiękniejszych zabytków architektury rzymskiej i średniowiecznej we Francyi. Nie znamy tych raportów, ale znamy jego drobniejsze pisma archeologiczne, gdzie wszędzie widać nietylko dobry smak, lecz oraz wszechstronne oczytanie. Niestety, widać też prawie wszędzie, jak gdyby wstydził się swojej nauki i koniecznie chciał pozować na dyletanta. Uchodziło to w drobnostkach, zaś w każdej większej pracy stawał się Mérimée tym sposobem istotnie tylko dyletantem. Jedyny wyjątek zrobilibyśmy dla „Historyi Pedra I", zajmującej a pracowitej i źródłowej, dla której był zakopał się na dłuższy czas w archiwach Barcelony,— co prawda, oddając się zarazem studyom mniej naukowym w obozach cygańskich na przedmieściach. Ale i tym razem pracował nie dla rzeczy samej, lecz uproszony przez panią Montijo, wielką wielbicielkę kastylskiego „Rzeźnika", i dla niej też z Don Pedra Okrutnego zrobił prawie sympatycznego bohatera.

Nie myślimy, śladem p. Filona, zapuszczać się w głębokie rozmyślania nad naturą stosunku Mériméego do matki cesarzowej. Utrzymywał z nią z Paryża stałą i obfitą korespondencyę. Zdawał jej dokładne relacye z ewenementów, zabaw, plotek wesołego światka paryskiego, gdzie się wtenczas obracał. Taki jest zajęty temi sprawami, że poza niemi nic zgoła nie widzi. Wolteryanin zdeklarowany, ale dbający co najmniej tyleż o własną wygodę, co o światło powszechne, nienawidzący jednakowo Kościoła i Rewolucyi, odzywa się z jednakowym wstrętem i jednakową ślepotą o polityce Thiersa, amnestyi Piusa IX, odczytach Mickiewicza, propagandzie Lamennaisa i Blanca. Sumienny kronikarz salonów przedmieścia Saint-Germain i baletu Wielkiej Opery, nie dostrzega zbliżającego się końca wygodnych rządów orleańskich. Wiadomo, że rewolucya lutowa była większą niespodzianką dla Francyi, aniżeli dla Europy: listy Mériméego z 1848 roku, pisane z dnia na dzień, pod bezpośredniem wrażeniem wypadków, dają w tym względzie nowe, uderzające świadectwo. Wytworny, ironiczny pisarz literalnie stracił głowę. „Cóż zrobić z narodem tak zgangrenowanym, jak Francuzi!“ — w cnotliwem oburzeniu użala się przed swoją hiszpańską Egeryą, przed rodaczką Ferdynanda VII, damą dworu królowej Izabeli, — „...rewolucyę zrobiło paręset osób, które nie wiedzą, ani co robią, ani czego chcą“. Powstanie robotnicze z czerwca t. r. oszołomiło — do reszty. Najwięcej go przeraża, że ci ludzie nie

„Widziałem rzeczy nadzwyczajne“, wynędz-

niałych insurgentów, co nie tykali kosztowności w stojących otworem pałacach królewskich i prywatnych: jest to gorsząca „anomalia", jest to poprostu skutek „literatury melodramatycznej", jaką przepojony jest lud prosty. Tego rodzaju wynurzenia w poufnej korespondencyi Mériméego z panią Montijo są nadzwyczaj nauczające. Kto wie? może i sam Voltaire, gdyby był dożył wielkich rewolucyjnych przewrotów, a zwłaszcza, gdyby po nich był dożył słodkiej spokojności rządów Ludwika-Filipa, byłby pisywał do swojej pani Châtelet podobym stylem, w podobnej chwili. Gdyż takie chwile krytyczne życia publicznego zwykle ujawniają rozpaczliwe ubóstwo świetnych umysłów a lichych serc, i pod startą pozłotą wykwintu i finezyi ukazują miedź sceptycznego samolubstwa.

Z objęciem rządów przez nowego prezydenta, niebawem cesarza, Ludwika-Napoleona, Mérimée się uspokoił. Wrócił do studyów. „Uczę się po rosyjsku. Może przyda mi się to kiedyś dla porozumienia się z Kozakami w Tuileryach". Jest on właściwie pierwszym pośrednikiem pomiędzy Francyą a Rosyą. Jest poprzednikiem pana Vogüé i jego dzisiejszej szkoły. Ale w intencyi nieco odmiennej, — jak widać już z brzmienia słów powyższych. P. Vogüé miał czas wielu rzeczy zapomnieć. Mérimée jeszcze pamiętał; on o Rosyi miał informacye od swego przyjaciela i mentora, napoleońskiego dragona, Stendhala. Autor „Klasztoru Kartuzów", rozbitek Wielkiej Armii, opowiadał mu o Moskwie, o Berezynie. Z ciekawością, lecz bez entu-

zyazmu, rozglądał się w Mérimée w historyi i piśmiennictwie rosyjskiem. Tłómaczył Puszkina, pisał o Hoholu, Turgeniewie. W szczególności interesowały go dzieje kozactwa. W „Kozakach ukraińskich" dał barwny obraz Siczy; w „Bohdanie Chmielnickim", jak zaznaczyliśmy, trzyma się niewolniczo Kostomarowa. Chmielnicki „menażował" Rzplitą, „która dwukrotnie leżała mu u nóg", nie poznała się na nim szlachta; „za Batorego byłby on niewątpliwie pomógł do zmiany anarchii szlacheckiej na silny rząd monarchiczny". Znamy dobrze tę wykładnię i wiemy, co o niej sądzić. Druga monografia kozacka: „Steńka Razin", również jest dość słabą parafrazą z Kostomarowa. Więcej starań włożył Mérimée do książki o „Samozwańcu Dymitrze", gdzie zużytkował dosyć obficie źródła polskie i rosyjskie; do tej pracy korzystał ze wskazówek Karola Sienkiewicza i czerpał z Biblioteki polskiej w Paryżu; niepotrzebnie tylko rozpisuje się zbytecznie nad dekoracyą romantyczną wypadków i usiłuje z Hryszki koniecznie uczynić Polaka. Że zresztą cała jego erudycya polska miała dotkliwe luki, o tem świadczy następujące zapytanie, które znaleźliśmy w „Listach do nieznajomej": „Staraj się pani dowiedzieć, czy miasto, które po rosyjsku nazywa się Lwow, nie jest czasem *(par hasard)* tem samem, co Lemberg w Galicyi. Wyświadczy mi tem pani wielką przysługę". Takiej uczonej informacyi zasięgał uczony akademik, drukując jednocześnie w *Journal des Savants* swoje uczone badania o kozaczyźnie.

Zresztą, w miarę ustalania się nowych porządków i sposobu życia za trzeciego cesarstwa, coraz mniej pracował i pisywał. Poprostu nie miał czasu. Mniejsza, że został senatorem, bo w senacie rzadko głos zabierał. Ale, zerwawszy z legitymistycznem Faubourg Saint-Germain, ulubieniec cesarzowej, która jeszcze z dziecinnych czasów przywykła widzieć w nim przyjaciela domu, a której potem — jak gdzieś wyczytaliśmy niedawno, bodaj czy nie w Pamiętnikach starego Houssaye? — redagował czułe listy narzeczeńskie do cesarza, Mérimée stał się niezbędną figurą w jej otoczeniu, przemieszkiwał w Tuileryach, Fontainebleau, Compiègne, pisywał libretta do owych osławionych żywych obrazów, był reżyserem owych dekoltowanych żywych szarad, jakie tam urządzano *en petit comité*, jednem słowem, oddał się całkiem w dworską niewolę, pochlebną, wesołą, lecz zawsze niewolę. Wprawdzie zachowywał się względem pary cesarskiej bez uniżoności, ze swobodą dobrze wychowanego człowieka. Jednak tego rodzaju służba dworacka wydaje się być niczem innem, tylko nową odmianą dawnej roli pańskiego trefnisia, wydaje się być poniżeniem dla pisarza i uczonego, bądź co bądź niepowszedniej miary, poniżeniem w jego osobie nauki i literatury. Bezpłodność pisarska była słuszną i nieuniknioną karą za taką dobrowolną degradacyę.

Senator i domownik cesarski, próbował tykać się polityki. Czynił to najpewniej nie bez inspiracyi z góry. Nad tym epizodem zlekka prześlizguje się dzisiejszy

bonapartystyczny biograf. Można tutaj przecie bez niego się obejść, mając dwa grube tomy „Listów do Panizzego". Jeśli „Listy do nieznajomej", malujące trzydziestoletni platoniczny stosunek do opornej przyjaciółki takiego na punkcie sentymentów realisty, jak Mérimée, są ciekawym dokumentem dla psychologa,— mniej czytywane, mniej sercowe „Listy do Panizzego" są dokumentem wcale zajmującym dla historyka. Panizzi, patryota włoski, uczestnik rewolucyi neapolitańskiej i piemonckiej, zaocznie na śmierć skazany, osiedliwszy się na stałe w Anglii, z polecenia Foscola i łaski lorda Broughama na nowozałożonym wtedy (1812) uniwersytecie londyńskim otrzymał katedrę języka i piśmiennictwa włoskiego, zaś niebawem został dyrektorem zbiorów Muzeum Brytańskiego, które uporządkował, zreformował, zbogacił, i gdzie po dziś dzień można oglądać jego wielki biust ponad samem wejściem do czytelni. Niejedną myśl gościowi polskiemu musi nasuwać na tem miejscu widok mądrej głowy fortunnego Włocha. O ileż łatwiej tym Włochom przychodziło radzić sobie na obczyźnie angielskiej. O ileż trudniej na francuskiej ich spółczesnym towarzyszom polskim. O ileż ciężej Mickiewiczowi było w Sorbonie, niż Panizzemu w Muzeum Brytańskiem. Sprytny Modeńczyk w krótkim czasie potrafił wyrobić sobie tutaj znaczne wpływy w stronnictwie wigowskiem, utrzymując zarazem ścisłe stosunki z Włochami, i to nietylko w sferze robót Cavoura, lecz również, jak nie wątpimy, w obozie Mazziniego. Był to typ owych działających w cieniu,

na drugim planie, a niemniej skutecznie, niezmordowanych, niesłychanie sprytnych i rzutnych sprawców odrodzenia Włoch, typ niezbyt sympatyczny, ale jakże sprawny, karny, użyteczny, którego możnaby pozazdrościć emigracyi włoskiej. Początek znajomości Mériméego z włoskim dyrektorem londyńskiego Muzeum był przypadkowy a wcale sympatyczny. Siostra Stendhala, będąc w nędzy do śmierci brata, ofiarowała na sprzedaż kilkanaście foliantów rękopisów łacińskich i włoskich, które dawniej z wielkiem trudem był zgromadził Stendhal, i z których był wysnuł swoje krwawe kronikarskie opowieści. Mérimée, stary jego przyjaciel i uczeń, serdecznie zajął się tą sprawą i podjął starania o nabycie tych rękopisów przez Muzeum Brytańskie. Przy tej właśnie okazyi zapoznał się i wkrótce zaprzyjaźnił z Panizzim. Na wizerunkach, przydanych do „Listów", wyglądają jak dwa kontrasty: Mérimée wychudły, z gładką twarzą aktora, a cierpiącą; Panizzego opasła, ponura twarz anglizowanego Włocha. Lecz w gruncie rzeczy dosyć do siebie podobni, obadwaj epikurejczycy z przekonań i skłonności, pociągali się nawzajem mocą duchowego powinowactwa tyleż zapewne, co przez względy politycznego interesu. Pełno w tej korespondencyi tłustych anegdot, niedwuznacznych dowcipów *à la* Rabelais, gruntownych rozpraw na temat rozmaitych win, sosów, pasztetów; a dopiero pod osłoną lekkiej gawędy przewija się dyalog czysto polityczny dwóch amatorskich dyplomatów. W tym dyalogu dowcip Francuza kapituluje przed sprytem Modeń-

czyka, zupełnie tak samo, jak w całym historycznym dyalogu Francyi a Włoch za Napoleona III.

W rzeczy samej, — i to właśnie najciekawsza,— w całym tym kompromitującym stosunku z Panizzim chodzi nietylko o samego Mériméego, ale chodzi przedewszystkiem o dwór cesarski, któremu on tutaj służył za narzędzie i pośrednika. W istocie ten stosunek oczywiście był inspirowany z Tuileryów, Panizzi bywał wzywany do Biarritz, są ślady własnoręcznych do niego listów cesarzowej. Korespondencya z nim Mériméego rozpoczyna się w przeddzień wojny włoskiej, kiedy nie zdawała się być wyłączoną możliwość interwencyi pruskiej na rzecz Austryi, kiedy zatem, dla przeciwwagi, bardzo wiele zależało na podnieceniu sympatyi angielskich dla sprawy wolnych Włoch. Co się zresztą tyczy osobiście Mériméego, to ten uczeń „Medyolańczyka" Stendhala żywi dla Włoch jedynie sztuczną sympatyę szperacza i niedowiarka, na którą składa się wstręt do klerykalizmu i chęć dostania się do sekretów watykańskiego archiwum, — i na tej strunie pseudo-liberalnej z niepospolitą sztuką gra Panizzi;— dla samej sprawy wolności i zmartwychwstania wielkiego narodu jest on w gruncie rzeczy najzupełniej obojętny. Na tym punkcie zapewne różni się senator od cesarza. Ale cały nastrój ogólny stosunku dygnitarza francuskiego względem włoskiego wygnańca, nastrój uprzedzający, uległy, prawie pokorny, stanowi doskonałą analogię do szczególniejszego, skróś uległego stosunku Napoleona III względem Włochów i sprawy włoskiej. Pokornie

uniewinnia się Mérimée przed Panizzim z powodu preliminarzy z Villafranca. Winni są — nielada to niespodzianka — Polacy. „Polacy gotowi są wszystko popsuć, — zapowiada już w lipcu 1859 roku, — byle zemścić się za obojętność Europy; zajęli oni taką postawę, która pozbawia nas zupełnie poparcia ze strony Rosyi a nawet może spowodować Rosyę do wystąpienia przeciwko nam". Pokornie tłómaczy się z aneksyi Sabaudyi. Pokornie przeprasza za ciągłą odwłokę ewakuacyi Rzymu. Cóż robić? kiedy ci niepoprawni Polacy nie przestają bróździć. To jest właściwy powód, zaiste znów dosyć niespodziany, że mimo najlepsze chęci niepodobna wycofać garnizonu francuskiego z Wiecznego Miasta i podać ręki Garibaldemu. „Ci dyabelscy Polacy radziby cały świat podpalić", uskarża się mocno zgorszony dalszym przebiegiem wypadków warszawskich, „oni nie przestają robić głupstw". „Nie rozumiem i opłakuję propagandę lorda Russella". Bardzo ostro, a poczęści nie bez zasady, odzywa się o znanej mowie ks. Napoleona w senacie francuskim: „Nie wiem doprawdy, azali, zabierając głos w tej sprawie, książę pragnął istotnie przysłużyć się Polakom. Jest to człowiek znudzony *(blasé)*, który poszukuje rozrywki. Chodzi mu o sam efekt, jaki wywoła. O swoich klientów najmniej się troszczy". Ostatecznie, hałaśliwa mowa książęca „miała ten tylko skutek, że Polacy utracili w senacie czterdzieści głosów". To wszystko prawda. Ale co w tem znów najciekawsza, to utajony związek przyczynowy, łączący sympatye włoskie i antypatye

bonapartystyczny biograf. Można tutaj przecie bez niego się obejść, mając dwa grube tomy „Listów do Panizzego". Jeśli „Listy do nieznajomej", malujące trzydziestoletni platoniczny stosunek do opornej przyjaciółki takiego na punkcie sentymentów realisty, jak Mérimée, są ciekawym dokumentem dla psychologa,— mniej czytywane, mniej sercowe „Listy do Panizzego" są dokumentem wcale zajmującym dla historyka. Panizzi, patryota włoski, uczestnik rewolucyi neapolitańskiej i piemonckiej, zaocznie na śmierć skazany, osiedliwszy się na stałe w Anglii, z polecenia Foscola i łaski lorda Broughama na nowozałożonym wtedy (1812) uniwersytecie londyńskim otrzymał katedrę języka i piśmiennictwa włoskiego, zaś niebawem został dyrektorem zbiorów Muzeum Brytańskiego, które uporządkował, zreformował, zbogacił, i gdzie po dziś dzień można oglądać jego wielki biust ponad samem wejściem do czytelni. Niejedną myśl gościowi polskiemu musi nasuwać na tem miejscu widok mądrej głowy fortunnego Włocha. O ileż łatwiej tym Włochom przychodziło radzić sobie na obczyźnie angielskiej. O ileż trudniej na francuskiej ich spółczesnym towarzyszom polskim. O ileż ciężej Mickiewiczowi było w Sorbonie, niż Panizzemu w Muzeum Brytańskiem. Sprytny Modeńczyk w krótkim czasie potrafił wyrobić sobie tutaj znaczne wpływy w stronnictwie wigowskiem, utrzymując zarazem ścisłe stosunki z Włochami, i to nietylko w sferze robót Cavoura, lecz również, jak nie wątpimy, w obozie Mazziniego. Był to typ owych działających w cieniu,

na drugim planie, a niemniej skutecznie, niezmordowanych, niesłychanie sprytnych i rzutnych sprawców odrodzenia Włoch, typ niezbyt sympatyczny, ale jakże sprawny, karny, użyteczny, którego możnaby pozazdrościć emigracyi włoskiej. Początek znajomości Mérimée'go z włoskim dyrektorem londyńskiego Muzeum był przypadkowy a wcale sympatyczny. Siostra Stendhala, będąc w nędzy do śmierci brata, ofiarowała na sprzedaż kilkanaście foliantów rękopisów łacińskich i włoskich, które dawniej z wielkiem trudem był zgromadził Stendhal, i z których był wysnuł swoje krwawe kronikarskie opowieści. Mérimée, stary jego przyjaciel i uczeń, serdecznie zajął się tą sprawą i podjął starania o nabycie tych rękopisów przez Muzeum Brytańskie. Przy tej właśnie okazyi zapoznał się i wkrótce zaprzyjaźnił z Panizzim. Na wizerunkach, przydanych do „Listów", wyglądają jak dwa kontrasty: Mérimée wychudły, z gładką twarzą aktora, a cierpiącą; Panizzego opasła, ponura twarz anglizowanego Włocha. Lecz w gruncie rzeczy dosyć do siebie podobni, obadwaj epikurejczycy z przekonań i skłonności, pociągali się nawzajem mocą duchowego powinowactwa tyleż zapewne, co przez względy politycznego interesu. Pełno w tej korespondencyi tłustych anegdot, niedwuznacznych dowcipów *à la* Rabelais, gruntownych rozpraw na temat rozmaitych win, sosów, pasztetów; a dopiero pod osłoną lekkiej gawędy przewija się dyalog czysto polityczny dwóch amatorskich dyplomatów. W tym dyalogu dowcip Francuza kapituluje przed sprytem Modeń-

nią 1864 roku, z obiecującym, z prawdziwym mężem stanu. „*C'est un grand Allemand* — pisze do panny Dacquin (do swojej „nieznajomej"), — *qui n'est point naïf. Il a l'air absolument dépourvu de* Gemüth, *mais plein d'esprit. Il a fait ma conquête*". „Wydał mi się człowiekiem zupełnie *comme il faut*, — zachwyca się w innym liście, — jest dowcipniejszy, niż możnaby się spodziewać od Niemca, jest jakby Humboldtem dyplomacyi". Któż jest ten sympatyczny mąż stanu, który tak trafia do przekonania senatorowi Napoleona III? Nikt inny, jeno pan von Bismarck. Jeszcze w czerwcu 1866 r. znajdujemy w listach Mériméego pobożne życzenie, oby tylko nieba strzegły drogocennego zdrowia p. Bismarcka, bo gdyby on, broń Boże, przedwcześnie zeszedł z tego świata, Prusacy z Austryakami niechybnie podaliby sobie dłonie, a wtedy nie będzie wojny, a wtedy Włochy nie dostaną Wenecyi. Nie wytrzeźwiony nawet po Sadowie, tryumfująco woła w lipcu t. r.: „Pan v. Bismarck jest moim bohaterem". W 1868 roku pisze: „jedyny Bismarck powstrzymuje partyę najezdniczą w Prusach; podobno jest chory; oby tylko nie umarł, gdyż wtedy położenie stałoby się poważnem". I jeszcze po wypowiedzeniu wojny, którą zresztą z początku bierze dziwnie lekko, jeszcze w liście z 25 lipca 1870 r., subtelny, przenikliwy, sceptyczny pisarz „*Lokis*" i „*Don Pedra*" z naiwnością iście dziecięcą wyraża ubolewanie, że w Emsie u króla nie było poczciwego hr. Bismarcka, gdyż on napewno byłby wszystko załagodził i nie dopuścił do zerwania.

Ale oto rozpoczyna się wojna. Straszliwe ciosy w straszliwie chyżem następstwie spadają na Francyę. Przychodzi Sedan. Mérimée w imieniu cesarzowej zmuszony żebrać rady, ratunku, u tego samego „małego Thiersa", którego nazwisko, z przydatkiem złośliwych dowcipów, tak często napotyka się w jego korespondencyi. Prezydent Thiers sam zdał sprawę z tego epizodu, z naglących błagań wysłańca cesarzowej, któremu oczywiście odmówił, bo musiał odmówić, bo nie było już ani komu radzić, ani kogo ratować. Jakże teraz sam musiał czuć się małym Mérimée, kiedy z tą beznadziejną misyą wypadło mu stanąć wobec kolegi po piórze, który był naprawdę historykiem i naprawdę mężem stanu. Mérimée, zgnębiony, śmiertelnie chory, wyjechał do Cannes. Jego ostatnie listy—a ciągle do włoskiego przyjaciela, który teraz może być kontent, bo teraz wejdzie do Rzymu, zostanie senatorem Włoch zjednoczonych, przeżyje swoich francuskich protektorów,— tchną rozpaczą. W tych listach już niema epigramatów, są jednym jękiem. *„Finis Galliae"* pisze drżącą ręką do Panizzego. Wtedy okupił długie życie szczęśliwego samoluba. I wtedy, stary, sam na sam z pustką błyskotliwej przeszłości, skruszony do głębi duszy, złamany nieszczęściem swego narodu, w agonii duchowej, gorszej od fizycznej, stał się sympatycznym Prosper Mérimée.

„Epik“ nienawiści.

Kiedy niedawno, w wieku sędziwym, syt uznania i rozgłosu, zamknął oczy Gustaw Freytag, nie żałowano mu w całych . Niemczech pogrzebowego kadzidła. Rozległy się zewsząd panegiryki pozgonne, na wysoką, gdzieniegdzie na najwyższą, nastrojone nutę. Jednogłośnie zaręczono mu nieśmiertelność. Wskazano mu honorowe miejsce wieczyste we wspaniałym Panteonie literatury niemieckiej. A nawet przy tej okazyi wyznaczono dokładniej owo miejsce pośmiertne, które dotychczas, za życia pisarza, pozostawało dosyć nieokreślonem. Czem on był w istocie? Czy artystą? Przecież odżegnywali się od niego prawdziwi poeci niemieccy. Odmawiali mu natchnienia—podobno całkiem trafnie,— a kłaniali się przed jego głęboką nauką i odsyłali go do historyi. Czyli zatem uczonym? Aliści z kolei odżegnywali się od niego rzetelni historycy niemieccy. Odmawiali mu wiedzy— znów podobno wcale zasadnie— a wielbili jego twórczą wyobraźnię i odsyłali go do poezyi. Teraz nareszcie zagadka została rozwiązaną. Zgodzono się nad grobem Freytaga na polubowne roz-

strzygnięcie. Ogłoszono go wielkim „epikiem“ wielkich Niemiec spółczesnych. Nie będziemy spierali się o tytuł. Ale eposowe twory tego wszechniemieckiego epika w przeważnej części pisywane były na polskiej skórze. To jest okoliczność, dla której warto obejrzeć, chociażby jak najpobieżniej pisarza i jego dzieło, ogromne, beznadziejnie ogromne, dwudziestotomowe z górą, dzieło piśmiennicze Gustawa Freytaga *).

„Wspomnienia“ Freytaga, umieszczone na czele jego „Pism Zbiorowych“, zaczynają się aż od — XIII wieku. Wtedy mianowicie nad Prosną pojawił się antenat, osadnik rdzennie germański z nad Renu, przywołany przez barbarzyńskich Piastów dla ogładzenia Śląska, i przyniósł rdzennie germańskie nazwisko „Freytag, t. j. Fridutag“. Jeden z potomków tego teutońskiego męża poślubił prawowitą Germankę, godną niewiastę, zowiącą się „Wütherich, t. j. Wuotanrich“. I tym sposobem, na dalekiem pograniczu wschodniem, „dwoje prastarych bogów germańskich, Freya i Wodan, podało sobie ręce do chrześcijańskiego związku“, skąd po szeregu wieków miał wykwitnąć *Hofrath* gotajski. Trzeba przyznać, iż z takim *Hofrathem* niema żartów. Paprocki, dla swoich magnatów, cofał się po koligacye do Gedymina, najdalej — do którego patrycyusza rzymskiego. Radca dworu niemiecki wyższą żywi ambicyę.

*) „*Gesammelte Werke*“ *22* Bände. — Osobno wydane pośmiertnie: „*Vermischte Aufsätze aus den Jahren 1848—1894*“.

On sięga aż na Walhallę. Jest atoli obawa, że w tym przybytku eddyjskim nie znajdzie spokojnego przytułku ambitny pamiętnikarz-genealog, kiedy tam obecnie po śmierci zapuka. Chociażby prześlepili szalbierstwo rzekomi praojcowie, zadumany Odyn i niespokojna Freya,— niezawodnie szyderczy Loki, „mądry syn Lowei", bóg sprytu i obłudy, co sam umiał przebierać się za dziewczę, pozna się na sfałszowanym rodowodzie nowego przybysza, pod gotajską suknią dworską i orderami pruskimi pozna tego potomka śląskiego Piątaka i Wścieklicówny, i tego przebranego *Wasserpolaka* sromotnie wygna z Walhalli.

Nie odrazu trafił Freytag na właściwą drogę. Zaczął od docentury we Wrocławiu, gdzie uczciwego Stenzela miał za kierownika, zacnego Roepella miał za kolegę. To byli ludzie niedzisiejszej daty. Przystępował Stenzel jako człowiek sumienia do swoich dziejów Prus nowoczesnych. Przystępował Roepell jako wielki uczony do swoich dziejów starożytnej Polski. W takiem otoczeniu, pod takim wpływem, młody docent wrocławski, postępowy Ślązak Freytag odżegnywał się jeszcze od rządowego absolutyzmu pruskiego, a nawet przyznawał się ostentacyjnie do szczerych sympatyi polskich. Zdarzało mu się wtedy popełniać czułe wiersze polonofilskie, które pewnie tylko przez niedopatrzenie dostały się do zbioru „Pism". Gdyż oczywiście nie pasują one wcale do tego zbioru i dziwnie tutaj rażą. Zaś nie dlatego rażą, że liche, bo dość w tych dwudziestu kilku tomach lichoty, niema zgoła arcydzieła. Ale

te wiersze nie rymują się z prozą. To są wstydliwe grzechy młodości, kiedy autor jeszcze grzesznym, nieopatrznym był chłopakiem. Takim grzechem jest łzawy poemat o „Żebraku polskim", który we wrocławskiej katedrze opłakuje zabitego syna, spaloną chałupę, ziemię utraconą, napróżno przed obcymi ludźmi się żali, napróżno na ścianach obcego kościoła szuka swojej *„Mutter von Czenstochau"*, i wreszcie pada trupem od nadmiaru niedoli: — niefortunna imitacya Heinowskiej „Pielgrzymki do Kevlaaru" i niektórych pieśni Platena, lecz pomyślana w intencyach najczulszych, zgoła nie tępicielskich. Początkujący docent i pisarz jeszcze wówczas był czuły, przyjaźnił się z demokratami, w ich wydawnictwach ogłaszał pierwsze próby pióra. Był jeszcze w obłędzie. Był na fałszywej drodze. Ta droga nie prowadziła do zaszczytów, o jakich marzył ambitny młodzieniec.

Przełomowy rok 1848 nie pozostawił pod tym względem żadnych wątpliwości. Demokracya niemiecka została pobita na wszystkich punktach. Ci, co wyszli nieskompromitowani, — inną drogą podążyli odtąd. Należał do nich Freytag. Przeniósł się do Lipska, poznał z nowymi ludźmi, zaczął wydawać pismo *„Grenzboten"*, gdzie propagował już czysto pruskie idee zaczepne. Grono młodych działaczy, jacy się tutaj skupili, to był rodzaj dzisiejszych liberałów narodowych „w jajku". Upominali się o praktyczność, o realizm, w sztuce i w życiu. W literaturze uderzali zarówno na ostatnie przebłyski romantyzmu, podejrzanego dla mniemanych

sympatyi klerykalnych, a w szczególności katolickich, jakoteż na luźną, zapalną twórczość Młodych Niemiec, podejrzaną dla swoich sympatyi francuskich a w szczególności polskich. W polityce zwalczali gwałtownie republikanów z Frankfurtu, starannie podkopywali dążenia austryackie, przedewszystkiem zaś bojowali za wszechniemiecką misyę Prus. Tu w Lipsku, na najczystszej ziemi saskiej, niegdy tak ściśle związanej z polską, oni podjęli i ugruntowali robotę ultra-pruską i antypolską, — która istotnie do dziś dnia z Lipska zrobiła drugą zaraz po Berlinie kwaterę główną hakatyzmu. Już tutaj, w długim szeregu „Artykułów politycznych", poczynał Freytag wtrącać denuncyacye przeciw „hrabiom z kosynierami" i ostrzegać, aby nie tykano polskiego „trupa". „Co najwyżej w tym trupie można wywołać kilka wstrząśnień galwanicznych", pisał w chwili krytycznej, stając śmiało, wbrew ówczesnej opinii niemieckiej, w obronie konwencyi lutowej 1863 r. Co jednak najwięcej uderza w tych artykułach, przedrukowanych obecnie w dwóch obszernych działach zbiorowych p. t. „Prusy" i „Austrya", to systematyczne, nieustanne, pod pozorami życzliwości, wycieczki podjazdowe przeciw polityce wiedeńskiej, i równie wytrwała, tylko śmielsza, apologia polityki berlińskiej w tym okresie. „Pozwalam sobie oświadczyć, iż jestem dobrym Prusakiem, najpierw Prusakiem, a potem dopiero wszystkiem, czem chcecie, Niemcem i obywatelem świata", pisał już w 1849 r. A w 1866 roku piorunował na „niesłychaną koalicyę państw związkowych,

sprzysiężonych w nocy przeciw Prusom", i wołał *„vorwärts"* na Wiedeń.

Mimo taką gorliwość, a może raczej dla zbytku gorliwości, w czasie wojny krymskiej przytrafił mu się przykry wypadek. Za niedyskrecyę dziennikarską gorący obrońca Prus miał wydany na siebie w Berlinie „tajny" rozkaz uwięzienia. Uprzedzony naturalnie zawczasu przez życzliwych przyjaciół, schronił się do Gotha. Ojczyzna kalendarzyków dworskich oddawna była ośrodkiem rozległych, choć zakulisowych, wpływów politycznych. Od owych czasów, kiedy w 1795 r. stara księżna z trzema córkami wyjechała na północ szukać nowożeńców, skromny dwór książęcy urósł w znaczenie i zajął stanowisko wyjątkowe śród liliputowych dworów nremieckich. Panujący książę Ernest gościnnie przyjął Freytaga, pisarza zdrowych zasad, który w dodatku miał coś z demokraty i przestępcy politycznego. Książę w takich mieszaninach gustował. Znamy dziś dość dobrze Ernesta IV z jego ogłoszonych niedawno „Pamiętników". Dyletant w polityce i muzyce, zatrącał on trochę księciem z karykatur Hoffmanowskich. Popularyzował się w domu, bawił w demokratę, kierował repetycyami swoich lichych oper i rozprawami nad swoją lichą konstytucyą, prezydował w stowarzyszeniach strzeleckich i śpiewackich, rozdawał nagrody, wznosił przed lojalną publiką wolnomyślne toasty. Potem, dla odpoczynku, śpieszył do Paryża, aby pierwszy powitać Napoleona III, biegał z Berlina do Wiednia, z Londynu do Brukselli, wszędzie spo-

krewniony lub spowinowacony, ciekawy, ruchliwy, istna *mouche de coche*, wydając sekrety, ostrzegając, pośrednicząc, — w gruncie rzeczy, szukając wrażeń. Pod skrzydłem takiego opiekuna, który go polubił, zrobił swoim lektorem i radcą dworu, w tym światku, wiecznie politykującym, mającym zawsze „czucie“ z wielkim światem mocarstw, toczyło się odtąd życie Freytaga i rozwijała jego twórczość literacka, stale teraz zabarwiona wyrachowaną tendencyą polityczną.

Tutaj w Gotha powstała nasamprzód wielka powieść „Ma i winien“, którą autor przypisał swemu książęcemu dobroczyńcy. Już poprzednio kilka niezgorszych komedyi i słabych dramatów zyskało Freytagowi rozgłos; lecz dopiero ten utwór uczynił go sławnym. Nie nasza rzecz ocena romansu, który ma treść zajmującą, przejrzystą budowę, język naturalny, i pod niejednym względem wyróżnia się dodatnio od nowszej literatury powieściowej niemieckiej. Zresztą, gdybyśmy mieli własną wyrazić opinię, wskazalibyśmy na poprzedników, od których Freytag wziął więcej, aniżeli chciał przyznać: na Auerbacha, który nierównie więcej ma smaku, bodaj nawet na Immermanna, który napewno ma więcej wdzięku. Wszakże mało nas obchodzi estetyka romansu. Są w nim natomiast, jak wiadomo, pewne rzeczy, które nas obchodzą w szczególności, są piękności całkiem specyalnego gatunku. A więc jest „Wohlfart“, kupiecki Fortunat, co przychodzi w Poznańskie, aby nareszcie ład niemiecki wprowadzić do „polskiej gospodarki“. Są polscy złodzieje i oszuści,

różni panowie „Bratzky", „Turowski", którzy zrywają herby pruskie, biorą w twarz od dzielnego Fortunata, i idą do więzienia. Jest *„hohes Slavenschloss"*, skąd garstka Niemców strzela do oblegającej polskiej dziczy. Jest, jednem słowem, świadoma, otwarta prowokacya do śmiertelnej walki plemiennej. Ten jad, w dodatku, nie płynie bynajmniej ze ślepego, instynktownego szowinizmu, lecz sączy się z wyrozumowanej logiki tępicielskiej. „Jakiekolwiekbądź sprawy i interesa mnie, jednostkę, sprowadziły tutaj, — teraz ja tu stoję jako jeden ze zdobywców, którzy w imię wolnej pracy i ludzkiej kultury odebrali słabszej rasie panowanie nad tą ziemią". Tak przemania bohater „Wohlfart", z udaną dobrą wiarą szowinisty; lecz kiedy słabszy jego towarzysz, przesądny „Finck", syn dawnych, niepraktycznych Niemiec, jednakowoż przyznaje się do pewnych skrupułów sumienia wobec nieprawnej i nielitościwej roboty eksmisyjnej, wtedy całkiem innym głosem odzywa się bohaterski Fortunat, dwujęzyczny logik, „subtelny Hamlet w dziegciowych butach", jak tego narodowo-liberalnego kolonistę, tego reprezentanta nowych Niemiec, z dumą określa wtórujący mu pisarz. A więc dobrze, „mieczem lub podejściem, układem lub zasadzką, wszelkimi sposoby zdobyto te kraje, w epoce, gdy w pozostałych Niemczech wszystko było nędzne i martwe, zbudowano państwo z pni zgniłych i potrzaskanych": aliści, chociażby nieprawe i gwałtowne były niegdyś początki, przecież mimo wszystko teraz, w dalszym ciągu, zaczętą przez przodków robotę obowiąz-

kiem jest dokończyć dla potomnych. Trzeba dobrze zapamiętać tę wykładnię: albowiem ona staje za wyznanie. Trzeba dobrze zapamiętać to znamienne zjawisko literackie: albowiem ono po raz pierwszy w formie popularnej, przystępnej dla tłumów, rzuciło w Niemczech nieubłagane hasła polakożercze. To jest w całem znaczeniu słowa programowy romans hakatyzmu.

Niezwykłe powodzenie pierwszej powieści, mniejsze, lecz jeszcze znaczne sukcesy rozwlekłej, nudnej historyi „Zaginionego rękopisu" otworzyły Freytagowi wstęp do sejmu. Rzeszy, gdzie wszakże mało go było słychać. Podczas wojny francuskiej towarzyszył następcy tronu, późniejszemu cesarzowi Fryderykowi. Pierwotnie, póki książę Ernest gotajski jeździł na premiery do Paryża, jego lektor ostrożnie odzywał się o cesarzu Francuzów. Kiedy w 1859 roku książę w sekrecie przykładał się do projektowanej interwencyi pruskiej przeciw Francyi, spółpracownik *„Grenzboten"* już ostro napadał na Napoleona III za odstąpienie Wenecyi. Teraz, podczas wojny 1870 r., gość pruskiej kwatery głównej oczywiście jest nieubłagany. Jego wybuchy nienawiści są w swoim rodzaju nieoszacowane. Ten farbowany *Wasserpolak*, ten nieczysty mieszaniec, pod osłoną oblegających armat pruskich, zdobywa się na kapitalne słowa pogardy dla nędznych, zdegenerowanych „Keltów paryskich".

Odnowienie cesarstwa niemieckiego postanowił uwiecznić Freytag dziełem monumentalnem, wielką epopeją narodową. Wtedy mianowicie miał on wysłu-

żyć sobie wysoką godność narodowego „epika". Wtedy to powstał potworny cykl „Przodków", długie dzieje Rougonów germańskich, wlokące się przez czternaście stuleci, gdzie pod zbieraną, nieporządną erudycyą, pod stylem naprzemiany napuszonym i pospolitym, znikły ostatnie ślady pierwotnego talentu autora. Już część pierwsza, „Ingo", odbywająca się w puszczach Turyngii, „w 357 roku", objawiła nieznośną manierę i zupełną niemoc eposowego przedsiębiorcy. Mniejsza już o nieuctwo: Chateaubriand jeszcze mniej umiał, kiedy, wyprzedzając Thierrego, pisał „Męczenników"; lecz jego Gallię V wieku ożywia tchnienie szczerej intuicyi poetyckiej, której niemasz ani cienia we spółczesnej Germanii Freytaga, mimo całą obfitość zużytych dziewic, kapłanów, wojowników i rogów bawolich. Co prawda, w tych czasach odległych politycznemu epikowi brakowało jeszcze Słowianina. Brakowało Polaka. Brakowało kozła ofiarnego. Brakowało, tem samem, najobfitszego źródła wojowniczych natchnień. Cóż, kiedy nie było jeszcze wtedy w dziejach autentycznego Słowianina-Polaka. Nie było jeszcze z kim wojować ani kogo gromić. Powetował sobie Freytag sowicie te pierwsze niedobory w dalszym ciągu swojej ogromnej epopei. Już w „Ingrabanie" śmiały Niemiec-Turyngczyk ostatecznie bierze szczęśliwie górę nad krwiożerczym wodzem słowiańskim „Ratizem", i zrywa z głowy zabitego „skrzydła białego orła", — co wszystko dzieje się „w roku pańskim 724". Należy zwrócić uwagę na tę szczególną datę, na ten znamienny rok 724, tak

mądrze obrany. Ten rok, ta data mają swoje głębokie, „eposowe" znaczenie. Przepowiadają one akurat na tysiąc lat z góry inny krwawy epizod w dziejach germańskiego męczeństwa od słowiańsko-polskiej swawoli: przepowiadają „rzeź toruńską" w 1724 r. Jest to *rendez-vous* za okrągłe lat tysiąc — bagatela! W „Braciach zakonnych", w XIII w., pobożni Krzyżacy, wspaniały „Ivo" i roztropny brat „Sibold", ciągną w imię Boże „nad rwiste nurty Wisły" i fundują Toruń. W „Markusie Königu", bohater tytułowy, potomek tamtych starychTuryngczyków i Krzyżaków, „w r. 1519", widząc spółbraci, oddających się pod opiekę „pana Pietrowski" i króla Zygmunta, nie może znieść tej sromoty, opuszcza za synem Toruń, i na odchodnem rzuca zaślepionym rodakom wieszcze słowa, Kassandrową przepowiednię, która się ziści za lat dwieście: „nadejdzie dzień, kiedy na rynku toruńskim wzniesie się czarne rusztowanie, skąd Polacy zrzucać będą głowy dzieci waszych". Ten dzień nadchodzi w „Kapralu pruskim"; młody „König", wnuk tamtego z XVI wieku, teraz teolog luterański, jest świadkiem śmierci radców toruńskich „w r. 1724", i bieży na skargę do jedynego obrońcy przeciw gwałtom polskim, do Fryderyka Wilhelma I, — nie do tego wytrawnego spekulanta, który pod pozorem sprawy toruńskiej sprytnie znegocyował traktat hanowerski 1725 r., lecz do biednego króla patryarchy, który żałośnie załamuje ręce nad swoją bezsilnością wobec polskiej przemocy. Nakoniec w „Zamknięciu", śród zawieruchy rewolucyjnej 1848 r., naj-

młodszy potomek tylu sławnych przodków, właściciel tak imponującego drzewa genealogicznego, jakie wymarzyć może jedynie twórcza heraldyczna wyobraźnia rzeczywistego radcy dworu z Gotha, już gotów jest popełnić głupstwo i wdać się z hołotą: — ale czuwa nad nim opatrzność; w ostatniej chwili ciska on na ziemię karabin, albowiem „nagle usłyszał, jak człowiek, wydający rozkazy na barykadzie, zwrócił się do towarzysza w mowie polskiej".

Lecz doprawdy, mamy tego dosyć. Możnaby wskazać jeszcze popularne „Obrazy z przeszłości niemieckiej", kompilacyę na szeroką skalę, gdzie część względnie najlepszą stanowią wyjątki ze starych kronik i autorów, tłómaczone zresztą niezręcznie i nieściśle; jest to jakby wstęp do „Przodków", tylko w postaci pseudonaukowej zamiast powieściowej, na czem nie zyskała ani wartość książki, ani tendencya. Można wskazać inne jeszcze podobne partye w tych wielotomowych „Pismach Zbiorowych", przeniknione jednakowym duchem, jednakowo tendencyjne, wojownicze, zaczepne, jednakowo obliczone na najszerszą i najgorszą popularność. Lecz ofiarowane główne próbki starczą chyba w zupełności. Reszcie wolno dać pokój. Wolno też na mocy danych wskazówek określić bez pomyłki rzeczywisty charakter twórczości i wpływu tego pisarza. Zdobył on sobie istotnie znaczną popularność w Niemczech dzisiejszych. Jego rzeczy czytywane są dzisiaj po wielu domach niemieckich, po spokojnych domach, gdzie dawniej kształcono się na czystem i szlachetnem

natchnieniu wielkich geniuszów poezyi niemieckiej, a gdzie spółczesne pokolenie kształci się na nędznych i złośliwych elukubracyach śląsko-gotajskiego „eposowego“ działacza. Gdyż niczem innem nie jest ten rzekomy poeta, jak tylko twardym, zaciętym działaczem politycznym, który swojem pseudo-poetyckiem apostolstwem wyprzedza o lat kilkadziesiąt złą wieść hakatyzmu i zarazem toruje jej drogę, pacząc i znieprawiając pojęcia i uczucia swojego narodu względem słabszej narodowości sąsiedzkiej. Lichy „epik“ lichych nizkich instynktów zaślepionej przemocy, „epik“ nienawiści narodowej i plemiennej, — taki był i pozostanie prawdziwy tutuł piśmienniczy Gustawa Freytaga.

Dyplomacya rosyjska w sprawie polskiej.

Autor mało dotychczas u nas znany, p. S. S. Tatiszczew, jest to niezawodnie umysł zdolny, bystry i rzutki. Lecz jest to zarazem pouczający przykład niepomyślnych wyników niedość zrównoważonej a nazbyt wszechstronnej ambicyi. Istotnie, miał on z kolei ambicyę zostać wielkim dyplomatą, wielkim historykiem, wielkim publicystą. Owóż wszystkie te ambicye zawiodły. Ani w pałacu petersburskiego ministeryum spraw zagranicznych pod Arką Aleksandryjską, ani w gmachu petersburskiego Towarzystwa Historycznego przy moście Targowym, ani nawet w celniejszych redakcyach petersburskiej prasy peryodycznej, nie umiano poznać się należycie na potrójnych talentach tego polityka, uczonego i dziennikarza, przybyłego nad Newę z Moskwy, z tamecznej potrójnej szkoły Pogodina, Katkowa i p. Gringmutha. Dzisiaj, jeśli się nie mylimy, p. S. S. Tatiszczew, porzuciwszy pierwotne, zbyt sangwiniczne i różnolite dążenia, dojrzalszy i doświadczeńszy, zadowolił się skromniejszą działalnością w jed-

nym specyalnym zakresie gospodarstwa publicznego, gdzie niewątpliwie, przy swoich dużych zdolnościach oryentacyjnych, w rzeczy samej może być użyteczny. Natomiast można już dzisiaj stwierdzić z rezygnacyą, ale z całą pewnością, że wielka karyera polityczna, naukowa i dziennikarska tak wiele zapowiadającego pierwotnie działacza jednakowo nie dotrzymała swoich zapowiedzi. Na jego obszernych memoryałach, jego grubych książkach, jego długich artykułach spoczęła jednakowa pieczęć dość uzasadnionego zapomnienia. Wszelako za tyle zawodów jedna przynajmniej, i to najniespodziańsza, nadeszła nagroda. Ziściła się jedną i taka ambicya, jakiej niechybnie nie żywił nigdy sam p. S. S. Tatiszczew. A mianowicie jeden z jego utworów doczekał się przekładu polskiego. Polski tłómacz uznał za stosowne zdjąć tamtą pieczęć zapomnienia z jednej z najlepiej zapomnianych przygodnych rozprawek dyplomatyczno-historyczno-publicystycznych p. S. S. Tatiszczewa, wprowadzić go w ten sposób poniekąd do piśmiennictwa naszego i prezentować, jako nauczyciela dziejów i rozumu stanu, czytelnikom polskim. Tak powstała książka niniejsza *).

Nie mamy żadnego powodu wątpić o dobrej wierze bezimiennego zresztą tłómacza tej książki. Tem więcej atoli mamy powodu wątpić o jego dostatecznej informacyi. A nawet niemal pewni jesteśmy, że jeśli podjął

*) S. Tatiszczew: *„Dyplomacya rosyjska w sprawie polskiej 1853—1863“.*

się obecnego przekładu, uczynił to jedynie skutkiem kardynalnego nieporozumienia zarówno względem treści tłómaczonego pisma, jakoteż względem osoby tłómaczonego pisarza. W takiem przypuszczeniu utwierdza nas przedmowa, dodana do niniejszego przekładu. „Autor — tak zapewnia nas tutaj tłómacz polski — niezawsze umiał sięgnąć do głębi wypadków, ale z tem wszystkiem zasługuje na poznanie". „Rzecz — tak jeszcze upewnia — pisana jest bezstronnie, spokojnie, i z powagą oraz chłodem naukowym". Owóż w tych właśnie, niezawodnie szczerych, zalecających zapewnieniach tkwi pewna niedokładność. Po pierwsze, w ogólności, p. S. S. Tatiszczew jako historyk nie zasługuje zgoła na poznanie. A powtóre, w szczególności, ta jego książka pisana jest stronnie, gwałtownie i z dezynwolturą oraz zacięciem czysto polemicznem. Tłómacz zatem podwójnie, podmiotowo i przedmiotowo był w błędzie, pomylił się zarówno co do osoby i co do rzeczy. Takie pomyłki niezawodnie godne są pożałowania. Jednak u nas wydarzają się nieraz, a ostatnimi czasy zanadto często i właśnie w tym samym kierunku. Chcielibyśmy nie być fałszywie zrozumieni. Dalecy jesteśmy od wszelkiego, z góry powziętego uprzedzenia. Uważamy za rzecz nader ważną, za nieodzowną, śledzić najczujniej i najdokładniej spółczesną ewolucyę myśli i nauki rosyjskiej, szczególniej w dziedzinie dziejopisarstwa i polityki. Nie możemy też oczywiście nic mieć przeciw temu, aby ze spółczesnego piśmiennictwa rosyjskiego niektóre celniejsze przy-

czynki, czy to pióra profesora Czyczerina, czy znów generała Puzyrewskiego, uprzystępnione były w przekładach publiczności polskiej. Ale nie znaczy to bynajmniej, aby było do życzenia dowolne, bez żadnego wyboru, importowanie tą drogą niezdrowych i szkodliwych wytworów okolicznościowej roboty. Podobnego gatunku nabytki pod każdym względem są niepożądane. Tak mianowicie rzecz się ma w obecnym przypadku. Że zaś podobne opłakane przypadki, jak rzekliśmy, przytrafiają się coraz częściej, będzie może na miejscu tym razem udzielić pewnego ostrzeżenia. To jest wzgląd zasadniczy, dla którego decydujemy się, z powodu słabej książki niniejszej, zająć nieco przydłużej uwagę czytelników naszych.

Przedewszystkiem godzi się w należytem postawić świetle właściwą genezę samej omawianej książki. Jest ona poprostu zbiorem artykułów, ogłoszonych niegdyś przez autora w głośnem czasopiśmie *Russkij Wiestnik*, wydawanem w Moskwie przez M. N. Katkowa, a następnie, po jego śmierci, przeniesionem do Petersburga pod redakcyą F. N. Berga. Wszakże w oryginale pierwotnym te artykuły były nadto poprzedzone nader znamiennem słowem wstępnem autorskiem, którego przecie nie odnajdujemy w niniejszej edycyi polskiej. Ten wstęp, jak wyjaśnia tłómacz, został przez niego opuszczony, „jako dla nas nieciekawy". Nie możemy, niestety, i tutaj zgodzić się ze zdaniem tłómacza. Przeciwnie, mniemalibyśmy, iż ów wstęp jest dużo „ciekawszy", niż cała książka, iż on dopiero pozwala dokładnie

ocenić jej prawdziwą intencyę i wartość. Jest on mianowicie niczem innem, jak dziejowo-politycznem wyznaniem wiary p. S. S. Tatiszczewa. Z wielką energią i polotem wygłasza tutaj autor swój sąd apodyktyczny o powszechnej polityce zagranicznej rosyjskiej w jej dziejowym rozwoju. Naogół jest z niej dosyć zadowolony, — ale tylko do końca XVIII stulecia. „Natomiast od początku bieżącego XIX wieku przerwana zostaje jednolitość harmonijna w rozwoju państwowości rosyjskiej i sam ten rozwój nietylko zostaje opóźniony, lecz nawet od czasu do czasu wręcz zatrzymany". Jakież są przyczyny tak opłakanego zjawiska? „Te przyczyny wykrywa historya w pierwszych latach panowania cesarza Aleksandra I, kiedy zarząd naczelny spraw zagranicznych wydany został na pastwę obcym przybyszom *(inorodcom)* i inowiercom". Od czasu popełnienia tego mniemanego grzechu śmiertelnego przez cesarza Aleksandra I, któremu za to nie oszczędza autor gorzkich i gwałtownych wyrzutów, — p. S. S. Tatiszczew odnajduje jeden tylko podniosły i pocieszający moment epokowy w dziejach nowożytnej polityki rosyjskiej, „t. j. zwycięskie odparcie dyplomatycznego najazdu, skierowanego przeciw Rosyi przez trzy mocarstwa zachodnio-europejskie: Francyę, Austryę i Anglię, w r. 1863", moment, zdaniem autora, dający się przyrównać jedynie do najsławniejszych zwycięskich dat dziejów rosyjskich w r. 1612 i 1812. „Dla mnie osobiście — tak w tem miejscu oświeca nas autor z osobliwszym naciskiem, — rzeczona doba 1863 r. jeszcze z tego względu jest

szczególnie droga, że pod żywem wrażeniem naszych ówczesnych tryumfów dyplomatycznych postanowiłem sam obrać sobie karyerę dyplomatyczną. W młodocianych moich marzeniach nie mogłem wyobrazić sobie piękniejszego, bardziej godnego zazdrości, powołania, jak śladem ówczesnych dyplomatów naszych osłaniać i bronić przed Europą interesów narodowych Rosyi i państwowości rosyjskiej".

Takie dosłownie ma brzmienie opuszczony przez tłómacza polskiego, „jako nieciekawy", wstęp autorski do omawianej książki, który przecie, jak się okazuje, dostarcza cennych wskazówek co do zasadniczego punktu wyjścia w poszukiwaniach historyczno-politycznych p. S. S. Tatiszczewa. Pozostaje jeszcze bliżej oświetlić i uzupełnić te wskazówki przy pomocy innych, równie nauczających świadectw, zaczerpniętych z obfitej produkcyi pisarskiej tegoż autora.

P. S. S. Tatiszczew, obrawszy, jak widzieliśmy karyerę dyplomatyczną dla pobudek raczej ideowych, nie doczekał się w niej atoli, jak już zaznaczyliśmy, żadnych celniejszych tryumfów. Czy niedoceniono jego intencyi, czy jego uzdolnień, nie jest nam wiadome: to tylko pewna, że nie zdołał żadną miarą wynurzyć się z cienia stanowisk drugorzędnych na jakąkolwiek szerszą widownię. W owym czasie rosyjskie ministeryum spraw zagranicznych znajdowało się pod zarządem ministra Giersa. Jak wiadomo, pośrodku znacznych zmian osobowych w składzie administracyi naczelnej, dokonanych w początkach panowania cesarza Aleksandra III,

p. Giers jednakowoż pozostawiony był na zajmowanem przez siebie stanowisku i aż do samego końca piastował powierzony sobie urząd kierownika rosyjskiej polityki zagranicznej. Wiadomo również, że ta okoliczność wywołała objawy żywego niezadowolenia ze strony pewnego grona polityków i publicystów rosyjskich, skupiających się naówczas w Moskwie dokoła wpływowej osoby M. N. Katkowa. Zastrzegamy tutaj najwyraźniej, iż w tych sprawach nie możemy przypisać sobie żadnej zgoła kompetencyi, ani nawet żadnego zdania. Nie naszą oczywiście jest rzeczą wdawać się w rozsądzenie ówczesnego procesu pomiędzy byłym ministrem petersburskim a jego moskiewskimi antagonistami. Stwierdzamy li tylko sam fakt powszechnie wiadomy. I stwierdzamy zarazem, że tutaj mianowicie mieści się właściwy punkt wytyczny działalności publicystycznej i naukowej zajmującego nas obecnie pisarza. W rzeczy samej, p. S. S. Tatiszczew, podobnież jak i M. N. Katkow, aczkolwiek z rozmaitych zapewne pobudek, nie był wcale zadowolony z p. Giersa. Te dwa niezadowolenia zeszły się razem i podały sobie ręce. P. S. S. Tatiszczew został stałym współpracownikiem organu M. N. Katkowa. Został nim dla pewnej ściśle określonej dziedziny, dla pewnej, że tak powiemy, specyalności: dla wytaczania i obsługiwania armat polityczno-historyozoficznych przeciw ówczesnemu naczelnikowi petersburskiego ministeryum spraw zagranicznych. Wtedy to zaczął ogłaszać w rzeczonym organie długi szereg długich artykułów i rozpraw, których jedną zaledwo ułam-

kową cząstkę stanowią właśnie ustępy, obrane przez tłómacza polskiego i złączone w omawianej książce. Mając za sobą powagę M. N. Katkowa, dzielny współpracownik otworzył tę kampanię z godną uwagi śmiałością i impetem. Stanął odrazu na stanowisku niezwalczonem, t. j. na tej niewzruszonej zasadzie, iż człowiek, nie noszący czysto rosyjskiego nazwiska, nie powinien znaleźć miejsca w rosyjskiej służbie publicznej. Zastosował wnet tę zasadę względem prof. Martensa, radcy prawnego ministeryum spraw zagranicznych, którego ze zgorszeniem i zgrozą zaskarżył we *Wiadomościach Moskiewskich* z tego powodu, iż w pewnem wydawnictwie urzędowem poważył się p. Martens użyć niedość jakoby lojalnego wyrażenia *„pouvoir souverain"*, zamiast *„pouvoir autocrate"*. Po tej wstępnej utarczce, pogromca ministeryum zwrócił się już wprost przeciw p. Giersowi. Oskarżył go o przeciwdziałanie hr. Ignatiewowi w sprawie traktatu sanstefańskiego. Oskarżył go o nieudolność w zarządzie departamentu azyatyckiego. Oskarżył go ze szczególną gwałtownością o słabość, miękkość, łagodność w sprawie zatargu bułgarskiego. Trzeba było, zdaniem p. S. S. Tatiszczewa, skonfiskować przedewszystkiem papiery prywatne Battenberga. Trzeba było, po jego detronizacyi, natychmiast zamianować gotowego następcę. Trzeba było, po wyjeździe gen. Kaulbarsa, poprostu „posłać feldjegra z ultimatum do Sofii" i przystąpić niezwłocznie do zbrojnej okupacyi księstwa. Tak literalnie brzmiały wymowne filipiki, ogłaszane przez p. S. S. Tatiszczewa

ze zdumiewającą obfitością, pod nazwą „studyów", „listów otwartych", „memoryałów dokumentalnych" i t. d., na gościnnych łamach *Ruskiego Wiestnika* i *Moskowskich Wiedomosti.*

Wszelako ta śmiała kampania miała swoje strony drażliwe. Drażliwą było rzeczą uderzać wprost na wysokich dygnitarzy, stojących na czele najważniejszego ministeryum państwowego. P. S. S. Tatiszczew, noszący wszak to samo nazwisko, co znany historyk i latopisarz rosyjski XVIII wieku, stary Wasyl Nikitycz, uciekł się do pomocy historyi. Zastosował dla swoich celów, na swój szczególny sposób, metodę historyczną. Nie przestał mierzyć w p. Giersa, ale wolał uderzyć w jego poprzedników. Uderzył mianowicie nasamprzód w hr. Nesselrodego, ministra spraw zagranicznych i kanclerza cesarza Mikołaja I. Uderzył tutaj w strunę najczulszą: w cudzoziemskie, w niemieckie obu ministrów pochodzenie i nazwisko. W dodatku, w stosunkach familijnych Mikołajewskiego kanclerza udało się wykryć szczegół, wysoce podejrzany. Hr. Nesselrode miał zięcia, który nazywał się Chreptowicz! Niedość na tem, siostra tego Chreptowicza została żoną dyplomaty, któremu nieopatrzny kanclerz powierzał poselstwa rosyjskie w Konstantynopolu i Rzymie. Zastrzegamy znowu, że nie mamy najmniejszego powodu, zamiaru, ani tytułu, łamać kopii w obronie Nesselrodego. Konstatujemy znowu tylko, jakim to sposobem „mały kanclerz" dostał się w ręce nieubłaganego historyczno-politycznego egzekutora *Ruskiego Wiestnika.* Egzekucya istot-

nie była nieubłagana i wyczerpująca. Cała działalność, całe niemal życie rosyjskiego kanclerza o niemieckiem nazwisku, poddane zostały najzjadliwszej krytyce w obszernych pismach p. S. S. Tatiszczewa o „Starej i nowej dyplomacyi rosyjskiej", o „Polityce zagranicznej Mikołaja I" i t. d.

Jednakowoż i ta taktyka miała swoje strony słabe i niedogodne. Bezwzględna solidarność z całym systematem politycznym cesarza Mikołaja I stanowiła, jak wiadomo, jedną z podstaw naczelnych politycznego programu M. N. Katkowa. Jakże tedy z taką zasadą pogodzić bezwzględne potępienie polityki nieboszczyka Nesselrodego, długoletniego i zaufanego doradcy cesarza Mikołaja? Wypadało to, bądź co bądź, dosyć niezręcznie. Przemyślny p. S. S. Tatiszczew znalazł wyjście i z tego kłopotliwego dylematu. Znalazł wyjście jeszcze bardziej „historyczne". Poprostu cofnął się jeszcze nieco dalej wstecz, aż do czasów cesarza Aleksandra I, którego polityka w niejednym ważnym względzie była przedmiotem potępienia w obozie *Ruskiego Wiestnika*. Zarazem zaś poprostu zamiast ministra spraw zagranicznych Aleksandra I, zamiast cudzoziemca Nesselrodego podstawił cudzoziemca — Czartoryskiego. To było jajko Kolumba. To był punkt archimedesowy. To było rozwiązanie najdogodniejsze a najzupełniej bezpieczne. Teraz już p. S. S. Tatiszczew rozpisał się na dobre. W wielkiej „monografii" o „Księciu Adamie Czartoryskim", będącej właściwie niczem innem jak tendencyjną parafrazą ogłoszonych

drukiem ułamków korespondencyi i pamiętników księcia, w szeregu „badań i rozpraw polemicznych“ pod zbiorowym tytułem „Z przeszłości dyplomacyi rosyjskiej“, we wszystkich niemal swoich odtąd publikacyach nie przestawał „demaskować“ ministra Polaka, ministra - inowiercy, ministra - „zdrajcy“. Naprzeciw zgubnej działalności tego rzekomego zdrajcy, któremu rzekoma lekkomyślność cesarza Aleksandra I powierzyła stęr rosyjskich spraw zagranicznych, autor wystawiał dawniejszy, rzekomo całkiem odmienny, a jedynie zdrowy systemat „Iwana Groźnego i Piotra Wielkiego, zasięgających światłego zdania ojca Sylwestra i księcia Dołhorukiego“, oraz systemat Katarzyny II, kierującej się mądrą radą Panina, rdzennych, prawowitych i prawosławnych Rosyan. Te zdrowe tradycye zostały przerwane z winy i nieopatrzności cesarza Aleksandra I, zostały zniweczone zbrodniczą ręką „chytrego Polaka“. „Obecność ks. Adama Czartoryskiego na czele naszego wydziału dyplomatycznego w krótkim czasie odbiła się sposobem najzgubniejszym i najbardziej demoralizującym na całej dyplomacyi rosyjskiej. On pierwszy oderwał ją od rodzimego gruntu, opętał ją i znieprawił“. On to w petersburskiem ministeryum spraw zagranicznych otworzył „formalny najazd cudzoziemców, takich ludzi jak Alzatczyk Anstett, Korsykanin Pozzo di Borgo, Korfiota Capo d'Istria i tylu innych“. On nareszcie— szczegół kapitalny — wprowadził do tego ministeryum obcy język francuski zamiast narodowego, rosyjskiego. „Polak-minister miał czelność dopuścić się tego

zamachu, na który nie zdobywali się najpotężniejsi faworyci XVIII wieku, zamachu, będącego dla polityki rosyjskiej dotkliwszym ciosem, niż klęska austerlicka. W rzeczy samej, zdobycie Paryża mogło zatrzeć ślady Austerlitzu, ale język narodowy, wygnany przez Czartoryskiego, nie odzyskał po dziś dzień wszystkich swoich praw obywatelskich w praktyce dyplomatycznej dworu rosyjskiego". Występna i podstępna działalność ministeryalna ks. Czartoryskiego okropne przyniosła owoce: między innemi, „jej to następstwem były ciężkie doświadczenia wyprawy do Moskwy 1812 r. oraz pogrom sewastopolski 1855 r.". Odtąd i w następnych latach, ciągle mocą tej samej fatalnej konsekwencyi dziejowej, Rosya doprowadzoną została aż nad sam brzeg przepaści, — gdzie dopiero w ostatniej chwili powstrzymał ją i pośpieszył jej na ratunek jedyny wielki, prawdziwy mąż stanu i patryota: Michał Nikiforowicz Katkow.

Sądzimy jednak, że powyższe *curiosa,* wyjęte przez nas z produkcyi „historyczno-publicystyczno-politycznej" p. S. S. Tatiszczewa, powinny najzupełniej wystarczyć. Mnożyć ich dłużej niema zapewne potrzeby. Niema też oczywiście żadnej potrzeby wdawać się w poważne ich roztrząsanie. Któryż to przeciętny uczniak rosyjski nie wie, chociażby z „Historyi" Sołowiewa, że Piotr Wielki nie polegał bynajmniej na radach „wielebnego ojca Sylwestra", lecz natomiast zarząd naczelny właśnie polityki zagranicznej powierzał w ręce: Westfalczyka Ostermanna, Anglika Bruce'a, Szwajcara

Leferta i wice-kanclerza Szafirowa, t. j. *recte* holenderskiego Żyda Szapiry? Któż nie wie, że Katarzyna II, bacznie wystrzegając się Panina i jego pomysłów regencyjnych, w najważniejszych sprawach polityki zagranicznej, zwłaszcza w doniosłych sprawach polskich, używała Niemców: Kayserlingów, Saldernów, Sieversów? Któż nie wie, że cała niemal najgłówniejsza korespondencya dyplomatyczna rosyjska za Anny Iwanówny odbywała się w języku niemieckim, zaś za Katarzyny II i Pawła I — w języku francuskim? Któż nie wie, że w okresie swojej służby ministeryalnej, której czystość absolutna została wszak najdobitniej zaświadczona przez samego cesarza Aleksandra I, Adam ks. Czartoryski najcelniejszych pomocników i przyjaciół w rządzie petersburskim znalazł w osobie rodowitych Rosyan: Woroncowów, Koczubejów, Kurakinów, Strogonowów, kiedy natomiast najzawziętszymi, śmiertelnymi jego wrogami byli właśnie tamci cudzoziemcy, Pozzowie, Anstettowie, Capodistrye, którzy go podkopali, wyparli i sami zajęli jego miejsce? Ale cóż to wszystko obchodzi p. S. S. Tatiszczewa? Cóż go obchodzą oczywiste, niewątpliwe fakty, oczywiste, najprostsze wymagania słuszności, oczywista, powszechnie wiadoma prawda dziejowa? Nie o słuszność, nie o prawdę chodziło temu „historykowi", lecz o cele zupełnie specyalne, do których przystosował całą swoją wytwórczość pisarską. Tej wytwórczości jedną, integralną cząstkę stanowi, jak wskazaliśmy, obecna książka, ukazująca się dzisiaj w szacie polskiej, i z tego względu

przymuszająca nas do niemiłego obowiązku niniejszego wyjaśnienia. O samej onej książce niewiele już dodać potrzeba. Dodamy tyle tylko, że ta książka właściwie z treści swojej nie czyni nawet zadość obiecującemu swemu tytułowi. Niczego absolutnie nie dowiadujemy się z niej o „dyplomacyi rosyjskiej w sprawie polskiej". Znajdujemy tutaj jedynie niektóre luźne, ułamkowe informacye, w jednej połowie najpospolitsze i powszechnie znane, w drugiej połowie całkiem dowolne i tendencyjnie spaczone, o dyplomacyi angielskiej, francuskiej, pruskiej i austryackiej w okresie przesilenia krymskiego i pierwszych lat panowania cesarza Aleksandra II. Zresztą i te informacye — jakkolwiek według zapowiedzi autora mają być oparte na „materyałach dotychczas nieogłoszonych" — w rzeczywistości, z wyjątkiem paru trzeciorzędnych drobnostek, są czerpane całkowicie z drugiej ręki, ze starych opracowań, ze znanych monografii o hr. Kisielewie, o ks. Albercie i t. d. Przedewszystkiem zaś te nieporządne i jednostronne informacye są już z góry dobrane, uszeregowane i oświetlone w ten sposób, ażeby mogły służyć za premisy do jednego, już z góry powziętego wniosku: do formalnego aktu oskarżenia przeciw „zgniłemu Zachodowi". Najniewątpliwiej, w owoczesnej polityce europejskiej wiele jest szczegółów, które pod każdym względem, i z naszego punktu widzenia, zasługują na surowe napiętnowanie. Ale prokurator *Ruskiego Wiestnika* nie troszczy się o szczegóły, nie rozróżnia, nie zestawia, nie ocenia: on poprostu wszystko w czambuł

oskarża i potępia, jednakowo zawzięcie oskarża rzeczy najprzeciwniejsze, byle tylko zachodnie, jednakowo bezwzględnie potępia najsprzeczniejsze pomiędzy sobą momenty polityki pruskiej a austryackiej, angielskiej a francuskiej, wpadając co krok w najdziksze ze samym sobą sprzeczności, nie oglądając się na żadną logikę, nie kierując się żadnem kryteryum, oprócz swojej jedynej logiki prokuratorskiej i oprócz jedynego swego kryteryum o „zgniliźnie Zachodu".

Wszalako, jak rzekliśmy, rozwodzić się dłużej nad samą książką niniejszą niema żadnej potrzeby. Z tego, co wyżej powiedziano o jej genezie i jej myśli przewodniej, łacno domyśleć się istotnego jej charakteru i wartości. Wytykanie szczegółowe wszystkich zawartych w niej błędów, czy to rozmyślnych błędów tendencyi, czy mimowolnych niewiadomości, zaprowadziłoby nas za daleko. Zbyteczna zresztą naukowa recenzya, skoro jej przedmiot nie posiada niezbędnego naukowego cenzusu. Nie o recenzyę też chodziło nam tutaj. Powtarzamy: chodziło o ostrzeżenie. Powtarzamy również, cośmy z góry zawarowali o niezawodnej dobrej wierze tłómacza polskiego. To też, być może, ostrzeżenie niniejsze przyda się nie samym tylko czytelnikom; poniekąd — tuszymy — winno przysłużyć się także i tłómaczom, i uprzytomnić im tę prawdę elementarną, że, jeśli gdziekolwiek, to właśnie w nowoczesnej dziedzinie dziejowo-politycznej, nie dość chcieć dobrze—trzeba dobrze rozważyć, trzeba *wiedzieć*.

Polityka naukowa.

Do najpoważniejszych przedstawicieli nauki rosyjskiej należy dzisiaj niewątpliwie profesor Czyczerin. Nie napotyka się jego nazwisko pośród hałaśliwego rozgwaru przemijających odgłosów i zatargów chwili bieżącej. Ale spotyka się ono tem częściej w spokojnej ciszy dziedzin czysto naukowych. Tutaj to, po wielolicznych wcześniejszych pracach, u kresu długiej i płodnej działalności naukowej, raz jeszcze z nowym owocem swojej wiedzy i swoich rozmyślań wystąpił znakomity uczony. Aliści ta nowa „Polityka" prof. Czyczerina, *) jeśli z metody swojej należy najściślej do nauki, przecie z samej swojej treści należy zarazem do życia. Jest to, w całem znaczeniu słowa, polityka naukowa. A jest także pod każdym względem godną swego autora, którego postać szanowna, a może nie-

*) B. Czyczerin: *„Wykład nauki państwowej: Polityka"*.

dość znana, godnie występuje tutaj w całej pełni. Sędziwa ta postać uczonego i człowieka równy budzi szacunek. Jest to jeden z rzadkich, pozostałych jeszcze przy życiu, koryfeuszów owej szlachetnej generacyi oświeconych Rosyan, która przed laty czterdziestu, w pierwszem zaraniu rządów cesarza Aleksandra II, wystąpiła na widownię publiczną. Zaś, co więcej, jeden z najrzadszych, nigdy on odtąd, w tak długim czasu okresie, w tak znacznych świata i ludzi odmianach, nie sprzeniewierzył się pierwotnym, podniosłym hasłom swojej młodości, nie przygasił nigdy, nawet nie przyćmił, zapalonego wtedy światła ideałów obywatelskich i humanitarnych. Przeciwnie, z iście młodzieńczą, niezmordowaną, nieostygłą energią umysłu i serca, stale odtąd, przez pół wieku blizko, czy to z katedry uniwersyteckiej, czy to z piórem w ręku, nie przestawał i nie przestaje przykładać się do szerzenia zdrowej nauki i zdrowych pojęć w swojem społeczeństwie.

Wieloletni dorobek naukowy prof. Czyczerina nader jest obfity, różnostronny i szacowny. Prawoznawstwo, a w szczególności prawo publiczne, badane, z jednej strony, z najwyższego stanowiska historycznego i moralnego, zaś zarazem, z drugiej strony, rozważane w swojem zastosowaniu do konkretnych wymagań społecznych i politycznych: taki jest wielki i ważny przedmiot, któremu z całem oddaniem się pracowity swój żywot poświęcił płodny myśliciel i pisarz. Już pierwsza jego praca, czysto specyalna, rozprawa doktorska o „Urządzeniach lokalnych Rosyi w XVII wieku“—

(1856), odznaczała się rzadką gruntownością badania i przejrzystością wykładu. Rzecz ta była pisana jeszcze w czasach wojny krymskiej; wszakże, jak opowiada sam autor, „jakkolwiek nie było tutaj najmniejszych aluzyi politycznych, jednakowoż taki wtedy panował nastrój, że cenzura fakultetowa przez dwa lata zatrzymywała ogłoszenie mojej rozprawy i tylko dzięki jedynemu ówczesnemu oświeconemu cenzorowi von Krusemu, będącemu prawdziwie opatrznością piśmiennictwa, książka mogła ukazać się z druku". Po takiem najpierwszem doświadczeniu, wyniesionem z kończącej się właśnie epoki, młody autor z tem większym zapałem powitał świtającą nową dobę, powitał nowe tchnienia liberalne, jakie zapanowały w społeczeństwie rosyjskiem od pierwszej chwili wstąpienia na tron cesarza Aleksandra II. Głęboko przeświadczony o niezbędności zużytkowania dla swego kraju wielkich zdobyczy kultury zachodniej, piękny dał wyraz tej myśli w zajmującym zbiorze pomniejszych studyów p. t. „Zarysy Anglii i Francyi" (1858), w książce publicystycznego już raczej zakroju, obliczonej na szersze koła publiczności, ale tembardziej suggestywnej i ponętnej. „Częstokroć— powiada tutaj trafnie w przedmowie — nam Rosyanom czyniony bywa zarzut, że zanadto interesujemy się sprawami obcemi, a za mało znamy swojskie. Tymczasem w rzeczywistości dzieje się naodwrót: i dlatego właśnie nie uświadamiamy sobie należycie siebie samych, bo obcych nie znamy dostatecznie". To też obce szlachetne umysły biorąc sobie za przewodników, biorąc

za punkt wyjścia pisma Montalemberta i Tocquevilla, roztrząsa tutaj nieuprzedzony pisarz rosyjski, z krytyczną wprawdzie trzeźwością ale też ze szczerą sympatyą, uznaniem, nieraz podziwem, dojrzałe instytucye społeczne i państwowe Anglii i Francyi. W szczególności w studyum końcowem „O włościanach francuskich", wystawił szereg dających do myślenia spostrzeżeń porównawczych, podyktowanych oczywiście przez aktualną naówczas, arcyważną sprawę uwłaszczenia włościan. Zresztą i tę właśnie i niektóre inne palące sprawy chwili poruszył niebawem, sposobem popularnym a śmiałym, w oddzielnem piśmie: „Niektóre zagadnienia spółczesne" (1861). Nie zaniedbując atoli zarazem pracy czysto naukowej, ogłosił w tym czasie cenne „Studya do historyi prawa rosyjskiego", które otworzyły mu wstęp na katedrę uniwersytecką w Moskwie. Wykładał tutaj odtąd, przez przeciąg niespełna lat siedmiu, od 1861 do 1868 roku, ogólne prawo państwowe, z bacznem zwłaszcza uwzględnieniem rozwoju myśli politycznej Zachodu, zarówno w zakresie spekulacyi teoretycznej, jakoteż prawodawczego w życiu zastosowania. Razem z Sołowiewem, Dmitriewem i innymi ówczesnymi luminarzami wszechnicy moskiewskiej dzielił zasługi i powodzenia nauczycielskie, zaś więcej może, niż ktokolwiek inny, potrafił zaskarbić sobie sympatyę i przywiązanie młodzieńczych swoich słuchaczów.

Około tego samego czasu odebrał prof. Czyczerin zaszczytny dowód zaufania z wysokości tronu. A mia-

nowicie, powołany został przez cesarza Aleksandra II do wykładania nauk państwowych i politycznych młodemu cesarzewiczowi następcy tronu, Mikołajowi Aleksandrowiczowi. Z całym zapałem oddał się temu doniosłemu zadaniu. Pojął je i wywiązał się z niego w duchu jedynie właściwym. Nie poszedł za lichą tradycyą układnych pedagogów spadkobiercy Ludwika XIV, nie chował światła pod korcem, nie dawał okrojonej nauki *ad usum Delphini*. Owszem, dostojnemu swemu słuchaczowi, do którego sympatycznej osoby żywo się przywiązał, wykładał pełny kurs uniwersytecki, pogłębiając go jeszcze nadto w miarę możności; zaś, co najważniejsza, w tej tak trudnej, tak drażliwej, tak omylnej nauce państwowości i polityki, wykładanej przed takim słuchaczem, starał się wydobywać nietylko stronę realną samych faktów dokonanych, lecz przedewszystkiem te idealne zasady wytyczne prawa, słuszności i postępu, które jedynie godne są zostać kompasem i sterem przyszłego rządcy wielolicznych krajów i ludów. Mając obecnie przed oczyma ogłoszoną drukiem zawartość owych wykładów prawno-państwowych, czytanych cesarzewiczowi przez prof. Czyczerina, możemy należycie ocenić całą wyjątkową zasługę nauczyciela, którego cesarz Aleksander II tak trafnym i światłym wyborem był powołał na wychowawcę swojego pierworodnego syna. Wszelako tak zacnie pojęta, tak wiele rokująca praca wychowawcza nie miała przynieść spodziewanych owoców. Przeciął ją przedwczesny, jak wiadomo, zgon cesarzewicza, będący niewątpliwie

dla Rosyi bardzo ciężką, bardzo dotkliwą stratą. Niebawem skądinąd jeszcze zaszły znaczne zmiany w działalności naukowej prof. Czyczerina. Skutkiem burzliwych wypadków uniwersyteckich w Moskwie 1867 r., skutkiem rozmaitych nadto powodów ogólniejszego znaczenia, czując się niezdolnym do kompromisów, tak samo w życiu, jak w przekonaniach, uznał za właściwe ustąpić z katedry. Cofnął się odtąd, przez lat trzydzieści, do zacisza wiejskiego. Tutaj to, zdala od zmiennych prądów i uniesień, a zwłaszcza od nienawiści chwili bieżącej, z niezmąconą pogodą ducha, z dalekonośną przenikliwością sądu, obmyśla i wykończa coraz nowe prace i coraz dojrzalszymi płodami swego talentu i wiedzy, swego umysłu i swojego sumienia, darzy naukę, piśmiennictwo i społeczność rosyjską.

Jeszcze za czasów swoich uniwersyteckich ogłosił większe, nader ciekawe badanie „O przedstawicielstwie narodowem". Rozbierając tutaj po kolei „istotę i charakter", „rodzaje" i „rozwój dziejowy" urządzeń przedstawicielstwa w Europie, nietylko dał jasny wyraz swoim przekonaniom teoretycznym w tej sprawie, lecz zarazem, w nader interesującym rozdziale o „Soborach ziemskich rosyjskich", poczynił szereg uderzających spostrzeżeń o właściwym duchu, znaczeniu prawnem, wzroście i upadku tej instytucyi w XVI i XVII wieku, od czasów Iwana Groźnego do Aleksego Michajłowicza. Po opuszczeniu katedry wystąpił niebawem z kilkotomowem dziełem „Historya nauk politycznych". Nie kusząc się o wyczerpującą pełność bibliograficzną—

na sposób znanej książki Mohla — a natomiast ofiarując treściwe, wszędzie u źródła czerpane, przedstawienie najgłówniejszych tylko teoryi politycznych, zbudowanych przez najcelniejsze umysły Europy zachodniej, wraz z krytycznym, może nieraz zbyt formalnym, zbyt pedanckim komentarzem, obfitą dał strawę nieoswojonej z tym przedmiotem publiczności rosyjskiej. To obszerne dzieło jest właściwie częścią dawniejszego wykładu uniwersyteckiego. To też, w pięknej dedykacyi, poświęcił je autor swoim dawnym słuchaczom, studentom wszechnicy moskiewskiej: „zmuszony opuścić stanowisko, na którem dłużej pozostawać zabraniał mi honor,—tak wyraża się tutaj— zachowałem przecież możność dalszej dla was pracy". Podobnież i późniejszą książkę: „Własność a państwo", poświęcił „młodzieży rosyjskiej", w której pokładał nadzieje lepszej przyszłości swego narodu, wśród wstrząsających wypadków ówczesnej niezwykłej chwili. W krótkości tylko notujemy szereg innych pism, treści raczej abstrakcyjnej: „Nauka a religia", „Mistycyzm w nauce", „Filozofia pozytywna a jedność nauki", „Zasady logiki i metafizyki" — nie wszędzie, rzecz prosta, przekonywających, lecz przeniknięty wszędzie zdrowym, oświeconym sądem i, bądź co bądź, świadczących dowodnie o rozległym, nietylko fachowym, widnokręgu duchowym. Śpieszno nam dotrzeć do ostatniego wielkiego dzieła, nie publicysty już ani filozofa, ale znakomitego prawoznawcy, polityka i obywatela, które stanowić bę-

dzie niezawodnie koronę długoletniej zasłużonej działalności prof. Czyczerina.

„Wykład nauki państwowej", rozłożony na trzy części czyli działy główne, w rzeczy samej, z pierwszego już wejrzenia, przedstawia się jako najdojrzalej przetrawiona, najszerzej pojęta, najstaranniej wykończona praca uczonego moskiewskiego. Jest to niejako jego naukowy i społeczny testament. Owóż — jak należy stwierdzić z największem uznaniem — ten testament starca nie jest niczem innem, jeno czystszem jeszcze, przejrzystszem, bardziej pogłębionem, bardziej stanowczem i bardziej sharmonizowanem, wyznaniem wiary młodego człowieka. „Wykład nauki państwowej", w tej postaci, w jakiej ukazuje się obecnie, powstał mianowicie z przechowanych przez autora brulionów kursu nauk państwowych i politycznych, czytanego niegdyś cesarzewiczowi Mikołajowi Aleksandrowiczowi. „Od tamtych czasów — pisze prof. Czyczerin we wstępie do pierwszej części swego dzieła — minęło przeszło ćwierć wieku. Wszakże ta okoliczność skłoniła mnie tylko do wprowadzenia zmian bardzo niewielkich... W kierunku naszej myśli społecznej w ciągu tego okresu dokonał się przewrót gwałtowny. Ale zmienne metamorfozy opinii publicznej nie mogą z równowagi wytrącić rzetelnej, ścisłej nauki, która dąży przed siebie mocnym i pewnym krokiem i swoje wnioski opiera nie na przelotnych wymaganiach doby bieżącej, lecz na wszechstronnie sprawdzonem rozumowaniu oraz na niewzruszonej podwalinie faktów dziejowych". W takim

duchu przedsięwzięte dzieło zajmuje się w części pierwszej „Ogólnem prawem państwowem". Badane tu są kolejno w pięciu księgach: „Istota i żywioły zasadnicze państwa", „Urządzenia państwa", „Prawa i obowiązki obywateli", „Prawodawstwo i sądy", wreszcie „Administracya". Nie możemy wchodzić tutaj w szczegóły. Ograniczamy się do zaznaczenia kilku ważniejszych i piękniejszych ustępów, jako to: trafne definicye sposobów „powstawania i upadku państw", szczytne prawdy o „stosunku państwa do Kościoła", doskonałe spostrzeżenia o „zadaniach administracyi", „stosunku administracyi do prawa" i „organach lokalnych". Natomiast zastrzedz się musimy przeciw zgoła mylnemu pojęciu urządzeń wewnętrznych Rzpltej polskiej, jej instytucyi prawodawczych i administracyjnych, sejmu konfederacyi i t. d.; śpieszymy wszakże zaraz dodać, że błędy, popełnione tutaj przez autora, są wyłącznie skutkiem niedostatecznej informacyi, w żadnym zaś razie nie wynikają z jakiegokolwiekbądź nieprzyjaznego uprzedzenia. Część druga całości poświęcona jest „Socyologii". Ograniczyć się musimy znowu do podkreślenia dwóch tylko najpiękniejszych ustępów o „religii" i „wychowaniu". I tutaj wprawdzie w niejednem miejscu wypadłoby nam zastrzedz się przeciw pewnym pojedyńczym założeniom i wnioskom autora. Naogół przecież możemy tylko z zupełnem uznaniem zaznaczyć cały podniosły nastrój, nieskazitelną dobrą wiarę, ściśle bezstronny i prawdziwie humanitarny sposób traktowania tych obu, tak wyjątkowo doniosłych

materyi. Zaś w szczególności, co do spraw wychowania publicznego, wydały nam się zwłaszcza ze wszech miar trafnemi spostrzeżenia, uczynione z powodu szkoły średniej i wyższych zakładów naukowych, oraz ustawy uniwersyteckiej rosyjskiej z 1884 roku.

Część trzecia i ostatnia, a jak mniemalibyśmy, najcelniejsza całego „Wykładu", składająca się sama przez się na poważną i odrębną całość, tworzy oddzielne, obszerne dzieło, które właśnie dało nam pochop do uwag niniejszych. „Polityka" prof. Czyczerina rozpada się na sześć ksiąg, rozstrząsających kolejno „zasady polityki", „utworzenie państwa", „politykę urządzeń państwowych", „politykę prawodawstwa", „politykę administracyi" i „politykę stronnictw". Punkt ciężkości księgi pierwszej stanowi rozbiór zasadniczego zagadnienia o stosunku pomiędzy „polityką a moralnością". „W pewnej dziedzinie — w tych lapidarnych wyrazach streszcza myśl swoją autor — przymus równa się negacyi moralności wogóle. Wynika stąd, że państwo, jako związek przymusowy, nie powinno wkraczać do dziedziny stosunków czysto moralnych". Ustaliwszy zaraz na wstępie taki pewnik ogólny, w dalszym ciągu wyprowadza stąd autor z konsekwencyą najściślejszą długi szereg bardzo doniosłych wniosków poszczególnych. Wyprowadza zarazem bezwarunkowe potępienie wszelkich gwałcących tamten pewnik metod rządzenia i ludzi rządzących, bez żadnego względu na ich t. zw. „wielkość historyczną". Do takiej roboty „historycznej" stosuje bez wahania i bez różnicy Tacytowe wyrazy:

„solitudinem faciunt, pacem appellant". Z tego to punktu widzenia rozważając dla przykładu dzieje i czyny Fryderyka II, o głównym tryumfie politycznym króla pruskiego odzywa się słowami zapożyczonemi od pruskiego męża stanu, barona Steina: *„ein abscheuliches politisches Verbrechen"* i całą złowróżbną postać wielkiego Prusaka ocenia i piętnuje ze stanowiska prawnego sposobem tak surowym a trafnym, iż ze stanowiska historycznego można tylko podpisać się pod tym wyrokiem. Tak też być powinno, albowiem prawda jest jedną dla prawoznawcy i historyka i jednym tylko głosem przemawia. Dodajmy, że przy tej sposobności z równą otwartością, z bezstronnością bezwzględną, przychodzi autorowi wyrazić swoje przekonanie o polityce epoki Katarzyny II. Podobnież jak Prusy Fryderykowe, tak samo i dzisiejsze Niemcy cesarskie nie cieszą się sympatyami autora. Zaznaczmy atoli natychmiast, że tutaj jego poglądy niezawsze wydają się dostatecznie wymotywowane. Dla naprawy niezdrowych stosunków dzisiejszych w Europie uważa autor za warunek nieodzowny „pozbawienie cesarstwa niemieckiego jego obecnego dominującego położenia. Pośrodku Europy potrzebna jest poduszka, lecz nie baterya". Stąd płynie wniosek, że należałoby przywrócić dawny systemat federacyjnych państw niemieckich.

Z kolei punkt ciężkości księgi drugiej stanowi wyjaśnienie zawiłych zagadnień, nasuwanych przez „politykę narodowościową". I w tem również miejscu zmuszeni jesteśmy poczynić swoje zastrzeżenia przeciw

niektórym zupełnie nieusprawiedliwionym, rzuconym bez należytej rozwagi, poglądom ubocznym autora. Tem chętniej atoli znowuż uznać możemy całą trafność założeń ogólnych, z któremi on przystępuje do rozwiązania spornych pytań narodowościowych, oraz całą siłę konsekwentnej argumentacyi, z którą wyprowadza rozumne i słuszne wnioski praktyczne z tamtych najsłuszniejszych i najrozumniejszych założeń teoretycznych. „Naród, który żył wielkiem życiem historycznem — te mądre i zacne słowa prof. Czyczerina znajdą oddźwięk w każdej prawdziwie szlachetnej duszy, znajdą potwierdzenie w każdej prawdziwie logicznie rozumującej głowie bez różnicy pochodzenia, za te zacne i mądre słowa wdzięczny mu będzie nietylko Polak, lecz, może bardziej jeszcze, światły Rosyanin — naród bogato uposażony przez naturę i ożywiony niezłomną miłością kraju, nie może zniknąć z oblicza ziemi. Uległszy okolicznościom zewnętrznym, naród polski zachował nietkniętą swoją odrębność duchową. Z nim wypada się liczyć... Niemasz tutaj zgoła miejsca dla owego mniemanego dylematu, postawionego przez wielkiego naszego poetę (Puszkina): rzeki słowiańskie zali spłyną do rosyjskiego morza? zali też ono wyschnie? Przeciwnie, można twierdzić z największą pewnością, że ani rzeki słowiańskie nie pogrążą się w morzu rosyjskiem, które i bez nich dosyć jest obszerne, ani też ono nigdy wyschnięcia obawiać się nie ma powodu". Rozpatrując następnie stosunki słowiańskie w Austryi spółczesnej, zastanawiając się równolegle nad rozwojem historycz-

nym sprawy słowiańskiej w Rosyi, zwłaszcza w okresie cesarza Aleksandra I Pawłowicza, autor wysnuwa stąd rozliczne, bardzo ważne i bardzo daleko sięgające konsekwencye. „Zapewne — postrzega w tem miejscu prof. Czyczerin — w obecnej chwili są to tylko marzenia. Ale ani myśliciel polityczny, zatapiający spojrzenie w odległą przyszłość, ani też naród, świadomy swego cywilizacyjnego powołania, nie może wyrzec się ideału, nie wyrzekając się najwyższej ludzkiej godności. Zaś ideału stanowić nie może uwiecznienie walki. Nie przez nielitościwe powoływanie się na rzekome wyroki historyi, osłaniające w rzeczywistości tylko faktyczną przewagę, ale przez należyte uwzględnienie wyższych wymagań moralnych, wypełniają wielkie narody prawdziwe swoje posłannictwo wśród ludzkości".

Nie mamy oczywiście sposobu wyczerpać na tem miejscu bogatej zawartości obszernego dzieła prof. Czyczerina. Nie możemy wszakże nie zwrócić uwagi na rozumne i nauczające wyłuszczenia autora z powodu „prawodawstwa ogólnego i miejscowego". „Panowanie nad obcymi narodami — oświadcza uczony rosyjski— jest nietylko prawem, lecz oraz wysokim moralnym obowiązkiem. Każdy, kto żywi istotną wiarę w Opatrzność, musi być przeświadczonym, że nie na to jedno plemię oddane zostało pod władzę drugiego, aby je trzymać na wodzy, ale na to, aby uczynić zadość jego właściwym, naturalnym potrzebom. Jeżeli polityka nie jest jedynie wyrazem nagiej przewagi, jeżeli państwo

nie jest jedynie, według słów św. Augustyna, wielkiem łupiestwem, w takim razie nie może ono wyrzec się tego wysokiego swego obowiązku... Najłatwiej, co prawda, daje się to wykonać w takim wypadku, kiedy narodowość panująca góruje nad podbitą pod względem zarówno kultury, jakoteż cech moralnych. Gdzie nie zachodzą takie pomyślne warunki, zaś zwłaszcza, gdzie plemię podbite góruje oświatą nad panującem, tam istotny związek wewnętrzny można ustalić wyłącznie przez przestrzeganie należytego szacunku dla utrwalonych *(okriepszych)* form życia i właściwości narodowych. Takie jest bezwarunkowe wymaganie zdrowej polityki. A mianowicie, dwie są rzeczy wagi najpierwszej, których dotykać należy z ostrożnością największą: religia i język". W obszernych, nader silnych i bezwzględnie prawdziwych wywodach rozwija w dalszym ciągu prof. Czyczerin swoje poglądy na politykę religijną i językową, ilustrując je mnóstwem nauczających przykładów, czerpanych z obfitej skarbnicy dziejowego doświadczenia. „Gdyby nawet udało się zupełnie wyprzeć język miejscowy i zastąpić go przez urzędowy, nie zmniejszyłoby to przecie w niczem nasienia nieprzyjaźni. Ludność irlandzka przyjęła język angielski, a jednak jej nienawiść dla Anglików trwa po dawnemu i stanowi dla narodu panującego źródło nieobliczonych kłopotów. Gdzie zaś naród dosięgnął już pewnego stopnia oświaty i posiada własne bogate piśmiennictwo, tam on nigdy nie wyrzeknie się swego języka ojczystego". W tym samym duchu, z powagą i rozwagą już

nie uczonego teoretyka, ale prawdziwego, wytrawnego statysty, roztrząsane są szczegółowo przez autora, w dwóch ostatnich księgach o „polityce administracyjnej“ i „stronniczej“, najzawilsze i najdrażliwsze materye społeczne i polityczne. Zamyka się całość dzieła konkluzyą najogólniejszą: „Ażeby monarchia historyczna mogła wypełniać swoje posłannictwo, powinna dążyć za rosnącemi potrzebami życia i wnikać w rzeczywiste jego wymagania. Duch zacofany równie jest szkodliwym dla życia państwowego, jak duch wywrotowy: albowiem nie walka ale harmonia jest tego życia najwyższym przewodnim celem“.

Zamykamy na tem krótką relacyę niniejszą. Zdaliśmy ją z rzetelną przyjemnością, gdyż zasługiwał na to przedmiot, zasługiwał pisarz i człowiek niepospolity, z którym wypadało zapoznać czytelników polskich. Ludzie tego rodzaju i tej miary, jak prof. Czyczerin, przynoszą zaszczyt narodowości, do której należą i u każdej oświeconej obcej budzić muszą głęboką sympatyę i szacunek. Szczerze życzymy społeczeństwu rosyjskiemu jak najwięcej takich światłych synów, zaś sędziwemu myślicielowi moskiewskiemu—długich jeszcze lat pożytecznej pracy pod tem samem niepożytem hasłem prawdziwej nauki i prawdziwego humanizmu.

Widoki Azyi.

Świat cały w chwili obecnej ma oczy zwrócone w kierunku dalekiego Wschodu. Powszechna jest świadomość, iż teraz właśnie, u progu XX stulecia, tam gdzieś na krańcach starej Azyi dokonywa się niesłychanej doniosłości moment zwrotny w dziejach wszechświatowych. Wszakże jest to raczej niespokojne i nieokreślone, jak zmora, uczucie instynktowne, aniżeli jasne pojęcie tych rzeczy odległych. Inaczej zresztą być nie może. Zbyt niespodzianie przyszły wypadki i zbyt niespodzianie w nagłej zmieniają się kolei, ażeby zaskoczona znienacka opinia publiczna Zachodu mogła odrazu zoryentować się w nich należycie, sens ich istotny wyrozumieć i przejrzeć ukryte w nich widoki przyszłości. Ten skwapliwiej atoli w tych zawikłanych, ciemnych, a przecież arcyważnych materyach należy zasięgać światła od ludzi, głębiej wtajemniczonych i lepiej świadomych. Takim człowiekiem, takim *homme qui sait,* jest niewątpliwie ks. Uchtomski. Te kraje i te sprawy dalekiego Wschodu on zna z własnej naocznej

obserwacyi. Zna je z tytułu swego stanowiska, jako kierownik poważnej instytucyi finansowej. Zna z tytułu swego zawodu, jako utalentowany i wpływowy publicysta. Zna wreszcie z tytułu swego politycznego wyznania wiary, jako wymowny głosiciel pewnych przewodnich haseł, jako stały reprezentant pewnych dążeń zasadniczych, mających punkt wyjścia właśnie na terenie dalekiego Wschodu. Głos takiego specyalisty jest niezawodnie i ważny i nauczający. Oświecić się u takiego rzeczoznawcy może być tylko z największą korzyścią. Na szczęście ks. Uchtomski w obecnej dobie gorączkowego zajęcia dla rzeczy i wypadków egzotycznych uznał za stosowne uprzystępnić szerszym kołom swoje najogólniejsze rozmyślania i swoje poglądy wytyczne w tym interesującym przedmiocie. Otrzymaliśmy mianowicie nader ciekawy zbiór jego celniejszych enuncyacyi w sprawach dalekiego Wschodu *). Jest to rzecz poniekąd programowa. Rzuca ona rzęsisty snop światła nietylko na rozgrywające się na powierzchni wypadki, lecz oraz, co nierównie ważniejsza, na tające się w głębinach kierownicze prądy i dążenia. To też pośpieszamy, w skromnej roli oświecającego się skwapliwie czytelnika, wydobyć na jaw wszystkie światła, bijące z zajmującej zawartości tej zaiste niezwykłej publikacyi.

---

*) Ks. Uchtomskij: *„Rzecz o stosunku Zachodu i Rosyi względem Wschodu"*.

Książka ks. Uchtomskiego obejmuje kilkanaście luźnych rozdziałów, wszędzie jednak połączonych między sobą najściślejszym związkiem logicznym. Ogarniają one ogółem jedną ogromną całość: wykreślają przyszłe widoki całej niemal Azyi. W szczególności zaś grupują się dokoła dwóch naczelnych ognisk kultury azyatyckiej, z jednej strony — Indostanu, z drugiej — Chin.

Rozdział wstępny nosi znamienny tytuł: „O pokrewieństwie *(srodstwie)* Indyi a Rosyi". Sam już ten tytuł jasno uwydatnia oryginalną myśl przewodnią, którą też zaraz od pierwszych słów rozwija autor z wielką wymową i zapałem. „Przeszłość naszej Rosyi i przeszłość najbardziej typowej krainy Wschodu, Indyi, są podobne do siebie i spokrewnione z sobą aż do najdrobniejszych szczegółów i najzupełniej tak samo zawierają w sobie podobną rękojmię przyszłości". Zdaniem autora, „tam hen za Ałtajem i Pamirem odnajduje się w gruncie rzeczy ta sama nieskończona Ruś przed-Piotrowa z całą swoją potęgą tradycyi i niewyczerpanym zasobem miłości". Autor zdaje sobie sprawę z całej nadzwyczajnej nowości tego swojego poglądu. „Takie porównanie tuziemców indyjskich z ludem wielkorosyjskim zapewne przez wielu będzie uznane za tendencyjne, nieprawdopodobne, albo zgoła fantastyczne". Jednakowoż przy bliższem w rzecz wejrzeniu ta niespodziana analogia potwierdza się pod każdym względem w świecie wyższej idei historyozoficznej

o „zjednoczeniu z powrotem *(wozsojedinienii)* Rosyi z Azyą".

W rzeczy samej, nasamprzód, ze stanowiska dziejowego okazuje się, że niemal równocześnie „dziki Turan stepowy, t. j. Mongołowie, uderzył na świat bramiński oraz na plemię wielkorosyjskie". Było zatem zupełne podobieństwo indyjsko-rosyjskie w tej pierwotnej klęsce dziejowej. Następnie znowu z „obu stron zaczęła się reakcya, w Indostanie i w carstwie moskiewskiem, i nagle tutaj wnętrze Rosyi a tam za Himalajami ziemie Dekkanu prawie w jednej dobie budzą się do wyższej samowiedzy!" Było zatem znowuż zupełne podobieństwo indyjsko-rosyjskie w tem następczem wyzwoleniu dziejowem. Odtąd wprawdzie ujawnia się pozorna rozbieżność losów obustronnych, wynikająca atoli nie z natury rzeczy, lecz sztucznie narzucona skutkiem najazdu Europy zachodniej na Azyę. Rosya, raz otrząsnąwszy się od jarzma mongolskiego, podniosła się do najwyższego stopnia samodzielnej potęgi. „Natomiast Indye doświadczyły nowego upadku skutkiem pojawienia się i najazdu garści europejskich przybyszów - eksploatatorów, t. j. najprzód Portugalczyków, a pod koniec, co najgorsza — Anglików. Tych więc przybyszów wyłącznem jest dziełem i winą, że ów piękny pierwotny zespół dziejowy indyjsko-rosyjski został następnie sztucznie przerwany. Prosty stąd wniosek, iż dla przywrócenia tamtej pierwotnej dziejowej harmonii, tych jej kłócicieli przedewszystkiem należy usunąć.

Ks. Uchtomski przeprowadza malowniczą paralelę pomiędzy odkryciem Indyi przez towarzyszów Vasca de Gamy a zdobyciem Syberyi przez kozaków Jermaka. Ta paralela wypada całkowicie na niekorzyść Portugalczyków i całkowicie na korzyść junaków stepowych. Zdaniem redaktora „Wiadomości Petersburskich", Camoens w „Luzyadzie" był tylko zaślepionym panegirystą „zachodnich demonów-grabieżców". Rozsławiony przez niego Vasco de Gama nietyle był bohaterem, ile takim właśnie demonem, zwłaszcza, jeśli go zestawić z prostoduszną postacią Jermaka. A mianowicie, w porównaniu z zachodnio-europejską gospodarką w Indyach, „srogość, wyrzucana naszej wolnicy kozackiej na Syberyi, wyda się humanitarną i zazwyczaj zastosowaną do warunków miejscowych". „Jeżeli nawet tutaj wymierają rozliczne szczepy Samojedów, Ostyaków i koczowniczych Tunguzów, to odbywa się to nie z winy jakiejkolwiekbądź presyi panującego żywiołu, lecz poprostu na mocy zmienionych warunków ekonomicznych". W ogólności cały systemat kolonizacyi Syberyi, w porównaniu z cudzoziemskimi rządami w Indyach, widocznie objawia „uderzającą ludzkość względem tuziemczych stosunków i praw życiowych". Zaś w tym samym czasie niemiłosierna inwazya angielska, oparta na zgoła odmiennych zasadach rządowych, najcięższe utrapienia ściągnęła na nieszczęsny świat indostański. „Gdy rosyjski tytan północny, całkiem dotąd zjednoczony z Indyami pod względem historycznym, rozwinął się w całej pełni i z każdym dniem dalej

rozwija nagromadzoną w sobie dziejową energię,— natomiast Indye drętwieją pod uciskiem swoich, pozbawionych podstawy, uniwersytetów, wolnej prasy, kongresów i innych podobnych, niezmiernie kosztownych dobrodziejstw". Te fikcyjne dobrodziejstwa nie są w stanie zasłonić przed przenikliwym wzrokiem rosyjskiego publicysty odgadywanych i opłakiwanych przez niego cierpień i męczarni, które, jego zdaniem, administracya angielska zwala na barki swoich ludów indyjskich.

To też autor nie wątpi bynajmniej, że wobec takich warunków Indusi żywić muszą w głębi duszy nieubłaganą nienawiść dla wyniosłych Anglików, wysysających, jak pijawki, niewyczerpane bogactwa ujarzmionego Indostanu. A zarazem — taki stąd pocieszający wywód prowadzi ks. Uchtomski — te nieszczęsne ofiary brutalnego wyzysku angielskiego muszą w głębi duszy czynić porównanie pomiędzy zgoła odmiennemi zasadami rządzenia, stosowanemi w brytańskich a rosyjskich posiadłościach azyatyckich, pomiędzy drapieżnymi pazurami lamparta brytańskiego a opiekuńczemi skrzydłami rosyjskiego orła.

W rzeczy samej, według obrazowego wyrażenia ks. Uchtomskiego, „skrzydła orła rosyjskiego nazbyt szeroko przykryły horyzont Wschodu, aby mogła istnieć najmniejsza wątpliwość, iż na związku organicznym z temi odległemi krainami polega prawdziwa rękojmia przyszłości Rosyi". Sama Azya dobrze zdaje sobie z tego sprawę. „Zupełnie inaczej, niż na Anglików, za-

patrują się na nas wszystkie narody Wschodu. Znają one potęgę Białego Carstwa..., wiedzą, że my zawsze wnosiliśmy i wnosimy do chaosu własnego i obcego życia zasady prostoduszności i szczerej dobroci, pragnienie świętej zasługi i pogląd na człowieka każdego plemienia i każdego wyznania, jako na istotę Bożą, blizką naszemu sercu". Wewnętrzny pociąg wzajemny, głębokie wewnętrzne powinowactwo co krok w małych i wielkich ujawnia się znakach. Jeszcze w połowie XV wieku Afanasij Nikitin, mieszczanin z Tweru, chodził w gościnę do dalekich Indyi, a iluż jemu było podobnych, o których zaginęła wiadomość! I dzisiaj jeszcze „węzły historyczne i etnograficzne jednoczą naród rosyjski z Irano-Turanem, od morza Kaspijskiego aż do Gangesu i Dekkanu. Ta wspólność charakteru wewnętrznego objawia się nawet w drobnych szczegółach". Tak np. wyraz „szuba" odnajduje się w języku plemion Indyi północnych. Czyliż nie jest to zastanawiające? Również okazuje się, że „i tam w Indyach i w Rosyi u wielu mężczyzn jednakowo przejął się przesądny zwyczaj noszenia kolczyka w jednem uchu". Czyliż nie daje to do myślenia? A dalej, „któż u nas wie o tem, że za Himalajami raz do roku, latem, obchodzi się pewna uroczystość, podczas której chłopcy skaczą dokoła rozpalonych ognisk i śpiewają pieśń?" Nareszcie, „czyliż nie jest dziwne, że gminy wiejskie u nas i za Himalajami odznaczają się jednakową organizacyą? Podobne przykłady możnaby mnożyć bez końca. A wobec tego któż u nas, z wyjątkiem chyba zatwardziałych stronni-

ków Zachodu *(zapadników)*, będzie mógł wątpić choćby na chwilę, że tamten nieuświadomiony jeszcze przez nas Wschód stanowi z samego swego ducha taką samą organiczną przynależność dzierżaw Monomachowych, jaką już uczyniona została ziemia zawołżańska i Syberya?"

Takie też jest silne i serdeczne przekonanie ks. Uchtomskiego. „Dla nas, dla nietkniętego w swoich głębiach Wschodu rosyjskiego, a w równej mierze i dla Azyi, podstawę bytu stanowi wiara w Bóstwo oraz ufność dla jedynej, ustanowionej od Boga, Władzy. Ten prostoduszny światopogląd *miliarda* ludzi staje w zamkniętej, nieuniknionej sprzeczności z materyalistycznym światopoglądem Zachodu, w sprzeczności, jak gdyby wskazanej przez samą przyrodę". Tym to sposobem, „kiedy państwa zachodnio-europejskie są tylko przypadkowemi, chorobliwemi naroślami na olbrzymiem ciele lądu azyatyckiego", natomiast „węzły, łączące Rosyę z Irano-Turanem, a tem samem zarówno z pokrewnemi Indyami i Państwem Niebieskiem, są trwałe i przedwieczne... Od Erzerumu aż do krańców ussuryjskich nie istnieje żaden rozdźwięk wewnętrzny pomiędzy t. zw. zwycięzcą a zwyciężonym, będącym wszak dla nas bratem z krwi, z tradycyi, z poglądów. My tylko mocniej jednoczymy się i spokrewniamy się z tem, co zawsze było nasze".

Na tem zamyka się zawartość pierwszej połowy niniejszych spostrzeżeń ks. Uchtomskiego, który zresztą, w szeregu ciekawych uwag dodatkowych, sięga

jeszcze z tej strony aż do Ceylonu oraz posiadłości holenderskich na Archipelagu malajskim. Albowiem z obszernego swego widnokręgu nie wyłącza on, nie wypuszcza tych nawet, odleglejszych i drobniejszych objektów. Pomijając te interesujące, lecz już raczej drugorzędne zboczenia, rozpatrzymy się z kolei w drugiej, ciekawszej jeszcze, gdyż aktualniejszej połowie dziejowo-politycznych poglądów autora, gdzie zostają dotknięte i w nowem objawione oświetleniu palące sprawy i zagadnienia chińskie.

Widzieliśmy, jak głębokie, oryginalne, a nawskróś konsekwentne uczucia sympatyi i powinowactwa żywi ks. Uchtomski dla ogromnego świata indostańskiego. Wszakże redaktor „Wiadomości Petersburskich" zatacza z kolei krąg tych samych uczuć dokoła rozleglejszego jeszcze świata i kultury chińskiej. Zdaniem autora, „wielki naród chiński, który doprowadził do najwyższego stopnia podniosłości i prostoty kult Władzy i Nieśmiertelności, jest naszym najlepszym sąsiadem". Z łatwością przychodzi autorowi i z tej również strony odsłonić uderzające punkty styczności i wspólności. „W naszych guberniach środkowych, np. w ziemiach wojska dońskiego i uralskiego, są kozacy - buddyści, krewni dawnych danników Pekinu, a są także duchowni-lamowie, chadzający tutaj w takim samym stroju, jak gdzieś na urwiskach Tybetu". Zdarza się też nieraz, że „księża buddyjscy udają się z Kalkutty do Syberyi i do Petersburga, Tybetańczycy zaś stale utrzymują ścisły związek z naszymi Buryatami". Ożywione stosunki

handlowe pomiędzy kupcami chińskimi a rosyjskimi od czasów niepamiętnych odbywają się najnormalniejszym i najzgodniejszym trybem, w niezakłóconem porozumieniu i harmonii. Podobnież w najlepszej zgodzie, w drodze ściśle pokojowej, dokonała się dawniej cesya okręgu amurskiego, a świeżo — Portu Artura. Wogóle, rozumny Chińczyk umie doskonale rozróżniać pomiędzy napływającym od strony morza żarłocznym przybyszem z Europy zachodniej a naturalnym swoim przyjacielem — sąsiadem rosyjskim od strony lądu stałego, pomiędzy krzywdami doświadczanemi od tamtego napływu, a pożytkami czerpanymi z tego sąsiedztwa. „Dla obywatela państwa Niebieskiego Rosya jest to potęga swojska, blizka, spokrewniona *(rodnaja)*, nie tak, jak inne mocarstwa grabieżcze ze swoją polityką kolonialną". Te to mianowicie drapieżne mocarstwa Zachodu, a zwłaszcza Anglicy i Niemcy, wciskając się klinem między przyrodzoną przyjaźń i jedność chińsko-rosyjską, stanowią dla obu serdecznych przyjaciół, dla Chin i Rosyi, najniebezpieczniejszą groźbę. „Najbardziej złowróżbną — tak dobitnym głosem ostrzega i dobitnym kursywem drukuje ks. Uchtomski — byłaby hypoteza o zapanowaniu zasad zachodnich w Chinach, t. j. w takim wypadku, jeżeliby Europejczycy, w szczególności zaś Anglicy, mieli ustalić swoją przewagę w państwie bogdychanów. Nasze główne zadanie na żółtym Wschodzie powinno zatem przedewszystkiem polegać na zapobieżeniu podobnym widokom, ażeby następnie nie stanąć wobec konieczności zwalczania narzuconych

niebezpieczeństw kosztem drogocennej krwi rosyjskiej i kolosalnych wydatków pieniężnych".

Owóż, zdaniem autora, takie właśnie niebezpieczeństwo w całej swojej grozie zostało rozmyślnie wywołane przez podstępną akcyę europejskiego Zachodu na dalekim Wschodzie. Początek uczyniony został pod tym względem nie w Chinach, lecz w Japonii. Właściwie i Japonia, podobnie jak Chiny, „jest bardziej z nami związana i bliższa nam duchem, niż wyniosła Europa zachodnia". Ale perfidya Zachodu potrafiła w sercach japońskich „zaszczepić podejrzenie i niechęć dla Rosyi". Mimo to przecie ks. Uchtomski nie traci nadziei, że „rozumniejsi Japończycy uświadomią sobie niebezpieczeństwa, wynikające z bezwzględnego poddania się cudzoziemszczyźnie". Innemi słowy, autor jasno zapowiada, że w państwie mikada „reakcya w dobroczynnym kierunku narodowym jest zapewne kwestyą krótkiego czasu". Byłaby to zbawienna reakcya sympatycznych żywiołów starojapońskich przeciw owym antypatycznym zachodowcom, „zapadnikom" młodojapońskim, będącym tam obecnie u steru, którzy główną swoją ambicyę pokładają na całkiem zbytecznem mnożeniu i doskonaleniu armii i floty japońskiej i radziby uczynić z Japonii drugą, azyatycką Anglię. Na szczęście jednak, jak właśnie objaśnia nas autor, nie są zaniedbywane zabiegi w celu przeciwdziałania tej szkodliwej robocie na samym jej gruncie i jest też nadzieja skutecznego jej zatamowania, oczywiście dla dobra samegoż narodu japońskiego. Należy podnieść tę interesu-

jącą zapowiedź, która, pochodząc od tak dobrze informowanego znawcy stosunków tamecznych, zasługuje ze wszech miar na uwagę.

Z Japonii Zachód przeniósł z kolei swoją podziemną robotę rozkładową wprost już do samych Chin. „Nad krańcową rubieżą słowiaństwa na dalekim Wschodzie wiarołomni Teutonowie dopuścili się łupiestwa i gwałtu. Takim faktem jest zwłaszcza opłakany zabór Kiao-Czau. Europa zachodnia przebiła straszny wyłom w idealnym murze chińskim. Któż teraz może zbawić Chiny od jarzma i upadku? Ja mam przekonanie, że jedynie Rosya!“

W istocie takie samo, nie inne, jak redaktora „Wiadomości Petersburskich“, jest podobno w tym względzie przekonanie całej Azyi wogóle, a Chin w szczególności. Ks. Uchtomski pod tym względem posiada na swoje poparcie dostateczną ilość bardzo poważnych i bardzo zastanawiających cytacyi. Tak więc, „nader ukształcony sułtan kirgiski, Wali-Chanow, zapytany przez sędziwego A. N. Majkowa, jaką właściwie jest jego filozofia historyi, po krótkiej chwili namysłu odparł z uniesieniem: Bóg Najwyższy był darował władzę nad światem memu przodkowi, Czengis-Chanowi, lecz odebrał ją za grzechy jego potomstwu i oddał w ręce Białego Carstwa. Oto jest moja filozofia historyi“. Zupełnie w ten sam sposób „Mongołowie, stopień pośredni pomiędzy nami a Chińczykami, przyswoili sobie w najgłębszem przeświadczeniu taki sam pogląd na Rosyę i na jej władzę zwierzchnią, objawiającą się

dla nich jako wcielenie miłosiernej *Cagan-Dara-Eche*, t. j. jednej ze świetlnych manifestacyi samego Buddy". Niemniej godne jest uwagi, że „w skład hieroglifu *Hwang-Ti-Chuan-Di*, t. j. pierwotnego tytułu Bogdychana, wchodzi pojęcie Biały Książę, *Cagan-Chan!* Wprawdzie uczeni angielscy wykazują, że jest to tylko późniejsze skażenie istotnego sensu, który właściwie ma nie oznaczać nic innego, jak tylko Umiejący panować nad samym sobą. Ale czyliż to nie wszystko jedno, skoro w danej chwili ten symbol staje się tak wymownym?"

Obecnie o to właśnie chodzi najgłówniej, ażeby we właściwej mierze, we właściwym duchu, przykładać się do pożądanego urzeczywistnienia tego wielkiego symbolu. W dobie spółczesnej, niezawiśle od chwilowych, przejściowych odmian wojennych, znowu sztucznie wywołanych przez złą wolę Zachodu, zdaniem ks. Uchtomskiego „osłabione i kruche Chiny zaczynają otwarcie i serdecznie zbliżać się do naszego wielkiego mocarstwa północy, szukając w niem moralnej podpory i materyalnego sukursu, albowiem te Chiny i my, to jeden zwarty i bezbrzeżny żywioł, to jedna duchowo sharmonizowana całość, którą wszędy powinny przeniknąć te same prądy życionośne, nad którą wszędy powinna zabłysnąć ta sama jasna zorza, która ongi, za czasów Olgi i jej wnuka Krasnego Słoneczka, była odrodziła Ruś kijowską". Takie wyjście jest zresztą najdobitniej wskazane przez same warunki geograficzne, jest niejako wyrazem wyższej, przyrodzonej woli Opatrzności.

„Za morzem Kaspijskiem, Ałtajem i Bajkałem my nie mamy i nie możemy mieć żadnej określonej rubieży, poza którą kończyłoby się to, co naprawdę jest nasze. Odcienia przejściowe od posiadłości rosyjskich do chińskich tak są nieuchwytne *(nieułowimy)*, że wyrazić tego niepodobna... Dla nas w Azyi naprawdę niema i być nie może żadnych innych granic, jak tylko nieokiełznany, bijący o jej brzegi nieskończony Ocean... Ruś, to źródło i ognisko niezwyciężonej mocy. Wschód, podobnież jak i my, wierzy w nadprzyrodzone własności ducha rosyjskiego. Azya zdolna jest serdecznie pokochać Rosyę i bez bólu z nią się utożsamić... Dla państwa wielkorosyjskiego niema innego wyjścia: albo zostać tem, do czego ono jest powołane od wieków, zostać potęgą wszechświatową, łączącą Zachód ze Wschodem, albo też niezwłocznie stoczyć się po pochyłości upadku, zduszone przez zewnętrzną przewagę Europy, oraz przez rozbudzone obcym wpływem ludy azyatyckie, które wtedy staną się dla nas jeszcze groźniejsze od cudzoziemców zachodnich".

Taka jest ostateczna i najwyższa idea, do której w konkluzyi wznosi się ks. Uchtomski. Idea *miliarda* ludzi zespolonych w duchu. Idea wielka, co się zowie. A jakkolwiek tak wielka, przecie, zdaniem autora, wcale wykonalna, która przerażać swoim ogromem nie powinna bynajmniej. Wszak „już w czasach starożytnych, kiedy środki komunikacyi były nieskończenie gorsze i trudniejsze, niż dzisiaj, mimo to na kresach Europy a Wschodu urastały i utrwalały się olbrzymie mocarstwa

światowe. Obecnie, w dobie kolei, telegrafów, telefonów, nie mówiąc już o innych, codzień nowych wynalazkach, łączących kraje i narody, żadnego niema słusznego powodu obawiać się odległości albo rozbratu pomiędzy oddalonemi częściami składowemi jednej wspólnej całości. To, co dla przodków naszych mogło wydawać się blizkiem, dla naszego wzroku staje się bezpośrednio przystępnem... Takie i większe jeszcze niespodzianki kryje w swem łonie nadchodzące XX stulecie".

Tutaj kończy się niewielka objętością a bogata treścią książka ks. Uchtomskiego. Autor nie od dzisiaj dobrze jest znany naszej publiczności ze swoich szczerze sympatycznych wystąpień w zakresie spraw wewnętrznych. Obecnie jednak, jak się zdaje, ks. Uchtomski z wyjątkowem i wyłącznem zamiłowaniem poświęcił się niniejszym najodleglejszym i najegzotyczniejszym zagadnieniom polityki zagranicznej. Chętnie podążyliśmy za nim aż tak daleko i chętnie z jego skorzystaliśmy światła. Albowiem sami czujemy się tutaj zgoła ciemni i na gruncie zgoła dla nas obcym. Nie chcemy przez to powiedzieć, ażebyśmy i wcześniej, zanim jeszcze dostała się nam do ręki szacowna publikacya niniejsza, nie mieli interesować się żywo tym ogromnym odłamem ludzkości, tem jej źródłem najpierwszem, jakiem jest stara matka Azya, ażebyśmy nie starali się i dawniej, w skromnych granicach umysłowej naszej możności, zapoznawać się z dziejami, kulturą i duchem dalekiego Wschodu. Ale poszukiwaliśmy

w tym względzie nauki z wprost przeciwnej strony, z tej mianowicie strony, gdzie uczyli Amyot i Rémusat, Burnouf i Julien, Saint-Hilaire i Cordier, Humboldt i Schlegel, Elliot i Ballantyne, James Mill i Macaulay, Max Müller i Douglas, te, jednem słowem, umysły zachodnie, które dotychczas skłonni byliśmy uważać za istotnych pośredników duchowych pomiędzy prastarą azyatycką a młodą europejską cywilizacyą. Jednakowoż, jak się okazuje, cały nasz sposób informowania się polegał na nieporozumieniu. Stąd też cała nasza słaba erudycya wschodnia, jak się okazuje, jest zupełnie jednostronną i bezużyteczną pośrodku owych zupełnie nowych horyzontów historyczno-politycznych, które jednym wspaniałym rozmachem otwiera przed olśnionym naszym wzrokiem ks: Uchtomski. To też, tem większem uznaniem przejęci dla autora, pośpieszyliśmy oddać z całą skrupulatnością niezmiernie oryginalne i zastanawiające jego wyłuszczenia i wywody. Wstrzymujemy się od wszelkich własnych komentarzy. Moglibyśmy, co najwyżej, przypomnieć słowa starego mędrca Zachodu, starego Greka Cyneasza, wyrzeczone ongi do króla Epiru: „A co dalej, królu?“ Ale w tych nowych i nadzwyczajnych sprawach własna nasza kompetencya niezawodnie jest zgoła niedostateczna i własny nasz sąd pozbawiony wszelkiego samodzielnego znaczenia.

Pisma Włodzimierza Spasowicza.

Niedawno obchodzono jubileusz długoletniej działalności społecznej i pisarskiej p. Spasowicza. Nie trzeba było tej dopiero daty, aby przypomnieć i uświadomić niepospolite zasługi, położone dawniej przez jubilata. Odkąd tylko po raz pierwszy dał się poznać, zajął miejsce poważane i wybitne; od ćwierci wieku zaliczał się w każdym razie do najwydatniejszych w społeczeństwie postaci. W zawodzie, któremu się poświęcił, ceniony jako teoretyk a zwłaszcza praktyk pierwszorzędny, jako profesor a zwłaszcza obrońca, wcześnie uczynił swoje imię znanem w Europie, u specyalistów przez gruntowną naukę, w szerszych kołach przez śmiałą i sympatyczną, przy głośnych okazyach, wymowę; co zaś może jeszcze godniejsze uwagi, w obranej przez siebie sferze prawniczej, na stanowisku szczególnie trudnem, potrafił zdobyć sobie wyjątkowe uznanie i powagę. Nie zamykając się zresztą w swojej specyalności, z zamiłowaniem i wrażliwością, rzadką

u ludzi przywalonych wyczerpującą pracą zawodową, oddawał się rozważaniu arcydzieł piśmiennictwa rodzimego i obcych. Nadto, dosyć jeszcze znajdował dobrych chęci i czasu, aby przysługiwać się publicystyce nietylko osobistym pisarskim udziałem, lecz oraz płodną inicyatywą wydawniczą.

Wszechstronna i pod niejednym względem użyteczna działalność p. Spasowicza upamiętnioną została lepiej, niż w przemijających obchodach jubileuszowych, w edycyi zbiorowej jego „Pism“ *). Myśl tego wydawnictwa ze wszech miar była szczęśliwą. W istocie, jakkolwiek zasłużonym rozgłosem cieszyło się nazwisko autora, działał on przecie zawsze więcej słowem żywem, niż pisanem, i więcej może miał słuchaczy, niż czytelników; a nawet działalność jego czysto pisarska, rozproszona po czasopismach, obejmująca nader rozległy okres czasu, niełacno dawała się ogarnąć. Mamy ją teraz zgromadzoną razem. Żałować tylko wypada, że obszerny zbiór, tym sposobem powstały, nie został staranniej i systematyczniej uporządkowany: w licznych przyczynkach nader urozmaiconych, a uszykowanych całkiem przygodnie, z jakich on się składa, zoryentować się z pewnym przychodzi trudem. Rozejrzawszy się w „Pismach“, można z nich wyróżnić trzy działy główne: rzeczy treści prawnej, estetyczno-krytycznej, polityczno-społecznej. Nie będzie to rozkład wyczer-

*) Włodzimierz Spasowicz: *„Pisma T. I—VII“*.

pujący, ani zupełnie ścisły, — wszakże o dokładniejszy byłoby zapewne dość trudno.

I.

P. Spasowicz jest prawnikiem. Jest on mianowicie jednym z tych prawników, którzy, w przejściowym okresie swego życia, kiedy w umyśle, już się konsolidującym a jeszcze wielce wrażliwym, najświadomiej i najmocniej utrwalają się opinie, byli obecni w siódmym dziesiątku zeszłego wieku przy podjęciu i dokonaniu wielkiej reformy sądowej w Rosyi. Była to niewątpliwie, i dla polskiego prawniczego oka, reforma wielka i dobroczynna. Była taką — w ścisłym oczywiście swoim zakresie ogólnym i pierwotnej swojej postaci, — jakkolwiek powstała w zupełnem oderwaniu od myśli prawnej polskiej. P. Spasowicz tylko był obecny przy tych rozległych pracach reformatorskich; rosyjscy prawnicy tej samej, albo niewiele starszej generacyi, obmyślili i doprowadzili do końca pożyteczne dzieło. Byli śród nich ludzie bardzo zacni i bardzo dzielni; z nich niektórzy obecnie zasiadają w Senacie Rządzącym i niekiedy pisują istotnie piękne motywa do wyroków kasacyjnych, znoszących uchwały niższych instancyi, gdzie inna już zasiada generacya. P. Spasowicz tamtych miał za kierowników albo za towarzyszy, zblizka na nich się patrzył i przejął się słusznym dla nich szacunkiem, słusznem poszanowaniem dla znako-

mitego dzieła reformy, do którego oni przyłożyli ręki. Gdyby był starszy o lat trzydzieści, zapewne widziałby bliżej Antoniego Wyczechowskiego, układającego Ustawę Hypoteczną; gdyby był o lat trzydzieści młodszy, łatwiej może wdrożyłby się do nowel proceduralnych późniejszej doby; gdyby nie był prawnikiem, zgoła nie byłby sobą. O tej okoliczności, która wyjaśnia wiele poglądów p. Spasowicza, wiele jego nadziei i rozczarowań, pamiętają nie wszyscy śród jego czytelników, nieliczni śród admiratorów, żaden może z przeciwników. Będziemy się starali pamiętać aż do końca.

Na tem miejscu, rzecz prosta, możliwe są jedynie wzmianki pobieżne i oderwane o pomniejszych pismach prawniczych, które weszły do zbioru,—(większe i ważniejsze zostały wykluczone)— pismach zresztą okolicznościowych i bardzo mało między sobą mających łączności. Najwcześniejsze dotyczy „Stosunków majątkowych między małżonkami podług dawnego prawa polskiego". Przedmiot, jeden z najciekawszych, dał, jak wiadomo, w innym czasie okazyę do homerowskiej potyczki starego, nieocenionego Dutkiewicza z Maciejowskim, odwiecznym jego antagonistą, i młodym jeszcze p. Bobrzyńskim, na którym ciężko spoczęła naówczas twarda ręka wojowniczego pisarza „Prawa Hypotecznego". P. Spasowicz, kreśląc znacznie wcześniej krótki zarys dawnych przepisów obowiązujących, nie miał powodu wdawać się w dystynkcye pomiędzy zwyczajem a sankcyą prawną; jego pismo, nic zupełnie nie dodając do Bandtkiego i Czackiego, jest bezpretensyonalne

a treściwe i jasne. Była to pierwotnie rozprawa habilitacyjna, złożona uniwersytetowi petersburskiemu w 1852 roku. Z powodu tej rozprawy, jak gdzieindziej objaśnia sam autor, zeszedł się z nim bliżej prof. Kawelin, ułatwił mu otrzymanie katedry i został niejako duchowym jego przewodnikiem; sympatycznej postaci Kawelina, zmarłego przed kilku laty, jest poświęcone ciepłe wspomnienie pośmiertne. Do dziedziny całkiem nowożytnej wkraczają dwie rzeczy o „Własności literackiej". W tej spornej, tylekroć omawianej sprawie, od pół wieku, wyznajemy, nic nie słyszeliśmy rozumniejszego od dwóch jędrnych przemówień Macaulaya w Izbie gmin. Przeciwnie, rozległe a luźne, raczej abstrakcyjne roztrząsania p. Spasowicza nie wydają się nam ani dostatecznemi ani nawet wolnemi od sprzeczności. Tak więc, kiedy pierwotnie radzi autor „ogłosić bezwarunkową wolność przekładów", po paru już latach i o parę stronic dalej oświadcza się „za opodatkowaniem przekładów na rzecz autorów oryginałów, ale umiarkowanem"; zresztą jest przeciwnikiem „majoratów literackich" i słuszny zakłada protest przeciw zanadto wygórowanym pretensyom niektórych zanadto gorących rzeczników nietykalnej własności pisarskiej. Drobnostkę o „Towarzystwach akcyjnych", dorywczą i zgoła niewyczerpującą przedmiotu, pominąć wolno. Obszerna rzecz o „Naszych dzisiejszych sądach szlacheckich polubownych" przedstawia bezstronnie a szczegółowo spór majątkowy, w swoim czasie głośny na Podolu i Ukrainie, a posiadający o tyle tylko znaczenie ogólniejsze, o ile

należał do szeregu bezowocnych usiłowań otrząśnięcia się i wyzwolenia z nowych porządków sądowych. Poza tem, mówiąc własnemi słowami p. Spasowicza, godzi się „wątpić, czy wertowanie tej sprawy może obudzić inne uczucia, prócz żalu, niezadowolenia i niesmaku". Najzupełniej podzielamy to zdanie; lecz właśnie dlatego nie jesteśmy całkiem pewni, czy istotnie było pożądanem i potrzebnem uwiecznić w „Pismach" sprawę czysto prywatną, w gruncie rzeczy nader pospolitą, niepospolicie tylko szpetną.

Wreszcie, ażeby skończyć z przedmiotami treści cywilno-prawnej, podnieść wypada szereg uwag, z powodu „Kodyfikacyi rosyjskiego prawa cywilnego". Jak wiadomo, już od szeregu lat trwają w Petersburgu prace Komisyi kodyfikacyjnej, której powierzone zostało potężne zadanie wygotowania ujednostajnionej księgi praw cywilnych dla całego obszaru państwa rosyjskiego. P. Spasowicz z tego powodu wyraża życzenie, aby nie zaniedbano przy kodyfikacyi „zapożyczyć się" ze Statutu litewskiego, skąd korzyść byłaby „olbrzymia", albowiem: „popierwsze, byłoby to praktyczne posunięcie o jeden krok naprzód kwestyi słowiańskiej... powtóre, możeby ta próba wpłynęła na zmniejszenie ślepego przywiązania całej jurysprudencyi Królestwa Polskiego do Kodeksu Napoleona". Jakkolwiek ta uwaga posiada znaczenie czysto platoniczne, nie możemy się powstrzymać, aby jej nie podkreślić, aby zarazem nie zastrzedz się przeciw niej jak najwyraźniej. P. Spasowicz dużo się zajmował Statutem litewskim, i jest

rzeczą wcale naturalną, że ten pierwszorzędny pomnik prawodawstwa do serca mu przyrósł. Jednakowoż, ani nieprzesadny pietyzm, ani, tem mniej, nieokreślone względy „słowiańskie", nie są zdolne wypełnić odstępu pomiędzy historycznym i przedawnionym pomnikiem prawnym, jakim jest Statut, a pierwszem z istniejących żywem dziełem prawodawczem, jakiem jest Kodeks francuski. Zaś zarazem wydaje się zgoła bezzasadnem, a nawet niewłaściwem, piętnować w obecnej porze rzekome „ślepe" przywiązanie „jurysprudencyi" naszej dla tego wspaniałego kodeksowego dzieła. To przywiązanie nie wynika bynajmniej z zaślepienia. Ani też nie jest bynajmniej zawodową słabostką samych tylko jurystów. Wynika ono z istotnej znajomości rzeczy i stosunków, z rozumnej oceny stuletnich dobroczynnych doświadczeń kodeksowych. Jest ono wyrazem pojęć całego oświeconego ogółu. P. Spasowicz, który kształcił się i pracował w całkiem odmiennej dziedzinie i atmosferze prawnej, być może, w tym wypadku nie posiada pożądanej pełnej kompetencyi. Być może, zapatruje się on na te rzeczy pod nieco egzotycznym, a w każdym razie pod niedość trafnie obranym kątem widzenia. Ten jego specyficzny kąt widzenia jest nam zresztą dobrze znany, bo jest nienowy, niedzisiejszy. Gdyż naprawdę p. Spasowicz, sam może niezupełnie zdając sobie z tego sprawę, staje się tutaj spóźnionym rzecznikiem poglądów i dążeń przedstuletnich, oddawna już odłożonych *ad acta*, oddawna przebrzmiałych, aż tu naraz odzywających się odległem epigonowem echem.

Podobnież, mniej więcej, z innej zapewne tonacyi, lecz na tę samą właściwie nutę, przed stu laty blizko, za czasów Księstwa Warszawskiego, podnosiły się przeciw Kodeksowi francuskiemu separatystyczne głosy Ogińskich i towarzyszy, ludzi z Komitetu ośmiu gubernii, obradującego w Petersburgu, i ich tajnych popleczników w Warszawie, ludzi nienajgorszych, nawet dobrej myśli, ale niedostatecznej albo żadnej poczytalności dziejowo-politycznej. I podobnież, mniej więcej, jeszcze za czasów Królestwa Kongresowego, powstawali na cały bez wyjątku Kodeks napoleoński niektórzy członkowie rządu, senatu, nawet izby poselskiej, w nieskończonej przecie mniejszości wobec przeciwnej zdrowej i postępowej opinii powszechnej, ludzie krótkowidzących lub wręcz zacofanych pojęć, niezdolni na szczęście, pomimo nierozsądnych swoich wysiłków, odebrać krajowi drogocennego prawodawstwa kodeksowego, które na szczęście zachowała Królestwu światła inicyatywa Aleksandra I. Zapewne, jak każde dzieło ludzkie, nie było to prawodawstwo samą doskonałością, nie było wolne od braków bardzo rozmaitych i bardzo poważnych. Gdzieindziej, w samej Francyi oraz sąsiednich ziemiach kodeksowych, we Włoszech, Belgii, prowincyi nadreńskiej, mogła odtąd wnosić ciągłe udoskonalenia dalsza prawidłowa czynność prawodawcza. W kraju tutejszym inne wytworzyło się położenie. Tutaj też, niezawodnie, w rozlicznym względzie objawiły się braki najdotkliwsze. Jesteśmy ich najzupełniej świadomi, z podwójnego stanowiska prawnika i historyka. Może

nawet, śmielibyśmy mniemać, jesteśmy niemniej świadomi tych braków starego naszego cywilnego Kodeksu od znakomitego pisarza „Prawa kryminalnego". Były ciężkie przeoczenia w samych przepisach przejściowych za Księstwa. Były kardynalne niedostosowania do szczególnych warunków czasu i miejsca, zwłaszcza w obrębie przepisów dzierżawczych, spadkowych, małżeńskich. Były to źródła niepożądanych zakłóceń i zatargów w dziedzinie społeczno-gospodarczej oraz społeczno-wyznaniowej. To prawda. Ale także i to prawda, że dzięki Kodeksowi Napoleona dokonany został w tym kraju od jednego zamachu stanowczy i wszechstronny postęp w najrozleglejszym zakresie stosunków i pojęć. Od jednego zamachu kraj został obdarzony działającym najsprawniej i najściślej, najbardziej celowym, logicznym i konsekwentnym narządem prawno-cywilnym. Od jednego zamachu, z tej arcyważnej strony cywilnoprawnej, kraj został przysposobiony do najbardziej urozmaiconych funkcyi żywotnych nowoczesnego uspołecznionego ustroju. Na tem urosło i zbogaciło się Królestwo. Na tem stanął jego przemysł i handel. Na tem wsparł się jego zdrowy rozwój ekonomiczny. Rzecz prosta—nie na tem wyłącznie. Ale, obok wielu innych czynników, niepomału właśnie na tym ważnym, jednolitym, nawskróś europejskim czynniku kodeksowym. To też niepospolita doniosłość tego czynnika bardzo wcześnie, najwcześniej była zrozumiana i uznana, nie przez „jurystów" dopiero, lecz przez wielkich statystów krajowych, przez najtęższych, a szczerze polskich,

reprezentantów prawdziwego swojskiego rozumu stanu. Nie „jurysta“ z przed nowej kratki trybunalskiej, lecz stary ksiądz Kołłątaj uczynił się pierwszym wymownym apologetą francuskiego prawodawstwa w Księstwie Warszawskiem. Staremu Kołłątajowi było chybą dalej do Kodeksu i było bliżej do Statutu, aniżeli uczonemu prawnikowi nowożytnemu, jakim jest p. Spasowicz. A jednak Kołłątaj całą potęgą swojej wielkiej myśli obywatelskiej stanął po stronie Kodeksu i stanowczo zawarował się przeciw spółczesnym sobie separatystycznym i zacofanym dążeniom statutowym. On pojmował ducha czasu. Pojmował potrzeby przyszłości. On tych wielkich zagadnień nie tykał przygodną intencyą publicysty, lecz się ich imał głębokiem pojęciem polityka i prawodawcy. Nieinaczej i dzisiaj wypadałoby poruszać te arcyważne i arcytrudne materye. Dysgresye na rzecz Statutu i dzisiaj wypadałoby uznać co najmniej za bezcelowe. I jeśli istnieją dzisiaj jakiekolwiek szanse oddziaływania na przyszłą kodyfikacyę, to napewno nie przez odwoływanie się do Statutu, lecz przez gruntowną apologię Kodeksu,—zadanie wagi pierwszorzędnej, którego ciężar, niestety, spoczywa śród prawników polskich wyłącznie na barkach bystrego autora „O zobowiązaniach w ogólności“. Byłoby nader do życzenia, ażeby „juryści“ polscy, nie zrażeni bynajmniej zarzutem p. Spasowicza, wprost przeciwnie postarali się raczej pośpieszyć tutaj z poważnym naukowym sukursem i poważnie, naukowo zadokumentować moje „ślepe przywiązanie“ dla obowiązujących w tym

kraju praw cywilnych. Okazałoby się wtedy najlepiej, że nie było ono nigdy i teraz nie jest „ślepem". Jest dziś i było zawsze całkiem świadomem. Po dziś dzień w ten sposób nie „przywiązano się" w Galicyi i Poznańskiem do austryackiej Powszechnej księgi praw, do pruskiego Prawa krajowego, albo do niemieckiego Prawa cywilnego. Dla bardzo prostej przyczyny: bo to są dzieła bardzo wadliwe, francuskie na swój czas było najdoskonalszem. To też prawo francuskie u nas, na obcym zupełnie gruncie, niezwykle łatwo a głęboko zapuściło korzenie. Razem z niem nawet zżyli się u nas i zyskali pełne prawo obywatelstwa jego twórcy i tłómacze, członkowie Rady Stanu, sądownicy, komentatorowie francuscy. Przenikliwy Merlin, kłótliwy Marcadé, w ustawnych z erudycyjnym Troplongiem utarczkach— trochę na podobieństwo krewkiego Dutkiewicza, bojującego zaciekle z Maciejowskim, — żywy Demolombe, sypiący wykrzyknikami i znakami zapytania, Lauret, nieco wielomówny i niezawsze dość ścisły, lecz na zagadnienia nowoczesne niezmiernie wrażliwy,— ci i tylu innych na drugim krańcu Europy znaleźli się jak u siebie, przyjęci z istotnem zrozumieniem, z należnymi honorami, przez prawników polskich, przez Wyczechowskich, Wołowskich, Dutkiewiczów: a tyle niezawodna, że obcowanie z tymi naczelnymi przedstawicielami myśli prawnej Zachodu, obcowanie długoletnie i zażyłe, było dla społeczeństwa ze znaczną i trwałą korzyścią. To zjawisko, wysoce zastanawiające i doniosłe, podwójną stanowi chlubę, dla prawa i społecz-

ności: dla prawa, obmyślanego i sformułowanego tak pięknie i rozlegle, że nietylko u pokrewnych ościennych szczepów romańskich się przyjęło, lecz oraz u dalekiego narodu innej krwi i obyczajów; dla społeczności,— że jeden z najwyższych wytworów cywilizacyi zachodniej odrazu sobie przyswoiła i dała sobie z nim radę. Jeśli do p. Spasowicza ten stosunek tak silnie nie przemawia, dzieje się to zapewne, między innemi, dla dwóch powodów: najprzód, nie jest on w ogólności prawnikiem-cywilistą; powtóre, pozostał w szczególności nietknięty przez wpływy prawa francuskiego, obowiązującego w Królestwie Polskiem.

P. Spasowicz, jak wiadomo, poświęcił się głównie prawu karnemu. Ten przedmiot ze znakomitem powodzeniem wykładał on z katedry uniwersyteckiej; w tym kierunku przeważnie zużytkował następnie świetny talent obrońcy.

Ze wszystkich dziedzin prawa, które wszystkie spoczywają na pewnych fikcyach koniecznych, dziedzina prawa karnego, mroczna i niezdrowa, wznosi się na gruncie najbardziej uginającym się i niepewnym. „*La loi demeure inique et mauvaise nourrice, Et son indifférence a l'effet du caprice*", — i ten, i inne akademickie sonety, mierzące ogólnikowo we wszelką Sprawiedliwość, mógłby Sully Prudhomme wystosować szczególniej do sprawiedliwości karzącej. Zapewne, dla czytelników „Nowego Pitavala" i beletrystyki sądowo-policyjnej, dla wytwornej publiczności, wypełniającej sale posiedzeń, ilekroć jaka *cause célèbre* znajduje się na

wokandzie, dla początkujących młodych prawników, zdecydowanych zadziwić świat i znajome panie wstrząsającą obroną dzieciobójczyni albo mordercy z afektu,— dziedzina kryminalistyki może wydawać się niezmiernie pociągającą a nawet jedynie ponętną. Natomiast, jeżeli stanąć bliżej, tuż przy samej rozpędzonej [ogromnej, niekształtnej machinie sądownictwa karnego, która z większym wysiłkiem niż precyzyą, a z przenikającym zgrzytem wykonywa swoje działanie; jeśli obrócić się do kategorycznych, w swoim obrębie niemal wszechwładnych sędziów śledczych, do t. zw. biegłych, dających społem augurowe wyrocznie bez uśmiechu augurów; posłuchać wykładanych naopak przez tłómacza zeznań, albo przemówień tak zwanych obrońców z urzędu, improwizujących na traf, bez jednego spojrzenia do akt sądowych, albo też bodaj prowadzonej na stronie dyskusyi woźnych, deliberujących ze świadkami wedle wypłaty na forszus świadkowego; popatrzeć na zmienną jak kalejdoskop ławę podsądnych, gdzie luzują się bądź obojętne i bezmyślne figury pół-ludzi, bądź nieszczęśliwi, nieprzytomni, wystraszeni nowicyusze, bądź wytrawni zawodowcy, z głębokiem znawstwem procedury i stosunków śledzący czujnie rozprawę i oblicza sędziowskie; poczuć w końcu namacalnie, nieodparcie, z postępem godzin, spływającą ołowianą senność na przeciążoną, zniecierpliwioną magistraturę, na opustoszałą salę, na akta i dowody rzeczowe, jeszcze pozostałe do odrobienia; jeśli sobie uprzytomnić legion szczegółów, równię pospolitych, dotkli-

wych, bolesnych, a poczęści prawie wprost nieuniknionych, — wtedy uczuciem dominującem staje się w jednakim stopniu niesmak i przygnębienie. A jeśli w dodatku rozczytywać się w literze prawa, jeśli nadto się zwrócić do jego podwalin teoretycznych, aby poszukać kardynalnych zasad poczytalności przestępców, klasyfikacyi przestępstw, ustopniowania kar, wtedy nad niesmakiem i niechęcią gotowa wziąć górę sceptyczna i lekceważąca obojętność. P. Spasowicz, który więcej, niż kto inny, widział podsądnych i słuchał wyroków, prawdopodobnie wie o tem wszystkiem lepiej, niż kto inny. Przed trzydziestu laty, na początku zawodu obrończego, zastanawiając się nad „Teoryą włamania się", do takich dochodził wniosków: „Formy i teorye prawne podobne są do rusztowania, które architekt stawia przy budowaniu gmachu; jest ono niepiękne, ale obejść się bez niego niepodobna. Można je rozebrać, ale na jego miejsce trzeba postawić inne. Włamanie się jest jedną z takich niedoskonałych form, używanych dla wprowadzenia możliwie najsprawiedliwszych kar za kradzież: formę tę można uchylić, ale jednocześnie trzeba wymyślić inne jakieś zmyślenie, inne widmo, inną okoliczność, któraby posłużyła do ustopniowania kar za przestępstwa. Powziąłem myśl odszukania takiej formy, która mogłaby posłużyć do zastąpienia włamania się; długom z tą myślą się porał, ale ostatecznie dotychczas — nic nie wymyśliłem". Jest to zapewne jedna tylko z tysiąca nierozstrzygniętych wątpliwości,

jakie wytrawnemu prawnikowi nasunąć się musiały w ciągu długoletniego doświadczenia i obserwacyi.

Najcięższe atoli zwątpienia przyniosła chyba p. Spasowiczowi doba najnowsza. Przyniosła bowiem nietylko niektóre miejscowe zmiany procedury, ale w dodatku najniespodzianiej spłodziła na Zachodzie nowy całkiem kierunek w teoryi i prawodawstwie karnem: drakońskie prawo o recydywistach — we Francyi; agitacyę zjazdów prawniczych przeciw sądom przysięgłych— w Niemczech; w końcu, we Włoszech, — dziwnie radykalną naukę o przestępstwie i karaniu, która wywraca wszystkie pojęcia, od lat stu utrwalone, niweczy teoryę poprawy, daleko wybiega poza teoryę zastraszenia, nic nie pyta o poczytalność, z przestępcy czyni poprostu dziką bestyę, z sędziego— *louvetiera*, który w swoim okręgu winien wilki wytępić, z wszelkiej kary—surogat kary śmierci. P. Spasowicz, wychowany w dobrej szkole znakomitych prawników i zacnych ludzi starego autoramentu, którzy nie myśleli utożsamiać swego zadania z zadaniem psychiatry i czyściciela, z przykrością musiał słuchać odgłosów tej nowej ewangelii, przychodzącej z kraju Filangierich i Beccariów. Znajdujemy w „Pismach“ piękne przemówienie, wygłoszone przed kilku laty na zjeździe penitencyarnym w Petersburgu, na cześć „Johna Howarda“, wielkiego filantropa angielskiego, który tyle uczynił dla poprawy stanu więźniów wszystkich krajów. Owóż, cóżby stary Howard, Bentham, Thackeray,—że wymienimy tylko Anglików i niespecyalistów — powiedzieli na rozbrzmiewające dzisiaj

teorye? „Nie uwierzyłbym wtedy, kiedym opuszczał katedrę (1864), gdyby mi powiedziano, że będą na Zachodzie wygłoszone i znajdą adherentów zdania, wręcz przeciwne temu, co się uważało za pewnik i za prosty wyraz ludzkiego i chrześcijańskiego ducha“,— tak rozpoczyna p. Spasowicz szereg odczytów o „Najnowszych prądach w nauce prawa karnego“. Niema potrzeby iść tutaj za jego wywodami, które w zasadzie można tylko podzielać; żałować jedynie wypada, że opierają się prawie wyłącznie na książce znanego pisarza francuskiego i mało zawierają samodzielnych uwag prelegenta.

Spostrzegamy się jednak, nieco po niewczasie, że na tem miejscu o p. Spasowiczu, jako o prawniku, mówić nie mamy powodu. W rzeczy samej, ani jego ogólny „Wykład prawa karnego“, ani zbiór świetnych przemówień w głośnych niegdyś sprawach, nie zostały w przekładzie wcielone do niniejszej edycyi. Można zatem dać pokój jurysprudencyi i rozejrzeć się w pozostałej, ponętniejszej zawartości „Pism“.

II.

Znaczną ich część wypełniają wdzięczne sylwetki poetów i przenikliwe o poezyi roztrząsania. Są to prawie wyłącznie odczyty, — ulubiona od autora forma obcowania z publicznością, — wygłoszone śród rozmaitych warunków w Warszawie, Krakowie, Lwowie, albo

też w Petersburgu. Jasną, dobitną wymowę prelegenta najwięcej chyba osób pamięta z warszawskich sal ratuszowych, gdzie tylekroć mnogich przykuwała słuchaczy. I jeżeli, jak chce Cyceronowski Brutus, który mógł na tem znać się dobrze, „trzech rzeczy dopiąć przystoi w przemawianiu: aby słuchacza nauczyć, aby go zachwycić, aby go mocno wzruszyć", *ut doceatur, ut delectetur, ut moveatur vehementius,* — niewątpliwie słuchacze p. Spasowicza z sali ratuszowej, czy z innych, wychodzili niezawsze może zachwyceni albo wzruszeni, lecz najczęściej nauczeni.

Kiedyśmy, przed dwudziestu laty, chłopięcem uchem pochłaniali słowa p. Spasowicza, mówiącego o „Wincentym Polu, jako poecie", nietylko byliśmy nauczeni, — delektowaliśmy się. Dzisiaj, odczytując rzecz w druku i dojrzalej ją ważąc, mamy zastrzeżenia. W istocie, trudno tutaj akceptować bardzo wiele sądów pojedyńczych, jak ten naprzykład, jakoby ładny, sentymentalny ułamek liryczny Pola „godzien był ze wszech miar stanąć obok Mickiewiczowskiego sonetu" z Krymu. Jest to pochwała dosyć umiarkowana w ustach autora, który w innem miejscu powiada o tych właśnie Sonetach, iż są pisane „z niezaprzeczoną napuszonością i przesadą"; pochwała, która z tego powodu podwójnie wydaje się nam błędną, gdyż sądziliśmy zawsze, że w tym rodzaju poezyi nic niemasz doskonalszego od Sonetów Krymskich w żadnem piśmiennictwie, nic im równego w polskiem. Ale to są i będą rzeczy gustu. Bardziej stanowczo można zakwestyonować niektóre

ogólniejsze już wyroki p. Spasowicza. A więc, chociażby się z nim zgodzono, że twórca „Mohorta“ „niezawodnie należał do niewielkiej liczby nieśmiertelnych“, żadną przecież miarą niepodobna podpisać następującego zdania o Polu: „na Wawel z nim... bo pomiędzy ludźmi z porfiru, czy z piaskowca w wawelskiej katedrze ten przybysz znalazłby się, jak między swoimi, od nikogo z nich niepośledniejszy, wykuty z tego samego co oni kamienia“. Kto o tem razem z nami powątpiewa, ten nieco dalej przez samego p. Spasowicza zostanie w powątpiewaniu utwierdzony, gdyż się dowie, że Pol był „niezbyt bogaty w pomysły, bardzo jednostronny, więc nie mogący się liczyć do naczelnych, talent, któremu brakowało harmonii w uzdolnieniach a równowagi w pomysłach i wykonaniu“. Dobrze,—lecz w takim razie na cóż znów tak szafować Wawelem? Interesujące są uwagi z powodu głośnej pobudki „Słowo i Sława“, skierowanej przed przeszło pół wiekiem do pobratymców z nad Wełtawy; prelegent słusznie zniża wartość tego ciekawego utworu, wbrew zachwytom Ujejskiego i Szajnochy; trafnie — jakkolwiek z założeń całkiem niewystarczających, — wytyka zawarte w nim urojenia i przesądy polityczne. Istotnie, jakże wiele zmieniło się od owych czasów, a jakże wiele powtórnie się odnowiło. „A kto w to jabłko i miecz uwierzył, Tego nic z niebem nie złączy“, tak wołał naówczas szczery poeta a nieszczególny przewodnik polityczny; zaś miał on na myśli insygnia cesarskie nietylko Ottonów lecz oraz i Habsburgów. Innymi torami poszła

rzeczywistość i inaczej też, mimo wszystko, mniej absolutnie i wyłącznie, brzmią dziś realniejsze i trzeźwiejsze wskazania dziejowe.

Ładnie i plastycznie, choć zresztą znów nietyle samodzielnie, ile raczej wprost na zasadzie monografii Kraszewskiego i Tyszyńskiego, nakreślony został sympatyczny wizerunek „Władysława Syrokomli". Zastanawia nas tu przecie jedno. Prelegent czyni uzasadniony zarzut gawędziarzowi-poecie, że „aż do końca nie mógł się pozbyć prowincyonalizmów". To prawda; ale jest niemniej prawdą, że we własnych „Pismach" prelegenta co krok spotykamy zwroty w rodzaju: „zgrywać rolę", „mąż dużej ręki", w „lat szesnaście sprzedał się na katolicyzm, a w lat czterdzieści dwa wrócił", „tęsknienie po lampie i po księgarni" i t. d. Być może, są to w pewnej części grzechy tłómaczów z rosyjskiego przeważnie oryginału autorskiego, które jednak w każdym razie wyrządzają autorowi krzywdę dotkliwą. Większą jeszcze krzywdę wyrządza mu inna okoliczność, o którą już trudniej winić tłómaczów: nader niefortunnie odbija się na stylu p. Spasowicza jego nieoględna pochopność do porównań. Rzecz o Syrokomli takiem zaraz na wstępie otwiera się spostrzeżeniem obrazowem: „ze wszystkich stron naszych najbardziej obfitującemi nietylko w źródła mineralne, ale i w kastalskie krynice samorodnej poezyi, są okolice nadniemeńskie"; — wolno w tym obrazie nie gustować, i nie dlatego, ażeby spierać się o rzecz samą, lecz wyłącznie dla względów dobrego smaku, który się sprzeciwia

porównawczemu rozważaniu zalet wód druskienickich a „Odprawy posłów", ciechocińskich soli a „Grobu Agamemnona". Są w „Pismach" rzeczy jeszcze osobliwsze. „Mistrzostwo Byrona w tem głównie objawiało się, że kanalizował uczucia i kazał im ściekać jak największem korytem". „Wielcy ludzie polityczni, jak Napoleon, są niby krawcy, wykrawający dusze i charaktery mnogich następnych pokoleń na swój obraz i podobieństwo", — szczególniejsi to chyba krawcy, u których pewnie niktby się nie chciał ubierać, a porównanie, jeśli się nie mylimy, wzięte z Szekspira, lecz wypaczone. Gdzieindziej znajdujemy „dynamit uczucia, włożony do misternie wyklejonej papierowej dutki sennego marzenia"; „po skopaniu całej cywilizacyi, nową, jak dwie krople wody podobną do dawnej skopanej"; „psychologię Roussa, z niego samego skalkowaną"; jego „trudny połóg" pisarski; „pacierzowy szpik wieku"; „sprzeczne żywioły i interesa materyalne, biorące się za boki"; „konieczność podłechtania do ideomotornego procesu" i innych w tym rodzaju nadzwyczajności bez liku. Nie wahamy się, jakkolwiek jest to rzecz nieprzyjemna a nawet drażliwa, uczynić tej uwagi tak znakomitemu pisarzowi, jakim jest p. Spasowicz. Jego styl wyrazisty, łatwy i okrągły, lecz luźny i chwiejny, przeładowany zbytkiem ciśniętych pośpiesznie obrazów, niekiedy całkiem pozbywa się równowagi. Nie wahamy się mówić o stylu, tej rzeczy, która ma opinię podrzędnej i nudnej a tak jest doniosłą i delikatną, że ledwie mówić o niej śmie-

my, nie przyznając sobie ani dosyć kompetencyi, ani nawet czystego sumienia pod tym względem. Dzisiaj zdarzy się od czasu do czasu, że ktoś wytknie wielkim głosem grzechy językowe dziennikarzy, albo debiutantów literackich, — najmniej poczytalnych, gdyż tłómaczy ich bądź pośpiech, bądź niedoświadczenie, najmniej szkodliwych, gdyż nikt na nich wzorować się nie będzie: — raczej tym, którzy dostarczają wzorów, celniejszym a poczytniejszym pisarzom, niekiedy godziłoby się wypomnieć, że powagę i piękno języka oni mają na pieczy. Tymczasem, kiedy mowa poetycka polska, dzięki wielkiej trójcy jej wskrzesicieli, udoskonaliła się nadzwyczajnie i wypiękniała, natomiast mowa prozaiczna spospoliciała i poszła w zaniedbanie. Dzisiaj do tego rzeczy doszły, że okolicznościowe wiersze w „Kuryerkach" nieskończenie staranniej są rymowane od arcydzieł Kochanowskiego; zaś proza wydatniejszych nawet pisarzów niższej bywa próby, niż w raptularzach nieokrzesanego Paska lub płaskiego Matuszewicza. Ten upadek mowy niewiązanej nie jest wprawdzie zjawiskiem odosobnionem i objawił się również i gdzieindziej. W prozie angielskiej coraz więcej bierze górę amerykańskie *sans-gêne* dziennikarskiego fełietonu; w niemieckiej zapanowała wstrętna mieszanina dawnego pedantyzmu z siłącem się na lekkość nowatorstwem. Najgorzej zaś podobno dzieje się w piśmiennictwie rosyjskiem, gdzie „literatura miesięczników", tak obfita, że stanowi niemal osobną gałąź piśmienniczą, najwięcej uczyniła dla spowszednienia mowy niewiązanej.

Ten to mianowicie wpływ ostatni częstokroć najwyraźniej przebija w „Pismach“ p. Spasowicza, których część niepoślednia w rzeczy samej ukazała się pierwotnie w naczelnych czasopismach petersburskich i moskiewskich. Nie brak jednakże i dziś również przykładów lepszych, nie brak zaszczytnych wyjątków, do jakich poniekąd wypada zaliczyć spółczesne piśmiennictwo włoskie, żyjące jeszcze poczęści tradycyą pięknego języka renesansu; do jakich przedewszystkiem należy francuskie, gdzie, mimo wszelkie wybryki, poszanowanie dla języka po dziś dzień najwyżej jest posunięte.

P. Spasowicz, — że wrócimy do niego po tej pewnie przydługiej dysgresyi, — mniej wrażliwy nietylko na prawo, lecz, zdaje się, także i na literaturę francuską, z tem większem zamiłowaniem zagłębił się w angielskiej. Przyniósł stąd nasamprzód dwa barwne odczyty o „Hamlecie“. Nie może być naszym zamiarem powiedzieć cośkolwiek w przedmiocie, w którym oddawna aż za dużo już powiedziano. Wskażmy tylko przelotem parę punktów wątpliwych. „Powszechnie przyjęto, iż Hamlet odpowiada przejściu przez zenit gwiazdy Szekspirowskiej, że ze wszystkiego, co napisał (kto?), jest to najgłębsze“. Takiej jednomyślności być nie mogło i niema. Lord Macaulay, chyba powołany sędzia, tak szeregował arcydzieła Szekspirowskie: Otello, Lear, Macbeth, Hamlet. Możnaby łatwo wyliczyć tuzin sądów, równie widać nieznanych p. Spasowiczowi, jak to zdanie Macaulaya, a równie kompetent-

nych, i za każdym razem odmiennych. „Szekspir— czytamy dalej— nigdy nie był pisarzem tendencyjnym, któryby w pewnym celu politycznym wyzyskiwał urzędowy, czy narodowy patryotyzm i przepalał go na sceniczne efekty". Chyba nikt mniej nie zasługiwał na taką pochwałę, niż autor „Henryków", pochlebca Elżbiety, oszczerca Joanny d'Arc. Sądy prelegenta o samym „Hamlecie" budzą sporo pomniejszych skrupułów. O mały włos, „mielibyśmy z Klaudyusza Augusta II Mocnego, a z Danii Polskę. Uderzające podobieństwo zwiększa nawet miodopłynna fakunda, z ust królewskich płynąca, napuszona, retoryczna, kwiecista, jak oracya z XVII wieku". Nie może się nam w głowie pomieścić to „podobieństwo"; a przecież, aby znaleźć istotnie podobną do duńskiej północną tragedyę królewską, nie potrzebował chyba p. Spasowicz zbyt daleko szukać, miał ją wszak bliżej pod samą ręką. Dodajmy, że króla Klaudyusza nie mamy zgoła, jak chce prelegent, za „skończonego łotra", ani królowej Gertrudy za „istotę grubo cielesną" tylko, lecz oboje za ludzi bardzo nieszczęśliwych. Poloniusza bynajmniej nie mamy za „dudka", lecz za wcale niegłupiego jegomościa. Ale to są znowu rzeczy gustu. Byłoby coś ogólniejszego do powiedzenia. Prelegent obok rzeczy, na które można się nie zgodzić, wygłosił też sporo uwag, którym tylko można przyklasnąć, ale z którémi, prawdę rzekłszy, niebardzo wiemy, co właściwie mamy sobie poczynać. A więc p. Spasowicz, z autorytetem wytrawnego prawnika, objaśnia, że postępowanie Ham-

leta z Rosenkranzem i Güldensternem jest „czynem w całem znaczeniu słowa zbrodniczym", gdyż królewicz nieprawnie przywłaszczył sobie „list królewski i nietylko go schował, ale sfałszował inny z podrobionym podpisem Klaudyusza i królewską pieczęcią, odciśniętą sygnetem". Jest to niezawodnie nader ciężki wypadek premedytowanego zabójstwa, skomplikowany przez kradzież i fałsz dokumentu, i pociąga za sobą co najmniej tyle a tyle lat robót przymusowych. To jest jasne jak dzień po kompetentnym wykładzie prelegenta. Dobrze, ale cóż z tego? — P. Spasowicz polemizuje z Rümelinem, Wernerem, Tschitschwitzem i innymi specyalistami Szekspirowskimi, w całej litanii zagadnień kazuistycznych: czy było rzeczą praktyczną ze strony Hamleta udawać szaleńca? czy nie mógłby on łatwiej dać sobie rady przez otwartą napaść? czy monolog jest w zgodzie z pojawieniem się ducha? i t. d. bez końca; polemizując, objawia wszędzie niepospolitą przenikliwość i może nawet wszędzie ma racyę. Znów dobrze, ale czy rzecz warta zachodu? Interpretująca każdy szczegół, o wszystko pytająca, gubiąca się w drobnostkach, a czysto dyalektyczna metoda badania najpierwszych utworów natchnienia i sztuki, wynaleziona i umiłowana od Niemców, czyliż jest istotnie wszędzie użyteczną, stosowną, potrzebną? Najmniej jest chyba potrzebną w zastosowaniu do najpotężniejszego i najswobodniejszego w swych lotach geniusza sztuki dramatycznej i do jego wielkich arcydzieł, które należałoby nareszcie zostawić w spokoju, bo

same trafią do dusz ludzkich a do każdej trafią drogą osobną. Gdyż, z wszelką pewnością, te cudowne historye, wesołe albo smutne, na swój sposób komponuje sobie każdy, kto ich słucha; podobnież, jak według mądrego adagium urabia sobie każdy tę dobrą książkę, którą czyta. Do tego wrażenia, jakie bardzo dawno, niezupełnie spokojni wedle zagrażającego nazajutrz greckiego *extemporale,* wynieśliśmy, patrząc z wyżyn paradyzu na odgrywającą się na deskach historyę duńskiego księcia, do tego wrażenia, upewniamy, nic, albo nic cennego, nie dodały wszystkie niestrawne monografie o „Hamlecie", jakieśmy odtąd, w swem niedoświadczeniu, przełknęli. A kto więcej ciekaw, niechaj sam się rozpatrzy w sztukach i sonetach Szekspira; niechaj poczyta spółczesnych ludzi, z którymi on pisywał do spółki, na których się wzorował i u których czerpał, lub którzy jego z kolei naśladowali; niechaj zajrzy do Rowleya, Marlowa, Webstera, a bodaj sięgnie do Lope de Vegi i Bandella, aż nawet do Boccacia i Plutarcha; niechaj to zrobi, a o zagadki estetyczne głowy nie łamie: zapewnić można, że nie straci, owszem, zbuduje się i ubawi. Dodajmy w szczególności z powodu „Hamleta", że gdyby p. Spasowicz był zajrzał do źródła fabuły, do *„Gesta Danorum"*, oszczędziłby sobie wiele roboty, gdyż byłby się przekonał, że wiele dziwacznych w tragedyi wybryków, w których doszukuje się głębszych intencyi poety, poprostu żywcem zostało wziętych od starego płaskiego kronikarza. Zaś, jakkolwiek niewątpliwie dość jest płaskim gadułą Saxo

Grammaticus, jakkolwiek dość pretensyonalną i barbarzyńską jest jego łacina, zawszeć jeszcze amator, który do niego zabłądzi, lepiej się ubawi jego tłustą bajką Hamletowską i jego morałem więcej się zbuduje, niż wertowaniem martwych monografii nudnych estetyków-zawodowców w rodzaju Tschitschwitza i towarzyszy. Jesteśmy przeświadczeni, że tych estetyków nikt mniejby nie rozumiał, jak sam William Szekspir, gdyby zmartwychwstał i ich komentarzy posłuchał. Któryś Francuz zgrabnie powiedział, że kiedy się pisze o jakimkolwiek celniejszym twórcy a zwłaszcza poecie, chociażby pogrzebanym od całych stuleci, wypadałoby zawsze sobie wyobrażać, że on stoi za krzesłem piszącego i czyta, co ten o nim pisze. Szekspir, wglądający w ten sposób do roboty swoich monografistów dzisiejszych, niechybnie zarazby ich wsadził do komedyi; Byron byłby dla nich znalazł satyryczny kącik w oktawie; Mickiewicz najpewniej tylko wzruszyłby ramionami.

Z pisarzów obcych najwięcej pociągała p. Spasowicza niezwyczajna postać Byrona. Cztery odczyty o „Byronie i niektórych jego poprzednikach", wygłoszone przed laty w Warszawie, to jedno z najobszerniejszych i najszerzej pomyślanych studyów krytycznych autora. Rozważając kolejno Roussa, Goethego, Chateaubrianda, dochodzi krytyk w końcu do poety angielskiego, którego życie i twórczość, z wyjątkiem „Don-Juana", przedstawia szczegółowo na zasadzie ...nego literalnego zgłębienia jego pism, a zwłaszcza

nowszych biograficznych o nim przyczynków. Parę zaledwie niedokładności formalnych wpadło nam w oko: a więc „Umowa społeczna“ ukazała się nie w 1751, lecz 1762 r.; Shelley i Byron poznali się nie w Genewie dopiero, lecz jeszcze przed wyjazdem, w Londynie; pieniędzy na wykupienie Dziennika męża nie dała lady Byron, lecz wyłożył je Longmans; zresztą strona biograficzna, kreślona przeważnie poprostu podług Jeaffresona, została oddana wiernie i bez uprzedzeń. Ocena pisarza naogół bardzo trafna, przeniknięta rozumną, niezaślepioną sympatyą, — ale, zdaniem naszem, tylko naogół. Chcemy przez to powiedzieć, że jest to, naszem zdaniem, ocena zanadto ogólnikowa, zanadto oderwana, zanadto, powiedzielibyśmy, papierowa, jak na takie zjawisko, tętniące w każdym nerwie potężnem życiem własnem i życiem swojej epoki, na takie nadzwyczajne zjawisko, w najwyższym stopniu indywidualne i zarazem w najwyższym stopniu dla swoich czasów znamienne, jakiem był lord Byron. Inaczej zupełnie, z daleko głębszego tonu, wypadałoby, wedle naszego rozumienia, wziąć nastrój potężnej, tak swoiście rozśpiewanej, często tak rozdźwięcznej, Byronowskiej harfy, a zarazem na szerszem daleko tle dziejowo-społecznem wypadałoby koniecznie uwypuklić potężną postać wieszcza. Jednakowoż, chociaż bynajmniej nie wszędzie przemawia nam tutaj do przekonania profesor Spasowicz, wykładający lorda Byrona, dalecy jesteśmy przecie od myśli, aby ofiarować cień cienia, krytykę krytyki podejmować na tem miejscu. Czynimy wszakże przy tej

okazyi wyjątek dla jednego ubocznego szczegółu, który nas w kilku miejscach uderzył. Mówiąc o poprzednikach Byrona, a nosząc się już z zamiarem rozważenia pism następców jego słowiańskich, p. Spasowicz zbytnio ulega tak naturalnemu pociągowi do szukania pokrewieństwa duchowego tam, gdzie jest i gdzie go niema. „Goethe — powiada w jednem miejscu, oczywiście bez wszelkiej zasady, — posiada takież samo głębokie, jak Rousseau — poczucie religijne". „Z Byronem — powiada gdzieindziej, kiedy Anglikowi zdarzyło się we Włoszech westchnąć za górami szkockiemi, — stało się prawie to samo, co z Bohdanem Zaleskim, który śnił Ukrainę na Kapitolu". W innym znów względzie „dziwne zachodzi podobieństwo między Byronem a Krasińskim", kiedyindziej — między spowiadającym się w „Konfesyach" grzesznikiem a Gustawem z czwartej części „Dziadów". Wcześniej już słyszeliśmy, że „koniec Hamleta dziwnie przypomina koniec Wallenroda"; a to dlatego, że tam młody Horacy chce się otruć razem z bohaterem, tutaj stary Halban z Konradem otruć się nie chce, i dlatego jeszcze, że Mickiewicz na lat sześć przed napisaniem poematu czytywał Szekspira. Chateaubriand „przypomina Pola z jego słabością do staroszlachetczyzny"; a zarazem między Chateaubriandem a Byronem „podobieństwo tak jest wielkie, tak rażące, że obaj wyglądają, mimo że poszli w różnych kierunkach, prawie jak bliźnięta". Taki sposób przygodnego zestawiania rdzennie różnych zjawisk duchowych nie prowadzi absolutnie do niczego. Osta-

tecznie, wszyscy ludzie są do siebie podobni, wszyscy pisarze, chcąc nie chcąc, naśladują się nawzajem. „*C'est imiter quelqu'un que de planter des choux*", — dobrze tłómaczył się już Musset, posądzany o Byronizm.

Tembardziej trafiły nam do przekonania te ustępy w rzeczy o „Byronizmie Mickiewicza", gdzie p. Spasowicz roztropnie oświadcza, że wpływ angielskiego poety na polskiego „był, ale go przeceniono, wypada go obniżyć". Wszak odczyt o „Wallenrodzie" idzie niestety wpoprzek z tem roztropnem oświadczeniem, głosząc, jakoby „nawet polityczna strona poezyi Byrona oddziałała na Mickiewicza", — co badaj czy dałoby się udowodnić. Ten ostatni odczyt, podobno jeden z najgłówniejszych, nastręczałby nam zresztą *in merito* niejedno zastrzeżenie bezwarunkowe. Chodzi tutaj mianowicie p. Spasowiczowi nietyle o poezyę, ile o politykę poematu. Chodzi mu o obronę poety przed kryminalnym zarzutem. P. Spasowicz sadza Mickiewicza na ławie podsądnych i wygłasza wyczerpujące *plaidoyer* na jego korzyść. Czy oskarżony istotnie był winien? czy istotnie działał z występną premedytacyą? „Całe nasze studyum — powiada autor — było zbijaniem takiego przypuszczenia". Trzeba przyznać, że p. Spasowicz ze swadą świetnego obrońcy-fachowca z łaski Bożej, ze szczerem przejęciem się, z istotnym talentem, sumiennie zrobił co tylko mógł, żeby wykazać niewinność swego klienta, albo przynajmniej udowodnić jego niezupełną poczytalność, albo wreszcie chociażby zapewnić mu okoliczności łagodzące, z uwagi na jawną

skruchę, na gorzkie wyrzuty sumienia Konradowe. Bez żadnej kwestyi ten klient, Mickiewicz, istotnie leżał na sercu obrońcy, p. Spasowiczowi. Czyliż jednak istotnie sam proces przedstawia się pod tym właśnie kątem widzenia, pod jakim ogląda go i tak bardzo bierze do serca żarliwy i utalentowany obrońca? Owóż, pod tym mianowicie względem zasadniczym żywimy niektóre wątpliwości. Nie jesteśmy mianowicie pewni, czy cały ten zachód był naprawdę potrzebny, czy czasem nie był zupełnie zbyteczny. Mniemalibyśmy raczej, że cały ten pracowity trud obrończy wydatkowany został *en pure perte,* że nawet już w samej zasadzie całe postawienie kwestyi w ten sposób polega na kardynalnem nieporozumieniu.

Zachęcony temi pierwszemi próbami krytycznemi, poświęcił się odtąd autor dalszym badaniom „Byronowskim" na specyalnem już tle „słowiańskiem". Te badania są właściwie rozwinięciem poprzedniej rzeczy o lordzie-poecie, gdzie w zakończeniu był zapowiedział prelegent: „Kiedyś może zaczęte dokończę w związku z losami Byronizmu na Wschodzie, kiedyś może pokażę, jakie z ręki tego siewcy wyrastały kłosy: u nas Malczewski, Mickiewicz, Słowacki, w Rosyi Puszkin i Lermontow". Z tej obietnicy niebawem wywiązał się p. Spasowicz w całym szeregu nowych interesujących przemówień i studyów. Najciekawsze są wygłoszone w Krakowie dwa odczyty: „Mickiewicz i Puszkin przed pomnikiem Piotra Wielkiego". Wywiązała się stąd w paru punktach ożywiona polemika z p. Tretiakiem,

która do „Pism“ przeszła. Raczej z tym ostatnim bylibyśmy skłonni przypisać w rzeczy samej Puszkinowi rozmyślania o „Pomniku“; interpretacya „Jeźdźca śpiżowego“ wydaje się natomiast podobniejszą do prawdy w wykładzie prelegenta. P. Spasowicz zgodził się z p. Tretiakiem, że Mickiewiczowska dedykacya mierzyła osobiście w Puszkinie; lecz pozostaje przy swojem mniemaniu, że ten ostatni „puścił płazem“ nie ze wszystkiem zasłużony wyrzut, goryczy w sercu nie zachował, wylać jej w pośmiertnym swym poemacie nie myślał. Powtarzamy, na tym punkcie ma podobno słuszność p. Spasowicz, jakkolwiek nie należało tutaj pominąć artykułu Lelewela oraz ciekawego listu Puszkina do hr. Strogonowa, o ile pamiętamy w tej chwili, z wiosny 1834 r. Wszakże, prawdę rzekłszy, takiego lub innego rozwiązania tej kontrowersyi nie bierzemy zbyt blizko do serca. Jeśli mamy wyznać prawdę, tego rodzaju drobnostkowe kontrowersye zdają się nam należeć do tego jedynego gatunku, którego nie uznawał nieboszczyk Voltaire — do gatunku rzeczy nudnych. Są to w każdym razie rzeczy małe i błahe i napewno nie są zdolne zmienić naszego sądu o pisarzu „Rocznicy Borodina“. Jeszcze, wracając do „Jeźdźca“, chcielibyśmy skierować uwagę p. Spasowicza, śród poszukiwanych przez niego możliwych źródeł poetyckiego pomysłu, na szczególniejsze zajście, opowiedziane przez panią d'Oberkirch, a które mogło być wiadomem znacznie wcześniej przed ukazaniem się jej, skądinąd tak wiarogodnych, Pamiętników. Mamy na myśli ten

ustęp, którego bez pewnego wrażenia czytać niepodobna, gdzie po teatrze, przy kolacyi, śród wesołej gawędy, hr. du Nord, t. j. podróżujący wtedy za granicą W. Ks. Paweł Piotrowicz, późniejszy cesarz, opowiada swoją przechadzkę po Petersburgu, w księżycową widną noc wiosenną, z Kurakinem i dwoma ze służby, i jak nagle posągowa postać Piotra pojawia się u jego boku, przejmując go chłodem, i z powtarzaną żałobnie przepowiednią towarzysząc aż do placu nad Newą, gdzie dopiero miała stanąć.

Doskonałe uwagi wypowiedział p. Spasowicz z powodu „Byronizmu Puszkina". „Byron nie był karciarzem, ani zawadyaką", trafnie spostrzega prelegent i powątpiewa, „azali Puszkin pojął należycie i przeniknął angielskiego poetę". W istocie, Byron grywał w karty, póki był gołowąsem; Puszkin zaś aż do końca życia stawiał wyżej „Childe-Harolda" i „Giaura", niż „Kaina" i „Don Juana", — a dodajemy, że po angielsku umiał bardzo niewiele. Dodajmy także, że Byron na wiadomość o wypadkach grudniowych zapewne nie byłby zawrócił z drogi, spotkawszy na wyjezdnem księdza i zająca, jak to sam o sobie opowiada jego wielbiciel. Jak ten, zapisałby może Byron do dziennika: „u nikogo nie chcę być błaznem, ani nawet u samego Boga", lecz zapewne po tygodniu nie byłby prosił Benckendorffa o 15 tys. rs. dla wydania „Pugaczewa". Chcielibyśmy być dobrze pojęci. Żywimy szczere uwielbienie dla natchnionego rosyjskiego śpiewaka. Stawiamy nader wysoko geniusz poetycki Puszkina a zarazem nie

znamy mniej stosownego pytania, jak to, „który większy?“ Jednakowoż, pomijając już kwestyę charakteru, mniemamy, że pod względem ukształcenia, inteligencyi, rodzaju natchnienia, daje się wyraźnie wskazać w danym wypadku nietylko różnolitość, ale i różnowartość. Inteligencyą górował Anglik, wybujały kwiat kultury zachodniej, który, obok trucizny, wessał też wszystko, co najlepsze, z jej gleby duchowej, użyźnionej przez prochy tylu umysłów potężnych lub wytwornych, który czerpał woń i piękno razem z Anakreonta i Horacego, z Danta i Popa, z Voltaira i Goethego. Mickiewicz pod tym względem nie wszędzie dosięga Byrona, ale wszędzie za nim może podążyć, gdyż i on jest prawym synem Zachodu i jednym z najukształceńszych. Zaś natomiast czem innem wysoko ponad niego wylata. Może on bowiem z większą prawdą, niż lord angielski, powiedzieć o sobie ze starym klasykiem i z Kochanowskim: „miewam czasem, pisząc, wizye, ukazują się dwie boginie, jedna jest *Necessitas*, kliny i gwoździe belkowe dzierżąca w śpiżowéj dłoni, a druga *Poetica*, niewiadomym jakimś tchnąca urokiem, — te dwie, kiedy mnie obstąpią, nie wiem, gdzie jestem porwany“. Nie miewał takich wizyi wieszcz rosyjski, a zarazem można mu wierzyć, kiedy szczerze wyznaje, że były w „Don Juanie“ aluzye do pisarzów włoskich albo francuskich, do greckich albo rzymskich poetów, które jemu nic zgoła nie mówiły, gdyż były dla niego zagadkowe. Żałować wypada, że ta strona rzeczy nie została należycie uwydatniona przez p. Spa-

sowicza przy porównawczem zestawieniu trójcy odmiennych zjawisk poetyckich.

Dla samej ścisłości sprawozdawczej poczuwamy się do obowiązku wzmiankowania na tem miejscu o ostatniem, najznaczniejszem pod względem objętości, studyum krytyczno-literackiem p. Spasowicza, poświęconem „Schillerowi i Goethemu". Nie żałował tutaj autor czasu i mozołu, gdyż na paruset blizko stronicach dużej ósemki wyłożył nam swoje informacye i rozmyślania o dwóch wielkich wieszczach niemieckich. Nie zamierzamy atoli rozszerzać się nad tą, tak obfitą monografią. Nie umielibyśmy bowiem wydobyć z niej ani jednego uderzającego poglądu, ani jednego wydatniejszego szczegółu, które nie byłyby już dawniej opracowane i drobnostkowo wyświetlone przez odpowiednie wydawnictwa monograficzne niemieckie, skąd z chwalebną gorliwością czerpał p. Spasowicz. Nie umielibyśmy także znaleźć właściwego punktu widzenia dla klasyfikacyi i oceny jego obszernej i pilnej pracy, nie będącej ani badaniem samodzielnem, ani też rzeczą czysto popularyzacyjną. Moglibyśmy, co najwyżej, wyrazić nawiasową uwagę, że jego narracyjno-rezonująca wykładnia wydaje się nam tutaj, niemniej jak i gdzieindziej, zgoła bezowocną, zgoła mijającą się z zadaniem krytyki literackiej w wielkim, prawdziwym stylu, zgoła nadto nieprzystosowaną do natury dwóch potężnych geniuszów poetyckich, dla których może tyleż, co i autor, żywimy czci i wdzięczności, ale dla których innej nieco, wyższej, lotniejszej i głębszej pragnęli-

byśmy metody krytycznej. Lecz wstrzymujemy się, gdyż odwiodłoby nas to zbyt daleko od samego autora i jego „Pism“ niniejszych. Podobnież mielibyśmy jeszcze może do wtrącenia parę spostrzeżeń z powodu „Lermontowa“, „Turgieniewa“ i innych pokrewnych studyów drobniejszych, rozrzuconych w zbiorze „Pism“. Przypuszczamy wszakże, że czytelnik zwolni nas od dalszych rozpraw o poezyi — o poezyi, jednej z tych rzeczy dobrych, z najlepszych, w których więcej smakować, niż o nich rozprawiać się godzi. Ze skwapliwością największą, śladem p. Spasowicza, z powrotem schodzimy do prozy.

III.

Do prozy dziejowej, a mianowicie do twardej i surowej prozy ostatnich wieków przeszłości krajowej, wprowadzają nas z kolei nader różnorodne i niewątpliwie, bez względu na swoją treść, liczebnie i ilościowo nader pokaźne przyczynki, jakie mieści dalsza, zda się niewyczerpana, zawartość „Pism“ niniejszych. Nasamprzód więc i najwcześniej, do historycznych zapisek Orzelskiego, Heidensteina, Rudawskiego, wprowadzają krótkie „Wiadomości“ biograficzne, któremi był poprzedził p. Spasowicz, jeszcze przed laty czterdziestu, nową edycyę petersburską tych pisarzów. Te młodzieńcze próby pióra w obcej autorowi dziedzinie przedstawiają się jako skromne, okolicznościowe wstępy infor-

macyjne, nie mające żadnej pretensyi naukowej w znaczeniu ścisłych wymagań krytyki historycznej. Po znacznej przerwie, w pełni dojrzałości, przystąpił już autor nietylko z prostą informacyą, lecz z własnym samodzielnym sądem historyozoficznym do bliższej a dużo ciemniejszej doby saskiej. Bezpośredniej pobudki dostarczył mu tym razem nowoodkryty, a nadzwyczaj znamienny pomnik pamiętnikarski z tej opłakanej doby, ogłoszone przez Pawińskiego osobliwe wspomnienia Matuszewicza. Treściwie i jędrnie ujął p. Spasowicz całą ujemną stronę Pamiętników „Marcina Matuszewicza", które trafnie określił jako „doskonałą kontrpartyę do szlacheckiego romansu historycznego, do Listopada, Obrazów litewskich, znacznej części dzieł Pola, całego cyklu utworów Kaczkowskiego". Jednak podwójnie myli się autor, mniemając, że „Matuszewicz, nieskończenie pośledniejszy od Paska pod względem zacności i charakteru, nie ustępuje mu jako wielki pisarz i artysta". O rzekomej zacności Paska tak samo nie może być mowy, jak o jego rzekomych zasługach wielkiego artysty i pisarza; był on dzielny, bo należał do dzielnego pokolenia, do żołnierzy Czarnieckiego, pisał pięknie, bo piękną była mowa potoczna w jego epoce; zresztą był dość nieociosany prostak i jego nieoszacowanych skądinąd Pamiętników niepodobna pod względem sztuki porównać ze współczesnymi mu, a choćby nawet wcześniejszymi o całe stulecie, pamiętnikami francuskimi. Matuszewicz, znacznie więcej ogładzony, pisze o wiele staranniej i pretensyo-

nalniej, lecz mową niesmaczną i nieczystą zawodowego drugorzędnego statysty czasów saskich. Wszakże o to jeszcze byłoby mniejsza; mniejsza o błędny w tym wypadku estetyczno-historyczny sąd autora. Nieskończenie większą doniosłość posiada błędne założenie zasadnicze, za którem stoi błędny wyrok polityczno-historyczny, ferowany przez autora o wszystkiej Polsce doby saskiej. Ten wyrok, napojony skrajnym pesymizmem, wyrok bezwarunkowego potępienia dla ówczesnej powszechności państwowej i społecznej, z lekkiej ręki wydany został przez surowego sędziego na mocy tego jednego obciążającego dowodu, jaki nastręczyły mu w tym wypadku opłakane zeznania kasztelana Matuszewicza. Świadectwo, bez żadnej kwestyi, wielce niekorzystne. Lecz jako motyw do skazania całej podsądnej Rzpltej — zgoła niewystarczające. To też sam ów wyrok skazujący — zgoła niezasadny i nieważny. Przeciw temu wyrokowi, który zresztą, przyznać potrzeba, nie jest bynajmniej wyłączną własnością p. Spasowicza, lecz zadyktowany mu został z góry przez utartą już tradycyę historyozoficzną, — założyliśmy już gdzieindziej skargę zupełnej niezasadności i nieważności naukowej i politycznej. Założyliśmy naogół protest stanowczy przeciw każdej jednostronnej tendencyi przy sądzeniu nowożytnych dziejów krajowych, i to zarówno przeciw spółczesnej tendencyi prokuratorskiej, jak przeciw dawniejszej apologetycznej. Odwołaliśmy się od wszelakiej tego rodzaju tendencyi do jedynego uprawnionego kryteryum, do wszechstronnego kryteryum

porównawczego. Zaś wypadło nam naszą skargę, nasz protest wywieść właśnie przed forum historyografii czasów saskich, gdzie ośmielamy się przypisać sobie pewną kompetencyę, której doprawdy nie czerpaliśmy ze samych tylko „odkryć“ pamiętnikarskich Marcina Matuszewicza. To też przeciw wnioskom i uogólnieniom, czerpanym wyłącznie w tem jednem, doniosłem ale mętnem źródle przez p. Spasowicza, możemy poprostu powołać się na zasadnicze nasze w tej materyi wywody i zastrzeżenia, które mierzyły wprost w pierwotną teoryę naukową Szujskiego, lecz tembardziej powinny trafić we wszelkie dalsze konkluzye polityczne, wyciągane z niej przez epigonów.

Ze spraw domowych starej doby saskiej przenosi nas p. Spasowicz do nieco egzotyczniejszej dziedziny, a do znacznie świeższej daty dziejowej, w interesującej rozprawce: „Z powodu życiorysu Kisielewa“. Szkoda tylko, że nie zostały tu wcale uwzględnione liczne postronne rosyjskie i zagraniczne przyczynki dyplomatyczne i pamiętnikarskie. Nie została też skutkiem tego postawiona przez autora we właściwem świetle ruchliwa postać Kisielewa, który i dla nas jest dość zajmującą figurą, i to nietylko jako zięć Szczęsnego Potockiego, lecz oraz jako jeden z najwybitniejszych działaczów politycznych w okresie Mikołaja I. Jeszcze ciekawszą mogłaby być dla nas rzecz o „Księciu Wiazemskim, jego polskich znajomościach i stosunkach“. Pobyt Wiazemskiego w Warszawie za czasów Królestwa Kongresowego, jego zażyłe obycie się z życiem

i towarzystwem tutejszem, jego stanowisko urzędowe przy Nowosilcowie, jego uboczny udział w niektórych arcyważnych pracach pozasejmowych, a i późniejsze jego wieloliczne stosunki z ludźmi i sprawami polskiemi, — to wszystko zasługiwałoby na szczegółowe badanie, skąd mogłaby wyłonić się niejedna użyteczna nauka. Niestety, i w tym wypadku autor postawił sobie raczej ogólnikowy cel sprawozdawczy, aniżeli ściśle badawczy. Gdyż, niestety, czy to pisząc o Kisielewie, czy o Wiazemskim, p. Spasowicz widocznie opiera się wyłącznie na tej jednej publikacyi, którą właśnie ma w ręku, a co najwyżej jeszcze na pewnych tradycyach ustnych, bardzo niejasnych i niekiedy bardzo zawodnych. A przecież innych, daleko dokładniejszych źródeł piśmiennych nie brak bynajmniej, które, należycie zgłębione, pozwoliłyby dopiero autorowi zgłębić lepiej epokę i ludzi. Zyskałaby na tem niewątpliwie gruntowność, a nieraz zyskałby może także i trzeźwy krytycyzm sądów autorskich. Nie podzielamy zresztą bynajmniej opinii p. Spasowicza, jakoby ks. Wiazemski „miał w owym czasie wszystkie warunki do zgrania roli międzynarodowego rozjemcy w waśni domowej". Wiazemski w dobie Królestwa Kongresowego był na to za młody, bez żadnego doświadczenia, bez żadnego wpływu; później i zawsze był to umysł średni, charakter poczciwy w gruncie, lecz zupełnie słaby i niesamodzielny w wielkich sprawach publicznych. Naogół książę, jak się zdaje, był z gatunku tych samych ludzi, co Aleksander Woroncow, który również gdzieś w „Pis-

mach" odbiera aż nazbyt sangwiniczne pochwały i którego istotnie można chwalić, póki się nie czytało jego korespondencyi z Bezborodką: był z gatunku ludzi sympatycznych i ukształconych, wrażliwych na kulturę zachodnią, zwłaszcza na francuską albo angielską, ale wymagających koniecznie bliższego, poufniejszego zbadania i objawiających wtedy nieraz całkiem niespodziane strony swojej indywidualności duchowej.

Tuż obok wyszczególnionych studyów historycznych uszeregować wypada niektóre pokrewne przyczynki, treści raczej historyczno-krytycznej. Powstały one przy bardzo rozmaitych i bardzo nierównych okazyach, niekiedy przy okazyi tak poważnej, jak zgon Pawińskiego, kiedyindziej przy tak błahej, jak ukazanie się nowego utworu p. Waliszewskiego. Z powodu jednej właśnie takiej nowości, poczytnej zresztą i pisanej z dużym felietonowym talentem książki o „Piotrze Wielkim", nakreślił p. Spasowicz oddzielną wyczerpującą rozprawę. Grube dzieło p. Waliszewskiego pisane było, według oświadczenia samego autora, „dla czytelników rosyjskich", — lecz mimo to, i niestety wcale zasadnie, zostało odsądzone od wszelkiej samodzielnej wartości naukowej przez poważniejszą krytykę rosyjską. P. Spasowicz uznał za stosowne zapoznać z niem czytelników polskich. Jak wiadomo, p. Waliszewski, przedstawiając niezwykłą postać Piotra, dał się porwać natchnieniu i nastroił się nietyle na ścisłą historyczną, ile raczej na całkiem oryginalną liryczną nutę. Wtóruje mu poniekąd w tym względzie p. Spasowicz. A mia-

nowicie wykrywa on „ścisły związek i uderzające podobieństwo między Piotrem, jakim go podaje historya, a — Królem-Duchem Juliusza Słowackiego". Należałoby chyba tę nieprzewidzianą analogię włożyć do wspólnego zbioru innych, również niezwyczajnych pomysłów porównawczych, śród których wszak już poprzednio spotykaliśmy się ze śmiałem porównaniem pomiędzy Augustem Mocnym a — słabym Hamletem. Naogół, zdaniem p. Spasowicza, Piotr Wielki był to „człowiek prawie teraźniejszy, wolny od wszelkich przesądów", a który zarazem w „swoim umysłowym organizmie mieścił odrobinę idealizmu, wiarę w wielką przyszłość Rosyi, którą on wpoił i przelał w głowy i serca swoich poddanych". „Ta drobna doza idealizmu wystarcza do wytłómaczenia znaczącego i oczywistego dla Rosyan faktu możności dopięcia nieraz zapomocą materyalnej siły i przymusu pewnych rezultatów umysłowych i moralnych, co daje powód historykowi Sołowiewowi do zrobienia uwagi, że i chrześcijaństwo do europejskich narodów wprowadzone było przymusowo, ale się przyszczepiło i wydało najpiękniejsze owoce". Ta uwaga Sołowiewa, szczególniejszym sposobem tutaj wpleciona, jest niezawodnie bardzo ciekawą. Co się jednak nas tyczy, mielibyśmy przeciw niej wiele do nadmienienia. P. Spasowicz nie wyjaśnia bliżej, co on sam o niej sądzi, lecz pozwala dorozumiewać się, że ją podziela. Dorzuca nawet do niej od siebie kilka własnych pojęć dopełniających, zapewne nader głęboko pomyślanych, lecz, niestety, nie całkiem przejrzystych.

„Linia postępu rosyjskiego — tak wyraża się tutaj dosłownie — dałaby się nakreślić graficznie jako ząbkowanie o ząbkach nierównych, z jednego boku krótkich, bardzo spadzistych i prawie pionowych, a z drugiego boku długich i bardzo pochyłych... Trzy doby zdwojonej działalności — to znaczy „ząbków pionowych" — miała Rosya raz za Piotra Wielkiego, drugi raz za Katarzyny II, trzeci raz podczas wielkich reform Aleksandra II". Wyznać musimy, że niebardzo rozumiemy się na owem dziejowem „ząbkowaniu": ale tyle rozumiemy doskonale, że nasamprzód, dla nader ważnych względów, niewolno politycznego dzieła cesarzowej Katarzyny zestawiać z reformatorskiem jej prawnuka, że następnie dla względów równie ważnych, niewolno wykreślać bez śladu z nowożytnych dziejów rosyjskich epokowej doby cesarza i króla Aleksandra I. Dodać należy, że p. Spasowicz w sprawie niniejszej, pisząc się w szczególności na historyozofię dziejów Piotrowych, ofiarowaną przez p. Waliszewskiego, zarazem w ogólności bierze go energicznie w obronę przeciw nieprzychylnym dlań sądom nauki polskiej. Najniesłuszniej więc, zdaniem obrońcy, p. Waliszewskiemu „miano za złe tę okoliczność, że tak mało znać w jego pismach Polaka". Poczęści to prawda; jakkolwiek, jeśli się nie mylimy, głównie miano za złe, że tak mało w tych pismach znać uczonego. P. Spasowicz jednak kładzie nacisk wyłączny na tamtą właśnie „okoliczność", na ową wytykaną niepolskość bronionego przez siebie dziejopisa, i z całą stanowczością obraca się przeciw

wszelkim z tego tytułu zarzutom. A mianowicie, według p. Spasowicza, „omijanie swojego narodowego stanowiska obowiązuje bezwarunkowo historyka i jest najpoważniejszą jego zasługą". Bylibyśmy nader obowiązani autorowi, gdyby zechciał wskazać nam chociażby jednego wielkiego historyka jakiejkolwiekbądź narodowości i jakichkolwiekbądź czasów, który byłby odpowiadał takiemu pojęciu i taką położył „zasługę". My takiego, w nieuctwie naszem, nie znamy. Znamy Tucydydesa — w każdym calu gorącego patryotę ateńskiego, Tacyta rzymskiego, Machiavella włoskiego, Macaulaya angielskiego, Gervinusa niemieckiego, Thiersa francuskiego, znamy wielkiego patryotę polskiego w Lelewelu, a dobrze znamy także mocną strunę patryotyczną rosyjską w Karamzynie albo Sołowiewie. Nie mniemamy też bynajmniej, w naszem zaślepieniu, ażeby istotnie najpierwszym „obowiązkiem" historyka być miało radykalne zaparcie się „swojego narodowego stanowiska", ażeby na tem zaparciu się miała polegać istotnie „najważniejsza jego zasługa". Mniemamy wręcz przeciwnie, że byłoby to zgoła niepożądanem, że nawet byłoby zgoła niemożliwem dla każdej zdrowej i szczerej indywidualności dziejopisarskiej. Każdy wielki historyk, wykwitający jakby odrębna roślina z każdej odrębnej wyższej kultury narodowej, nietylko może, ale powinien, ale nawet musi stać mocno na przyrodzonej swojej własnej narodowej glebie: lecz zarazem, jakby taka roślina, nietylko może, ale powinien obracać się i wznosić ku wspólnemu dla wszystkiej

ziemskiej kultury, powszechnemu i jednemu słońcu prawdy i słuszności dziejowej. Na takiem dopiero połączeniu zasady narodowej i zasady wszechludzkiej polegać będzie zawsze jedno z najcelniejszych zadań prawdziwego dziejopisarstwa.

Że na te zadania dziejopisarskie inaczej zapatruje się p. Spasowicz, o tem lepiej jeszcze naucza inne jego studyum, roztrząsające właściwie wprost już „Zadania historyi", a mianowicie nowoczesnej historyi polskiej. Okazuje się tutaj w rzeczy samej, że według zapatrywań autora, istnieją dla niej pewne całkiem specyficzne zadania, z których już nawet w znaczniejszej części umiała się szczęśliwie wywiązać nauka polska. Umiała ona przedewszystkiem „pogodzić się ostatecznie z koniecznością odpaństwowienia". W tym kierunku podobno zasłużyła się najwięcej t. zw. szkoła historyczna krakowska. „Zadaniem, dokonanem przez krakowskich pracowników, którzy się ostentacyjnie nazywali strażą ogniową, było to, że pokonali romantyzm historyczny poprzedników na wszystkich punktach, że dowiedli niemożebności istnienia politycznego organizmu państwowego i konieczności upadku, wynikającej z natury rzeczy a nie z przypadku. Dokonane w chwili obecnej spełnienie tego zadania otwiera całkiem nowe widoki na przyszłość". Cokolwiekby sądzić o niepoślednich skądinąd talentach i pracach byłej „szkoły krakowskiej", niepodobna przecież opędzić się przypuszczeniu, że jej mniemana rola przewodnia dla całego przyszłego rozwoju nauki historycznej została nieco przesadzona

przez autora. Podobnież w innem jeszcze miejscu autor nieco pośpiesznie mianował Szujskiego — bez krzywdy chyba dla Piotra I, na inny znowu sposób, — polskim „Królem-Duchem", który jeszcze z poza grobu najdalsze pokolenia popycha „pędem swego wiosła". Ten piękny entuzyazm autora nie zdaje się wytrzymywać trzeźwej krytyki naukowej. Dyskusya naukowa w przedmiocie arcytrudnych zagadnień doby saskiej, Stanisławowskiej, Napoleońskiej, kongresowej, bynajmniej nie została zamkniętą przez ciekawe zapewne i swego czasu bardzo pożądane, lecz wszędzie niewystarczające, a nawet w wielu punktach z gruntu wadliwe wykłady i teorye Szujskiego albo Kalinki. Gdyby tak było w istocie, gdyby przez nich istotnie było wyrzeczone ostatnie słowo w tej dyskusyi, w takim razie sami nasamprzód pośpieszylibyśmy położyć pióro. Gdyż w pewnej mierze sami ważyliśmy się tykać tych rzekomo przesądzonych zagadnień i to niekoniecznie w rzekomo przesądzonym duchu. Ale czyniliśmy to z pełną rozwagą i kłaść pióra nie kwapimy się wcale. Nie wątpimy bowiem, że w tej dziedzinie wiele nowego, bardzo wiele, jeśli nie wszystko, pozostaje jeszcze do zrobienia dla nowej nauki spółczesnej. I nie wątpimy też ani na chwilę, znając bystrość p. Spasowicza, że gdyby on tylko, przy wielostronnych swoich zajęciach i studyach, zamiast ograniczać się jedynie do tamtych przedawnionych wykładni i teoryi, miał możność wtajemniczyć się lepiej w spółczesny stan ścisłej nauki historycznej w ogólnym zakresie dziejów nowożytnych,

gdyby miał możność zarazem dokładniej zgłębić spółczesny zasób ścisłych przyczynków źródłowych, swojskich i cudzoziemskich, w pierwszym rzędzie szacownych przyczynków rosyjskich, w specyalnym zakresie dziejów polskich w dobie dwóch ubiegłych stuleci,— naówczas z całą pewnością byłby zdobył się na mniej kategoryczną a i mniej nieoględną stylizacyę swoich powyższych twierdzeń i wskazań o „zadaniach historyi".

Już w szeregu pism, wzmiankowanych dotychczas, zdołał p. Spasowicz uwydatnić dość wyraźnie myśl górującą, *i'idée maîtresse*, swoich poglądów historyozoficznych, albo raczej historyczno-społecznych, historyczno-wychowawczych. Najdobitniej atoli, a poniekąd najniespodzianiej, zastosował ją i rozwinął w wybitnem wystąpieniu publicznem, w najulubieńszej sobie formie krasomówczej, którą z takiem włada mistrzostwem. Mamy na myśli rozgłośną prelekcyę p. Spasowicza o „Adolfie Pawińskim", która swego czasu dostarczyła opinii publicznej obfitego wątku dla snucia uwag i komentarzy. Znamienny ten odczyt, wygłoszony w Towarzystwie historycznem przy uniwersytecie petersburskim, — z którem nie należy utożsamiać wielkiego Towarzystwa Historycznego Rosyjskiego, — był czemś więcej, niż zwykłem wystąpieniem akademickiem. To nie był tylko głos uczonego o uczonym, pod adresem zamkniętego ciała naukowego. To był zarazem głos obywatela o pewnych, nader ogólnych a przecie nader aktualnych sprawach życiowych, skierowany

do dwóch społeczeństw. Taką była niewątpliwie intencya znakomitego mówcy. Tak też zrozumiała go opinia publiczna. Jego odczyt znalazł szeroki odgłos w społeczeństwie rosyjskiem. Polskie zainteresował do żywego. Z tego też przedewszystkiem tytułu, nie dla samych względów akademickich, domagał się należytego rozważenia i oceny. Trzeba było atoli czas jakiś wstrzymać się z oceną. Kiedy chodzi o rzeczy tak doniosłe, jak te, których w swem przemówieniu dotknął p. Spasowicz, i kiedy mówi o nich człowiek takiej jak on miary, nie wolno polegać na relacyach z drugiej ręki. Woleliśmy też nie polegać nawet na „dosłownym przekładzie autentycznego tekstu", t. j. na ułamkowej wersyi polskiej, ogłoszonej swego czasu w poczytnym tygodniku polskim, a obecnie włączonej do zbioru „Pism", której dosłowność i autentyczność mogłaby atoli nastręczać pewne wątpliwości. Te wątpliwości byłyby zresztą zupełnie uzasadnione. Okazuje się bowiem, że ofiarowany pierwotnie przekład polski nie był ani dosłownym ani autentycznym, że zostały w nim zmienione oddzielne wyrażenia, przeinaczone niektóre ustępy, inne opuszczone. Ale nie o tem chcemy mówić. Mamy przed sobą przemówienie p. Spasowicza nietylko w całości, lecz oraz w brzmieniu oryginalnem, jak pojawiło się pierwotnie na łamach „Gońca Europejskiego". Na tej zasadzie można je bezpiecznie roztrząsać i wydać o niem zdanie.

P. Spasowicz mówił o ś. p. Pawińskim. Znaliśmy wszyscy i cenili zmarłego. Tych lub owych jego po-

glądów historycznych, tych lub owych zapatrywań społecznych, można było nie podzielać. Ale był to niezawodnie i bardzo wielki uczony i bardzo dobry Polak. Jego zgon przedwczesny stanowił dotkliwą stratę dla nauki i kraju zarówno. Była to myśl fortunna, ażeby z rozległą, spokojną, działalnością bezstronnego uczonego polskiego bliżej zapoznać lepszych przedstawicieli nauki i inteligencyi rosyjskiej. P. Spasowicz jednakże założył sobie uczynić zarazem i mniej i więcej. Chciał przedstawić swoim słuchaczom rosyjskiem jedynie „Adolfa Pawińskiego jako historyka sejmiku polskiego". Jednocześnie, z samych tylko prac zmarłego nad sejmikiem polskim, chciał wydobyć pewne konkluzye najogólniejszego znaczenia. W tym celu przedewszystkiem na zasadzie „Sejmików ziemskich" oraz „Rządów sejmikowych" nakreślił treściwy zarys rozwoju państwowego Rzpltej polskiej. Ten zarys, w przedstawieniu prelegenta, stał się obrazem nieprzerwanego, od początku do końca, rozkładu państwowego Rzpltej, w której właściwie, przez cały czas jej istnienia, „sama tylko opozycya posiadała organizacyę — pod postacią związków konfederackich, — zaś władza rządowa wobec anarchii była bezbronną". Ostatecznie, „obydwa dzieła Pawińskiego rozwijają jedną myśl zasadniczą i dają zupełnie podobne wywody i wnioski". „Państwo polskie — tak, zdaniem prelegenta, wyrażają się owe wnioski, — urządzone wedle typu sejmiku, odtwarzające w całej swej budowie i we wszystkich czynnościach tamtą formę zasadniczą swojej żywej komórki, przedstawia ustrój zu-

pełnie szczególny, ale całkowicie średniowieczny, t. j. równie niezdolny do życia śród spółczesnych warunków państwowości europejskiej, jak byłyby niezdolne do życia śród zmienionych warunków biologicznych owe kopalne zwierzęta z okresów pierwotnych kuli ziemskiej, będące przędmiotem badań paleontologii... Wniosek o specyficznie średniowiecznym charakterze państwa polskiego z jego zasadniczą komórką-sejmikiem tak jest prosty i przekonywający, tak namacalny, że można go odrazu uznać za pewnik oczywisty". Ten pewnik, wszechstronnie wyłuszczony przez prelegenta, nie może, jego zdaniem, być obojętny dla słuchaczów rosyjskich. Wprawdzie „mogą mi oni zarzucić, dlaczego ze wszystkich pism Pawińskiego obrałem za przedmiot sejmik polski i jemu poświęcam cały zarys niniejszy? Mogą mi powiedzieć: przekonałeś nas zupełnie, że urządzenia państwowe Polski były średniowieczne, że należało je zburzyć: to też zostały zniesione; pocóż wspominać o tem, co już nie istnieje? Sądzę jednak, że podobny zarzut mógłby wyjść jedynie od takich samych separatystów pod względem historycznym, jakimi byli pod względem politycznym ziemianie byłej Rzpltej, przy swojej nieudolności do unifikacyi. Byłe państwo polskie niepowrotnie upadło, nietylko ze wszystkiemi swemi urządzeniami państwowemi, lecz oraz ze wszystkiem swojem prawem publicznem i cywilnem. Ale naród, mający przeszłość historyczną, nie może zejść ze sceny bez protestu, ani też poddać się

nieuniknionej konieczności, nie wyczerpawszy wszystkich swoich sił żywotnych".

Wywody p. Spasowicza posiadają naogół jedną kapitalną wadę. Nie są przezroczyste. Są nawet dosyć mętne. Dlatego też uznaliśmy za niezbędne przytoczyć własne jego słowa. Te niejasne zwroty dają się atoli sprowadzić do pewnych twierdzeń wyraźnych, które wynieśliśmy z najdokładniejszego, najuważniejszego rozpatrzenia się w słowach prelegenta. Jeśli go źle zrozumieliśmy, wina nie nam może być przypisana. Gdyż jakże w takim razie mogli go zrozumieć jego słuchacze? On mówił o rzeczy, którą my dokładniej znać musimy od któregokolwiek z tych słuchaczów, podnosił sprawę, w którą my uważniej, niż z nich którykolwiek, musimy się wsłuchiwać. Aliści, żeby wyznać prawdę, nie mamy żadnej zręczności do nieokreślonych, niepochwytnych, nieprzejrzystych zwrotów krasomówczych. Mamy, przeciwnie, dziwną słabość do nazywania rzeczy po imieniu. Mamy uparty pociąg do jak najjaśniejszego, jak najprostszego uzmysłowienia sobie i formułowania myśli swoich i cudzych. Chcielibyśmy podobnież jasno i poprostu uzmysłowić sobie i sformułować dość zawiły tok rzeczonych twierdzeń prelegenta. Oto te twierdzenia. Instytucye polskie, oparte na krańcowem zwyrodnieniu samorządu, na wszechwładzy sejmu i sejmików, były zupełnie wyjątkowe. Były wyjątkowo wadliwe. Były takiemi przez cały czas trwania państwa. Były mianowicie skróś średniowieczne. Ten charakter zachowały, spotęgowały pod sam koniec.

Uczyniły też pod koniec państwo polskie wyjątkowym, jedynym w swoim rodzaju, niebywałym i dłużej niedopuszczalnym anachronizmem w Europie. Średniowieczyzną swoją, konsekwentnie i dobrowolnie dochowaną pośrodku ery nowożytnej, stały się głównym, jeśli nie wyłącznym powodem zguby państwa. One to uczyniły jego upadek koniecznością dziejową, koniecznością nieodwołalną, bo wypływającą z samej natury rzeczy. Społeczeństwu polskiemu jasna tego świadomość powinna ułatwić przystosowanie się do nowych, dośrodkowych warunków. Społeczeństwu rosyjskiemu przykład wybujałego, chorobliwego, odśrodkowego wyodrębnienia oddzielnych ziem polskich, w stosunku do dawnej Rzpltej, powinien wskazać słuszne granice potrzeb, w stosunku do państwa dzisiejszego, rozmaitych jego dzielnic, a w szczególności dzielnic polskich.

W przemówieniu p. Spasowicza są rzeczy roztropne i trafne, są prawdy oczywiste, powszechnie uznane. Takim byłby w samej zasadzie jego pogląd krytyczny na winy przeszłości, trzeźwe pojęcie wymagań teraźniejszej doby. Ale w jego szczegółowych wnioskach, napoły naukowych, napoły politycznych, mieszczą się dwa rażące błędy naukowe i dwa kardynalne błędy polityczne. Błędem naukowym jest przedewszystkiem podciągnięcie całego pięćsetletniego rozwoju państwowego Rzpltej pod strychulec jakiejś średniowiecczyzny wyjątkowej, skostniałej, martwej i śmiertelnej. Rzplta ze swojem prawem publicznem nie była bynajmniej jakimś cudackim, potwornym wyjątkiem w Europie, gdzie wszak aż do ery najnowszej przechowało się

nietknięte prawo publiczne Rzeszy niemieckiej, królestwa węgierskiego albo Szwecyi. Urządzenia polityczne polskie niewątpliwie z biegiem czasu, tak samo jak szwedzkie, węgierskie albo niemieckie, jak z innych względów nawet angielskie i francuskie, w znacznej części utraciły racyę bytu, zwyrodniały fatalnie, gwałtownie domagały się naprawy. Jeśli tego chciał dowieść prelegent, w takim razie wywalał drzwi, rozwarte na oścież jeszcze przez Augustów i Stanisławów, przez Flemingów i Poniatowskich, przez Przebendowskich i Czartoryskich, przez Załuskich i Konarskich, przez Kołłątajów i Staszicow, przez prawomocne wreszcie uchwały sejmowe. Gdyż nie o to chodzi, azali owa naprawa była niezbędną: tu dwóch zdań być nie może; lecz o to, iż niemasz dowodu, ażeby ona była niemożliwą. Owszem, nie brak skazówek, że byłaby się dała uskutecznić, — tak samo jak uskuteczniono ją na swój sposób gdzieindziej, w Sztokholmie, Paryżu albo Berlinie, — gdyby tutaj, w Warszawie, nie była została uniemożliwioną. Drugim błędem naukowym, bezpośrednio wypływającym z pierwszego, jest wyprowadzenie upadku państwa, jako koniecznego i naturalnego skutku, z wadliwości jego urządzeń, jako wyłącznej i wystarczającej przyczyny. Urządzenia wszystkiej Europy, bez żadnego wyjątku, na schyłku wieku XVIII znajdowały się w takim stanie zupełnej degeneracyi i rozprzężenia, że dłużej trwać nie mogły i upaść musiały. Jednak wszystkie państwa przetrwały upadek swoich urządzeń. Upadek Rzpltej, przedstawiony jako fatalność, spowodowana przez samą Polskę, jako wyrok

dziejowy, ściągnięty na siebie przez samych Polaków, jako misya cywilizacyjna, wypełniona przez mocarstwa rozbiorowe, — pogląd taki, głoszony najuporczywiej przez historyografię pruską, dziś już pod względem naukowym należy uznać za zupełnie przestarzały, usunięty przez zdrowsze i wyższe pojęcie prawdy dziejowej. I usuwany zostaje obecnie — zaznaczyć to należy ze szczerem uznaniem, — nawet przez najnowszych, choć bardzo jeszcze nielicznych, bezstronnych uczonych niemieckich, a zwłaszcza przez światlejszych przedstawicieli nauki rosyjskiej. Pogląd taki, ile nam wiadomo, nigdy nie był akceptowany przez dojrzałą i zdrową głowę Pawińskiego, którą też najdowolniej kładzie prelegent pod swoją apokryficzną ewangelię. Natomiast taki pogląd był ongi przyjęty kornie i bezwzględnie przez pewną część dawniejszej historyografii polskiej, a mianowicie przez t. zw. szkołę krakowską, przez Szujskich i Kalinków, których dobra wiara naukowa i obywatelska jest wyższą ponad wszelką wątpliwość, ale których omylne i szkodliwe wnioski i tezy historyozoficzne bezwarunkowo domagają się sprostowania i skreślenia. Zawszeć pod tym względem zasadniczym, pod względem autokrytyki społeczno-dziejowej, tkwiła w duchu polskim jakaś dziwna skłonność do ekscesów, jakiś pociąg do skrajności własnego o sobie sądu. Od skrajnej apoteozy przeszłości łatwo przerzucono się do jakiejś skrajnej askezy. Lecz ani jedna ani druga ostać się nie może wobec ścisłej, przedmiotowej, porównawczej krytyki historycznej.

Byliście winni — tak społeczeństwu polskiemu tłómaczy niezbicie nauka dziejowa, — nie byliście winniejsi od innych. Byliście chorzy,—nie byliście chorsi od innych. Nie byliście wybrańcem, lecz nie byliście też nigdy wyrodkiem narodów, jakimś „paleontologicznym“ czy „kopalnym“ potworem, jakimś nienaturalnym, niedojrzałym, niepełnoletnim, szalonym wyjątkiem pośrodku rodziny europejskiej. Zaś jasnem jest jak na dłoni, że z takiego podwójnego błędu naukowego wyradza się podwójny błąd polityczny: zaufanie do społeczeństwa ciężko zostaje podkopane w opinii obcej, a zarazem, co jeszcze nierównie gorsza, zostaje głęboko nadwerężone we własnej samowiedzy publicznej.

Rozglądając się w tak bujnem i wielostronnem żniwie pisarskiem p. Spasowicza, wypadło nam do niniejszej najluźniejszej kategoryi włączyć razem najliczniejsze i najróżnolitsze przyczynki. Pośród nich natrafiamy tutaj także na długi szereg drobniejszych, całkiem oderwanych utworów publicystycznych, noszących już raczej cechę pisarskiego pokłosia. Nie pomijamy ich przecież, gdyż, ile tylko podobna, niczego nie chcielibyśmy pominąć. Pod tytułem „Pozytywizm w Rosyi“ daje autor obszerną i niemal entuzyastyczną ocenę książki uczonego rosyjskiego Stronina, który „jest niesłychanie płodny w pomysły zawsze oryginalne, sypie jak z rogu obfitości świetne idee“, znakomitego myśliciela, „którym mogłoby się pochlubić każde, by najbogatsze piśmiennictwo“. Możemy uspokoić czytelników,

skonfudowanych zapewne, że nigdy nie zasłyszeli o tak wybitnym pisarzu, o takim luminarzu nauki nowoczesnej. Jak przez mgłę, z czasów nieporządnej, niewybrednej lektury gimnazyalnej, przypominamy sobie Stronina „Politykę", a zwłaszcza jego osobliwszą rzecz o „Historyi i metodzie", przypominamy tego zapóźnionego Comtowskiego ucznia, który sadzi się na nowość konceptu, tworzy wyrazy jak „analogika", „obserwatyka", rehabilituje wojnę i federalizm, przepowiada blizki podział Austryi, formułę dzisiejszego rozwoju narodów wykrywa w krzywej parabolicznej, opisywanej przez środek ciężkości pękającego granatu. Można było, jak mniemamy, nad całą pseudo-uczoną produkcyą tego pseudo-pozytywisty przejść spokojnie do porządku dziennego. W urywku z powodu „Fantazyi polskich na tematy słowianofilskie", p. Spasowicz, zazwyczaj nader umiarkowany, nieco się rozgrzewa i w ostrzejszym tonie przemawia, a dodać należy, że tym razem z zupełną słusznością. Słuszną również odprawę daje „Tece Nieczui"; wypadałoby tutaj tylko raz jeszcze zastrzedz się wyraźnie, że można cenić dobrą wolę i pracę Szujskiego, a jednak powstrzymać się od gołosłownego zdania, jakoby „z wodzów umysłowych narodu on był naczelny po r. 1863, o nim rzec może pokolenie nasze, co powiedział Słowacki o Królu Duchu, że dotąd idzie naród pchnięciem jego wiosła". Tego hyperbolicznego zdania p. Spasowicza o Szujskim, powtarzamy ponownie, niepodobna podpisać żadną miarą, i wolno wątpić, czy podpisałby je dzisiaj

ktokolwiek nawet pośród najszczerszych, lecz rozważniejszych wielbicieli historyka krakowskiego.

Na tle wspomnień osobistych, w zakresie długoletniej swojej po dziś dzień działalności na gruncie rosyjskim oraz zażyłego obcowania z celniejszymi przedstawicielami umysłowości rosyjskiej, nakreślił p. Spasowicz zajmujące przyczynki o „Pięćdziesięcioleciu uniwersytetu petersburskiego", o „Konstantym Kawelinie", „Włodzimierzu Sołowiewie", i niektóre inne. Najciekawsze może pod względem nietylko ogólnym, lecz poniekąd autobiograficznym, są wspomnienia o Kawelinie, gdzie autor, stawiając pomnik pozgonny przyjacielowi, równocześnie rzucił dużo światła na rozwój własnych swoich pojęć społecznych i politycznych. Wyjaśnia tutaj mianowicie p. Spasowicz, iż punktem wyjścia tych jego pojęć były wypadki galicyjskie 1846 roku. Te wypadki „nam wskazały, że stoimy na kraju przepaści, że przegrywamy sprawę na kwestyi włościańskiej, na tym najsłabszym punkcie historyi polskiej. Widzieliśmy jak na dłoni, że upadek państwa polskiego był wynikiem wadliwej jego organizacyi, że spowodowały go *tylko* przyczyny wewnętrzne". P. Spasowicz w 1846 r. był jeszcze bardzo młody i nie dziw, że tak wtedy mógł rozumować pod wpływem szlachetnego poruszenia duszy i zupełnej nieznajomości dziejów i stosunków krajowych; lecz nieco dziwniejsza, że nieoględne rozumowania siedmnastoletniego młodzieńca po upływie przeszło półwieku odnajdują się dosłownie w „Pismach" bez należnego zastrzeżenia ze strony

dojrzałego i doświadczonego męża. Również bez żadnych zastrzeżeń odnajdują się tutaj pierwsze ślady stałej antypatyi, żywionej przez autora dla Królestwa Kongresowego. To jest dla p. Spasowicza „osobliwsza kraina, malutkie państewko w państwie", przyodziane w „ubiór arlekina zszyty z mnóstwa różnokolorowych kawałków", odstraszający wzór „całkowitego zacofania w stosunkach prawnych społeczeństwa, które nie żyło, a tylko wegetowało". I znowuż szczerze ubolewać przychodzi, że dzisiaj do zbioru „Pism" niepospolitego uczonego i obywatela mogły przedostać się podobnego gatunku wysoce niewłaściwe zwroty i sądy. Wytykać całą ich niewłaściwość uważamy zresztą za zbyteczne, jakkolwiek, albo raczej właśnie dlatego, że na dzieje Królestwa Kongresowego, nieznane bliżej autorowi, usiłowaliśmy i usiłujemy ze szczególniejszą troskliwością skierować badania własne i poszukiwania młodych naszych w nauce przyjaciół. Zajmujące uwagi p. Spasowicza o zgasłym przedwcześnie Włodzimierzu Sołowiewie dały nam na inny sposób wiele do myślenia. Niezwykła postać Sołowiewa w rozlicznym względzie jest dla nas ciekawą a nawet sympatyczną. Jednakowoż, im jest ciekawszy i sympatyczniejszy jako człowiek, tembardziej, zdaniem naszem, Sołowiew, jako myśliciel, jako działacz, wymaga najbaczniejszej, najostrożniejszej krytyki. I to zarówno w obu, tak ściśle, tak organicznie ze sobą splecionych kierunkach jego myślenia i działania; zarówno w zakresie jego studyów teologicznych w Moskwie i Dyakowarze, jakoteż jego badań słowiań-

skich w Petersbugu i Krakowie; zarówno w dziedzinie jego dążności i marzeń kościelno-politycznych, jakoteż jego teoryi i haseł narodowościowo-politycznych. Pogląd Sołowiewa na sprawy Kościoła powszechnego, dyktowany niezawodnie przez głowę szlachetną i śmiałą, ale mętną i fantazyjną, jest oparty na fałszywem z gruntu założeniu, fałszywem podwójnie, tyleż fałszywem ze stanowiska pierwotnych dziejów kościelnych, ile ze stanowiska nowożytnych dziejów politycznych. Pod tym ostatnim zwłaszcza względem jest to w gruncie rzeczy nic innego, jak tylko ta sama błędna, niewykonalna inicyatywa ojca Possevina albo ojca Grubera, podejmowana tym razem z drugiego końca. Z kolei pogląd Sołowiewa na sprawy powszechnego słowiaństwa w równym stopniu nacechowany jest, przy najlepszych zapewne chęciach, jaskrawą dowolnością i rażącym błędem. Stosuje się to nasamprzód do jego wyłuszczeń o Słowianach bałkańskich w szczególności, o sprawie wschodniej wogóle, gdzie informowany jest jak najgorzej — choć podobno informował go biskup Strossmayer we własnej osobie. Stosuje się to następnie w wyższej jeszcze mierze do jego wyłuszczeń o Królestwie Polskiem w szczególności i sprawie polskiej wogóle, gdzie informowany bywa tak opacznie, że wprost w głowę zachodzimy, u kogo też podobnych mógł zasięgać informacyi? Tak więc tutaj, między innemi, punktem wyjścia jego wywodów jest oryginalna teza o potrójnem zbawieniu Królestwa Polskiego w ciągu XIX wieku: a mianowicie zostało ono rzekomo

w tym wieku wyratowane popierwsze od germanizacyi, powtóre wyratowane od głodu, potrzecie wyratowane od rzezi chłopskiej, to znaczy wyratowane podobno po trzykroć, w 1815, 1832 i 1864 r. Osobliwsza ta teza nie wymaga chyba bynajmniej, ażeby kłaść ją pod lupę ścisłej nauki historycznej. Owóż mniemalibyśmy, że p. Spasowiczowi, przy roztrząsaniu tych i podobnych pomysłów Sołowiewa, niewszędzie udało się z pożądaną jasnością uwydatnić zawarte w nich logiczne zboczenia argumentacyi a zwłasza szkodliwe zboczenia myśli przewodnich i kierunków wytycznych.

Co prawda, owa jasność, tak bardzo pożądana w tego rodzaju arcyważnych materyach, niezawsze znachodzi się tam nawet, gdzie p. Spasowicz już bezpośrednio we własnem, czysto osobistem imieniu własne swoje, głęboko obmyślane i głęboko odczute, rozwija zapatrywania i dążności. Takim zapewne powodował się zamiarem, kreśląc w chwili uroczystej, podwójnie uroczystej, bo wielkiego religijnego święta i rocznicy wielkiego narodowego wieszcza, na wzniosły „temat wigilijny“ doniosłe rozmyślania „O dobrej woli“. Zdaniem autora, „pytanie o tem, jaką być powinna dobra wola, stało się mocno zagmatwanem w środku XIX wieku“. Autor gorąco pragnie raz na zawsze rozplątać tę „gmatwaninę“. W tym celu przedewszystkiem należy zerwać raz na zawsze „nasz stosunek wasalnej zależności od zachodniej Europy“. Należy usunąć obłędne konsekwencye duchowe takiego przedawnionego stosunku, propagowane ongi przez najpierwszych prze-

wodników, przez wielkich poetów narodowych. Jako najbardziej znamienny wyraz tego obłędu p. Spasowicz cytuje słowa Mickiewicza: „ja tylko jedną taką wiosnę miałem w życiu", i dodaje od siebie takie instruktywne objaśnienie: „to była wiosna krwawej i fatalnej pamięci 1812 r., wiosna nadziei ale najzłudniejszych, a z drugiej strony wojna najniesłuszniejszego najazdu". Poważylibyśmy się, nawiasem, zakwestyonować niniejszy, tak kategoryczny sąd historyczny autora i odwołać się w tej mierze do sądu spółczesnej nauki dzisiejszej oraz do własnych naszych, mniej ogólnikowych, lecz może lepiej udowodnionych, rzeczowych wyłuszczeń o przyczynach wojny 1812 r. Wszelako p. Spasowicz nie zatrzymuje się na takich szczegółach. „Nastała pora — nawołuje w dalszym ciągu — dla położenia końca tym nieporozumieniom, temu pogmatwaniu pojęć, temu uzależnieniu szczęścia narodu od pewnych tylko form politycznych... Państwa nie bywają nigdy narodowo jednolite. Narody w państwie bywają politycznie zrzeszone, a gdzie jest rzesza, tam być też musi jakiś pierwiastek górujący i naczelny, przodujący przed innymi". Zauważyliśmy znowuż nawiasowo w tem miejscu, że myśl niniejszą stosuje tutaj autor do bliższego sobie narazie koła zjawisk, że atoli kiedyindziej unika raczej logicznego zastosowania tej samej myśli, kiedy chodziłoby np. o zastosowanie jej względem niemieckości w rzeczach czeskich i wogóle austryackich. „O tem, co jest rzesza narodów politycznie zrzeszonych, — tłómaczy dalej autor, zapewne nie zdając sobie dostatecz-

nie sprawy, że ma tutaj wręcz przeciw sobie nietylko teksty Lengnicha, lecz, co ważniejsza, wielką i jedynie prawdziwą myśl Kołłątaja, — możemy sami coś wiedzieć, wszakże byliśmy sami rzeszą, rozrastającą się przez dobrowolne związki równouprawnionych narodów. Gdy rzesza została w części rozbitą i podzieloną, uwydatnił się w dawnych jej granicach ten polski pierwiastek, który był w dawnych jej granicach spojem i kitem, ale nie nadający się do tego, by dawniejszą całość dźwignąć". Stąd zaś, koniec końcem, taki wniosek i morał ostateczny, że należy niezmiernie liczyć się ze zmianą i postępem okoliczności i czasów; że należy do nich roztropnie przystosować ziszczalne dążenia i cele, zwłaszcza, kiedy się nie posiada „żadnych innych tytułów, oprócz starych, kwestyonowanych i przedawnionych może dokumentów"; że nie należy stawiać się „w położeniu spadkobierców upadłego magnata, zubożałych i karmiących się może łzami, o żebranym chlebie, ale strojących się w dziwaczne łachmany swojej dawnej książęcości i wierzących, że bez najmniejszego przyczynienia się przeżyta przeszłość znowu cudem jakim wróci"; że „wrodzona nam duma powinna nas powstrzymać od takiego rodzaju ambicyi"; że „nie mamy prawa pozować na zdetronizowanych pretendentów"; i że zatem powinniśmy „wziąć się znowu do pracy, a ponieważeśmy umysłowo nie upośledzeni, więc doczekamy się niezawodnie, że nas zaliczą do pocztu przodujących w cywilizacyi i uspołecznieniu narodów". W tych zastanawiających wyrazach jest niewąt-

pliwie dużo prawdy, najoczywistszej prawdy, wybijającej znowuż drzwi otwarte, a i innej także, utrafiającej może wcale dobrze w sprawy — korony halickiej albo nawet korony św. Wacława.

Wybitną cechę tak rozległego, wszechstronnie ukształconego i wszechstronnie też czujnego umysłu p. Spasowicza stanowi rzadka umiejętność i konsekwencya, z jaką on nie zaniedbuje szerzyć swoich idei społeczno - politycznych, bez przerwy, bez wytchnienia, przy każdej nadarzającej się sposobności, na wszelakich najrozmaitszych polach myśli publicznej. Tam nawet, gdzie dla pospolitego oka sposobność mogłaby wydawać się dosyć odległą a bodaj dosyć wątpliwą, zaś samo pole mniej podatnem a bodaj mniej stosownem,— tam nawet potrafi autor bystrzejszem spojrzeniem wytrawnego strategika dopatrzyć się dogodnych punktów zaczepnych, gdzie może walczyć i zwyciężać w imię ulubionych swoich haseł przewodnich. Potrafi on w tym celu z niepowszednim kunsztem wykrzesać pobudkę z najoporniejszej okazyi, wyzyskać teren w najnieprzystępniejszej dziedzinie. A więc potrafi uczynić to także z okazyi wybitnego dzieła sztuki, w dziedzinie czystej twórczości artystycznej. W świecie fikcyi, tak samo jak w świecie rzeczywistości, doszukuje się on bacznie sprzymierzeńców i silną ręką gromi przeciwników. Takie, nie inne znaczenie, posiadają niektóre, nadzwyczaj nauczające krytyki literackie p. Spasowicza. Z powodu „Rodziny Połanieckich“ Sienkiewicza wytacza krytyk cały szereg leżących mu na sercu zagadnień i wyciąga

na swój sposób wnioski, przypadające mu do przekonania. „Stanisław Połaniecki jest to typ nowy, ostatniej daty, nie mający nic wspólnego z epigonami byronizmu i romantyzmu". Oczywiście krytyk, który zadaniem swego życia uczynił tępienie zgubnych tradycyi „romantycznych" pod wszelką postacią, żywi bezwzględną sympatyę dla niniejszego całkiem odmiennego „typu". A więc „byłoby tylko do życzenia", ażeby co najrychlej „Połanieccy składali u nas legion". Niedość na tem. Krytyk nie poprzestaje na podkreśleniu obywatelskich zalet artystycznego tworu, lecz usiłuje z jego obywatelskością utożsamić samego twórcę, usiłuje solidaryzować powieściopisarza z bohaterem powieści. Z naciskiem wskazuje „parę miejsc, zdradzających prawdziwe intencye autora", wskazuje jego „obawy o przyszłość", jakie budzi zwłaszcza „wykwintne zło Zachodu, posiane na dziką słowiańską glebę". Jednakowoż, rzecz prosta, żaden nieuprzedzony czytelnik nie zachowa najmniejszej wątpliwości, że cała ta metoda krytyczna grzeszy zupełną dowolnością w założeniu i wnioskach. Twórczość wielkiego pisarza niekoniecznie musi zawsze chodzić w parze z powziętą z góry taką a nie inną tendencyą społeczno-polityczną. Podobnej tendencyi napewno nie żywił w tym wypadku Sienkiewicz, który nie jest publicystą ani człowiekiem stronnictwa, lecz przedewszystkiem wielkim artystą. Ten wielki artysta, kiedy portretował swego Połanieckiego, poprostu malował żywego człowieka z natury, nie zaś idealnego rzekomo działacza z politycznego programatu.

To wszak jasne. A jednak rzecz tak prostą i jasną mógł przeoczyć przenikliwy krytyk zawodowy, jakim jest p. Spasowicz. Lecz on przeoczył dlatego, że i tym razem patrzył pod niewłaściwym kątem widzenia. Dlatego też podobne przeoczenia musiały mu wydarzać się nieraz i kiedyindziej przy podobnych okazyach. Tak więc znowuż kiedyindziej, z powodu „Sprawy Dołęgi", przystępuje do krytycznego rozważenia „Typów społecznych w powieści Weyssenhoffa". P. Spasowicz ma poważne zarzuty przeciw tej powieści. Jej fabuła, jak wiadomo, przewija się dokoła pewnego technicznego szczegółu: jest nim projekt zaprowadzenia sieci dróg bitych w Królestwie Polskiem. Wytrawny krytyk na całej linii atakuje ten właśnie szczegół. „Sam pomysł sieci dróg bitych jest już nie na dobie... jak na dzisiejsze czasy wygląda jako niemodny i znacznie staroświecki". Pozwolimy sobie wtrącić tutaj na stronie małą pedancką uwagę, a mianowicie wyrazić wręcz przeciwny pogląd nasz własny w tej materyi. Dzieje warszawskiego Okręgu komunikacyi od 1832 r. aż do doby spółczesnej są nam dość dobrze znane z pierwszej ręki i mamy głębokie przekonanie, że bez względu na drogi żelazne szeroko i wązkotorowe, pozostaje tutaj ogromnie dużo do zrobienia, do odrobienia, właśnie w zakresie dróg bitych, i to zwłaszcza w porównaniu z Poznańskiem a nawet z Galicyą. Domyślamy się, że p. Spasowicz chyba nie miał czasu zajmować się bliżej tą tak ważną gałęzią ściślejszych potrzeb krajowych. Ale — *passons*. P. Spasowicz, z głębokiem na-

tomiast znawstwem interesów administracyjnych wogóle i petersburskich w szczególności, krytykuje surowo całe wzięcie się do rzeczy niepraktycznego projektodawcy Dołęgi i cały tok niezręczny, nadany jego „sprawie". Trzeba było to wszystko robić zupełnie inaczej. Projekt był „zawisły od znacznych ustępstw i zobowiązań rządowych. Rząd winien byłby upoważnić konsorcyum do pobierania rogatkowego". Zaś na nic nie zdałaby się sama „idea naga i nieopierzona, martwy operat, którego nikt nie popierał. Na jazdę do Petersburga powinienby Dołęga sam się zdecydować, albo znaleźć zaufanego zastępcę, być w kursie interesu". Tak jest najniezawodniej. Tak tylko tego rodzaju rzeczy się robią. P. Weyssenhoff i jego Dołęga, razem wzięci, mogliby u p. Spasowicza uczyć się abecadła tej trudnej praktyki prawno-administracyjnej, jaką ogarnia obszerne pojęcie specyalne *„chodatajstwo po dielam"*. P. Weyssenhoff dobrze zrobił, że nie poświęcił się tej specyalności. Byłby zapewne nie zebrał w niej laurów. Zapewne nie wahalibyśmy się sami, w charakterze klienta, zamiast do niego, jako doradcy, zwrócić się raczej do wypróbowanego petersburskiego jurysty. Aliści, ile nam wiadomo, p. Weyssenhoffowi nigdy ani postało w głowie spółzawodniczyć z uznanemi powagami na tym obcym terenie. Nie jest on, ile nam wiadomo, *„chodatajem":* jest znowuż tylko — artystą. To też bynajmniej nie w charakterze klienta, ani prawnego rzeczoznawcy, lecz wyłącznie w charakterze czytelnika dzieła sztuki pragnęlibyśmy ująć i ocenić to dzieło

i jego autora. Przeciwnie, ujęcie i ocena rzeczy przez p. Spasowicza jak gdyby mija się w zupełności z właściwym danym przedmiotem krytycznym, z danym, bądź co bądź, niepowszednim poetyckim utworem, jak gdyby prześlizguje się bokiem koło tego przedmiotu, i nie dowodzi też ostatecznie niczego. Dowodzi co najwyżej nieprzychylnego uprzedzenia krytyka do krytykowanego utworu. W rzeczy samej, p. Spasowicz, jak się zdaje, nie więcej jest łaskaw na samego „Dołęgę", jak na jego „sprawę". Jeśli przedtem w „Połanieckim" doszukiwał się sprzymierzeńca, teraz w „Dołędze" jak gdyby dopatrywał przeciwnika. „Nie jest to żywy człowiek, ale ideał doskonałości: ma gotowy program przewodnictwa w pracy społecznej i tyranizuje innych swoją nieprzejednaną prawością". P. Spasowicz nie pojaśnia bliżej swojej myśli. Nie pojaśnia dokładniej swego uprzedzenia dla tej postaci. Jednak widocznie jest w niej coś, co go do niej zraża, co go od niej odstręcza. Jest niechybnie jakiś nieokreślony *odor daemonicus*. Jak wiadomo, zły duch potrafi często przyczaić się i niewidzialnie ukryć dla wszelkich innych zmysłów: zawszeć jednak zdradza się pewnym słabym specyficznym zapachem, który zdolne jest wyczuć subtelne powonienie niektórych wyjątkowych egzorcystów. Wielki Jakobus Sprengerius w niezbędnym podręczniku praktycznym *„Malleus maleficarum"*, zaś ze stanowiska teoretycznego głęboki Del Rio w swoich *„Disquisitiones magicae"*, uczony Bodinus w swojej *„Daemonomania"*, wreszcie encyklopedyczny Georgius Godel-

manus w wyczerpującym traktacie *„De magis recte cognoscendis et puniendis“*, jednozgodnie, ponad wszelką wątpliwość, ustalili ten szczegół arcyciekawy. Owóż, w niniejszym wypadku p. Spasowicz, doświadczony egzorcysta, trafnie wyczuł tutaj jakiegoś nieokreślonego nieczystego ducha. Co zacz jest ów duch? Żaden inny podobno, jeno ten sam tylekroć przez autora gromiony, zakazany duch „romantyczny“, który nie przestaje kołatać się po sercach i głowach najbardziej nowożytnego i trzeźwego pokolenia, i którego stamtąd nie wykurzy najmocniejsza formuła najskuteczniejszego egzorcyzmu.

Zmuszeni byliśmy w tym dziale i w tym związku dotknąć powyższych przygodnych prac krytycznych autora, skoro w nich nietyle chodzi o krytykę literacką, ile o zagadnienia treści społeczno-politycznej. Dla tego samego powodu tutaj również będzie miejsce właściwe dla zapisania dwóch krótkich, lapidarnych, a przecie nader znaczących przemówień jubileuszonych, poświęconych wprawdzie pamięci największego polskiego poety, lecz nietyle z piśmienniczego, ile z obywatelskiego stanowiska, nietyle w celu nowej charakterystyki wieszcza, ile nowego oświetlenia jego przewodnich dążeń społecznych. Takie mianowicie zadanie postawił sobie p. Spasowicz w obu swoich mowach publicznych, wygłoszonych kolejno w Krakowie i Petersburgu z powodu setnej rocznicy narodzin Adama Mickiewicza. Ze szczerą niezawodnie i głęboką miłością odzywa się on tutaj o najwyższym narodowym geniuszu, a

w silnych i słusznych wyrazach upomina się dlań o miejsce przynależne pośród naczelnych geniuszów światowych. Jednak zarazem, w formie oględnej, niemal dyplomatycznej, — z uwagi zapewne na moment jubileuszowy, — lecz dostatecznie zrozumiałej i stanowczej, nie omieszkuje zastrzedz się bezwarunkowo przeciw niektórym opłakanym zboczeniom ubóstwianego przez siebie poety. Chodzi tutaj oczywiście o zboczenia polityczne. Pod tym względem p. Spasowicz, szczególnie mocny, jak wiadomo w odnajdywaniu odległych analogii duchowych, wykrywa raz jeszcze uderzające „podobieństwo" między Mickiewiczem a—Dantem. „Obaj gonili za marzeniem: Dante za marą gibelińskiego jasnowłosego Cezara z za Alp, mającego Włochy opanować, a Mickiewicz za nieurzeczywistnialną marą mesyaniczną". Musimy wyznać w pokorze, że i tym razem nieco trudno przychodzi nam podążyć za tak niezwyczajnym porównawczym polotem. Pomiędzy Luksemburczykiem Henrykiem VII, *„l'alto Arrigo ch'a drizzare Italia"* a mistrzem Andrzejem Towiańskim czy też bodaj Napoleonem III, pomiędzy sprawami włoskiemi XIV wieku a swojskiemi XIX, nasze krótkowidzące oko również nie umie dopatrzyć się istotnych rysów „podobieństwa", jak i pomiędzy samymi twórcami „Boskiej Komedyi" a „Pana Tadeusza". W każdym razie, te właśnie rysy, te gibelińsko-mesyaniczne zboczenia zostają wytknięte i skarcone bez żadnej słabości, *à propos* jubileuszu, w niniejszych jubileuszowych przemówieniach. Zdaniem niepospolitego mówcy,

„Mickiewicz wyobrażał sobie przyszłość naszą zanadto materyalnie". Już poprzednio zresztą p. Spasowicz, w swoich rozmyślaniach wigilijnych, podniósł ten sam akurat zarzut przeciw Zygmuntowi Krasińskiemu: „samo pojmowanie Polski przez Krasińskiego trąci materyalizmem". Jeśli tedy nawet millenaryusz - psalmista „zatrącał", to najwidoczniej Gustaw-Konrad wprost już przesiąkł „materyalizmem". Wszelako, ubolewając nad tem „materyalistycznem" zwichnięciem wielkiej poetyckiej duszy, nie należy tracić otuchy, że musi ono rozwiać się z biegiem czasu pod zdrowem tchnieniem trzeźwiejszych, t. j. właściwie — *sit venia* — idealniejszych pojęć. „Wszak oczekiwano Zbawiciela w końcu pierwszego tysiąclecia, a nie będą już go oczekiwać w ciągu drugiego tysiąclecia... Oczekiwania były obłędem kilku wyrosłych jedno po drugiem pokoleń. Wypadało przetrwać i tę ciężką próbę". Na szczęście przecież p. Spasowicz, zmuszony ostrzegawczo obnażyć i potępić podobne skazy w duchowej spuściźnie uwielbianego poety, mógł natomiast na pożytek ogółu wydobyć z niej i zalecić jedną drogocenną ideę przewodnią. „Mickiewicz był apostołem mającej się kiedyś zjednoczyć Słowiańszczyzny. Z tego posiewu mamy owoce, mamy pomiędzy sobą braci Czechów". Taką to piękną apostrofą, wznosząc kielich na cześć obszerniejszych braci czy też przyjaciół słowiańskich, zamknął p. Spasowicz swoją interesującą mowę krakowską z okazyi setnej rocznicy Adama Mickiewicza.

Apostrofa tego rodzaju w owej właśnie chwili nasuwała się zresztą sama przez się znakomitemu działaczowi i mówcy. W rzeczy samej, p. Spasowicz do Krakowa, na obchód jubileuszowy Mickiewicza, przybył wtedy wprost z Pragi, z jubileuszowego obchodu Palackiego. Świeże swoje, gorące wrażenia, zebrane na podniosłej uroczystości praskiej, niezmordowany pisarz złożył niezwłocznie w szczegółowem i ciekawem sprawozdaniu, które onego czasu ukazało się, jeśli nas pamięć nie myli, w „Gońcu Europejskiem", a obecnie wzbogaciło szacowną zawartość „Pism". Jednakowoż ten obszerny „List otwarty o pamiątkowej rocznicy Palackiego" mieści nietylko przelotne odbicie świątecznych wrażeń praskich, lecz nadto stanowi trwały pomnik uznania i wdzięczności dla czeskiego dziejopisa i polityka, wzniesiony na własną rękę przez p. Spasowicza. Materyału do tego pomnika dostarczył autorowi wyłącznie czeski urzędowy „Pamiętnik" stuletniego jubileuszu Palackiego, imponująca księga „z 726 stronic *in 8-vo* ścisłego druku", jak słusznie spostrzega autor. „Teraz odczytując ją w wolnych chwilach, na wodach emskich, — objaśnia p. Spasowicz — widzę, jak przede mną wyrasta potężna postać tego bardzo wielkiego człowieka, męża czynu i patryoty. Posługując się tą książką, mogę dać treściwą odpowiedź na pytanie: jakiej wielkości był ten człowiek i co on wyobrażał w porównaniu z jego rówieśnikami, ze Słowianami Mickiewiczem i Puszkinem, z Francuzem Augustem Comtem i Niemcem Henrykiem Heine. Wszystko,

co opowiem o Palackim, wzięte będzie ze wskazanego przeze mnie zbiornika, mającego w moich oczach tę wagę, że pisali zbiornik prawie sami Czesi i zbiornik przeszedł przez ich ścisłą narodową krytykę".

Nie mamy atoli zamiaru powtarzać na tem miejscu wszystkich, zdobytych taką drogą i w takim duchu, wniosków i sądów p. Spasowicza o Franciszku Palackym. Wyrzekamy się tego dla rozlicznych powodów. Mniejsza już o to, że raz jeszcze, i w tym wypadku, metoda porównawcza autora, jego zamysł porównywania Palackiego z Comtem albo Heinem, li tylko na zasadzie sąsiedztwa ich dat urodzenia, napawa nas prawdziwym niepokojem, gdyż z widokiem podobnych skojarzeń, że tak powiemy, kalendarzowych, oswoiliśmy się dotychczas co najwyżej na zdzieranych stronicach ściennego *„Historisch-Geographischer Kalender"* nieuniknionego Meyera. Lecz, co gorsza, nader poważne wątpliwości nastręcza nam sama metoda informacyjna autora, który, wedle własnego oświadczenia, czerpał swoje wiadomości i swoje zdanie o tak wybitnej i skomplikowanej postaci, jak Palacky, rozmyślnie i wyłącznie z jednego tylko źródła, oczywiście niewystarczającego i jednostronnego, jakiem koniecznie być musi wszelki, choćby najgrubszy Pamiętnik jubileuszowy. Przeglądnęliśmy i my z niemałem zajęciem tę obfitą i piękną księgę. Ale opinię swoją o Palackym czerpaliśmy skądinąd jeszcze, z własnych jego pism i czynów. A więc zaglądaliśmy także do wielkich prac dziejopisarza. A więc do memoryałów i przemówień statysty.

A więc do „Politycznego Testamentu“. A więc do „Kart pamiątkowych“. A więc zwłaszcza do różnorodnej i ciekawej skarbnicy *„Radhosta“*. Wziął, jak wiadomo, Palacky tę nazwę dla swego głośnego zbioru od bajecznej owej góry w Beskidach, napoły czeskiej Łysej Góry, napoły Kyffhäuseru, gdzie nocą na szczytach zlatują się upiory, gdzie strzeże wejścia zaczarowany czarny kogut, i gdzie w głębi podziemnej pilnuje skarbu cudowny dziad z długą brodą i bystrem w przeszłość i przyszłość spojrzeniem. Śledziliśmy nieraz kręgi tych lotnych duchów, baczyliśmy na trzepotanie czujnego skrzydlatego cerbera, a przedewszystkiem nadstawialiśmy ucha na mądre wyrocznie i spominki mądrego długobrodego starca. Zapamiętaliśmy stąd niejedną rzecz godną zapamiętania. Mieści się istotnie w ogromnej działalności pisarskiej i politycznej Franciszka Palackiego sporo szczegółów zastanawiających, o których zapominać nie wypada, — i to bynajmniej nie dla jakiejś anachronistycznej zaciętości lub odgrzewanych rekryminacyi, lecz poprostu dlatego, że jasna i trzeźwa pamięć o tych rzeczach leży w interesie publicznym. Już czynności Palackiego w burzliwej i mętnej dobie 1848 i 1849 r. mogłyby, z naszego stanowiska, dawać dosyć do myślenia. Radził on sobie zapewne narazie z Helclem, nawet z Libeltem, ale zachowywał sobie ciągle wolną, bardzo wolną rękę. Nazajutrz po zjeździe słowiańskim w Pradze, tak pisał w poufnym memoryale do ministeryum wiedeńskiego: „Żywioły, które sprzysięgły się, aby nie dopuścić odro-

dzenia Austryi, wystąpiły na plac boju: Włosi, Magyarowie oraz wielka część Polaków i Niemców już podają sobie ręce dla zburzenia starożytnego domu rakuskiego... Natomiast Słowianie zachodni i południowi—t. j. Czesi, Chorwaci, Rusini, — jakoteż wszyscy lojalni Niemcy austryaccy — o lojalnych Polakach wcale niema mowy, — gotowi są krew i majątek poświęcić dla ratunku tego swego wspólnego schroniska". Wtedy także, w najpierwszym swoim projekcie konstytucyi austryackiej, na samem czele zakreślając zamknięte terytoryum „ziem czeskich", bezwarunkowo do nich włączał nietylko Czechy i Morawy, lecz również i wszystek Śląsk bez żadnej różnicy ani wyjątku. Jednocześnie atoli miewał nader żywe poczucie dwoistości obojga Galicyi, Zachodniej i Wschodniej, a nawet zdobywał się w tym względzie na daleko sięgające pomysły ustawodawcze. Dla ludności rusińskiej wogóle gorącą i stałą okazywał sympatyę, opartą zresztą na pewnych szerszych założeniach historyczno-etnograficznych. „Język małoruski — tak wyraża się dobitnie Palacky — jest to całkowicie narzecze rosyjskie a bynajmniej nie polskie, i tak ma się do piśmiennego języka rosyjskiego, jak narzecze tyrolskie do niemczyzny, albo prowansalskie do francuszczyzny... Tyle, bądź co bądź, niezawodna, że Rusini nigdy dotychczas w poważniejszem znaczeniu i liczbie nie występowali jako odszczepieńcy od Rosyi". Podobnież zdarzało się Palackiemu zabierać głos w ogólniejszych jeszcze i trudniejszych momentach i zagadnieniach dziejowych.

„Zmuszony, acz nierad, — jak sama upewnia, — poruszać te niemiłe kwestye", przecież swoje o nich przekonanie wygłaszał bez wahania i ogródek. Wskazywał nieuleczalną, górującą tendencyę polską do zagarnięcia „panowania" nad cudzą dziejową własnością. Odnajdywał tę samą ideę „panowania" nietylko na gruncie politycznym, wyobrażoną przez „sektę bandycką", przez „sektę *haszyszym*", lecz oraz na gruncie społecznym dziejów polskich, pod postacią wyjątkowo srogiej niewoli pańszczyźnianej ludu chłopskiego w byłej szlacheckiej Rzpltej. Rozważając kwestyę podziałów, zwracał nasamprzód uwagę na tę okoliczność, że podobnych zjawisk „pełno jest w dziejach"; następnie zaś uwydatniał wymownie, jak dalece do upadku Rzpltej przyczynili się sami Polacy, „nie pamiętając dostatecznie o swojej powinności". Wyjaśniał mianowicie, jakim to sposobem „słabość narodu dla zgubnego *Nie pozwalam* z jednej strony, zaś z drugiej — dla robót jezuickich, nieuchronnie zaprowadziła go do przepaści"; i piętnował analogiczną podwójną skłonność społeczeństwa polskiego w dobie nowożytnej „do ducha rewolucyjnego z jednej strony, a z drugiej — do ultramontanizmu". Najsłuszniej wreszcie i najroztropniej ostrzegał własnych swoich rodaków, ażeby, unikając bezzasadnych, bezpłodnych, a nawet szkodliwych sentymentów, trzymali się raczej trzeźwo i ściśle w obrębie realnych potrzeb i interesów własnej społeczności czeskiej.

Rozumiemy wybornie, że to wszystko są rzeczy dość poziome i nudne. Nudną niechybnie jest rzeczą wertować stare księgi i zagadnienia, zamiast karmić ducha na świetnych festynach, które, wedle barwnej relacyi p. Spasowicza, kosztowały aż „trzysta tysięcy florenów“ w. a. Poziomą niechybnie — dotykać stosunku Palackiego do Libelta lub Wielopolskiego, zamiast do Comta lub Heinego; poruszać jego stosunek do Galicyi albo Śląska, zamiast do „Filozofii Pozytywnej“ albo „Atty Trolla“. Ale trzeba nam to wybaczyć. Mamy dużo respektu dla „Filozofii Pozytywnej“ i bardzo kochamy tego biednego „Attę Trolla“. Wszakże — „wszystko miewa swoją porę“, uczy Ekklezyasta. Kiedyindziej chętnie gotowiśmy ważyć sylogizmy i rymy, prawić o filozofach i poetach. Tym razem nasunęły się nam i przypomniały same przez się niektóre bardziej płaskie i zwyczajne przedmioty, będące przecież, jakby się nam wydawało, w nieco bliższym dla nas związku z „Obchodem pamiątkowym F. Palackiego“.

Jednakowoż, czyniąc przelotne uwagi powyższe, chcielibyśmy raz jeszcze z całą stanowczością zastrzedz się przeciw wszelkiemu spaczeniu istotnej naszej myśli. Powtarzamy więc z naciskiem, cośmy zawarowali zaraz z góry, że nie chodzi nam tutaj zgoła o żadne spóźnione, niepotrzebne i niestosowne rekryminacye. Nie chodzi bynajmniej o umniejszenie wielkiej pamięci wielkiego dziejopisa i patryoty czeskiego. Czesi dosyć mają powodów, aby czcić go wysoko. On to, niezmierną

wytrwałością i nauką, wydobył z grobu ich przeszłość dziejową i na niej zbudował przyszłość. Uczcili go też wdzięczni rodacy wspaniałym, zasłużonym tytułem: pięknie i zasadnie nazwali już nietylko ojcem dziejów ojczystych, lecz ojcem narodu czeskiego. Myśmy takiego nie mieli. Skądinąd mniej fortunni, tutaj przecież od Czechów szczęśliwsi, takiej nie mieliśmy potrzeby. Nie obumarły nigdy nasze dzieje, nigdy narodowość, i żaden człowiek, choćby największy, nie mógł być jej rodzicem, skoro jej twórcami były i są, w nieprzerwanej kolei, wieki i pokolenia. W warunkach odmiennych tem większa zapewne zasługa Palackiego. Chętnie składamy hołd tej niepospolitej zasłudze uczonego, nieporównanej obywatela. W epoce, kiedy Pertz i Ranke, sięgnąwszy do źródeł dziejowych niemieckich, zasilali z nich przyszłą potęgę polityczną Niemiec, Palacky, sięgnąwszy do czeskich, ożywił z nich przyszłą odporność polityczną, przyszłe odrodzenie Czech. Powtarzamy, myśmy takiego nie mieli. Mieliśmy Lelewela, z innego kruszcu człowieka, a mniemamy, nie z pośledniejszego. Ten ze szkołą polityczną nauki niemieckiej żadnego nie miał powinowactwa. Niezawodnie, wielki polski historyk również był wielkim obywatelem. Realistą politycznym on nie był. Realnym, nowoczesnym politykiem był Palacky. Ta właściwość podobno uzdolniła go do tem owocniejszej służby dla swoich. Lecz ta sama właściwość uczyniła go obłędnym przewodnikiem, fałszywym prorokiem, skoro tylko wykraczał za czeski widnokrąg. Ona mu podyktowała

wnioski konstytucyjne 1848 r., wystąpienie publiczne 1864 r., kroki pielgrzyma 1867 r., testament polityczny 1872 r. Był wielkim Czechem. To wiele, ale to niedość. On zaś nie chciał być niczem więcej.

Z taką trzeźwą, spokojną, a bezstronną świadomością tego, co się istotnie należy znakomitej pamięci Palackiego, przysłuchiwaliśmy się zdaleka odgłosom praskiej uroczystości jubileuszowej. Jubileusz przypadł na chwilę ciężkiego przesilenia w ciężkiej walce, którą obecnie, z całem napięciem narodowego ducha, zmuszeni są toczyć Czesi. Wiadomo, jaki w niej był udział polskiej opinii publicznej i polskich mężów stanu. Był to udział zgoła bezinteresowny i zgoła wbrew realistycznym zasadom polityki, głoszonej ongi właśnie przez Palackiego, z dobrej woli ofiarowany jego rodakom. Nie omieszkuje oczywiście p. Spasowicz podnieść tej okoliczności z bezgranicznym entuzyazmem. Obiecuje sobie najświetniejsze korzyści „wskutek wypadku, niebywałego przedtem, bardzo pomyślnego dla Czechów, zwiększającego ich siły i zabezpieczającego ich na przyszłość. Wypadkiem tym jest związek najściślejszy Czechów na konstytucyjnym gruncie w wiedeńskiej Radzie państwa z galicyjskimi Polakami, osnuty za rządów gabinetu Badeniego i jeszcze bardziej umocniony po upadku tego gabinetu. Można wnosić z niejaką pewnością, że ten sojusz będzie mocny a nawet może i niewzruszalny". Czy ten entuzyastyczny optymizm nie idzie trochę zadaleko? Czy w onym epokowym „wypadku" nie dałoby się, ze stanowiska realnych interesów polskich, dopatrzyć także odwrotnej

strony medalu? Nie tutaj miejsce wdawać się w rozstrzyganie tych zawiłych i drażliwych zagadnień. Nie zajmujemy się tutaj polityką byłego premiera wiedeńskiego, lecz narazie tylko twórczością znakomitego pisarza petersburskiego. Bądź co bądź, nie mamy chyba potrzeby tłómaczyć, po czyjej stronie są sympatye nasze w czesko-niemieckiem przesileniu, i jak szczerze życzymy powodzenia sprawie czeskiej — w granicach słuszności. Tem swobodniej atoli w tym wypadku możemy położyć nasze zastrzeżenia, tem wyraźniej zaznaczyć nasze stanowisko wobec praskiej uroczystości jubileuszowej. Czujemy się w obowiązku stwierdzić, że w niektórych jej echach dosłyszeliśmy się dysonansu. Uroczystość była czeską, nie mogła być europejską, uczyniono ją wszechsłowiańską. Wznawiano na niej hasła wojenne walki rasowej. Ustawiano w szyku bojowym wszechsłowiańszczyznę przeciw wszechgermaństwu. Zapowiadano drugi, wszechsłowiański tym razem, Grunwald. Do takiego dyapazonu dostroić się nam niepodobna. Z nowego Grunwaldu niekoniecznie pewni jesteśmy korzyści, i życzymy pokoju wszystkim ludziom dobrej woli. Nie mniejsze od czeskich są nasze z Niemcami rachunki, lecz dalecy jesteśmy od tego, ażeby je porachować samą ślepą nienawiścią. Nie siejbą nienawiści ku przeciwnikom, lecz jednoczącem ukochaniem swojskości pragniemy nasze utrwalić jubileusze. To też z praskim, czy to w jego nastroju ogólnym, czy w pewnych pojedyńczych szczegółach, spełna solidaryzować się nie mamy sposobu, i nie mamy także,

tembardziej, możności, pisać się na całą jego ocenę i wykładnię, na cały morał jubileuszowy, ofiarowany przez p. Spasowicza.

Przebieżenie, chociażby pośpieszne, długiego szeregu prac, tak licznych a tak różnostronnych, tyle zabrało nam czasu, że już tylko pod sam koniec napomknąć zaledwo możemy o istotnie niepoślednim przyczynku, który na seryo uważamy za najcelniejszy i najważniejszy ze wszystkich, nagromadzonych w zbiorze „Pism". Mówimy, rzecz prosta, o „Życiu i polityce margrabiego Wielopolskiego", obszernem studyum ogłoszonem pierwotnie w petersburskim „Gońcu Europejskim". Dodaną również rozprawę pomniejszą, „Literacki i polityczny spadek po Wielopolskim", śmiało można było opuścić, gdyż główne rysy przedmiotu znajdują w tamtem studyum nierównie szersze i głębsze rozwinięcie.

Punkt wyjścia stanowiła dla autora przedewszystkiem rozgłośna monografia, wydana staraniem rodziny margrabiego, a poczęści też głośne swego czasu artykuły *„Przeglądu Polskiego"*. „W ten sposób, jak książka Lisickiego, piszą się chyba żywoty świętych", powiada słusznie p. Spasowicz, i jeśli tego jego zdania nie podpisujemy oburącz, to jedynie z powodu, że zbyt wysoko cenimy erudycyę i rozwagę OO. Bollandystów i nie chcielibyśmy ich skrzywdzić wcale niepochlebnem koleżeństwem. Co się tyczy studyum prof. Tarnowskiego, góruje w niem pobłażający nastrój amnestyi. Gdyby żył margrabia, nie wiemy, czy byłby odepchnął

apologię,— bo kadzidło on lubił; wiemy napewno, że wyrzekłby się ułaskawienia, — bo on był z tych ludzi, którzy chcą swego prawa, całego prawa, i pełną za wszystko, co uczynili, biorą na siebie odpowiedzialność. Lisicki — poza materyałem źródłowym, jaki mógł i powinien był zużytkować i skąd zresztą, jak się zdaje, czerpał bardzo jednostronnie i bardzo dowolnie, skąd napewno tyleż co najmniej przemilczał, ile ujawnił, — bądź bujał w przestworzach wielkiej polityki europejskiej, gdzie zdawało mu się, że jest u siebie w domu, a gdzie naprawdę był zabłąkanym zupełnym ignorantem; bądź też opowiadał anegdoty, mniej lub więcej autentyczne, a w każdym razie nie dowodzące literalnie niczego; bądź też wreszcie, i to najczęściej, z największą lubością, zanurzał się w namiętnych inwektywach, oskarżeniach i żalach. Prof. Tarnowski, unikając wdawania się *in meritum* sprawy, szukał raczej ogólniejszych punktów widzenia, psychologicznej konkluzyi, morału. P. Spasowicz pierwszy ujął rzecz bezpośrednio ze strony najważniejszej. Rozpatrzył się w tem wszystkiem, co wyszło z pod pióra margrabiego i co dotychczas uczyniono dostępnem. Lecz na tem nie poprzestał: zadał sobie nadto ten trud niełatwy a w tym wypadku wprost nieodzowny, ażeby wejrzeć do samego wnętrza arcyważnych i arcyzawiłych przygotowań, perepetyi i wyników tego ustawodawczego i prawodawczego przewrotu, do którego, dla uprzedzenia go, dla pokierowania, przyszedł i przyłożył rękę, lecz którego nigdy nie opanował Wielopolski. P. Spa-

sowiczowi zresztą nie chodziło wyłącznie o margrabiego. Oczywiście, pragnie on „odtworzyć wiernie rysy wielkiej postaci historycznej, którą, ukryty w tłumie widzów, miał sposobność zdala badać osobiście". Ale, dodaje, „nie taję, iż poza osobą działacza historycznego interesowała mnie sama kwestya, której on zabiegi swoje poświęcił, kwestya nietylko dotąd nierozwiązana, lecz jeszcze prawidłowego sformułowania oczekująca. Podnietę w pracy znajdowałem w przeświadczeniu, że samo sformułowanie kwestyi jest dzisiaj znacznie uproszczone i ułatwione". P. Spasowicz mniema bowiem, że „podrastają już nowe pokolenia ludzi, którzy widocznie są daleko rozsądniejsi, cierpliwsi i praktyczniejsi od swoich poprzedników".

Z pierwszego z tych dwóch całkiem odrębnych poniekąd nawet niewspółmiernych zadań, jakie sobie założył, — a których zapewne można było wcale nie łączyć, — p. Spasowicz wywiązał się ze spokojem, trafnością i bezstronnością sądu wzorową. Nie oszczędza bynajmniej margrabiego. Ukazuje słabe strony jego sprawy o ordynacyę, skłonność do pieniactwa, „zaciętość i mieszaninę upartej zapalczywości i pedantyzmu z dążeniami legalnemi". Podkreśla główne z jego błędów politycznych. Wydawało się nam zawsze niewątpliwem, że błędy tego człowieka pochodziły z tego samego źródła, gdzie się kryła tajemnica jego siły. Miał on, jak większość ludzi czynu, parę tylko pojęć własnych, umiał nie odrywać wzroku przez życie całe od tych niewielu pojęć, z nich wszystko chciał wydo-

być, — na wszystko, czego nie chciał widzieć, przez całe życie umiał być ślepym. Ale wolimy nie zapuszczać się tutaj w te rzeczy. Sami sobie doraźnie wolimy nakazać milczenie. Zbyt na sercu nam leży to, tak niezwykłe i doniosłe zjawisko dziejowe, ażeby wolno było tracić o niem jedno bodaj słowo w niniejszym przygodnym i dorywczym sposobie. Obiecujemy sobie kiedyindziej, na własną rękę, na mocy własnych badań i rozmyślań, wyrazić co wiemy i sądzimy o nieszczęsnej dobie Wielopolskiego i o nim samym, nieszczęśliwym, lecz wielkim obywatelu. Narazie tyle tylko wypadałoby nam zaznaczyć, że p. Spasowicz w pięknej swojej pracy nie wyczerpał bynajmniej wszystkich nastręczających się tutaj kapitalnych zagadnień, że nawet niektórym najkapitalniejszym, czy to dla braku ścisłych informacyi, czy też dla pobudek roztropności, nieraz jak gdyby schodził z drogi. Ale zarazem miło nam stwierdzić, że niejedną materyę zasadniczą on dopiero postawił w pełnem i właściwem świetle. Postawił przedewszystkiem w należytem świetle najistotniejszą, najbardziej wyjątkową i najwięcej imponującą stronę duchową historycznej postaci Wielopolskiego. Powiedział o nim słów parę, któremi naprawdę utrafił w sedno i które się zostaną. „Okryty płaszczem udowodnionych dobrych zamiarów, Wielopolski mógł spokojnie z dwojga złego wybrać sobie lepsze, ostrożnie i we właściwej godzinie usunąwszy się na stronę, gdyby był mniejszej miary człowiekiem. Nie do tego typu ludzi on należał: jako wielki gracz, całego siebie postawił

na kartę". A dalej, lepiej i dosadniej jeszcze: „Po tylu lirnikach wypadało wystawić choć jednego męża stanu, człowieka, któryby dowiódł na sobie odziedziczonego uzdolnienia do tego, by rządzić albo hetmanić; taki okaz znaczy tyle, co przerwanie przedawnienia, a margrabia był znakomitym tego rodzaju okazem". To jest prawda. Na te mocne i prawdziwe słowa piszemy się chętnie i w zupełności.

W ścisłym związku wewnętrznym z monografią o Wielopolskim pozostaje wyczerpujący referat o „Gminach i sądach gminnych w Królestwie Polskiem", czytany w moskiewskiem Towarzystwie prawniczem. Główne postulaty autora są oczywiście zasadne i po dziś dzień na czasie; przeciw jego argumentom *ad hominem* niejedno mielibyśmy do nadmienienia.

Zmuszeni jesteśmy na tem zakończyć, a raczej urwać, pobieżny przegląd niniejszy. Wrażenia nasze mogliśmy wyłuszczyć z całą swobodą, jakiej ma prawo wymagać pisarz tego znaczenia i tej miary. P. Spasowicz zresztą sam pierwszy względem siebie zachowuje się krytycznie i, zazwyczaj dla innych wyrozumiały, dla siebie aż nadto jest surowy. „Tyle nadziei zawiodło, — powiada w przedmowie — mnogie ideały się rozprysły. W masie zgromadzonego przez tak długi ciąg czasu materyału muszą się okazać sprzeczności, bo z biegiem wypadków nie mogły nie odmieniać się poglądy a nawet przekonania. Nie zgładzając chropowatości i przeciwieństw i zgoła nic nie przerabiając, podajemy nasze pisma na sąd czytającej publiczności".

Sąd ten nie może być wątpliwy. Są w „Pismach“ i braki i iluzye, ale jest naogół zawartość niemniej nauczająca jak obfita, którą, mamy nadzieję, niejednym jeszcze szacownym dodatkiem zdąży pomnożyć p. Spasowicz. Z niemałą dla piśmiennictwa stało się korzyścią, że do jego zbiorów włączony został nabytek tak znaczny, streszczający autentycznie i spełna najlepsze z tego, co pisarz i działacz ukształcony i doświadczony w ciągu blizko półwieku odczuł i przemyślał, — a zarazem, w takim autentycznym i kompletnym sposobie, streszczający całkiem jasno i namacalnie, co ten wpływowy działacz i pisarz za najlepsze uznawał i zalecał swojemu społeczeństwu. Że to najlepsze, w niejednym przedmiocie i niejednym względzie, mogłoby, z naszego punktu widzenia, nie wydawać się dobrem, — to inna sprawa. Gdzie tak wypadło, tam z tego nie robiliśmy tajemnicy, tam dyssydencyi naszej nie chowaliśmy pod korcem. Ale czyniąc to wszędzie z całą dobrą wiarą, nigdzie też, oczywiście, ani na jedną chwilę nie żywiliśmy, nie mogliśmy żywić żadnej wątpliwości o jak najlepszej wierze p. Spasowicza. I dlatego też właśnie, przedewszystkiem i jedynie dlatego, poczuwaliśmy się do obowiązku tak pilnego rozczytywania się w jego „Pismach“ i tak zmudnego ich roztrząsania. Dlatego tylko, w miarę możności naszej, nie żałowaliśmy trudu, aby niemal krok w krok podążyć za nim w jego wieloletnie i wieloliczne ślady, jakie on zostawił na najrozmaitszych dziedzinach naszej myśli naukowej i publicznej. Albowiem, jeśli wolno oszczę-

dzić sobie podobnego zachodu wobec odmiennych albo przeciwnych przekonań mniejszej wagi i wpływu, bo dyktowanych przez czynniki i intencye mniej podniosłe i bezinteresowne, to natomiast tembardziej, z prawa i słuszności, należy się staranne i baczne uwzględnienie takim odmiennym albo przeciwnym dążeniom, których źródłem jest dobra wola i dobra wiara, nadająca im dopiero skuteczny wpływ i znaczenie, a tem samem właśnie obligująca do liczenia się z niemi i do ich refutacyi. Zaś nie inne było zawsze i wszędzie źródło dążeń p. Spasowicza, których możemy nie podzielać, które możemy zwalczać, ale w których umiemy uszanować górującą zacną, obywatelską pobudkę pierwotną. W takiej myśli, z takiem uczuciem odkładamy ten niepospolity owoc niepospolitego życia, poświęconego wysilonej pracy duchowej i pracy publicznej, jaki stanowią „Pisma Włodzimierza Spasowicza".

Stosław Łaguna.

Jak najpłodniej spożytkować, wyczerpać jak najobficiej wszelką rozrządzalną siłę żywą; wszelką energię utajoną w najpełniejszym i najprostszym wyładować sposobie; od *minimum* wysiłku zdążać drogą najkrótszą do *maximum* skutków: takie jest naczelne prawo ekonomii, jakiem rządzi się przyroda. Takiem samem oraz prawem, i w tem snadniejszem do natury zbliżeniu, im są naturalniejsze ich warunki bytowania i rozwoju, rządzą się społeczności ludzkie. Takiem atoli rzadko przychodzi rządzić się naszej. Ta, przeciwnie, aż nazbyt często wręcz odwrotną stosuje gospodarkę: z najwyższych swoich wykładników duchowych najdrobniejszą wywiązuje zawartość, z najżyźniejszych kłosów najskąpsze dobywa żniwo. I takie też było przeznaczenie tej niepospolitej a niewyzyskanej, siły moralnej i umysłowej, jaką wcielał w sobie, jaką w sobie zamykał i z sobą zabrał ś. p. Stosław Łaguna.

Proste były koleje jego życia. Proste, jak prostą jest cnota, jak mądrość, jak rezygnacya. Urodzony w Sandomierzu w 1833 roku, średnie nauki ukończywszy w kraju, w Piotrkowie, po wyższą prawa udał się do Petersburga. Istniały tam wtedy od lat kilkunastu t. zw. Kursa Prawne, zaprowadzone przy wszechnicach petersburskiej i moskiewskiej, a mające zastąpić dla sądownictwa Królestwa Polskiego b. uniwersytet Aleksandrowski w Warszawie, zwinięty po rewolucyi listopadowej. Kursa Prawne, wywołane potrzebą czysto praktyczną, przeznaczone dla wyhodowania niezbędnej liczby urzędników sądowych i obrońców, pod względem ściśle naukowym wiele pozostawiały do życzenia. A jednak nieraz słyszeliśmy od nieboszczyka, że tamtejsze lata uniwersyteckie, jakkolwiek spędzone śród warunków niekoniecznie pomyślnych, już nawet po usunięciu się z katedry petersburskiej Romualda Hubego, którego oczywiście nie zastąpił Antoni Czajkowski, były najowocniejszemi dla jego kultury naukowej. Była w tem najwyłączniej własna, osobista jego zasługa. Istotnie, suma wiedzy, jaką własnym zachodem był zebrał w tym czasie, godną jest podziwu. Niełatwo przyszłoby wskazać drugi przykład tak młodej, a tak już samodzielnej i płodnej pracy, tak wczesnej, a tak już dojrzałej i skutecznej. Mniemamy, że główną treść owej potężnej erudycyi, którą aż do końca olśniewał uczony, w tych to kilku leciech samotnego, wytężonego wysiłku zgromadził akademik. Niebawem, przez lat kilkanaście całkiem oderwany od źródeł nauki,

później zaś niedogodny mając do nich przystęp, i niewdzięczną przywalony robotą, już tylko urywkowo i przygodnie mógł śledzić dalsze postępy wiedzy i w późniejszych swoich pracach przeważnie z tamtych najpierwszych musiał czerpać zasobów. To był wielki jego smutek. Ale to był także dowód uderzający, jak znaczne były owe zasoby, i z jaką szkodą było dla nauki, że zbogacać ich, rozszerzać i spożytkować w tym samym stosunku, jak rozpoczął młodzieniec, nie było danem dojrzałemu mężowi i żywotnemu aż do końca starcowi.

Pierwsza praca Łaguny „O prawie granicznem polskiem" powstała w Petersburgu w grudniu 1858 roku. Kilkanaście lat przechowana w rękopisie, ukazała się z druku dopiero w 1875 roku, po tak znacznej wszakże przerwie, ani w jednej niezmieniona literze z pierwotnego piśmiennego tekstu: uderzający znowu dowód rzadkiej ścisłości i dojrzałości roboty 25 letniego studenta. Był to przedmiotowy, w porządku chronologicznym, przegląd przepisów prawa i procesu granicznego polskiego, od czasów najdawniejszych aż do najnowszych, dziwnie zwięzły, systematyczny, przejrzysty; rzecz napozór sucha, ale w samym swym pomyśle związana bezpośrednio z najżywotniejszą sprawą uwłaszczenia włościan, wtedy właśnie będącą na dobie. Ta praca, jakkolwiek jeszcze nieogłoszona drukiem, otworzyła autorowi wstęp na katedrę uniwersytecką. 7 wyboru Komisyi Kodyfikacyjnej mianowany został 859 roku profesorem adjunktem przy katedrze pra-

wa polskiego w Petersburgu, na budżecie Królestwa, zaś w roku następnym powołany dodatkowo na profesora historyi w petersburskiej Akademii duchownej rzymsko-katolickiej. Stosunki z kolegami uniwersyteckimi dosyć były skomplikowane. Łaguna ograniczył się do złożenia wizyt urzędowych kuratorowi, rektorowi i dziekanowi. Zresztą żadnych „stosunków" jemu nie było potrzeba. Piękne a ściśle naukowe jego wykłady, nacechowane zarówno wszechstronnem naukowem ujęciem przedmiotu i staranną, nieposzlakowaną formą, od pierwszej niemal chwili zdobyły sobie wyjątkowe powodzenie u młodzieży. Jemu to, obok jednego jeszcze prof. Stasiulewicza, wnet musiano wyznaczyć najobszerniejsze audytoryum w gmachu uniwersyteckim, które też stale po brzegi wypełniali słuchacze. Jakkolwiek zajęcia wykładowe nadzwyczaj pochłaniały mu czas i uwagę, nie przeszkodziły mu przecie w produkcyi naukowej. Nieraz potem Łagunie wyrzucano nieprodukcyjność; sądzilibyśmy, że jej źródło nietyle w pisarzu, ile w niepomyślnych późniejszych tkwiło okolicznościach. Naówczas, w Petersburgu, mając te dwie rzeczy, dla niego nieodzownie potrzebne: uniwersytet i bibliotekę, w krótkich odstępach czasu, oprócz wspomnianej rzeczy „O prawie granicznem", dwie inne cenne wykończył prace. W „Bibliotece Warszawskiej", która szczyci się tem, iż najpierwsze jego pismo podała do druku, ogłosił „Kilka uwag nad wywodem historycznym niektórych artykułów statutu Wiślickiego", gdzie w sporze pomiędzy Lelewe-

lem a Helclem sam z dużą samodzielnością i rozwagą głos zabiera. W „Piśmie zbiorowem“ Józafata Ohryzki, ogłaszając kilkanaście dokumentów z archiwum ryskiego, jednocześnie w treściwym szkicu historycznym, „Hanza nad Dźwiną“, dał barwny obraz życia i stosunków w starej Rydze i Smoleńsku w XIII wieku.

Jednak niedługo już wypadło Łagunie przesiadywać nad Newą. Nadeszła doba wielkich przesileń krajowych. Otworzyły się widoki przywrócenia zniesionej w Warszawie wszechnicy. Otworzyła się możność służenia krajowi w kraju. W 1861 r. Łaguna został sędzią Trybunału w Warszawie. Zasiadł w Wydziale hypotecznym warszawskim, uświetnionym głęboką Dutkiewicza nauką i powagą. Tutaj młody profesor objawił się równie sumiennym i wytrawnym sędzią, jak był nauczycielem i pisarzem; tutaj, w wielolicznych, trudnych i zawiłych zagadnieniach praktycznych, podpis jego na zawsze nieomylnych znachodzi się rezolucyach. Lubił później do końca życia prawoznawczą w rzeczach kodeksowych dysputę, lubił zwłaszcza w subtelnej prawa hypotecznego materyi stawiane sobie wątpliwe pytania proceduralne albo istotne, które z gruntowną znajomością treści i ducha prawa, z lotnem zrozumieniem przedmiotu i przypadku, wnet trafnie rozjaśniał i rozstrzygał. Wtem powszechna katastrofa publiczna pochłonęła go, niebawem usunęła z kraju. Rzadko o tych przejściach bolesnych mówił: kiedy zaś mówił, dając tem dowód wyjątkowej życzliwości, wyjątkowe też nosiły piętno wynurzenia i uwagi, nietyle

uczestnika, ile wyższego ponad uczestnictwo, ponad wszelką namiętność, psychologa i filozofa:(i słuchając tych spostrzeżeń o wypadkach i ludziach, o zawodach i doświadczeniach, o towarzyszach broni albo o obcych oglądanych krajach, spostrzeżeń przenikliwych i głębokich, a przedewszystkiem tak nawskróś przedmiotowych, tak zupełnie spokojnych, tak absolutnie sprawiedliwych zarazem i wyrozumiałych, z ust sześćdziesięcioletniego starca, — nieraz przychodziło nam zastanawiać się nad tą osobliwą równowagą ducha i wyrobieniem sądu w trzydziestoletnim ongi młodzieńcu, który pośród powszechnej gorączki, pośród najgwałtowniejszej burzy, tak potrafił patrzeć i tak spamiętać.

Po powrocie do kraju, do Warszawy, Łaguna wstąpił do redakcyi miesięcznika „Ateneum". Tutaj ogłosił wkrótce najpiękniejszą swą pracę, „Dwie elekcye". Opisując wybór biskupi w Krakowie XIII wieku, sposobem najmisterniejszej krytyki i wyzyskania źródeł, dał wykończony z plastyką artystyczną obraz społeczności owoczesnej, zwłaszcza stanu duchownego, urozmaicony kilku żywymi portretami ludzi, śród których portret Kadłubka przedziwnem wyróżnia się mistrzostwem. Niedarmo też portrecista w innem piśmie, „Tablica paschalna lubińska", wyraził przekonanie, że „konstrukcya historyczna jest raczej sztuką, niż nauką". Mógł śmiało wygłosić tę prawdę niewątpliwą, sam będąc nietylko uczonym, lecz, gdzie było potrzeba, i artystą w pisaniu. Pisał jednak coraz mniej, odrywany przez drobne codzienne obowiązki redakcyjne, a co

główna, pozbawiony stałego dopływu naukowej strawy. Ograniczył się prawie wyłącznie do produkcyi krytycznej. Jego krytyki przecie to były prawie zawsze samodzielne rozprawy, wnoszące dużo światła do omawianego przedmiotu. Taki charakter noszą: „Sprawozdanie z Pamiętnika Akademii Umiejętności w Krakowie", „O źródłach dziejowych Pawińskiego", „Miniatura z XVI wieku", „Nowa hypoteza o pochodzeniu szlachty polskiej", „Pierwsze wieki kościoła polskiego", „Rodowód Piastów". W całym nastroju tych, tak zwanych „recenzyi", a właściwie bardzo oryginalnych i bardzo gruntownych ułamków monograficznych, panowała jakaś niezwykła, wyszukana, a dziwnie pociągająca wytworność tonu. „Recenzent" w szeregu ścisłych i bystrych poprawek, prawie zawsze nieomylnych, niedopuszczających zgoła repliki, wytykał i prostował szereg błędów, a nieraz przez takie pojedyńcze poprawki równał z ziemią całe rusztowanie hypotez autorskich, obalał doszczętnie całą mozolną teoretyczną budowę, — ale czynił to tak oględnie, wstrzemięźliwie, niepozornie, tak przytem pamiętał przed wytknięciem błędu o pochwale i pokłonie dla istotnej zasługi dzieła i autora, tak najoczywiściej kierował się szczerą życzliwością dla badania i badacza, bezwzględną miłością prawdy i najobiektywniejszą sprawiedliwością, iż ostatecznie, jak wyrażał się o nim ś. p. Pawiński, — „operował bez bólu". Z tem wszystkiem, jego pochwały były dosyć niebezpieczne, gdyż, koniec końcem, dyktowała je pobłażliwość wielkiego uczonego, który, sam

dla siebie najsurowszy sędzia, doskonale zdawał sobie sprawę z cudzej słabości. Ale to zachowywał dla siebie, i najrzadziej tylko, — jak w ocenie badań szwedzkich hrabiego Dzieduszyckiego, — pozwalał sobie w druku na lekki przebłysk tego cichego, w najlepszym gatunku, przenikliwego a pogodnego sarkazmu, który stanowił najskrytszą a najsubtelniejszą przyprawę jego indywidualności duchowej.

Wymienimy jeszcze dla ścisłości kilka innych pomniejszych pism Łaguny, ogłoszonych drukiem: interesującą notatkę prawną o „Deputacie leśnym", „Dodatek do zbioru przysłów", wreszcie ciepłe i pod względem bibliograficznym cenne, wspomnienie pozgonne o starym „Romualdzie Hubem i jego działalności naukowej". Również do naukowego dobytku Łaguny zaliczyć należy zgromadzone przez niego, a ogłoszone przez profesora Piekosińskiego „Nieznane zapiski heraldyczne średniowieczne polskie, głównie sieradzkie". Poza tem mnóstwo artykułów krytycznych i polemicznych jego pióra, a bez podpisu, rozrzuconych jest w dwudziestu przeszło rocznikach „Ateneum". Zresztą, wogóle podpisywać się niebardzo lubił i zazwyczaj pod swojemi pracami stawiał poprostu tylko inicyały swego nazwiska. Chodziło mu o rzecz, nie o rozgłos. Serdecznej zawsze uczynności, wprost był wdzięczny, był szczęśliwy, ilekroć w jakiej sprawie naukowej udawano się do jego światła. Kiedy przed paru laty p. Korzon, pracując nad Sobieskim, a nie mogąc poradzić sobie z chaosem pierwotnych rodowodów

[illegible] zwrócił się do niego po wskazówki, Łaguna [illegible] mu w tej chwili drogocennej notatki, będącej [illegible] prawdziwą monografią. Przysługa naukowa [illegible] sprawiała mu najzupełniej to samo za[illegible] dla własnej.

[illegible] wszystko, razem wzięte, to były jednak, rzecz [illegible] tylko ułomki, wychodzące na światło [illegible] a głębokich szybów duchowych Łaguny. [illegible] się, wydawał grosiwem szczere złoto swojej myśli i erudycyi. On sam, z wysoką swoją samowiedzą, najdokładniej był świadom tej dysproporcyi. Ale nad samowiedzą analityka górowała w nim wyższa rezygnacya mędrca. Swoje czynności zawodowe z wzorową wypełniał ścisłością, nawet z zamiłowaniem, i z tem zupełnem oddaniem się, jakie zwykł był kłaść w każdą robotę. Lecz nie dla niego, zaiste, była ta robota. Nie dla niego odczytywać rękopisy najrozmaitszej wartości *de omni re scibili*, i poprawiać w nich grzechy logiki, stylu, a często ortografii. On był urodzony nauczyciel i uczony, nie publicysta, nie korektor. Rozumieli to wszyscy. Ceniono go powszechnie zgoła ponad miarę jego zawodu, a w miarę jego zasług. Ale to zrozumienie i szacunek były czysto platoniczne. On to wiedział najlepiej i pogodnie się uśmiechał. Przez dwadzieścia i pięć lat, swoich lat najdojrzalszych, on jeszcze pośród nas przebywał, a przecież nie znalazło się dla niego to miejsce, jedynie dla niego stosowne, dokąd światlejsza inicyatywa ongi była powołała młodzieńca, nie znalazły się te dwie

rzeczy dla niego nieodzowne: katedra i biblioteka. Nie należał nawet do żadnego uczonego ciała, on, najuczeńszy. Podobno o nim zapomniano. Zaś on był chyba ostatnim, żeby siebie przypominać. Z mozołem i nieporządnie mógł zdobywać najniezbędniejsze publikacye naukowe, o ile bądź przychodziły do redakcyi, bądź też były mu wypożyczane przez przyjaciół. W 1898 roku, 65 letniego starca powaliła na łoże ciężka choroba, która miała przeciąć jego żywot. Wtedy też, w samą porę, Akademia Umiejętności w Krakowie zamianowała go swoim członkiem. W pracy nie ustawał aż do chwili ostatniej, w najdosłowniejszem znaczeniu słowa. Dnia 28 kwietnia 1900 roku, przy czytaniu redakcyjnego rękopisu, rażony udarem, nagle życie zakończył.

Mówiliśmy dotychczas o uczonym. Pragnęlibyśmy choćby parę słów dołożyć o człowieku. Był to starzec mały, szczupły, suchy, ruchliwy, na sztywnych nieco nogach, ożywiony, wymowny, a choć pod koniec życia zaczął głuchnąć, oczy zachował młode aż do zgonu. Poza swoją podwójną specyalnością dziejopisa i prawnika, wszechstronnie i wytwornie ukształcony, iście europejskiej umysłowej ogłady, szerokich i światłych poglądów na świat, na życie, na sztukę, był on, pod niepozorną swoją powłoką, naprawdę świetnym przedstawicielem wysokiej kultury nawskróś polskiej, udoskonalonej zarazem na lepszych wzorach zachodnich. W szczególności były w nim żywe tradycye kulturalnej wymiany ze światem duchowym francuskim, jak gdyby

odgłosy dziedzicznych tradycyi z doby Stanisława-Augusta, Księstwa Warszawskiego, Królestwa Kongresowego. To też najłacniej mogliśmy go sobie wyobrazić w poważnem towarzystwie Stanisławów Potockich, Matuszewiczów, Mostowskich, Niemcewiczów albo Lelewelów, za stołem Rady Stanu, w gabinecie ministeryum Sprawiedliwości lub Oświaty i Wyznań, albo może najstosowniej na krześle rektorskiem Królewsko-Aleksandrowskiego Uniwersytetu, lub na miejscu prezydyalnem w Towarzystwie Przyjaciół Nauk. Uczony mąż polski, przenikniony zarazem duchem Kodeksu Napoleona, był także znakomitym znawcą literatury francuskiej XVII i XVIII wieku. Lubił nieraz cytować aleksandryn Boileau albo aforyzm Montesquieugo; a nie zaniedbywał nawet najnowszej literatury pięknej Zachodu, i w przerwie pomiędzy lekturą *„Patrologii“* a *„Monumentów Poloniae“* chętnie brał do ręki wiersz Sully Prudhomma, albo powieść Maupassanta, którego cenił wysoko. Pamiętamy subtelne uwagi krytyczne, jakie słyszeliśmy od niego po ukazaniu się *„Notre Coeur“* na szpaltach *„Revue des deux mondes“*, uwagi podwójnie uderzające trafnością w ustach tego uczonego ascety.

I wieleż innych pamiętamy z nim rozmów, gdzie roztaczał zdumiewającą wszechstronność swojego bogatego ducha, w skromnej swojej pustelni przy ulicy Maryańskiej, pośród stosów książek i rękopisów, pośród atmosfery uczoności i kurzu, a zarazem pośród onej przeczystej harmonii cnoty, mądrości i słodyczy, jaką

dokoła siebie stwarzał gospodarz. Osobliwe były te gawędy, w tym zwłaszcza względzie, że w stopniu nadzwyczajnym odsłaniały niezmierną rozmaitość, giętkość i rzutkość jego umysłu, unaocznioną mianowicie w zupełnie wyjątkowej, jemu tylko właściwej, obszerności i swobodzie asocyacyi pojęć, jakiemi wypełniał i prowadził rozmowę. Można to tylko uzmysłowić na przykładach. Tak naprzykład pamiętamy dokładnie taki tok rozmowy z Łaguną z powodu wznowienia „Hrabiny": jego uwagi o stanie opinii publicznej w gorączkowej dobie przed trzydziestu kilku laty, kiedy arcydzieło Moniuszki po raz pierwszy wystawiono, o silnem wrażeniu owoczesnem, o aryi „Ruszaj w pole" i t. d.; potem o sprawie rusińskiej, — z powodu artystki, grającej dzisiaj rolę tytułową; potem o legionach, o ks. Józefie i pewnym rękopisie Ignacego Potockiego z Tylży, który sam w 1858 roku oglądał w Petersburgu ,— z powodu libretta; potem o teatrze wogóle, — aż weszcie skończyło się na piśmie Tertulliana *„De spectaculis"* i na przekonywającym wywodzie o plagiatorstwie Salviana. Kiedyindziej, z powodu poezyi prowansalskich i włoskich pani Konopnickiej w „Bibliotece Warszawskiej", dowiedzieliśmy się ciekawych szczegółów o zaginionych rękopisach Kajetana Węgierskiego po jego śmierci w Marsylii, aż w końcu, dotarłszy z Prowancyi do dekadentów łacińskich, do chorego weroneńskiego poety, usłyszeliśmy uczoną argumentacyę w kwestyi: czy Klaudyan istotnie był poganin, czy też chrzczony? Kiedyśmy

po raz ostatni odwiedzali Łagunę, był obłożnie chory, zastaliśmy go w łóżku, czytającego najświeższy poszyt *„Srednieaziatskawo Wiestnika"*; natychmiast wziął on stąd asumpt do przeprowadzenia rozmowy takim kolejno szlakiem: o starożytnych wykopaliskach Samarkandy, o wyprawie Perowskiego do Chiwy, o rywalizacyi anglo-rosyjskiej w Azyi środkowej, o powieściach Kiplinga, o kolei syberyjskiej, o jej znaczeniu dla Warszawy, o wzroście budowlanym naszego miasta, o obecnym stanie warszawskiego Wydziału hypotecznego miejskiego i t. d. A ileż szczegółów nowych i ciekawych, ileż trafnych i głębokich uwag o każdej z tych rzeczy miał on do powiedzenia. Pomnimy, że po tej ostatniej, długiej i nauczającej gawędzie ze steranym i schorzałym starcem, wyszliśmy wtedy od niego z sercem ściśnionem, pełnem ciężkiego żalu. Nie był to żal nad Łaguną, gdyż jedyne uczucie, jakie on zdolen był budzić, wśród jakichkolwiekbądź warunków, to było uczucie wysokiego, męskiego szacunku, które dla czego innego nie zostawiało miejsca. Ale żalem przejmowała nas myśl o kraju, o społeczności, wydającej ludzi, którymi szczyciłyby się najoświeceńsze społeczeństwa Europy, a którzy wśród nas, w oczach naszych, więdną w cieniu i półbycie.

PRZYPISY.

(Str. 6). Liczne kwity Rzewuskiego z czasów bezkrólewia znajdują się w Arch. Czartoryskich, skąd kładziemy jeden dla przykładu: „J'ai reçu de la part de mr. le stolnik de Lithuanie le quatrième mil *(sic)* ducats pour l'affaire à lui connue. Ce 9 d'VIII-bre 1763. F. Rzewuski p. k."

(Str. 10 sq). Panin do Kayserlinga 26 czerwca 1764; do Repnina 16 września, 9 października 1765: „Hr. Rzewuski mój przyjaciel i wypróbowany, dobrze myślący *(błagonamierennyj)* patryota polski", 1 marca, 19 sierpnia, 7 października, 1766, 2 stycznia, 16 marca 1767; do Stanisława - Augusta 14 lipca 1766, 16 maja 1767. Sbornik LI, 513, LVIII, 339, 341, 369, LXVII, 44, 132, 243, 269, 348, 378. Korespondencya petersburska Rzewuskiego z królem zachowała się w oryginałach i minutach (także listy Rzewuskiego do Panina w kopii) w jednym z mniej znanych zbiorów prywatnych; ogłoszenie jej niewątpliwie nie poprawi opinii Stanisława-Augusta.

(Str. 13 sq.). Osobliwsza korespondencya Stanisława-Augusta z dworem francuskim zachowana w Arch. Czartoryskich, skąd wyjmujemy niektóre charakterystyczniejsze szczegóły. Stanisław-August do Ludwika XV, 20 października 1765: „... J'aime à croire que rien désormais ne s'oppose à ce que réciproquement nous cultivions cette sympathie naturelle

que nos deux nations se sont toujours senties l'une pour l'autre et dont elles voient un gage bien respectable dans l'épouse de Louis le Bienaimé"; ta czuła redakcya epistolarna (brulion własnor.) nieuznanego jeszcze wtedy przez Francyę monarchy została nieco zmieniona w redakcyi późniejszej 24 stycznia 1766. Sucha odpowiedź Ludwika XV do Stanisława-Augusta, 14 maja 1766: „nous ne voulons pas différer de La féliciter de cet heureux événement", t. j. elekcyi — równo w dwa lata po elekcyi. Kondolencya łacińska króla do Ludwika, 12 maja 1767, z powodu zgonu Delfinowej; powinszowanie 16 maja 1770, z powodu małżeństwa Delfina (Ludwika XVI) z Maryą-Antoniną; *idem* 28 sierpnia 1771, z powodu małżeństwa hr. Prowancyi (Ludwika XVIII) z Maryą-Józefą. Ciekawe jest obszerne pismo Stanisława-Augusta do Ludwika XV, 13 listopada 1771, z powodu zamachu Strawińskiego, z pośrednim wyrzutem za protekcyę francuską dla królobójców Barzan: „ce n'est point trop présumer de vos vertus, Sire, que d'espérer que vous daignerez coopérer efficacement à punir des désordres, dont les suites sont les attentats horribles, dont la main seule de Dieu m'a préservé", oraz z melodramatycznym opisem wypadku: „je fus assailli par 40 confédérés, ...après m'avoir porté plusieurs coups, ils m'ont entraîné blessé hors de la ville, ... je me trouve aujourd'hui (po dziesięciu dniach) hors de péril pour ma vie". Kapitalna gratulacya łacińska króla do młodego Ludwika XVI, 7 czerwca 1774, z powodu wstąpienia na tron, upewnia solennie, że śmierć Ludwika XV, opiekuna konfederacyi barskiej i obojętnego widza rozbioru, napełnia serce królewskie „eo acerbiore doloris sensu... quo prona ejus in Nos atque universam gentem polonam voluntas non modo consuetis veteris amicitiae significationibus, sed duplici etiam eademque arctissima necessitudine commonstrata ad caeteras communes proprias etiam peculiaresque luctus causas adjunxit".

(Str. 15 sq.). Król do Branickiego, 18 listopada 1772: A défaut d'autre secours, tâchez de faire naître la disposition

de m'accorder quelques subsides... Tout ce que je demande.. c'est de me soustraire par des secours d'argent à cette extrémité de misère que nos ennemis ont jugé avec quelque fondement être le point qui me mettrait à leur discrétion... (Mais) sans l'amener (Aiguillona) à croire que les subsides et les secours sont inutiles puisque le mal est inévitable". Rieule do Glayra, 13 grudnia, nie owijając w bawełnę: „tout mon but sera de vous procurer de l'argent". — Branicki, pośród szczególniejszych swoich komisów, miał także dość dziwne zlecenie królewskie, aby wyrobił w Paryżu odwołanie z Petersburga tamecznego rezydenta francuskiego Duranda, bardzo wytrawnego dyplomaty, którego jednak Stanisław - August miał za osobistego swego wroga; rzecz prosta, Branicki tą pretensyą tylko obraził ministeryum francuskie i nic nie wskórał. Owóż w ułamkach własnoręcznego dziennika Stanisława - Augusta znaleźliśmy nieco późniejszą, całkiem przyjacielską rozmowę królewską z Durandem 24 września 1775, wcale ciekawą, choć świadczy nietyle o rzekomej głębokiej dyplomacyi króla, ile raczej o pewnej jego naiwności.

(Str. 18). Heyking w innem miejscu podaje również niektóre zastanawiające, choć zapewne mniej wiarogodne szczegóły o udziale Glayra w sprawie Dogrumowej: „Glayre, der den König kannte, sah in diesem Vorfalle ein Mittel sein Glück zu machen. Er liess sich mit Zustimmung beider Parteien mit dem Auftrage betrauen, die Aussagen der Angeschuldigten nach Artikeln, die er verfassen sóllte, entgegenzunehmen... Glayre hatte ein Exposé in dieser Sache in französischer Sprache verfasst, das sehr lang und recht schlecht geschrieben war. Der König war aber davon so entzückt, dass er ihm 15000 Dukaten schenkte. Memoiren, 228, 263.

(Str. 42 sq.). Listy Talleyranda, 27 marca i pani d'E., 28 marca 1818, u Sainte - Beuva, Caus. du lundi IV, 306 sq. Talleyranda mowa pochwalna w Izbie parów o Lauzunie, 13 listopada; Choiseula pismo otwarte, 22 grudnia 1821, w Monitorze. Listy Salguesa i Savarego, w Quarterly Rev. (1822), XXVI,

407 sq. Savary oświadcza tu zresztą, że skonfiskował tylko odpis, w dodatku sfałszowany, i że oryginał znajduje się w pewnych rękach; oczywiście chciał uniknąć wszelkich pozorów solidarności z wydawcą. Tej pierwszej edycyi Pamiętników Lauzuna (Paris, Barrois l'aîné, 1822), będącej rzadkością bibliograficzną, nie mieliśmy w ręku; por. Graesse, Trésor de livres rares, IV, 165; korzystamy z późniejszej edycyi Lacoura „conformément au manuscrit, sans suppression", Paris, 1858; przedrukowana w Barrièra Bibl. des mém. rel. à l'hist. de France pend. le XVIII s. (Paris, 1862).

(Str. 47). Prócz świadectwa Sainte - Beuva, za autentycznością Pam. Lauzuna można powołać z nowszych Lescura, Saint - Amanda, du Bleda, Monoda i innych. — Podług pani Campan, Mém. (éd. 1823), I, 208 sq., Lauzun pisał swoje Pamiętniki na życzenie księżny Fleury (Aimée Coigny, 2-o voto za osławionym Montrondem); prawdopodobniej jednak przeznaczył je dla margrabiny Coigny, z domu Conflans.

(Str. 49). O Lauzunie i Choiseulu ob. Mém. du prince de Talleyrand, I, V, pass.

(St. 50). Przejścia swoje z ks. Izabelą sam opisał szeroko w Mém.; por. Maugras, 392 sq.; noty Lacoura, 177 sq. — Ukaz Katarzyny do Kolegium spraw zagranicznych o odwołaniu Repnina, wydany już 3 stycznia 1769; wszakże Repnin, odwołany formalnie dopiero reskryptem 10 kwietnia 1769, opuścił Warszawę w czerwcu t. r.; paszport zagraniczny wziął w październiku 1771 Sborn. V, 372 sq. LXXXVII, 267, 137 sq.— Listy ks. K. N. Sapiehy, 31 marca: „jak był waryatem w Polsce, tak i tutaj", 8 kwietnia 1775 r. — Katarzyna do Lauzuna, 10 stycznia 1776 r., u Nauroy, Révolutionnaires (1891), 206 sq.; por. Mém. (éd. Barrière), 129, 161. — Osobliwa wiadomość, podana przez p. Body w Interméd. d. cherch. et curieux, XX (1887), 665, byłaby smutnym epilogiem romansu; czy jednak jest wiarogodną?

(Str. 50 sq.). Ob. Pam. pani Campan i por. natomiast doniesienie Mercego do Maryi - Teresy, 18 grudnia 1776, w Corr.

secr. de Mercy; por. La Rocheterie, Hist. de Marie Antoinette I, 268 sq. Korespondencya Lauzuna z Mirabeau i in., 1786 — 1791, ogł. u Nauroy; jego ciekawe Mémoire sur la cour de Berlin en 1775, ogł. u Wilda, Mirabeaus geh. dipl. Sendung, (1901). Lauzun do Narbonna, 21 lutego 1792, u Pallaina, Miss. de Talleyrand à Londres 110 sq.; jego memoryał z więzienia ogł. przez Lacoura 380 sq.; Mallet du Pan, Mém., II, 492 sq.; Wallon, Trib. révol. (1880), II, 305; inaczej u pani Elliott, Journ., ch. VI, VIII.

(Str. 76 sq.). Zapiski hr. L. L. Bennigsena, Russ. Star., C, 709, CI, 516. Por. Rob. Wilson, The campaign in Poland in the years 1806 — 7, 66: „Bennigsen, when at Bartenstein, was on the eve, upon his own responsability, of declaring the Emperor King of Poland". Sprytny Anglik, obecny wówczas w obozie rosyjskim i w zażyłych z Bennigsenem stosunkach, dodaje od siebie uwagę: „If he had persevered in the project, he would have been the best friend that Russia ever had". — Relacya o rozmowie z Aleksandrem I w Tawrogach, podana przez Kniaziewicza w autobiografii, nie wydaje się całkiem ścisłą, — o ile zresztą nie dopuścił się tutaj dowolnej parafrazy Teodor Morawski, Rocz. Tow. Hist.-Lit., 1866, 46.

Memoryał Stanisława Niemcewicza, 25 listopada 1806. — Czartoryskiego Circulaire à quelques personnes éminentes de Pologne, 1807 (bez bliższej daty w obu tekstach oryginalnych, francuskim i polskim, lecz widocznie między Iławą a Frydlandem): wiadome światu Napoleona gwałty i zabory, „nie dotrzymał on wiary żadnemu z tych mocarstw, co zawierzyły jego słowom", w Polsce dopatruje się jedynie nowego dla siebie łupu, sprowadziłby do niej tłumy cudzoziemców, dla obdarcia kraju, już pustoszonego przez jego niesforne żołdactwo, i t. d; przeciwnie, świetne i niezawodne od Aleksandra nadzieje, „podobieństwo języka, jednostajność naszego pochodzenia i podległość berłu Monarchy, na którego wszystkie słowiańskie narody, którym jeszcze pozostaje cokolwiek życzyć, zwrócone mają oczy, jednym nas z Rosyanami spajają węzłem

i łączą nas w jedną familię". Zajmujące te dokumenty ogłosimy w całości na innem miejseu.

(Str. 80). Instr. dla Bertranda, 13 lutego 1807, Corr. de Napoléon, Nr. 11810. Ranke, Hardenberg, III, 307.

(Str. 80 sq.). Napoleon do Talleyranda, 6 kwietnia 1807, Nr. 12311: „Vous appuierez de tous vos moyens la formation de ce corps. Je désire avoir avant quinze jours un escadron. J'ai envoyé à Posen avec de l'argent un officier de ma Garde, qui ramènera promptement à Varsovie des sabres, des carabines et des pistolets. Aussi j'espère que ce régiment sera promptement levé. En les payant comme ma Garde, vous sentez que mon intention a été de n'avoir que des hommes qui eussent de l'éducation, qui fussent habitués à l'exercice du cheval et non des paysans à dégrossir. Voyez le major (Dautancourta) tous les jours, afin qu'il vous rende compte si cette formation avance"; ob. Nr. 12333. Por. Driault, Napoléon à Finckenstein, avril — mai 1807, w Rev. d'hist. dipl. 1899.

Nieprzychylny stosunek Dąbrowskiego do niespodzianego pomysłu nowej, całkiem wyjątkowej formacyi lekkokonnej — o czem zresztą nie brak wzmianek, np. u Koźmiana i innych, — wydaje się dość zrozumiałym, niezawiśle od przypuszczalnych pobudek zasadniczych, z samego już stanowiska czysto wojskowego. Chodziło tu mianowicie generałowi w pierwszym rzędzie o bardzo prostą okoliczność: o nieuniknioną w pewnej mierze dezorganizacyę tworzonych dopiero pułków liniowych przez wyciąganie z nich najlepszego materyału w ludziach i koniach na rzecz uprzywilejowanej formacyi szwoleżerskiej. Z doniesień Kosińskiego (z jego kancelaryi polowej w Archiwum T. P. N. w Poznaniu) do Dąbrowskiego, którego wtedy czasowo zastępował w komendzie, jasno wynika, z jaką trudnością odbywała się ta przykra operacya.

(Str. 85). Chłapowskiego Lettre sur les événements militaires en Pologne et en Lithuanie (Paris, 1831); też w języku niemieckim i szwedzkim.

(Str. 90). Napoleon do Lefebvra, Osterode, 1 kwietnia 1807: „Le jeune Polonais Chlapowski a été fait prisonnier dans la dernière sortie de la garnison de Danzig. Comme je m'intéresse particulièrement à ce jeune homme, je désire que vous le réclamiez et que vous demandiez à mr. Kalkreuth son échange. Vous lui direz que c'est un intérêt particulier que je porte à ce jeune homme que je connais". Corr. Nr. 12257. — Zwracamy uwagę, że lista służby ogł. w Źródł. do historyi pol. lekkokon., 583, Nr. 90, w kilku ważnych szczegółach jest w zupełnej sprzeczności z Pamiętnikami,

(Str. 94). Z czasów paryskich wzmiankuje Chłapowski dosyć obszernie o swojej tutejszej znajomości z doktorem Markowskim. Pozwalamy sobie podać przy tej sposobności parę szczegółów o tej ciekawej figurze, z papierów po Markowskim, które mieliśmy w ręku. Markowski zamłodu, z polecenia Jana Śniadeckiego, wysłany był przez Komisyę Edukacyjną, jako stypendysta, do Paryża dla kształcenia się w chirurgii. (Baliński, Pam. o Śniadeckim, I, 153). Tutaj doczekał się rewolucyi i mianowany został przez Komunę paryską „officier de santé des maisons d'arrêt", t. j. lekarzem więzień rewolucyjnych (dekrety Komuny w Wydziale policyi, 29 marca, 7 sierpnia 1793). Wielu nieszczęśliwym, zwłaszcza kobietom, mógł wtedy przysłużyć się, nietyle medycyną swoją, ile ludzkością: „je lui pardonnais — mówi o nim jedna z więzionych „arystokratek", księżna Duras, — Journal de mes prisons, 124, — sa maladresse et son ignorance en faveur de son bon coeur". Wtedy też miał sposobność uratować od gilotyny więzioną Józefinę Beauharnais, późniejszą cesarzową, pozwalając jej udawać stan odmienny. Później włóczył się po Włoszech, doktoryzował się przy paryskiej Szkole Medycznej w listopadzie 1805 i cierpiał nędzę. Chłapowski przypadkiem przypomniał go cesarzowej. Znaleźliśmy w papierach Markowskiego następujący list Chłapowskiego, Bayonne, juillet 1808: „J'ai parlé de vous à l'Impératrice un jour, où elle me demandait, où j'étais habituellement à Paris. Dès que je lui ai

prononcé votre nom, Elle m'a dit: Ah, quel brave homme; je n'ai pas su qu'il soit à Paris; je voudrais bien faire quelque chose pour lui, car je lui dois beaucoup; dès que je retournerai, n'oubliez pas de me le faire voir, vous pouvez y compter, car c'est la bonté même, un homme comme il n'y en a pas". Był wołany istotnie Markowski do Józefiny do pałacu elizejskiego w marcu 1809, ale niczego się nie doczekał: zaś w następnym roku 1810 wrócił do kraju. Został profesorem chemii przy uniwersytecie krakowskim, był dziekanem wydziału lekarskiego; wreszcie, gdy po Kongresie wiedeńskim Aleksander I został opiekunem Akademii krakowskiej, a z jego ramienia Nowosilcow jej „konserwatorem", Markowski, który znał Nowosilcowa jeszcze z Paryża, mianowany był przez niego swoim delegatem przy Radzie uniwersyteckiej (Nowosilcow do Markowskiego, 23 maja 1818). Odbiło się to natychmiast, rzecz prosta, na całem dalszem zachowaniu się Markowskiego i jego stosunku do młodzieży akademickiej, śród której odtąd do końca życia cieszył się zasłużoną niepopularnością.

Z nadesłanych nam uprzejmie od rodziny Chłapowskiego fotografii trzech oryginalnych ordynansów Napoleona przekonywamy się, że zakwestyonowana data brzmi w oryginale: „à Bayonne, le 3 juin 1808". Zresztą najwidoczniej tylko część ordynansów cesarskich dla Chłapowskiego zachowała się w jego spuściźnie albo w jego wzmiankach pamiętnikarskich, gdyż niejednokrotnie natrafialiśmy na ślady innych jego misyi, np. Corr., Nr. 15373.

Chętnie też umieszczamy w tem miejscu wyjątki z listu p. Stanisława Chłapowskiego z powodu niniejszych uwag naszych o generale: „Akademia artyleryi w Berlinie nie była tylko szkołą przygotowawczą. Uczono w Berlinie w pierwszych klasach matematyki, geografii, chemii, fizyki, hydrauliki, później fortyfikacyi, obrony i ataku fortu, małej wojny (kleiner Krieg), taktyki, strategii i historyi wojennej. Kursa trwały 9 miesięcy w roku; trzy miesiące letnie były przeznaczone na praktyczne ćwiczenia, na manewry, zdejmowanie planów

puszkarstwo i t. d. Mam jeszcze kilka książek po ojcu, w Berlinie po francusku drukowanych, np. Cormontaigne, Sur l'attaque des places et la conduite des sièges (1803)... O sprawie dymisyi ojca mam pismo własnoręczne matki, która znała każdy szczegół życia ojca: „A l'époque des négociations de Prague étant à même, par ses relations, d'apprendre que l'Empereur offrait de sacrifier l'existence du Duché de Varsovie, il donna sa démission, et après des explications, qui, faites en face du pouvoir, lui font honneur, se retira à Paris". W Pamiętnikach o tej rozmowie z cesarzem ojciec nie wspominał; nic dziwnego, nie cierpiał fanfaronady a odwaga rozmowy takiej z cesarzem mogła mieć taki pozór... Mówił mi raz ojciec, długo po wojnie 1831 r., gdy go się pytałem o jakąś sprawę ważną z przed tej wojny, że mu się zdaje, że mu coś w głowie od natężenia myśli pod Wilnem, jak na Giełguda czekał, pęknąć musiało, bo pamięć stracił".

(Str. 100). Niemcewicz, Pamiętniki, I, 228, pod 16 września 1810. Por. nasze uwagi w Bibl. Warsz., „Z koresp. Bignona", CCXXI, 549.

(Str. 106 sq.). Prądzyński w memoryale dla cesarza Mikołaja I: „Chłapowski ne manquait ni de courage ni de moyens, mais il avait encore infiniment plus de prétentions.. il y avait chez lui le désir et l'espoir de jouer un grand rôle... occuper l'Europe de sa personne". Inny spółzawodnik, Dembiński, 280, skarży się: „Chłapowski nader się okazywał bezwzględnym... głaszcząc z flegmą wąs, jak miał we zwyczaju". Wiadomość Kołzakowa, Russ. Star., VII, 441, jakoby Chłapowski „był zmuszony przez cesarzewicza (Konstantego) opuścić służbę (w Królestwie)" polega zapewne na nieporozumieniu. Smitt, II, 355, pisze o Chłapowskim: „von hoher Gestalt (!? wiadomo, że generał był małego wzrostu), vornehmen zurückhaltenden Wesen, flösste er seinen Umgebungen eine scheue Ehrfurcht ein".

Niepodobna wejść tutaj w szczegóły wyprawy litewskiej, gdzie wypadałoby roztrząsnąć sporo doniosłych i zawiłych

kontrowersyi. Wyjmujemy jeden tylko przedmiot: ważną i fatalną radę wojenną 9 lipca 1831 w Kurszanach, gdzie zapadła uchwała o podziale wojska, mająca zadecydować ostatecznie o opłakanym losie wyprawy litewskiej. Chłapowski pisze: „że się podzielić i na różne strony rozejść wypadało, to rozumieli p r a w i e w s z y s c y". Tymczasem u Barzykowskiego, IV, 273, znajdujemy bliższe szczegóły tej rady, z imiennem wyszczególnieniem wotów, skąd się okazuje, że za podziałem było pięciu: Roland, Chłapowski, Szymanowski, Borkowski, Wiśniewski; przeciw podziałowi również pięciu: Dembiński, Breański, Oborski, Sierakowski, Piętka; „była więc równość zdań i Giełgud musiał je swoją kreską rozwiązać", oświadczając się za podziałem. Co się tyczy katastrofy końcowej przejścia do Prus, należy także mieć na uwadze pominięty przez Chłapowskiego list jego własnoręczny 12 lipca, ogłoszony z brulionu w aktach Giełguda. Świadectwo kompetentne generała Puzyrewskiego, I, 291, 341, i jego wnioski ostateczne, nawet co do uchwały kurszańskiej, wypadają zresztą naogół na korzyść Chłapowskiego. Por. także ciekawe listy Mikołaja I do hr. Tołstoja, dowódcy armii rezerwowej na Litwie, 2, 4, czerwca 1831, Russ. Star. XXXI, 556, gdzie parokrotnie wspomina o Chłapowskim, „którego wyprawa jest nader nieprzyjemna"; wzmiankuje tu również cesarz o liście Chłapowskiego do swojej bratowej, księżny łowickiej, gdzie generał uprzedza ją i W. Ks. Konstantego o swoich postępach, a to w celu wystraszenia W. Księcia ze Słonima do Mińska.

(Str. 113). Ferrand, Avertissement à l'Histoire: „mon ouvrage avait été fait il y a plus de douze ans; j'avais pensé alors à l'imprimer: je rencontrai d'abord quelques obstacles, et je ne tardai pas à m'apercevoir que ces obstacles se leveraient aisément, si je voulais dans mon récit appuyer davantage sur l'injuste politique qui avait dévasté, démembré et supprimé la Pologne... Dans la confusion, où était alors (t. j. w 1808 roku) l'Europe, je ne voulais point remuer d'anciens éléments de

haine et de dissension, dont la malveillance n'aurait pas manqué de s'emparer. J'ai donc dû attendre".

(Str. 132). Epizod puławski, — do którego zresztą sporo istnieje ułamkowych przyczynków u Wasilczykowa, Szyldera, Koźmiana, Dębickiego i t. d. — po dziś dzień niedostatecznie wyjaśniony, oświetlimy szczegółowo na innem miejscu, na podstawie niewydanych materyałów, pochodzących w pierwszym rzędzie od ks. Adama, a skąd na razie wymieniamy nadzwyczaj znamienny „Projet de manifeste contre la Prusse, septembre 1805", świadczący o zupełnej już gotowości do urzędowego wypowiedzenia wojny Prusom.

(Str. 146 sq). Jak dalece ówczesne przedkongresowe położenie rzeczy, w 1814 roku, równające się faktycznemu panowaniu Rosyi w zakresie wszystkich niemal ziem polskich, niepokoiło w szczególności Austryę, o tem, między innemi, świadczą dowodnie nader ciekawe relacye tajne, posyłane w tym czasie Metternichowi z Krakowa przez sprytnego agenta austryackiego, Bauma (Arch. wiedeńskie). Baum „k. k. Hofrath und Kreishauptmann in Bochnia", używany nieraz do najpoufniejszych i najdrażliwszych zleceń w sprawach polskich, siedział wtedy w Podgórzu, w charakterze oficyalnego „komisarza gubernium galicyjskiego w Polsce", t. j. *in partibus infidelium,* lecz umiał, jak sam zapewnia, informować się „auf geheimen Wegen" o rzeczach krakowskich i nawet warszawskich. Baum do Metternicha, Podgórze, 16, 20 stycznia 1814: „Die Frau Gräfin Zamoyska hat sich gegen mehrere in ihrer Umgebung befindliche Damen vertraulich geäussert, ihr Bruder, der ehmalige russische Minister, Fürst Adam Czartoryski, sei in das Hoflager S. M. des Kaisers Alexander berufen worden, um S. M. den Wunsch der Nation und die Adressen der zehn Departements des Herzogthums Warschau wegen Vereinigung mit der russischen Monarchie zu Füssen zu legen, und des gewissen Erfolges sicher sei. Sie verfehlte durch das geäusserte Vertrauen ihre Absicht nicht: die Damen waren beflissen, diese wichtige Nachricht allen eifrigen Patrioten mit

dem Beisatz mitzutheilen, Fürst Adam werde sich bestreben, die getheilten polnischen Provinzen als einen selbstständigen, unter russischem Schutz stehenden, oder bloss mit dieser Monarchie verbundenen Staat erklären zu machen. Nun eilte der grösste Theil der adeligen Gutsbesitzer, durch das Beispiel der Patrioten und der Departementbeamten angeeifert, seinen Wunsch für die Vereinigung mit Russland zu äussern und die diesfalls abgefassten Erklärungen in den Bureaux der Unterpräfecten zu unterzeichnen. Schon waren die Adressen, nach einem Aufruf des warschauer Regierungsmitgliedes, Fürsten Lubecki, ausgefertigt und zum Theil eingesandt, als ganz unerwartet bei dem krakauer Präfecten eine Estafette von der warschauer ständischen Commission, oder dem sogenannten Comité, mit der Nachricht einlangte, S. M. der Kaiser Alexander hätten bei den dermaligen Verhältnissen zu beschliessen geruhet, weder eine Deputation, noch die Adressen der Nation wegen Vereinigung des Herzogthums Warschau mit dem russischen Reiche, anzunehmen... Dieser wiederholt vereitelte Versuch, die Selbstständigkeit der Nation zu behaupten, hat den Geist der Patrioten gebeugt aber nicht unterdrückt. Sie rechneten noch darauf, Danzig werde von russischen Truppen okkupirt und im Namen S. M. des Kaisers von Russland in Besitz genommen werden. Sie gingen in ihren Konjekturen noch weiter und behaupteten, jene Macht, die Danzig als den Schlüssel von Polen besitze, müsse auch Herr beider Weichselufer sein... Die alte Fürstin Czartoryska, eine bekannte Schwärmerin und exaltirte Patriotin, ist seit ihrem Aufenthalt in Krakau beschäftigt, die jungen Damen zu Aufführung einiger französischer Theaterstücke und die Geldeinlage zu Gunsten der entlassenen polnischen Truppen zu verwenden. Ich überzeugte mich gestern bei einem Diner, dass die meisten jungen Damen die Gräfinen Wodzicka, Wielowiejska u. a., von der Wuth dieser theatralischen Repräsentation bereits ergriffen sind. Es gehört wahrhaft ein sehr ernsthaftes Benehmen dazu, der seit einigen Jahren bei dem jungen Adel ganz vernach-

lässigten Bildung des Herzens und Verstandes eine andere, mehr solide Richtung zu geben". W podobnym duchu brzmią następne doniesienia Bauma oraz innego agenta, niejakiego Lipowskiego, w 1814 i 1815 roku; do depeszy Bauma, 15 stycznia 1815, dołączona szczegółowa relacya tajna o stanie i ruchach wojsk rosyjskich i polskich na pograniczu austryackiem.

(Str. 152). W depeszy Kollera do Metternicha, Petersburg, 7 września 1814 r., znajdujemy jeszcze następujący ciekawy ustęp: „Dombrowski hat sich der besonderen Zuneigung des Kaisers nicht mehr zu erfreuen, weil er in einem Bericht an denselben sich die Bemerkung erlaubte, dass er nur die Beystimmung des Kaisers Alexander und eine geringe Geldunterstützung bedarf, um bloss mit seinen Landsleuten Pohlens Wiederherstellung gegen die Widersacher zu verfechten, welches den Kaiser beleidigte, weil Dombrowski dessen Mitwirkung entbehrlich glaubte. Seithero ist Krasinski der besondere Günstling".

(Str. 156 sq.). O początkach karyery Lievenów za Pawła i Aleksandra por. Szylder, Paweł I, oraz Aleksander I; Brückner, Materyały o Paninie, VII; Schladena Précis u Rankego, Hardenberg, III; Bailleu, Briefwechs. Friedrich - Wilhelm III; Clausewitz, Werke, VII, 28; lichą monografię o Lievenie dał Capefigue, Diplom. européens, II. O samej Lievenowej i jej stosunkach towarzyskich w Londynie, obok apologetycznej biografii Guizota, w Mélanges biogr. et littér., ob. nowe przyczynki w Edinb. Review, 1890, Istor. Wiest., 1898, I, Revue d. d. mondes, 1899, 1901.

Co się tyczy stosunkn pani Lieven do Metternicha, to ogłoszone kapitalne ułamki liryczne z korespondencyi miłosnej tych dwojga dojrzałych kochanków — gdzie np. ambasadorowa wykrzykuje jak pensyonarka: „Clément, que deviendrons nous?... je t'aimerai tous les jours de ma vie! Comme il est doux de t'aimer!", a pięćdziesięcioletnia Ekscelencya zaklina się jak Romeo: „Je t'aime à Carlsbad comme aux pieds du

Vésuve et dans les ruines de Paestum!" — pozwalając wnioskować, że ta miłość dyplomatyczna zaczęła się na kongresie akwizgrańskim 1818 r., a skończyła na kongresie weroneńskim 1822 r.

(Str. 162 sq.). Chateaubriand, Mém. d'outre - tombe, VIII ch. 37. Malmesbury, Memoirs, 59, 387: „She was very clever, but the greatest intrigante possible, having all her life been employed by her government as a spy. She was a great plague to our secretaries for foreign affairs"; Spencer-Walpole, Life of J. Russell, I, 152; Stapleton, Corresp. of Canning, II; Villèle, Mém., V.; Stockmar, Denkwürd.; Dziennik Diwowa, Russ. Star., XCIX, 661; Martens, Recueil, XI; Portfolio, I, IV, V.

(Str. 171 sq.). Wielopolski do Małachowskiego, 27 lutego, do Platera, marzec; Walewskiego raport 8 kwietnia 1831, Lisicki IV, Barzykowski, III. Pismo Greya do Kościuszki, 1 lipca 1814, w Recueil Angeberga, 601. O zatargu z Palmerstonem ob. Greville Memoirs, II, 359, VIII, 78 sq.; Talleyrand Mém., V, 324, 403 sq.; Palmerston, Corresp., I, 133. Z powodu wyjazdu pani Lieven, Grey, nieco wytrzeźwiony, widocznie zaniepokoił się o losy dotychczasowej swojej z nią korespondencyi i zaraz pośpieszył zastrzedz sobie bezwarunkową dyskrecyę: „You see how freely I write to you, but it is only upon condition, that my letters are never seen by anybody but yourself. I have no desire that they should be preserved as materials for history. On the contrary, I must insist on your taking care that they *never* fall in to other hands". Tymczasem wydawca niniejszego zbioru, p. Le Strange, podaje w przedmowie pewien szczegół, który rzuca właściwe światło na dyskrecyę pani Lieven. Okazuje się mianowicie, że dzisiejszy hr. Grey, wnuk ministra, pierwotnie wzbraniał się udzielić zgody na ogłoszenie korespondencyi dziada, która mu niewiele przynosi zaszczytu, lecz cofnął swoje *veto*, kiedy go przekonał wydawca, że na lądzie stałym znajduje się sporządzony z polecenia przewidującej księżny dosłowny odpis całej

korespondencyi, — niezawiśle od wyciągów, posłanych na ręce Benckendorfa.

(Str. 181 sq.). Wasilczykow, Rodzina Razumowskich, IV, 586: „Pani Lieven zupełnie zastąpiła Guizotowi nieboszczkę Henryetę Razumowską... Prowadziła ona stałą korespondencyę z Mikołajem I, pisywała na papierze niebieskim, i cesarz więcej dowierzał jej niebieskim liścikom, aniżeli depeszom swojej ambasady paryskiej"; Kisielew, Dziennik, III, 413: „Guizot był uroczony przez kocie głaskania wielkoświatowej damy, przynosił jej codzień zrana wiadomości polityczne... Sam przyglądałem się tej komedyi aż do dnia śmierci Lievenowej". Por. jeszcze Correspondant, 1893; Barante, Mém. VII. Według Guizota, 221, „elle a laissé quelques fragments de mémoires sur des événements particuliers, entre autre sur la mort de l'empereur Paul, sur le séjour des souverains coalisés à Londres en 1815, sur la fondation du royaume de Grèce, et de nombreuses correspondances"; bardzo byłoby do życzenia ogłoszenie tych dokumentów.

(Str. 209). Stan. Małachowski do Aleks. Batowskiego, Warszawa, 3 junia 1807.

(Str. 212). Pingaud, Un agent secret, le compte d'Antraigues, korespondent paryski Czartoryskiego figuruje tutaj bądź jako „Vannelet", bądź jako „l'ami". Pierwszą wskazówkę, że tym anonimem był Daru, dał Chuquet w Revue critique, XXXV, 438.

(Str. 215 sq.). Życiorys Stendhala w Portraits historiques Mériméego; studyum Sainte - Beuva w Lundis. Sorela w Lectures, Colomba Notice; Journal 1801 — 1814; listy z Moskwy 4 października, z Wilna 7 grudnia 1812, Corr. inéd. i Lettres intimes; por. Chuquet, H. Beyle officier de cavalerie, na zasadzie Archiwum wojny; Archiw. 1891—2, II, III.

(Str. 246 sq.). Politische Aufsätze, XV, 6, 77, 121, 186, 296 sq.: „wissen Sie, was das alte Polen ist? Eine Leiche; Sie werden höchstens einige galvanische Zuckungen hervorrufen"; Soll und Haben, V, 155, 184 sq.; Deutsche Ansiedler im

schlesischen Grenzwald, XVI; XVIII 164 sq., Bilder aus der deutschen Vergangenheit, XXI, 268 sq. o zaborze Prus Zachodnich.

(Str. 261sq). Pierwsze prace autora ukazały się w rocznikach Russ. Wiest. 1885—7, jeszcze za redakcyi Katkowa; tekst oryginalny książki niniejszej — w tomach 198 i 199 tegoż wydawnictwa za 1888 r.— W najnowszem dziele: „Ród Tatiszczewów 1400—1900. Badania historyczno-genealogiczne" (1900), autor uczenie wywodzi swoje nazwisko od wyrazów *„tat'"* i *„iszcza"* (t. j. „szukając zbrodniarza"), przyczem wyjaśnia, iż rzekomo zostało ono nadane praojcowi rodu przez W. Księcia Wasyla Dmitriewicza, jako nagroda za odkrycie spisku politycznego w Nowogrodzie, — „spisku — jak sceptycznie postrzega z tego powodu krytyk w Istor. Wiest., (1901), I, 766,— o którym przecież nic zgoła nie wiedzą dzieje".

(Str. 372 sq.). Denkschrift an das Ministerium, 24 paźdz. 1848, Palacky, Gedenkbl., 170, 177; Otázka Polská za naši doby, 1 lut. 1864, Radhost, III, 143 sq.; Polit. Vermächtniss, 31 lipca 1872, 26 sq.

(Str. 379). Prostujemy przy tej okazyi jedną nieścisłość, dotyczącą „literackiego" spadku po Wielopolskim. P. Spasowicz, wprowadzony w błąd przez Lisickiego, ubolewa, że nie mógł odszukać „będącej rzadkością bibliograficzną" rozprawy „doktorskiej" margrabiego. Owóż rzecz ta nigdy nie była ogłoszoną — bo i nie było czego ogłaszać. Czytaliśmy rękopis autograficzny tej tak zwanej rozprawy: *De idea aeternitatis,* przechowany w Archiwum uniwersyteckiem w Getyndze. Jest tego raptem sześć niespełna kartek w ósemce; treść—parafraza jednej tezy Spinozy, sposobem czysto formalnym, bez przebłysku myśli własnej, nader niefortunną w dodatku łaciną.

DK 4314.5 .A862 1902
Wczasy historyczne /
Stanford University Libraries
3 6105 036 014 871
C.1

STANFORD UNIVERSITY LIBRARIES
STANFORD, CALIFORNIA
94305

DK 4314.5 .A852 1902 C.1
Wczasy historyczne /
Stanford University Libraries
3 6105 036 014 871

STANFORD UNIVERSITY LIBRARIES
STANFORD, CALIFORNIA
94305